

ZESZYT SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1983

ZESZYT SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1983

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 379

ISBN 2-7168-0035-9

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

ROZMOWA Z PROF. O. PRICAKIEM

Prof. Omelian (Emilian) Pricak urodził się w 1919 roku w Galicji Wschodniej, która była wówczas niepodległą Zachodnioukraińską Republiką Ludową. Profesor jest dumny z tego, że urodził się jako obywatel wolnej Ukrainy. Rzadki to przywilej wśród Ukraińców. Po studiach we Lwowie, Kijowie, Berlinie i Getyndze był profesorem turkologii i historii Eurazji w Hamburgu, Seattle i wreszcie w Harvardzie. Od 1975 roku piastuje katedrę historii Ukrainy im. M. Hruszewskiego i jest dyrektorem Harvardzkiego Instytutu Badań Ukrainoznawczych, nie zarzucając jednocześnie turkologii. Uniwersytet Harvardzki jest jedynym uniwersytetem na świecie, na którym dzięki staraniom i ofiarności społeczeństwa ukraińskiego istnieją trzy katedry ukrainistyki: języka, literatury i historii. Dzieje Rusi Kijowskiej wykładane tu są w ramach historii Ukrainy, a nie Rosji. Niniejszy wywiad przeprowadzony został dla Kultury przez Bohdana Strumińskiego, pracownika wspomnianego Instytutu.

Bohdan Strumiński: — Ogólnie odnosi się wrażenie, że stosunki polsko-ukraińskie były złe. Czy powodem tego była jakaś organiczna wzajemna awersja, wynikająca z odmienności kultur, czy też przyczyny były raczej przypadkowe, niekoniecznie nieuchronne?

Omelian Pricak: — Bardzo trudno jest dać zadowalającą odpowiedź, zwłaszcza wobec alternatywy, jaką Pan proponuje. Mnie się zdaje, że obydwie powody odgrywają tu rolę — w jednym okresie może bardziej pierwszy, a w innym drugi. Żeby nie być gołosłownym, od razu przejdę do sedna sprawy. Przede wszystkim do XIII-XIV wieku nie było wrogich stosunków między Polską a Rusią.

B.S.: — Chociaż zdarzały się pewne konflikty.

O.P.: — Konflikty zdarzały się pomiędzy poszczególnymi liniami dynastii Piastów i tzw. Rurykowiczów. Przy tym jedna grupa Rurykowiczów mogła prosić o pomoc jedną grupę Piastów i na odwrót. Znamy wiele takich wypadków. Jeden z nich, a mianowicie fakt, że Bolesław Chrobry chcąc pomóc swemu zięciowi wyruszył pod Kijów, przekształcono potem w mit o zdobyciu przez niego Kijowa. W podobny sposób można by traktować pomoc księcia halicko-włodzimierskiego Lwa udzieloną jednemu czy drugiemu Piastowiczowi, a takich wypadków było kilka.

B.S.: — ... *na przykład przy zdobyciu Krakowa...*

O.P.: — ... między innymi i Krakowa. Można by to również uważać za początek podboju Krakowa przez Ukraińców i twierdzić, że Kraków powinien należeć do Ukrainy, lub coś w tym rodzaju. Ale były to na owe czasy związki normalne. Nie widać było z żadnej strony poczucia jakiegokolwiek wyższości. Mogę zacytować np. jeden paragraf z Latopisu hipackiego, z roku 1287:

„I usłyszawszy Konrad książę, syn Ziemowitów, brat Włodzimierzów, że dał (w testamencie) ziemię swoją wszystką i grody, przysłał do Włodzimierza posła swego, rzekąc tako: Panie, bratem moim ty żeś mi był w ojca miejsce, jak żeś mnie dzierżał pod swoją ręką, swoją łaską. Przez ciebie, panie, książeciem byłem i grody twoje dzierżałem, i od braci mojej zem się usamodzielniał, i groźny byłem. A ninie, panie, usłyszałem, żeś dał ziemię swą wszystką i grody bratu swojemu Mściśławowi. A nadzieję mam w Bogu i w tobie, że ty, panie mój, pošlesz swego posła z moim posłem do brata swojego Mściśława, aby mnie, panie, z twojej łaski przyjął brat twój pod swoją rękę i by stał za mną, za moją krzywdę, jakoś ty, panie, stał za mną, za moją krzywdę. — Włodzimierz tedy posłał posła do brata swojego Mściśława, tako rzekąc: — Bracie mój, sam wiesz, iż miałem brata swojego, Konrada, i czciłem go, i obdarowywałem, i za krzywdę jego stałem za nim jak za sobą. Obyś i ty tak dla mnie przyjął go z miłością pod swoją rękę i stał za nim w złej godzinie. — Mściśław zasię obiecał tak uczynić, Włodzimierzowi tako rzekąc: — Brata twojego rad jestem przyjąć dla ciebie z miłością pod swoją rękę, a w krzywdzie jego daj mi Boże głowę swą złożyć zań”. Itd.

Myślę, że to wystarczy. Stosunki między księciem mazowieckim Konradem a księciem wołyńskim Włodzimierzem są — jak widać — całkowicie braterskie, właściwie idylliczne. Oczywiście można zacytować więcej takich przykładów. Ja wziąłem tylko ten, ponieważ jest bardzo charakterystyczny. Widać tu, jak ważne było dla Konrada Ziemowitowicza zabezpieczenie sobie opieki nowego władcy Wołynia, księcia Mściśława.

B.S.: — I nic nie przeszkadzał tu fakt, że jeden był katolikiem a drugi prawosławnym?

O.P.: — Właśnie, na tym polega całe zagadnienie. Ale sytuacja zmienia się całkowicie na początku XIV wieku. Zresztą już w ciągu XIII wieku powstają różne elementy tej zmiany, na razie w Gnieźnie czy w innych, bardziej zachodnich częściach Polski. Potem sytuacja zmienia się drastycznie. Na początku XIV wieku zmienia się mapa polityczna Europy środkowej. Dotychczas panowały tam dynastie miejscowe. W 1301 roku wymiera dynastia Arpadów na Węgrzech, w 1307 — dynastia Przemyślidów w Czechach. Miejsce Arpadów zajmuje francusko-włoska dynastia Andegawenów, bardzo modna, spokrewniona z najważniejszymi władcami Europy zachodniej, oczywiście głównie z dynastią francuską. Czechy dostają się Luksemburgom. Głowa rodu Luksemburgów jest cesarzem Rzeszy. Zarówno Andegawenowie jak i Luksemburgowie wprowadzają na Węgry i do Czech najnowsze obyczaje i zdobycze kultury — nawet tej zewnętrznej, codziennej.

B.S.: — Swego rodzaju rewolucja kulturalna?

O.P.: — Tak, oczywiście. I oto mamy na tym tle księcia kujawskiego Łokietka, swego rodzaju błędnego rycerza. Przez kilkadziesiąt lat starał się rozwinąć to, co zostało zrealizowane pod przewodnictwem Wacława II czeskiego, który koronował się na króla polskiego i w ten sposób wraz z Przemysławem wielkopolskim odnowił zaniedbany zwyczaj koronowania się niektórych książąt na królów. Ale królestwa jako instytucji nie ma. Łokietek właśnie stara się zrobić z tego instytucję. Dzięki swoim stosunkom osobistym z papieżem w Avignonie wykorzystuje fakt, że kilkanaście lat przedtem papież Bonifacy VIII swoją bullą *Unam sanctam* odnowił koncepcję dwóch mieczów — duchownego i świeckiego, przy czym duchowny miał być wyższy. Według tej koncepcji tylko te państwa miały być uważane za państwa właściwe (*regna*), które mają koronę i tym samym są poddane zwierzchnictwu papieża. Łokietek przyjmuje zwierzchnictwo papieskie i ustanawia *coronam regni Poloniae*, a więc instytucję korony. W międzyczasie Krzyżacy zajęli najważniejszą część dorzecza Wisły. W tych czasach droga wiślna miała bardzo wielkie znaczenie w związku z rewolucją handlową i przeniesieniem przez Hanzę centrum handlu z Morza Śródziemnego na Bałtyk. Rewolucja dokonana przez Hanzę polegała na tym, że o ile do-

tychczas, do XIII-XIV wieku, handlowano głównie towarami luksusowymi, kupcy Hanzy po raz pierwszy wprowadzili towary codziennego użytku, np. sukna zamiast jedwabi, zboże, które do tychczas nigdy nie było przedmiotem handlu, smołę itd. Dzięki zainteresowaniu Hanzy przedmiotami produkcji leśnej dochodzi do bardzo bliskich związków między Hanżą a Litwą, co oczywiście potem będzie miało swoje znaczenie.

Ale powracając do Łokietka: zależało mu, żeby się utrzymać. Miał już uznanie papieża — chodziło o to, aby uznał go także cesarz, który był też królem czeskim. Łokietek miał bardzo dobre stosunki z Rusią halicko-wołyńską, ponieważ panowali tam przez kilka lat Jurijowicze, synowie Eufemii, siostry Łokietka.

Kiedy Kazimierz w 1333 roku objął władzę po swoim ojcu, Łokietku, nawiązał stosunki z obiema dynastiami zachodniego pochodzenia, Andegawenami i Luksemburgami, na zjeździe w Wyszehradzie w 1335 roku, który miał mieć wielkie znaczenie w przyszłości. Kazimierz rzekł się tam Śląska na rzecz Czech i postanowił, ażeby tron po nim objął król węgierski, chociaż było szereg różnych gałęzi Piastów. Ale Kazimierz uważał, że aby *regnum Poloniae* uzyskało jakieś znaczenie międzynarodowe, musi w nim panować dynastia, która ma znaczenie w polityce światowej. Dlatego zdecydował się na krok rewolucyjny: wydziedziczył swoich krewnych. Oprócz tego, ażeby mieć państwo mniej więcej nowoczesne, trzeba było oczywiście sprowadzić ludzi, którzy znalazliby się na skomplikowanych i nowoczesnych sprawach. Poczynając od jakiegoś XI-XII wieku punkt ciężkości w państwach zachodnich spoczywał na miastach. Miasta miały swój samorząd, były ośrodkami produkcji, handlu i posiadały ludzi fachowych. Właśnie takich fachowców trzeba było zdobyć. Kazimierz, który „zastał Polskę drewnianą, zostawił ją murowaną” — a stało się to dzięki sprowadzeniu kolonistów niemieckich, czy Niemców z pochodzenia, oraz Żydów, którzy byli ludźmi tej samej kultury. W ten sposób zmieniła się warstwa panująca w Polsce. Z kolonistami przychodzą też rycerze niepolskiego pochodzenia. Cały szereg rodów, które za Piastów miały znaczenie, teraz albo wymiera, albo odchodzi, a ich miejsce zajmują rody pochodzenia niemieckiego, czeskiego itd.

Otrucie przez prawosławnych bojarów wołyńskich w 1340 roku Bolesława Jerzego, który naśladował Łokietka starał się stworzyć katolicką *coronam regni Russiae*, stwarza bardzo skomplikowaną sytuację. Jak długo Morze Śródziemne było centrum handlu światowego, Galicja miała większe znaczenie. Od drugiej

połowy XIII wieku, gdy ośrodek handlu przesunął się nad Bałtyk, większe znaczenie miał Wołyń. Właśnie na Wołyniu, we Włodzimierzu, w dorzeczu Wisły, zginął książę Bolesław Jerzy. Pochodził on z mazowieckiej gałęzi Piastów, a z drugiej strony był z nim bardzo blisko spokrewniony Kazimierz, bo był ożeniony z jego siostrą, córką Gedymina. Od ok. 1320 roku także Litwa zaczyna wchodzić na arenę światową.

B.S.: — Tu nawiązuje się przez żony ten przyszły węzeł polsko-litewski.

O.P.: — Przez żony i przez inne czynniki. Kazimierz nie mógł oczywiście patrzeć spokojnie na to, co będzie z Galicją i Wołyniem. Z jednej strony mamy jako pretendenta Litwina Lubarta Gedyminowicza — także spokrewnionego z Bolesławem Jerzym — dalej Węgrów, ponieważ Galicja utrzymywała od XI wieku bardzo bliskie stosunki z królami węgierskimi; pretendentami byli też książęta moskiewscy, itd. Miejskowa warstwa rządząca nie była jeszcze politycznie wyrobiona, ponieważ w systemie patrymonialnym nie było możliwości wytworzenia zachodniego typu koncepcji obywatelstwa, poczucia stanowego. Bojarzy czy przedstawicieli innych warstw mieli z władcą stosunki bezpośrednie, a nie stanowe.

Dzięki powiązaniom Kazimierza z poprzednią dynastią Romanowiczów i z dynastią mazowiecką, która ostatnio rządziła na Rusi halicko-włodzimierskiej (mam na myśli Bolesława Jerzego) istniały powiązania z różnymi bojarami. Kazimierz miał zaproszenia do niektórych bojarów. Bojarzy bez władcy nie mogą istnieć.

B.S.: — Stan może istnieć bez władcy.

O.P.: — Tak, ale bojarzy nie. We Lwowie dochodzi do władzy bojar Detko z ramienia króla węgierskiego. Kazimierz odnawia swoje związki z dynastią węgierską, z Ludwikiem, umawiając się, że gdyby miał męskiego potomka, ta część Galicji, którą Kazimierz zajął, wróci do korony węgierskiej. Istniało terytorium bez władcy katolickiego i trzeba było przyjąć wobec niego jakąś zasadę. Kazimierz przyjmuje wytworzoną na początku XIII wieku zasadę: *ius primi occupantis*. To terytorium umożliwiało powiązanie polsko-węgierskie. Dając Węgom możliwość ewentualnego zajęcia Galicji, Kazimierz pozyskuje sobie Andegawenów. Miejskowa warstwa rządząca nie sprzeciwiała się koncepcji Kazimierza. Bała się Litwinów i Moskwy.

Kazimierz miał trudną sytuację. Był królem nowej Polski, która wchłonęła już elementy zachodnie. W związku z reformami Kościoła, zapoczątkowanymi jeszcze przez Grzegorza VII, mamy szereg nowych zasad — przede wszystkim zasadę, że chrześcijańskie jest tylko to terytorium, które jest pod zwierzchnictwem papieża. Nie ma innego zbawienia jak przez przynależność do świata katolickiego. Z tego sposobu myślenia wyniknęły krucjaty. Począwszy od Kietlicza, który pierwszy wprowadza te reformy w Polsce od 1207 roku — np. wybór biskupa krakowskiego przez kapitułę zamiast dotychczasowego mianowania przez księcia (pierwszym takim biskupem był mistrz Wincenty Kadłubek) — pojawia się duchowieństwo wychowane w nowym duchu. Powstają nowe zakony, np. Dominikanów, którzy umacniają te teoretyczne zasady, czy Franciszkanów, którzy zajmują się pracą misyjną. Do XIII wieku Kościół w Polsce istniał tylko w głównych ośrodkach. Teraz zakony przenikają wszędzie i wnoszą nowe koncepcje. Powstaje kościelna Międzynarodówka ze wspólnym językiem łacińskim i Polska staje się przedmurzem świata, w którym interesy Kościoła stoją na pierwszym miejscu. Oczywiście są bardzo silne naciski, aby rozpocząć misję na nowo zdobytych terytoriach ruskich. Ale dopóki żyje Kazimierz Wielki, do tego nie dopuszcza. W 1347 roku, w kilka lat po upadku państwa halicko-włodzimierskiego, pod naciskiem metropolity kijowskiego („i całej Rusi”), który się teraz przeniósł do Moskwy, patriarcha konstantynopolitański zlikwidował osobną metropolię halicką. Kiedy Kazimierz zajął Ruś Halicką, napisał list do patriarchy, domagając się przywrócenia metropolii halickiej, bo inaczej ludność tego kraju będzie musiała przejść na katolicyzm. Miało to taki skutek, że metropolia została przywrócona. Próby utworzenia arcybiskupstwa łacińskiego na Rusi halickiej datują się dopiero od 1375 roku — pięć lat po śmierci Kazimierza.

B.S.: — *Czyli Kazimierz nie realizował programu papieżstwa na Rusi halickiej. Dlaczego?*

O.P.: — Ponieważ brał na serio swój obowiązek. Z jednej strony był *rex Poloniae Dei gratia*. Tytuł taki nadawał papież. Ale z drugiej strony był *hospodarem* Rusi. Mamy cały szereg dokumentów pisanych w języku staroukraińskim, w których Kazimierz występuje jako król krakowski i *hospodar* ziemi ruskiej. Jako *hospodar* ziemi ruskiej uważał za swój obowiązek przestrzeganie sytuacji, jaka istniała przedtem, przede wszystkim winien był stać na straży życia religijnego i być protektorem Kościoła

prawosławnego na Rusi. Respektował język ruski. Jeżeli dokumenty dotyczyły tego terytorium, używał języka ruskiego.

Jego politykę kontynuowali Władysław Opolczyk, zarządca Rusi z ramienia króla węgierskiego, i Jadwiga. Dopiero za Jagiełły, który był *homo novus* (w młodości był prawosławnym i, jak zwykle bywa z neofitami, bardzo gorliwym), nastąpiła zmiana. Wykorzystując niektórych innych gorliwych przedstawicieli miejscowej warstwy rządzącej, z początku, w 1430 roku, zrównał prawa szlachty w Galicji i w Polsce, a w 1434 roku zniósł prawo ruskie i zaprowadził prawo polskie. On także zlikwidował metropolię halicką, zbudował we Lwowie katedrę katolicką itd.

B.S.: — Czyli, że złe stosunki ukraińsko-polskie datują się właściwie dopiero od Jagiełły.

O.P.: — Tak. Można traktować to w ten sposób: doszedł do władzy nie tylko człowiek innej kultury, ale i człowiek, który, przyszedłszy z innej części Europy wschodniej, nie miał żadnego stosunku do terytorium Rusi halickiej, człowiek, który chcąc być uznanym za prawdziwego Polaka, trochę przesadzał. Mamy tu bardzo wyraźną różnicę między postępowaniem Kazimierza i Jagiełły. Tę sprawę można by jeszcze dalej rozwinąć. Jak pan wie, Jagiełło nie tylko nie miał żadnej sympatii do spraw ruskich, ale i w stosunku do Litwy zachowywał się tak samo. Chciał być królem polskim. Obiecał Jadwidze we wianie całą Litwę. Gdyby nie było swego rodzaju rewolucji Witolda, Litwa jako państwo przestałaby istnieć już podczas unii krewskiej, w 1386 roku. Witold usilnie starał się ratować niezależność Litwy, starał się o koronę i dostał ją od papieża, ale do koronacji nie doszło, bo Jagiełło nie pozwolił posłom przybyć z koroną na czas. W roku 1429 odbywał się zjazd międzynarodowy w Łucku, w którym uczestniczył nawet cesarz niemiecki. Wszyscy czekali, czekali na koronę — i nie doczekali się. A potem Witold umarł. Z drugiej strony, jeśli chodzi o Ruś, uważał on — podobnie jak kiedyś Gedymin — że powinna być całkowicie podporządkowana Litwie. Ruś liczebnie przewyższała Litwinów. Znaczna część możnowładców litewskich i członków dynastii przyjęła wiarę prawosławną. Trzeba było zniszczyć — wedle rozumowania Witolda — wszelkie tradycje państwowości na ziemiach ruskich, aby wziąć w swoje ręce masy ruskie, potrzebne do podźwignięcia gospodarki i na mięso armatnie. To on zlikwidował Wielkie Księstwo Kijowskie. Potem, w latach 40-tych XV wieku jego

następca, Zygmunt, musiał się cofnąć i przywrócić Księstwo Kijowskie, ale Kazimierz Jagiellończyk w 1471 roku zlikwidował je na zawsze.

Zacytuję jedno miejsce z kroniki hustyńskiej, napisanej prawdopodobnie ok. 1620 roku przez Kopysteńskiego. Ilustruje ono reakcję miejscowej ludności. Pod rokiem 1471 kronikarz pisze: „Roku 1471 umarł Symeon Olelkowicz, Książę kijowski. Po jego zaś śmierci Kazimierz, król polski, chcąc, by księstwo kijowskie przestało istnieć, nie osadził tam syna Symeonowego, Marcina, lecz wojewodę z Litwy, Marcina Gasztowta, Lacha (tzn. katolika); jednak go kijowianie nie chcieli przyjąć, jako że nie tylko nie był księżciem, ale, co więcej, był Lachem. Jednakowoż przymuszeni będąc przyzwolili na to. I odtąd na Kijowie książęta być przestali, a w miejsce książąt wojewodowie nastali”.

B.S.: — Dla naszego tematu ciekawy tu jest termin Lach. Zło właściwie przyszło ze strony litewskiej, ale ludność ukraińska Kijowa oskarżyła Lachów o wszystko, bo Lach stał się synonimem katolika.

*O.P.: — Oczywiście, ponieważ nowoczesne poczucie narodowe w tych czasach nie istniało. To utożsamianie katolików z Polakami także przyczyniło się do mitologii, że wszelkie zło pochodzi od Polaków. W tym wypadku widzimy, że o ile Polak Kazimierz Wielki utrzymał *terram Russiae* i szanował jej odrębność, to Kazimierz Jagiellończyk, Litwin, nie jako król polski, lecz jako wielki książę litewski zlikwidował Wielkie Księstwo Kijowskie. Nie zlikwidowali go Tatarzy w 1240 roku, jak się zwykle przyjmuje, i nie Polacy, a zlikwidowali je Litwini, których ukraińska historiografia bardzo często uważa prawie za Ukraińców, za dobroczyńców wręcz — ale widzimy, na czym ta dobroczynność polegała.*

Jeśli chodzi o Unię Lubelską w 1569 roku, nieraz formułowano zarzuty, że w Unii tej brali udział tylko dwaj kontrahenci — Polska i Litwa, bez Rusi. Ale nie Polska była tu winna, ponieważ Ruś jako czynnik już nie istniała — Litwa ją zlikwidowała.

W niecałe 90 lat później mamy nową Unię — Hadziacką, która odpowiadała już całkowicie takim zasadom, jakich można było oczekiwać. W tej nowej wersji Unii mamy już jako trzeci członek, i to członek równorzędny, Wielkie Księstwo Ruskie ze stolicą w Kijowie.

B.S.: — Czemu przypisać, że próba przebudowy Rzeczypospolitej Obojga Narodów w Rzeczypospolitą Trojga Narodów nie udała się?

O.P.: — Trzeba wziąć pod uwagę dwa elementy: sytuację międzynarodową i nieprzygotowanie obu kontrahentów, a głównie strony ukraińskiej, do takiego ważnego aktu. Polska dopiero co wydobyła się z Potopu, ekonomicznie i militarnie osłabiona. Gdyby sprawa unii rozgrywała się w sytuacji pokojowej, byłoby inaczej. Ale do Ukrainy od 1654 roku (od Perejasławia) miała pretensje Moskwa i od razu je zgłosiła. Chociaż hetman Ukrainy Wyhowski pobił pod Konotopem wojska rosyjskie, zdołały się one wkrótce przegrupować. Z drugiej strony unia ta była krokiem rewolucyjnym i niespodzianym. Chociaż sejm ją zatwierdził i strona Polska traktowała na serio, wielkiej popularności ta koncepcja jeszcze nie uzyskała.

Żeby zrozumieć, na czym sprawa polegała, trzeba się cofnąć o 10 lat, do powstania Bohdana Chmielnickiego. Chmielnicki mógł odnosić triumfy militarne nie tylko dlatego, że miał talent wojskowy i organizacyjny — co do czego nie ma wątpliwości — ale i dlatego, że wielka część szlachty z terytoriów ukraińskich przeszła na jego służbę. W ten sposób mógł on stopniowo ustanawiać swoją władzę typu zachodniego. Na początku powstania nie było kontrahentów. Ale po przejściu znacznej ilości szlachty na stronę Ukrainy kozackiej mogło dojść do porozumienia: bo po obu stronach byli przedstawiciele tego samego stanu — byli już kontrahenci.

B.S.: — *Bracia szlachta.*

O.P.: — Tak.

B.S.: — *Bez względu na wyznanie.*

O.P.: — Oczywiście. Ale pewne sprawy nie były jeszcze wyrównane. Większość ludności Ukrainy — przede wszystkim pospólstwo i kozacy siczowi, którzy nie należeli do warstwy panującej — nie była przygotowana na taki obrót sprawy. Ponieważ wielką rolę, zwłaszcza wśród pospólstwa, odgrywały sprawy religijne Moskwie udało się podburzyć klasy niższe i to one uratowały Ukrainę dla Moskwy. Za krótki był czas na przygotowanie ludności ukraińskiej do tej całkiem nowej sytuacji. Nie można za-

pominać, że w świecie prawosławnym nie było reformacji i złagodzenia priorytetów religijnych.

Rok przed unią hadziacką, w 1657 roku, zmarli Chmielnicki i metropolita kijowski Kossów. Następca metropolity, Łazarz Baranowicz, związał się ze stroną moskiewską. Gdyby żył Kossów, całkowicie związany z tradycjami kulturalnymi Rzeczypospolitej, który mimo nacisków nie chciał poddać się zwierzchnictwu patriarchy moskiewskiego i odmówił podpisania traktatu perejasławskiego Ukrainy z Moskwą w 1654 roku, niewątpliwie Wyhowski znalazłby w nim współpracownika i sprawa wzięłaby inny obrót, ponieważ Kościół sprawował rząd dusz i miał aparat propagandy w swych rękach.

B.S.: — Czy wina za złe stosunki polsko-ukraińskie obciąża tylko stronę na ogół silniejszą, tj. stronę polską, czy drugą stronę też?

O.P.: — Myślę, że zawiniły obie strony. Oczywiście można stać na stanowisku, że ponieważ Polacy byli bardziej zaawansowani w rozwoju, powinni byli mieć w stosunku do Ukraińców większą wyrozumiałość. Ale to tylko teoria. Historia nie rządzi się prawami wyrozumiałości. Główną winą z jednej i drugiej strony było kierowanie się kompleksami niższości. Polska od czasów Kazimierza Wielkiego bardzo szybkimi krokami zrównuje się z poziomem kulturalnym Europy zachodniej, przyjmując stamtąd instruktorów. Czując jednak jeszcze swoją słabość wobec Zachodu i starając się być jego częścią, strona polska prawdopodobnie bardziej agresywnie występowała na terytorium Rusi prawosławnej, niż gdyby nie odczuwała tego kompleksu wobec Europy zachodniej i nie starała się jej na siłę dogonić.

B.S.: — Czyli chcieli być lepszymi Europejczykami niż przeciętny Europejczyk?

O.P.: — Tak. Poza tym byli kierowani przez obywateli polskich pochodzenia niemieckiego, włoskiego itd., którzy uważali, że są na przedmurzu i że ich zadaniem jest wprowadzanie na wschodzie wyższej kultury typu łacińskiego. W ten sposób powstał kompleks niższości Rusi („głupia Ruś” itd.). W poczuciu swej niższości Ruś miała do wyboru dwie reakcje. Jedna — to jak najszybsza przemiana w Polaka przez zmianę obrządku i przejście w ten sposób do stanu wyższego. Druga — to uznanie, że wszystko, co polskie, jest złe.

B.S.: — *I rzućcie się w drugą stronę — w objęcia Moskwy.*

O.P.: — *Właśnie. I z jednej, i z drugiej strony mamy anormalną reakcję. Gdyby Polacy czuli się pewniej, nie musieliby się tak wywyższać. Z drugiej strony, gdyby Rusinom wciąż nie rzućto w oczy obelg typu „głupia Ruś”, nie nabraliby tej nienawiści do wszystkiego, co polskie, katolickie itd.*

B.S.: — *Przychodzi mi na myśl pewna analogia z XIX wieku (o którym za mało mówimy): podobno stosunek arystokratów polskich w Galicji do Rusinów był lepszy niż stosunek drobnomieszczan itp., ponieważ arystokraci nie mieli kompleksów.*

O.P.: — *Tak, to była głównie tzw. szlachta podolska, konserwatyści.*

B.S.: — *Podczas gdy endecy rekrutowali się z drobnomieszczanstwa.*

O.P.: — *I z drobnej szlachty oraz duchowieństwa, ale nie z arystokracji.*

B.S.: — *Zazwyczaj stosunki między narodami poprawiają się, kiedy inicjatywę takiej poprawy podejmują ich rządy, kierujące się poczuciem interesu narodowego albo racją stanu. W sytuacji kiedy nie ma niezawisłego rządu polskiego ani ukraińskiego, czy społeczne i prywatne próby poprawy tych stosunków mają jakieś szanse? Czy istnieją w dziejach powszechnych przykłady sukcesu takich przedsięwzięć? Czy jakąś rolę w tej dziedzinie mógłby odegrać kierowany przez Pana instytut?*

O.P.: — *Oczywiście. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że potrzebna jest reforma opinii publicznej. Reformy opinii publicznej miały wielokrotnie miejsce w dziejach powszechnych. W sytuacji, w jakiej się znajdujemy, najważniejszym zadaniem emigracji jest opracowanie tych problemów na nowo, ponieważ potrzebne jest zrozumienie przyczyn wydarzeń i znalezienie wspólnego mianownika. Myślę, że jest to możliwe. Właśnie placówka naukowa najbardziej się do tego nadaje. Spodziewam się, że nasz instytut swoją misję w tej dziedzinie spełni. Zadaniem nauki jest poznanie prawdy. Nasz instytut może odegrać tu wielką rolę dlatego, że jest instytucją amerykańską, nie emigracyjną, tzn. nie jest związany z takimi czy innymi politycznymi ośrodkami*

emigracji. Jego głównym celem są badania, w miarę możliwości bezstronne. Tu, w Ameryce, mamy nawet lepszą perspektywę do patrzenia nie tylko na Polskę i Ukrainę, ale i na całą Europę. Mamy tu jedyną chyba możliwość rozsąplania splotów, w które uwikłały się obie strony, polska i ukraińska.

B.S.: — Kiedy tyle jest przykrego w dziejach stosunków polsko-ukraińskich, co lepiej służyć może ich poprawie: niewyweleknięcie niemitych tematów czy raczej szczere wygarnianie sobie wzajemnych żalów, żeby nie było niedomówień? Łatwo przewidzieć odpowiedź historyka, ale ja się Panu celowo podstawiłam, żeby dać Panu możliwość uzasadnienia stanowiska historyka.

O.P.: — Stanowisko historyka jest całkiem jasne. Będzie to tylko kontynuacja tego, co powiedziałem poprzednio. Nie ma takich spraw, których nie należy omawiać — nawet najbardziej drażliwych. Kiedy się ich nie omawia, powstają różne mity i różne tabu. A na ich podstawie z kolei powstają bardzo nieprzyjemne ideologie. Dlatego trzeba dojść do samego dna. Stosunki polsko-ukraińskie można by porównać, powiedzmy, do raka. W takim razie trzeba za wszelką cenę dotrzeć do tych komórek rakowych i rozprawić się z nimi. Jeśli się chce pacjentowi uprzyjemnić sytuację iluzją, że wszystko jest w porządku, nie pomaga mu się. Nie jest też wskazany strach przed tym, że pacjent byłby nieszczęśliwy, znając prawdę. Nie znam prawdy, która byłaby szkodliwa.

B.S.: — Polacy często się uskarżają na złe położenie geopolityczne i w ogóle zły los dziejowy. Ze strony ukraińskiej też się słyszy podobne narzekania. Czy zamieniłby Pan położenie geopolityczne i losy historyczne Ukrainy z Polską?

O.P.: — Jest to pytanie bardzo skomplikowane. Czy bym zamienił, czy nie, wątpię, czy pomogłoby to którejkolwiek stronie. Myślę, że trzeba się pogodzić z tym, co mamy. Mogę powiedzieć tylko tyle: przez wiele wieków jedynie wyspiarskie położenie mogło zabezpieczać przed inwazjami. Ale i to niezupełnie, bo ileż inwazji miała w swojej historii Anglia? Każdy kraj ma swoje złe położenie geograficzne. Bardzo trudno znaleźć idealne miejsce. Na przykład Rosja, chociaż zajęła znaczną część Starego Świata, skarży się jeszcze na swoje położenie geograficzne. Bo oczywiście, jeżeli się coraz więcej zajmuje, to wdeptuje się wciąż w jakieś nowe niedogodności geograficzne.

B.S.: — *Rosja skarży się teraz, że jest otoczona przez imperializm amerykański.*

O.P.: — *Właśnie. Nie ma sensu zmieniać swego położenia. Każde położenie geograficzne jest dobre i złe. Wszystko zależy od talentów mieszkańców.*

B.S.: — *Profesor sowietologii Roman Szporluk zwrócił uwagę w pewnym artykule na różnicę między polskim i ukraińskim hymnem narodowym. Chodzi mianowicie o czynny i bierny stosunek do nieprzyjaciół. U Józefa Wybickiego są słowa: „Co nam obca przemoc wzięła, szabłą odbierzemy”, u Pawła Czubińskiego — „Zhynut’ nasi woriżenky jak rosa na sonci”. Trudno to nawet przetłumaczyć na polski. „Zginą nasi wróżeńkowie jak rosa na słońcu”? Może Lenartowicz tak by napisał, ale on nie pisał hymnów narodowych. Czy jest to różnica przypadkowa, czy charakterystyczna?*

O.P.: — *Myślę, że przypadkowa. Przypadek polega na tym, że polski hymn narodowy był pisany w czasach, kiedy Polacy z bronią w rękę znajdowali się na obczyźnie, wierząc w wywalczenie sobie powrotu do kraju. Hymn ukraiński powstał w czasach *narodników* typu Antonowicza, którzy wszelką akcją polityczną uważali za niepotrzebną, a przyszłość wiązali jedynie z rozwojem kultury i oświaty. Nie mając nawet koncepcji własnej armii itd., nie można było oczywiście zmieniać sytuacji czynnie. Jedyną możliwością było czekanie, aż coś się zdarzy, jakiś cud. Stąd przekonanie, że wrogów nie trzeba zabijać — sami umrą. Wiązało się to z romantyczną wiarą w lud, który ma zawsze istnieć bez względu na wrogów. Ukraiński hymn narodowy pisany był w czasach apolitycznych. Takiej apolitycznej orientacji nie było w Polsce, ani nie jest ona typowa dla historycznego rozwoju ukraińskiego. Jeszcze w końcu XVIII wieku i na początku XIX wieku (np. w „Historii Rusów”) widzimy całkiem inną postawę. Hymn ukraiński odzwierciedla sytuację z lat 1860-1890. Przypadek chciał, że hymn ten został napisany akurat wtedy. Było to nadrabianie opóźnień. Trzeba było mieć jakiś hymn. Został napisany pod wpływem hymnu czeskiego czy innego...*

B.S.: — *... chyba polskiego, bo „Szcze ne wmierła Ukraina” odpowiada polskiemu „Jeszcze nie zginęła”.*

O.P.: — *Owszem, też.*

B.S.: — Polacy mają mocną tradycję monarchii średniowiecznej, co się wyraża w „Rocie” Marii Konopnickiej, ostatnio znów popularnej w Polsce. Śpiewa się w tym hymnie: „Polski my naród, polski ród, królewski szczep Piastowy”. Analogicznej pieśni ukraińskiej o „wielkokiążęcym szczepie Rurykowym” nie słyszy się. Znowu — przypadkowa to różnica czy charakterystyczna?

O.P.: — O, nie przypadkowa, ale historyczna. Mówiłem o tym na początku. Koncepcja *regnum Russiae* nigdy się nie wytworzyła. Rurykowicze byli tylko książętami. Nawet jeżeli ktoś z nich się koronował na króla, instytucji królestwa nie było. Do 1320 roku nie było jej i w Polsce. Na Rusi nadal pozostała żywa koncepcja ziemi. Ponieważ w świecie prawosławnym, który nie znał jeszcze kultury zeświecczonej, a tylko uniwersalizm prawosławny, trzeba było mieć jakieś uosobienie władcy prawosławnego, który jest także zwierzchnikiem Kościoła prawosławnego; znacznie później (za Piotra I) powstaje koncepcja cara rosyjskiego jako władcy *par excellence*, przy tym jednak nie władcy narodowego, związanego z jakimś szczepem, lecz cara prawosławnego. Koncepcja królestwa polskiego została w XIV-XV wieku zsekularyzowana, związana z narodem polskim, z polskim „szczepem królewskim”. Natomiast koncepcja cara prawosławnego była jeszcze presekularna.

B.S.: — Pojęcie „szczepu królewskiego” wydaje się demokratyzacją monarchii. W patrymonium natomiast liczy się tylko władca, reszta się nie liczy. Czy tak?

O.P.: — Tak. W Polsce to rozszerzanie monarchii zaczęło się od różnych przywilejów — koszyckich, niezawskich itd.

B.S.: — Osobiste pytanie, jeśli wolno: Pana ojciec umarł w 1919 roku w ciężkich warunkach, jakie panowały w polskim obozie dla jeńców Ukraińskiej Armii Galicyjskiej pod Brześciem Litewskim. Czy to wydarzenie miało jakiś wpływ na Pański stosunek do Polski i Polaków?

O.P.: — Miało wpływ na moją ukraińską świadomość narodową. Moja matka i ojczym, którzy stracili wiarę w sprawę ukraińską, wychowali mnie na Polaka. Dopiero gdy miałem 12-13 lat, zdołałem zsumować różne przypadkowe informacje i wyciągnąć z nich wnioski. Sprawa śmierci mego ojca była przez długi czas tabu — nie wolno było o tym dyskutować. Przypadkowo dowie-

działem się, że umarł w Bukszopach niedaleko Brześcia w bardzo nieprzyjemnym obozie jenieckim. Kiedy wywnioskowałem, że umarł jako jeńiec Polaków, przeżyłem szok. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego mój ojciec — Polak — był jeńcem Polaków. Słowo Ukraina w naszym domu było zabronione. Przypadkowo usłyszałem kiedyś w ustach przyjaciółki mojej matki słowa: „Jak wybuchła Ukraina”. Na tej podstawie doszedłem do wniosku, że Ukraina jest jakimś materiałem wybuchowym. Kiedy pytałem matki: „Co to jest Ukraina?”, nie dostawałem odpowiedzi. Byłem wychowany w szkołach polskich, a tam też nikt nie chciał mi powiedzieć, co to jest Ukraina. Dowiedziałem się tego wkrótce po pacyfikacji Ukraińców. Straciłem ojca mając sześć miesięcy. Oczywiście bolesna była dla mnie ta strata. Każdy człowiek chciałby znać swojego ojca. Miałem o to żal do Polaków. Z drugiej strony cóż — wojna jest wojną, tragedie zdarzają się po obu stronach. Nie należy tego traktować jako powodu do wiecznej nienawiści. Oprócz osobistego bólu nie mam żadnych odwetowych uczuć.

B.S.: — Jeszcze jedno osobiste pytanie: kiedyś wspomniał Pan, że nauczył się Pan od Polaków godności narodowej czy ludzkiej. Czego jeszcze obydwie narody mogłyby się od siebie nawzajem nauczyć? Podkreślam nawzajem, bo Polacy też nie posiadli całej wiedzy i niejednego mogliby się nauczyć.

O.P.: — Ma Pan rację, jedna i druga strona ma swoje doświadczenia, z których można by się uczyć. Polacy od XIV wieku weszli w sferę zachodnioeuropejskiego systemu kulturalnego i zrozumieli, czym jest godność ludzka i narodowa; ich zdobycze kulturalne mogły stać się dla Ukraińców szkołą praktyczną. I tak na przykład odrodzenie kulturalne na Ukrainie w XVI-XVII wieku nastąpiło pod wpływem oddziaływania kultury zachodnioeuropejskiej poprzez terytorium Polski — za sprawą i Polaków, i cudzoziemców żyjących w Polsce. W XIX wieku w polskich spiskach po Kongresie Wiedeńskim brała udział młodzież ukraińska, na przykład w unickim seminarium duchownym we Lwowie. Szaszkiewicz i inni członkowie „Ruskiej Trójcy” zaczęli swoją działalność od udziału w konspiracjach polskich. Potem zastosowali to doświadczenie do swojej, ukraińskiej sytuacji. Kiedyś zapytywano mnie, na jakich wzorach wykształcił się ukraiński ruch nacjonalistyczny — OUN. Mogłem na to odpowiedzieć, że nikt z OUN-owców nie znał żadnego dzieła Hitlera czy Mussoliniego. Wszyscy studiowali wspomnienia Piłsudskie-

go i uczyli się na doświadczeniach polskich rewolucjonistów. Walcząc przeciwko Polsce, używali narzędzia polskiego.

B.S.: — Czy są jakieś doświadczenia ukraińskie, które mogłyby się przydać Polakom?

*O.P.: — Oczywiście. Na przykład w poglądach na rozwój dziejowy Polacy jeszcze dzisiaj koncentrują swoją uwagę głównie na czynnikach politycznych, za mało zwracając uwagi na sprawy socjalne. Natomiast historycy ukraińscy, jak Antonowicz, Hruszewski, brali jako miarę wszystkiego rozwój mas ludowych. W związku z doktryną sowiecką zwraca się na to teraz uwagę i w Polsce, ale prawdopodobnie dzieje się tak pod wpływem doktryny oficjalnej, a nie doświadczenia. Tu doświadczenia nauki ukraińskiej mogłyby być pomocne. Poza tym Ukraińcy mają większe doświadczenie w sprawach rosyjskich niż Polacy i mogliby pomóc Polakom zrozumieć te problemy, na przykład to, że Rosja sowiecka jest mimo wszystko Rosją, że *sowiecka* — to tylko przymiotnik, który występuje teraz, ale tylko jako jeden z wielu innych przymiotników, które mogą się zmieniać, podczas gdy rzeczownik pozostaje nie zmieniony.*

B.S.: — Pan mnie ubiegł. Swoje ostatnie pytanie miałem zamiar sformułować w ten sposób: Co Pan, jako znawca historii Rosji, widząc ją z perspektywy ukraińskiej i na tle Pańskiej wiedzy o wschodzie bizantyjsko-mongolskim i o historii Eurazji, mógłby poradzić Polakom w ich obecnym konflikcie z Rosją? Słyszysz czasem, że Polacy Rosji nie rozumieją. Skoro tak, co mogłoby im pomóc w jej zrozumieniu i co takie zrozumienie by im dało?

*O.P.: — Chodzi o to, że Rosja historyczna jest bardzo niebezpieczna. Niebezpieczna jest dlatego, że nie ogranicza się do zwierzchnictwa, lecz, nie dowierzając nikomu, mając straszne kompleksy niższości, stara się wejść w dusze, znaleźć takie czy inne drogi obowiązujące wszystkich i w ten sposób podporządkować sobie ludzi. Znaczący to, że żadne inne więzy niż więzy z Rosją nie mogą istnieć. Polityka Rosji — także teraz w Polsce — zmierza w kierunku rozluźnienia miejscowych więzów narodowych między różnymi warstwami społeczeństwa i zastąpienia ich bezpośrednimi więzami z Rosją. Tu właśnie Polacy, a przede wszystkim Kościół polski, muszą być czujni. Kościół może nawet w tej sytuacji zażegnać to niebezpieczeństwo. Ale pierwszym warunkiem jest świadomość, że *nie można być przyjacielem**

*Rosji. Można być tylko sługą Rosji, jej robotem. Zadaniem Rosji jest przekształcenie wszystkich w roboty, które reagują tylko na jedyne bodźce, z centrum kremlowskiego. Wszystkie inne bodźce muszą być pod takim czy innym pretekstem usunięte. To jest właśnie doświadczenie ukraińskie, oparte nie tylko na ostatnich sześćdziesięciu kilku latach. Trzeba być strasznie ostrożnym. Warto pamiętać o *timeo Danaos et dona ferentes*. Nie można wierzyć żadnym darom, żadnym miłym słówkom itd., ponieważ w Rosji panował zawsze system totalitarny. Polityka planowana jest tam na stulecia. Oni mają czas. Trudno i chyba nie sposób ich przechytrzyć. Jakikolwiek ustępstwo z ich strony, nawet jeśli się wydaje przypadkowe, jest zaplanowane jako czynnik rozluźniający dotychczasowe więzy. Przedmiot tych zabiegów może nawet nie zauważyć, kiedy zostanie włączony do nowej struktury.*

B.S.: — To brzmi pesymistycznie. Czy wobec takiej przeszłości jest w ogóle jakakolwiek szansa na demokrację w Rosji?

*O.P.: — Bez kataklizmu jest to niemożliwe. Dopóki odnoszą zwycięstwa w polityce i w dziedzinie militarnej jest to niemożliwe. Przemiana musiałaby być równie totalna, jak totalny jest ich system. Proces rozwoju w Europie zachodniej trwał 700-800 lat. W Rosji były pewne przesłanki takiego rozwoju gdzieś przed XV wiekiem. Ale od XV wieku mamy bardzo wyraźną linię rozwojową w odwrotnym kierunku. Monarchia petersburska na jakiś czas to jakby zahamowała. Ale były to tylko pozory. Monarchia ta znajdowała się jakby na powierzchni, a zatem nie zwracano uwagi na jej cechy charakterystyczne pod spodem. Po rewolucji charakterystyczne rysy Rosji znów zakwitły. Ślady 150 czy iluś tam lat zabawy w europeizację bardzo szybko znikły. W ciągu 10-20 lat *dagnali i pieriegnali*.*

B.S.: — Dziękuję za rozmowę.

Marek EDELMAN

GETTO WALCZY*
(Udział Bundu w obronie
getta warszawskiego)

Książeczkę tę, której maszynopis przyniósł mi jej nieznajomy, młody autor, jeden z przywódców żydowskiego Powstania, przeczytałam jednym tchem, nie odrywając się od niej ani na chwilę.

— *Ja nie jestem pisarzem — powiedział. — To nie ma żadnej wartości literackiej.*

Jednak jego nieliterackie opowiadanie osiąga to, co udaje się nie wszystkim arcydziełom. Daje w słowie poważnym, celnym, powściągliwym, wolny od frazesu protokół zbiorowego męczeństwa, utrwala mechanizm jego przebiegu. Jest także autentycznym dokumentem zbiorowej mocy ducha, ocalonej z największej klęski, jaką znają dzieje narodów.

Zofia Nałkowska

Łódź, w listopadzie 1945 r.



Pamięci Abraszy Bluma

Okupant niemiecki zdobywając w 1939 roku Warszawę zastaje społeczeństwo żydowskie w stanie całkowitego chaosu

* Niniejszy tekst — raport zastępcy komendanta powstania w getcie warszawskim Marka Edelmana dla kierownictwa Bundu — wydany został pierwotnie przez Centralny Komitet Bundu w Warszawie w 1945.

i rozbicia. 7-go września opuścił Warszawę cały prawie aktyw społeczny. Przywódcy polityczni, działacze społeczni, inteligencja pozostawili Stolicę własnemu losowi. Trzystutysięczna masa żydowska poczuła się bardziej niż inni bezradna i samotna.

Wobec takiej sytuacji nietrudno jest Niemcom w krótkim czasie nad tą masą zapanować, gnębić ją represjami i doprowadzić do stanu biernej rezygnacji. Wyrafinowany, doświadczony aparat propagandy niemieckiej działa bezustannie w tym kierunku, rozsiewając nieprawdopodobne — jak na owe czasy — pogłoski, które zwiększają panikę i dezorganizację. W krótkim czasie represje wobec Żydów przestają ograniczać się do przegodnego bicia w pysk, sadystycznego wyciągania z mieszkań czy chaotycznych łapanek ulicznych do bezcelowych robót. Represje nabierają charakteru konkretnego, systematycznego.

Już w połowie listopada 1939 roku ogłoszone zostają pierwsze „niszczące” zarządzenia: wprowadzenie obozów „wychowawczych” dla całej ludności żydowskiej i pozbawienie Żydów całego majątku powyżej 2 000 zł na rodzinę. Dalej, kolejno, jedne za drugimi syją się zakazy i ograniczenia: nie wolno pracować w wielkim przemyśle, nie wolno pracować w instytucjach publicznych i państwowych, nie wolno wypiekać pieczywa, nie wolno zarabiać ponad 500 zł miesięcznie (a cena chleba w pewnych okresach dochodzi do 80 zł za kilo), nie wolno sprzedawać ani kupować u „aryjczyków”, nie wolno leczyć się u „aryjskich” lekarzy, nie wolno leczyć „aryjskich” chorych, nie wolno jeździć pociągami, tramwajami, nie wolno opuszczać granic miasta bez specjalnego zezwolenia, nie wolno posiadać złota, biżuterii. Od 12 listopada każdy Żyd od 12 lat musi nosić na prawym ramieniu białą opaskę z niebieską gwiazdą Dawida (w niektórych miastach jak Łódź, Włocławek — żółte łaty na plecach i pierśsiach).

Ludność żydowska, bez przyczyny bita, poniewierana, mordowana, żyje w ciągłym strachu. Nieprzestrzeganie przepisów grozi jedynym wymiarem kary — śmiercią, przestrzeganie ich nie chroni przed tysiącem coraz bardziej fantastycznych szykan, coraz większych prześladowań, coraz częstszych aktów terroru, coraz ostrzejszych zarządzeń. Ukoronowaniem ich jest niepisane prawo zbiorowej odpowiedzialności. Tak więc w pierwszych dniach listopada 1939 roku rozstrzelanych zostaje 50 mężczyzn z domu Nalewki 9 za rzekome pobicie przez jednego z mieszkańców policjanta polskiego. Ten pierwszy wypadek zbiorowego morderstwa pogłębia jeszcze nastroje paniczne wśród Żydów. Strach przed Niemcem wzrasta do nieopisanych granic.

W takiej atmosferze i w takich zmienionych kardynalnie warunkach Bund rozpoczyna, a właściwie kontynuuje swą społeczną i polityczną działalność. Znajdują się bowiem wśród nas ludzie, którzy mimo wszystko, co się stało, próbują działać dalej. Świadomość tego, że można w każdej chwili zginąć, i to nie za to, co się robi, ale jako zbity, zmalretowany nie-człowiek — Żyd — działa przy tym szalenie deprymująco. Brak poczucia własnego ja odbiera wszelką chęć do pracy, wszelką pewność siebie. To właśnie wyjaśnia najlepiej, dlaczego działalność nasza w tym pierwszym okresie po upadku Warszawy jest głównie charytatywna, dlaczego wszelkie odruchy walki zbrojnej z okupantem przychodzą stosunkowo tak późno i w tak słabej na początku formie. Po prostu gigantycznym wysiłkiem jest dla nas już samo przezwyciężenie własnej rozpaczliwej apatii, wykrzesanie z siebie jakiegokolwiek aktywności, samo przeciwstawienie się ogólnej panice.

W najcięższych chwilach Bund ani na chwilę nie zawiesza swojej działalności. Zmuszony we wrześniu do wyjazdu, Centralny Komitet Partii poleca prowadzenie pracy partyjnej Abraszy Blumowi (jedynemu, zdaje się, z działaczy, który wśród ogólnej ucieczki decyduje się dobrowolnie pozostać w Warszawie). Organizuje on wraz z Arturem Zygielbojmem, w porozumieniu z obrońcą Warszawy, prezydentem Starzyńskim, żydowskie oddziały, które biorą czynny udział w obronie Stolicy. Wyjechała cała redakcja *Folkscajtungu* (dziennik partyjny). Pomimo to 7 września ukazuje się normalnie pismo i redagowane przez tow. tow. Abraszę Bluma, Kloga i Klina, wychodzi regularnie podczas całego oblężenia.

Uruchomione w czasie oblężenia jadłodajnie i kuchnie społeczne funkcjonują nadal. Pomoc materialną otrzymują wszyscy prawie członkowie partii i Związków Zawodowych. Abrasza Blum organizuje tuż po wkroczeniu Niemców do Warszawy nowe Centralne Kierownictwo Partii (A. Blum, L. Klog, S. Nowogródzka, B. Goldsztein, a następnie A. Sznajdmil-Berek oraz M. Orzech).

W styczniu 1940 roku, gdy zostaje wykryta pierwsza radiostacja polskiej organizacji podziemnej, napływa druga fala masowego terroru. Niemcy w ciągu jednej nocy aresztują i mordują przeszło 300 osób spośród działaczy społecznych, inteligencji pracującej i wolnych zawodów. Ale na tym okupant nie poprzestaje. Zostaje wprowadzone jeszcze nie getto, ale przygotowanie do niego, tzw. „*Seuchensperrgebiet*” (obszar zagrożony tyfusem), poza którym Żydom nie wolno mieszkać. Żydzi stanowią bez-

płatną siłę roboczą, wykorzystywaną zarówno dla Niemców jak i dla Polaków. Ale tego jeszcze za mało. Świat musi wiedzieć, że nie tylko Niemcy nienawidzą Żydów.

W czasie Świąt Wielkanocnych 1940 roku zostaje zorganizowany kilkudniowy pogrom. Niemieccy lotnicy werbują polskie męty, płacąc im po 4 zł za „dzień roboczy”. Przez pierwsze trzy dni hulają bezkarnie. Czwartego dnia bundowska milicja przeprowadza akcję odwetową. Dochodzi do czterech dużych walk ulicznych: Solna - Hale Mirowskie, Krochmalna - Plac Grzybowski, Karmelicka - Nowolipie, Niska - Zamenhofs. Akcją z ukrycia kieruje towarzysz Bernard.

O tym, jak bardzo zdezorientowane było w tym czasie społeczeństwo żydowskie, świadczy fakt, że żadna z działających wówczas partii w akcji tej nie brała udziału. Co więcej — wszystkie one były jej nawet przeciwne. Akcja nasza wstrzymuje jednak wówczas działalność Niemców i staje się pierwszym czynnym wystąpieniem społeczeństwa żydowskiego.

Trzeba było, żeby ogół to zrozumiał. Trzeba było tym wszystkim zbitym, zgnębnym ludziom powiedzieć, trzeba im było pokazać, że przecież mimo wszystko i wbrew wszystkiemu jesteśmy jeszcze zdolni do tego, żeby podnieść głowę. Wtedy to, na dzień 1 Maja, ukazuje się wydany na starym powielaczu Skifu¹ znalezionym przypadkowo w szkole powszechnej na Karmelickiej 29 pierwszy numer *Biuletynu*, redagowany przez Komitet redakcyjny w składzie: Abrasza Blum, Adam Sznajdmil, Bernard. Numer poświęcony jest wypadkom wielkanocnym. Ale ogół pozostaje głuchy.

W listopadzie 1940 roku Niemcy tworzą w Warszawie getto. Cała ludność żydowska, mieszkająca jeszcze poza „*Seuchensperrgebiet*”, zostaje przesiedlona na te tereny. Polacy mieszkający w obrębie getta opuszczają swoje mieszkania. Dla małych fabryk, warsztatów i sklepów termin przeniesienia jest o dwa tygodnie dłuższy. Czyli do 1 grudnia. Ale już 15 listopada żadnemu Żydowi nie wolno opuścić dzielnicy żydowskiej. Niemcy natychmiast opieczętowują lokale żydowskie i następnie wraz z całym inwentarzem oddają je bezpłatnie handlarzom i szmuglerom polskim. Szmuglerzy i pokątni handlarze — ten typowy twór warunków wojennych — to ludzie, na których Niemcy liczą, których starają się sobie zjednać, oddając im mienie żydow-

1. Skif — „Sozialistischer Kinder-farband” — bundowska organizacja harcerska.

skie i patrząc przez palce na prowadzony przez nich przemysł towarów żywnościowych.

Z dnia na dzień rosną teraz mury i druty okalające getto, a 15 listopada odcinają całkowicie społeczeństwo żydowskie od świata i ludzi z zewnątrz. Przerwany zostaje oczywiście również kontakt z Żydami z innych miast i miasteczek. Znikają wszystkie możliwości zarobków dla robotników żydowskich. Wszyscy robotnicy przemysłu, urzędnicy państwowi, komunalni i pracownicy „aryjskich” firm zostają bez pracy. Powstaje typowa wojenna warstwa handlarzy-pośredników. Większa jednak część pozostaje w nowych warunkach bezrobotna, i z początku wysprzedając wszystko, co się da spieniężyć, powoli stacza się ku skrajnej nędzy. Mimo szumnie zapowiedzianej przez Niemców produktywizacji getta, następuje zupełna pauperyzacja. Do tego dochodzą tysiączne rzesze Żydów wsiedlonych z okolicznych małych miasteczek, ludzi wyzbytych całego prawie mienia, którzy tu, bez żadnego oparcia, w obcym, zajęтым sobą środowisku, ginąc z głodu, budować muszą na nowo swój byt.

Całkowita separacja, zakaz wprowadzania prasy, niedopuszczanie wiadomości ze świata mają także swój określony cel i zgodnie z nim kierują ogół żydowski na specjalne tory. To, co się dzieje poza murami, staje się coraz dalsze, coraz bardziej mgliste, obce. Ważny jest już tylko dzień dzisiejszy, sprawy najbliższe, ludzie bezpośredniego otoczenia i na tym skupiają się siłą rzeczy wszystkie zainteresowania przeciętnego mieszkańca getta. Ważne jest tylko to, żeby żyć.

To „życie” każdy rozumie na swój sposób zależnie od warunków i możliwości. Dostatnie dla ludzi bogatych jeszcze przed wojny, wystawne, bujne dla różnego rodzaju zdegenerowanych gestapowców, zdemoralizowanych szmuglerów — jest ono głodową vegetacją, mającą u podstawy zupę z kuchni ludowej i chleb kartkowy dla licznej rzeszy robotników i bezrobotnych. Tego „życia” każdy czepia się kurczowo na swój sposób. Ci, którzy mają pieniądze, widzą cel w dostatku, gonią za nim w duszny gwar pełnych zawsze kawiarni, nurzając się w nim wśród muzyki tanecznej nocnych lokali. Ci, którzy nie mają nic, nędzarze — szukają „szczęścia” ukrytego w wygrzebanym ze śmietnika spleśniałym kartoflu, odnajdują je, uciekające, w wyżebranym kawałku chleba, który na chwilę pozwala zapomnieć o tym, co znaczy głód. Stąd ta kontrastowość ulicy getta, tyle razy wykorzystywana przez Niemców, fotografowana dla celów propagandy i złośliwie przekazywana opinii świata: „Oto w getcie warszawskim przed wspaniałymi wystawami, pełnymi przemyc-

nej z dzielnicy aryjskiej żywności, mrą nędzarze spuchnięci z głodu”.

A głód rośnie z dnia na dzień, wydostaje się z ciemnych, natłoczonych mieszkań na ulice, wciska się w oczy widokiem karykaturalnie obrzękniętych ciał — kłoców, owiniętych brudnymi szmatami zaropiałych nóg, pokrytych wrzodami, ranami z odmrożenia i niedożywienia. Głód przemawia przez usta żebrzących po podwórkach starców, młodych i dzieci.

Dzieci żebrzą masowo. Żebrzą w getcie, żebrzą „po stronie aryjskiej”. Sześcioletni malcy przekradają się przez druty tuż pod bokiem żandarma, by po „tamtej stronie” zdobyć trochę żywności. W ten sposób utrzymują całe rodziny. Często strzał przy drucie zawiadamia przechodniów, że jeden mały szmugler zginął w walce z głodem. Pojawiają się tzw. „chaperzy” — chłopcy, a właściwie szkielety dawnych chłopców, którzy wyrrywają przechodniom paczki i momentalnie, jeszcze w biegu, uciekając, pożerają ich zawartość. Często zdarza się, że w pośpiechu pakują do ust mydło, albo surowy groch.

Nędza jest tak wielka, że ludzie umierają z głodu na ulicach. Codziennie około godziny 4-ej-5-ej nad ranem zakłady pogrzebowe zbierają z ulicy kilkanaście trupów, które przygodny przechodzień przykrył gazetą i, żeby nie sfrunęła, przycisnął kamieniem. Jedni padają na ulicy, inni umierają w domu, lecz rodzina rozbierając ich do naga (by spieniężyć ubranie) wyrzuca ciała przed dom, by pogrzeb odbył się na koszt Gminy Żydowskiej. Szeregi wozów naładowane nagimi trupami jadą ulicami. Jeden na drugim leżą kościste szkielety — na nierównym bruku podskakują głowy, uderzają o siebie, obijają się o deski wozu.

Sytuacja staje się tragiczna, gdy getto zalewają wysiedleni mieszkańcy małych miast i miasteczek. Nie ma domów, brak pomieszczeń. Bezdomni, brudni wałęsają się ludzie po ulicach. Całymi dniami obozują, śpią i jedzą na podwórzach. Wreszcie lokują się w powstałych w tym celu „punktach” — przejściowych domach dla uchodźców. „Punkty” te — to jedna z najczarniejszych plam życia getta, plaga, której nie sposób zwalczyć (jedynie część dzieci udaje się przenieść do lepszych warunków internatu).

W wielkich, pustych, nieopalanых salach bóżnic i hal pofabrycznych gnieździ się po kilkaset osób. Brudni, zawszeni, nie mając możliwości umycia się, niedożywieni, głodni („waser-zupki” dostarcza raz dziennie Rada Żydowska), leżą całymi dniami na brudnych siennikach, nie mając siły wstać. Na ścianach zielonymi plamami maże się pleśń. Sienniki leżą na ziemi, rzadko

na pryzcach. Na całą rodzinę przypada często jedno miejsce do spania. Tu dopiero w całej pełni, niczym nieskrępowane panują nędza i głód.

Jednocześnie szaleje tyfus plamisty. Coraz więcej bram domów i mieszkań upstrzonych jest żółtymi ostrzegawczymi kartkami „Fleckfieber!”. Szczególnie masowo chorują nędzarze na „punktach”. Szpitale, zamienione wyłącznie na zakaźne, są pełne. Na jeden oddział przyjmuje się dziennie 150 chorych, którzy leżą później po dwóch — trzech w łózkach i na podłodze. Nad umierającym stoi się ze zniecierpliwieniem, żeby prędzej zwolnił miejsce dla następnego. Lekarze nie mogą nadążyć, nie wystarczają. Ludzie mrą setkami. Cmentarz nie może pomieścić wszystkich. Grabarze nie nadążają grzebać. Chociaż do jednego grobu wrzuca się po pięćset trupów, setki leżą nie pochowane po kilka dni, spowijając cały cmentarz w mdły, słodkawy zapach. Epidemia rośnie, nie sposób jej zwalczyć. Tyfus jest wszędzie, grozi zewsząd, staje się wraz z głodem wszechmocnym panem getta. Śmiertelność miesięczna dochodzi do 6.000 ludzi (jest to przeszło 2 % ludności).

W tych tragicznych warunkach życia żydowskiego Niemcy starają się wprowadzić pozory porządku i władzy. Od pierwszego dnia istnienia getta Rada Żydowska (*Judenrat*) oficjalnie sprawuje rządy. Dla utrzymania należytego „porządku” powołana zostaje umundurowana żydowska służba porządkowa. Odtąd szmuglujące przez druty dzieciaki muszą wystrzegać się jeszcze jednej władzy, a ludność getta ma już trzech „cerberów” — Niemca, policjanta polskiego i policjanta żydowskiego. Instytucje mające gettu nadać charakter jakiegoś normalnego życia faktycznie są źródłami daleko idącej korupcji i demoralizacji. Niemcom udaje się powołać do Rady Żydowskiej najbardziej znanych obywateli. Jedynym członkiem Rady Żydowskiej, który posiada odwagę cywilną wycofania się z tej instytucji, mimo grożącej za to kary śmierci, jest towarzysz Artur (Szmul Zygielbojm).

W takiej atmosferze w lutym 1941 roku nadchodzą do Warszawy pierwsze wiadomości o gazowaniu Żydów w Chełmnie na Pomorzu. Przywożą je trzej cudem uratowani uciekinierzy. Z relacji ich wynika, że w przeciągu listopada i grudnia 1940 roku zostało w Chełmnie zagazowanych około 40.000 Żydów łódzkich, drugie tyle z Pomorza i innych miasteczek włączonych do Rzeszy i kilkuset Cyganów z Besarabii. Niemcy mordowali w znany już teraz, wysoce wyrafinowany sposób. Wmawiali swym ofiarom, że jadą na roboty, kazali zabierać ręczne bagaże, następnie po przywiezieniu do zamku w Chełmnie wszyscy zos-

tali rozebrani do naga, każdy otrzymał ręcznik i mydło rzekomo w celu udania się do kąpieli. Przy doskonale zachowanych pozorach wprowadzono ich następnie do hermetycznie zamkniętych samochodów, w których znajdowały się komory gazowe. Gaz był wtłaczany siłą pracy motoru samochodowego. Następnie na polanie w lasku pod Chełmnem żydowscy grabarze wyjmowali trupy z samochodów i grzebali je. Cały las otoczony był 200 SS-manami. Akcją kierował SS-man Bykowiec. Kilkakrotnie miały miejsce inspekcje generałów SS i SA.

Getto warszawskie w te wiadomości nie uwierzyło. Nie mogli uwierzyć ci wszyscy czepiający się życia ludzie, że to życie może być im w taki sposób zabrane.. Jedyne zorganizowana młodzież, obserwując uważnie stopniowy wzrost terroru niemieckiego, uznała wypadki te za prawdopodobne i prawdziwe i postanowiła przeprowadzić szeroką akcję propagandową dla uświadomienia społeczeństwa. W połowie lutego 1941 roku odbywa się zebranie aktywu Cukunftu², na którym przemawiają Abramsza Blum i Abramek Bortensztein. Jasnym jest dla wszystkich, że nie będziemy ginąć bezbrinnie. Wstyd nam za Żydów chełmińskich, że dali się bez najmniejszego oporu poprowadzić na śmierć. Nie chcemy dopuścić do tego, by getto warszawskie kiedykolwiek znalazło się w podobnej sytuacji. „Nie będziemy umierać na kolanach” — mówi Abramek. „Przykład weźmiemy nie z nich, ale z ludzi takich, jak towarzysz nasz Ałter Bas”. Właśnie w tym samym czasie, kiedy tamci ginęli biernie i pokornie, on, złapany jako działacz polityczny z nielegalnymi gazetkami w kieszeni, męczony wszystkimi znanymi Niemcom sposobami, przeciwstawił się całą swoją istotą bestialskiej przemocy, choć za cenę kilku słów mógł uratować życie.

W kilkudziesięciu egzemplarzach kolportowany jest w getcie opis zbrodni chełmińskich. Za granicę przesyłamy raport z żądaniem zastosowania kroków represyjnych wobec ludności cywilnej niemieckiej. Ale zagranica także nie wierzy. Apel nie znajduje oddźwięku, pomimo że tow. Artur Zygielbojm — w owym czasie już przedstawiciel nasz w Radzie Narodowej w Londynie — ogłasza całemu światu w przemówieniu radiowym dosłowny tekst naszej iskrówki. Nazajutrz przemówienie to w specjalnie wydany numerze naszego organu *Der Weker* oraz w gazetkach wszystkich innych stronnictw politycznych kolportowane jest na całe getto.

Wybuch wojny rosyjsko-niemieckiej (lato 1941) daje począ-

2. Cukunft — „Przyszłość” — bundowska organizacja młodzieży.

tek masowym akcjom eksterminacyjnym na terenach zachodniej Białorusi i Ukrainy. W listopadzie tego roku mają miejsce masowe rozstrzelania Żydów w Wilnie, Słonimie, Białymstoku i Baranowiczach. Na Ponarach (pod Wilnem) ginie w krótkiej akcji kilkadziesiąt tysięcy Żydów. Wiadomości te przychodzą do Warszawy. I znów podejście nieświadomego społeczeństwa jest krótkowzroczne. Większość uważa, że nie jest to zorganizowana, uporządkowana akcja tępienia narodu żydowskiego, ale wybryki żołdactwa upojonego zwycięstwem. Natomiast stronnictwa polityczne i ugrupowania społeczne są innego zdania.

W styczniu 1942 roku odbywa się konferencja międzypartyjna. Wszystkie stronnictwa stają na stanowisku, że jedyną godną odpowiedzią jest akcja zbrojna. Po raz pierwszy pada wówczas ze strony organizacji „szomrowych”³ i „chalucowych”⁴ konkretna propozycja zawiązania organizacji bojowej. W naszym imieniu zabierają głos M. Orzech i A. Blum. Zajmują oni stanowisko, że wystąpienie zbrojne może mieć powodzenie jedynie w porozumieniu i współdziałaniu z ruchem konspiracyjnym polskim. Nie dochodzi jednak wówczas jeszcze do utworzenia wspólnej organizacji bojowej.

My tworzymy w porozumieniu z Polskimi Socjalistami (skrajna lewica PPS) pierwszą organizację bojową. Do Komendy należą: Bernard, Abrasza, Berek. Organizuje się pierwsza piątka instruktorów — Liebeskind (z Łodzi), Zygmunt Frydrych, Lejb Szpichler, Abram Fajner, Marek Edelman. Zaczynamy naszą pracę od teoretycznego wykształcenia. Zupełny brak broni uniemożliwia nam rozszerzenie działalności. Praca ogranicza się więc właściwie do ciągłych wywiadów wśród gestapowców i tym samym do ostrzegania ludzi przed ewentualnymi „wsypami”. W wywiadzie pracują: Pola Lipczyc, Cywia Waks, Zośka Goldblat, Łajcia Blank, Stefa Moryc, Mania Elenbogen, jak również towarzysze z PS — Marian Merenhołc, Mietek Dąb i inni. Aczkolwiek jesteśmy bardzo ograniczeni w możliwościach, to jednak już sam fakt powstania podobnej organizacji ma swoje wymowne znaczenie — inicjatywa nasza zostaje przyjęta z pełnym uznaniem

3. „Szomry” — właściwa nazwa Haszomer Hazair — lewicowa młodzieżowa organizacja syjonistyczna, pierwotnie skautowa, powstała po I wojnie światowej.

4. „Chaluce” — syjonistyczny ruch pionierski, powstały podobnie jak szomry po pierwszej wojnie światowej, o tendencji socjaldemokratycznej. Przygotowywał młodzież do wyjazdu do Palestyny, ucząc głównie pracy na roli. Jego członkowie byli na ogół założycielami pierwszych kibuców palestyńskich.

przez wszystkich wtajemniczonych towarzyszy. Komitet partyjny, komitety Cukunftu i Skifu okazują nam pomoc i zainteresowanie.

W tym czasie Bund, jak na warunki konspiracji, jest wielką organizacją. W uroczystościach w związku z 44-leciem Bundu w październiku 1941 roku wzięło udział w ciągu kilku godzin w wielu lokalach przeszło 2.000 osób. Na pozór trudno cokolwiek dostrzec. Praca odbywa się w rozproszeniu — małe grupy — „piątki” lub „siódemki” — zbierają się w różnych mieszkaniach prywatnych i na zewnątrz nie widać wcale, jak ich jest wiele.

Powstaje Rada Centralna Klasowych Związków Zawodowych (Bernard, Kersz, Mermelsztein), obejmujących z biegiem czasu około 30.000 byłych członków.

Szeroką działalność rozwija Cukunft, którego konspiracyjny Komitet zawiązał się już w pierwszych dniach października 1939 roku, a w połowie listopada tego roku odbyły się pierwsze zebrania „piątek”. W ogólnej tragicznej sytuacji całej ludności żydowskiej najtragiczniejsza jest sytuacja młodzieży, która najbardziej jest prześladowana przez Niemców. Łapana bezustannie na roboty, nie tylko nie może myśleć o zajęciu się pracą zarobkową, ale nie może nawet swobodnie poruszać się po ulicach. Komitet Cukunftu organizuje więc warsztaty pracy. W 1940 roku zostają założone dwa zakłady fryzjerskie, spółdzielnie krawiecka i szewska. Są to nie tylko warsztaty pracy, ale możliwie bezpieczne miejsca spotkań całej organizacji. Tu właśnie powstają pierwsze piątki „Cukunftszturmu”. Praca rozwija się, komitet Cukunftu łączy się z komitetem Skifu (Henoach Russ, Abramek Bortensztein, Lejb Szpichler, Abram Fajner, Miriam Szyfman, Mojszele Kaufman, Rywka Rozensztajn, Fajgele Peltel, Welwł Rozowski, Jankiel Gruszka, Szłojme Paw, Marek Edelman).

W 1941 roku powstaje Sektor Młodzieży przy Żydowskiej Samopomocy Społecznej; filarem jego jest Cukunft. Docieramy do najszerszych rzesz młodzieży. Prelegenci nasi prowadzą koła młodzieżowe, które w tym czasie tworzą się przy Komitetach domowych. Istnieje chór, który rozwija szeroką działalność (występuje w Bibliotece Judaistycznej). Cukunft organizuje młodzież szkolną. Powstaje S.O.M.S. (Socjalistyczna Organizacja Młodzieży Szkolnej), która po krótkim czasie obejmuje kilkuset uczniów. Jest prowadzona szeroka praca polityczno-kulturalna.

Jednocześnie Skif, który na początku działał tylko w małym zakresie, starając się zatrudniać i pomagać finansowo swym przedwojennym członkom, obecnie organizuje na dużą skalę pracę

wśród dzieci w wieku szkolnym i przedszkolnym. W każdym domu istnieje tzw. „kącik”, gdzie dzieci przebywają kilka godzin dziennie. Organizowane są świetlice. Koło dramatyczne, którym kieruje Pola Lipszyc, dwa razy w tygodniu urządza przedstawienie. W ciągu sezonu (rok 1941) oglądało je 12 tysięcy dzieci (80 razy wystawiono m.in. „Lalki” i „Szpajchler”)⁵. Wśród dzieci w wieku od 12 do 15 lat prowadzone są koła oświatowe. Istniejący *Helferrat* (rada instruktorów) sam przechodzi kurs szkoły średniej.

Wydajemy 6 pism: 1. *Der Weker* (tygodnik), 2. *Biuletyn* (miesięcznik), 3. *Cajt-Fragn* (organ teoretyczny), 4. *Za naszą i waszą Wolność* (miesięcznik), 5. *Jugnt Sztime* (miesięcznik), 6. *Nowa Młodzież* (miesięcznik). Nakład pism waha się od 300 do 500 egzemplarzy.

Wydawanie prasy odbywa się w bardzo ciężkich warunkach. Na jednym starym powielaczu Skifu odbija się przez całą noc. Przeważnie nie ma światła elektrycznego. Praca przy lampach karbidowych jest szalenie męcząca. Około godziny 2-iej w nocy personel drukarni (a byli to nasi towarzysze Rozowski, Zyferman, Blumka Klog, Marek) zawsze tak narzeka na ból oczu, że dalsza praca staje się prawie niemożliwa. Nie wolno jednak tracić ani chwili. O siódmej nad ranem numer, niezależnie od ilości stron, musi być gotów do kolportażu. Ludzie pracują naprawdę ponad siły. Takie bezsenne noce wypadają 2-3 razy w tygodniu. W dzień odespać nie można. Trzeba však zachować pozory, że się z drukarnią nie ma nic wspólnego. Kierownik drukarni — Marek — jest jednocześnie kierownikiem kolportażu (kolporterki — Zośka Goldblat, Anka Wołkowicz, Stefa Moryc, Miriam Szyfman, Marynka Segalewicz, Cłuwa Kryszał-Nisenbaum, Chajka Bełchatowska, Halina Lipszyc). Po nieprzespanej nocy — cały dzień w napięciu — czy wszystko doszło, czy wszystko załatwione, czy nie ma jakiej „wsypy”.

Raz Marynkę z transportem 40 sztuk *Biuletynu* zatrzymuje na ulicy „granatowy” policjant. Było to pod murem na Franciszkańskiej. Chciała tę sprawę załatwić jak każda szmuglerka — zaproponowała 500 zł. Zbyt duża suma zdradziła ją. Policja koniecznie chciała obejrzeć towar. I tu nastąpił dopiero krach. Zamiast pończoch ze spódnicy posypały się białe kartki. Sprawa stała się poważna. Marynka czuła się już na Gestapo. Aż nagle szczęśliwy zbieg okoliczności — na ulicy jakaś awantura, bójka. Pod murem rzecz niedopuszczalna. Policjanci tracą głowę, nie

5. Znane przedstawienia z Sanatorium im. Medema w Miedzeszynie.

wiedzą, co wprawdzie robić. Na chwilę odwracają się. To dla Marynki wystarcza. Rzuca policjantom przyrzucone 500 złotych, zbiera szybko rozsypane gazetki i w nogi. Zamieszanie na ulicy wywołał celowo Mały Kostek (S. Kostryński), obserwując z daleka tę scenę.

Udało nam się przeprowadzić pewnego rodzaju statystykę, z której wynikało, że przeciętnie każdy egzemplarz czyta 20 osób.

Pisma nasze są też kolportowane na prowincję. Ten dział pracy organizuje J. Celemeński (Celek) oraz I. Falk, którzy cały czas z ramienia CK Partii są w żywym kontakcie z prowincją. Dla organizowania pracy wśród młodzieży CK Cukunftu deleguje na prowincję Mendelsoń (Mendele). Największe ośrodki to Piotrków, Lublin i Węgrów.

Tymczasem terror w getcie wzrasta. Izolacja od świata zewnętrznego staje się coraz ściślejsza. Aresztowania za przejście na „aryjską stronę” mnożą się z dnia na dzień, aż w końcu zostają wprowadzone „sądy specjalne”. Dnia 12 lutego 1941 roku wykonany zostaje wyrok śmierci na 17 skazanych za bezprawne przejście na „aryjską stronę”. Egzekucja odbywa się w areszcie żydowskim na Gęsiej. O 4-tej nad ranem przeraźliwe krzyki obwieściły mieszkańcom pobliskich ulic, że teraz „sprawiedliwości staje się zadość”. Ze 17-tu nędzarzy (w tym czworo nieletnich i trzy kobiety), przekradających się na „stronę aryjską” po kawałek chleba lub drobny zarobek, zostaje ukaranych. Krzyk dochodzi do wszystkich cel więziennych. To krzyczą przyszli skazańcy, osadzeni za te same przewinienia. A jest ich 700.

W godzinach południowych niemiecki komisarz getta dr Auerswald zawiadamia w specjalnych obwieszczeniach całą ludność żydowską o wykonaniu wyroku.

Getto czuje wyraźnie oddech śmierci.

Tego samego dnia na krótkim posiedzeniu prezydium CK Partii (Abrasza, Klog, Berek i Marek) pada projekt wydania i plakatowania krótkich ulotek: „*A szande di merder!*” (Hańba mordercom!). Niestety popiera go jedynie Abrasza.

Pozostali, tak samo jak całe getto, przytłoczeni są grozą wypadków i obawą przed nowymi zbiorowymi konsekwencjami. I tym razem wszelki przejaw buntu zostaje zduszony w zarodku. Strach przed Niemcami i przed zbiorową odpowiedzialnością jest tak wielki, że nawet u najlepszych nie można wydobyć odruchu protestu.

Teraz wypadki zaczynają toczyć się w zawrotnym tempie. Ulice getta stają się krwawą rzeźnią. Niemcy bezustannie bez jakichkolwiek przyczyn strzelają do przechodniów. Ludzie boją

się wychodzić z domów, ale kule trafiają i przez okna mieszkań. Bywają dni, kiedy pada 10-15 zupełnie przypadkowych ofiar rozszalałego terroru. Jeden z większych sadystów, żandarm *Schutzpolizei* Frankenstein ma na sumieniu 300 zabitych w ciągu 1 miesiąca, w tym przeszło połowę dzieci.

Jednocześnie Niemcy gwałtownie przy pomocy żydowskiej policji łapią na ulicach, wyciągają z mieszkań i wysyłają ludzi do obozów pracy rozrzuconych w Guberni. Zyskują na tym podwójnie — zdobywają siłę roboczą i pokazują namacalnie wszystkim, którzy może nie ufają, że wszelkie wysiedlenie ma na celu „produktywizację”, że w niemieckim obozie pracy, co prawda w ciężkich warunkach, ale można przeżyć wojnę. Niemcy są wspaniałomyślni. Pozwalają pisać listy do rodziny.

Te listy nadchodzą masowo do getta i sprawiają, że docierające wraz z nimi coraz to nowe wiadomości o niszczeniu ludności żydowskiej w żaden sposób nie mogą znaleźć wiary. Ciągłe wysiedlania na prowincji, rzekomo do Besarabii, przechodzą prawie bez wrażenia, gdyż getto uparcie ufa plotce, że i stamtąd także przychodzą listy.

Stracenie w lasach lubelskich całego prawie transportu jeńców żydowskich, sprowadzonych tam w zeszłym roku z Niemiec, również nie znajduje wiary. Wieści o mordowniach pod Lublinem są za okrutne, żeby mogły być prawdziwe.

Getto *nie wierzy*.

My jednak czynimy wszelkie starania otrzymania broni ze „strony aryjskiej”. Zwiększamy naszą organizację bojową. Członkowie jej rekrutują się przeważnie z aktywu Skifu (Szmul Kostryński, Jurek Błones, Janek Bilak, Lejb Rozensztajn, Icł Szpilberg, Kuba Zylberberg, Mania Elenbogen i wielu innych). Trudno tu opisać koleje i borykania się tej pracy. Jest to łańcuch nieprzerwanych rozczarowań i niepowodzeń. Ciągłe zawiedzione nadzieje otrzymania broni, brak zrozumienia dla naszej sprawy ze strony polskich towarzyszy — to atmosfera, w której rośnie i działa nasza organizacja.

Gdy zdawało się, że już jesteśmy blisko celu, że lada dzień zaczną przybywać do getta transporty broni — przychodzi wiadomość o likwidacji getta w Lublinie. Już od kilku miesięcy, po „grubej wsypie” Celka i wielu innych towarzyszy w Piotrkowie i Lublinie, komunikowanie się z prowincją jest prawie że niemożliwe. Getto warszawskie wobec braku bezpośredniego kontaktu z prowincją przyjmuje te wiadomości z niedowierzaniem, wysuwa tysiące argumentów, zbijających całkowicie najłżejszy nawet cień prawdopodobieństwa tych relacji, nie dopusz-

cza do siebie myśli, że podobna zbrodnia powtórzyć się może w stolicy Polski, gdzie mieszka przeszło 300.000 Żydów. Ludzie przekonywują się nawzajem, tłumaczą sobie i drugim, że „nawet Niemcy nie mordują bez powodu setek tysięcy ludzi, szczególnie w okresie, gdy tak bardzo jest im potrzebna siła robocza”. Trudno jest normalnemu człowiekowi o normalnej psychice zrozumieć, jak można ludzi mordować za to, że mają taki a nie inny kolor włosów i oczu, za to, że są innego pochodzenia.

Jednakże bezpośrednio po tych wiadomościach, jakby jaskrawa zapowiedź tego, co się stanie, następuje tragiczna, krwawa noc z 17 na 18 kwietnia 1942 roku. Niemieccy oficerowie wyciągają z domów przeszło 50 działaczy społecznych i rozstrzelują ich na ulicach getta. Z naszych towarzyszy padli wówczas — Goldberg z żoną (fryzjer), Naftali Leruch z ojcem, Sklar i inni. Poszukiwani byli — Sonia Nowogródzka, Luzer Klog i Berenbaum. Nazajutrz całe getto przerażone, oszołomione, zdenerwowane gubi się w domysłach, jaki był powód tych egzekucji. Większość uważa, że to stracono redaktorów gazetek nielegalnych, że ta cała akcja skierowana jest tylko przeciwko działaczom politycznym, że należy przestać działać, by niepotrzebnie nie zwiększać i tak dużej liczby ofiar.

19 kwietnia ukazuje się specjalny numer naszego tygodnika *Der Weker*, który wskazuje na to, że jest to jeszcze jedno ogniwo w akcji wyniszczenia Żydów, że Niemcy chcą wymordować aktywniejsze elementy żydowskie, by potem cała masa poszła biernie na śmierć, tak, jak to miało miejsce w Wilnie, Białymstoku, Lublinie i innych miastach. Pogląd nasz pozostaje jednak nadal zupełnie odosobniony, tylko niektóre młodzieżowe ugrupowania „Szomer” i „Hechaluc” są tego samego zdania.

Od tego momentu następuje w pracy naszej reorganizacja. Cała praca nielegalna zostaje nastawiona tylko i wyłącznie na organizowanie ruchu oporu. Ze względów technicznych zostaje zreorganizowane prezydium CK Partii (Abrasza, Berek, Marek). Wszystkie „piątki” młodzieżowe otrzymują podstawowe przeszkolenie wojskowe. Wydaje się specjalne instrukcje. Zostaje opracowany plan działania w wypadku najścia Niemców na getto. Oczekujemy nadejścia transportu broni (100 rewolwerów, kilkadziesiąt karabinów i granatów), zapowiedzianego przez PS.

Tymczasem szeregi nasze coraz bardziej przerzedzane są dalszymi egzekucjami. W okresie od 18 kwietnia do 22 lipca 1942 roku Niemcy mordują co noc około 10-15 osób. Nikt z naszych towarzyszy nie nocuje w domu. Jest jednak rzeczą bardzo trudną

przewidzieć, kogo danej nocy poszukiwać będą Niemcy, gdyż stosują oni specjalną metodę w doborze swych ofiar. Pochodzą one mianowicie ze wszystkich warstw społecznych, a więc szmuglerzy, kupcy, robotnicy, inteligencja pracująca itd. Jest to robione zupełnie celowo, by tak zastraszyć ludność, żeby była niezdolna do żadnych samodzielnych porywów, żeby obawa przed śmiercią z rąk niemieckich paraliżowała jej najmniejsze odruchy sprzeciwu i kierowała ją na drogę bezwzględnego, biernego posłuszeństwa. Ale to rozumie tylko mała garstka. Ogół daremnie głowi się, o kogo właściwie chodzi i co ma na celu ta akcja.

Trudno jest dziś opowiadać, co się w owym czasie, poprzedzającym pierwszą akcję eksterminacyjną, działo w getcie. Sadyzm i bestialstwo Niemców są dziś znane na całym świecie. Wystarczy przytoczyć tylko kilka przykładów.

Troje dzieci siedziało rzędem przed szpitalem im. Bersonów i Baumanów. Przechodzący ulicą żandarm jednym nabojem zabił całą trójkę.

Ciężarna kobieta potknęła się i upadła przechodząc przez jezdnię. Obecny przy tym Niemiec nie pozwolił jej wstać i zastrzelił leżącą.

Szmuglujący przez mury getta giną dziesiątkami. Żandarmeria niemiecka, przebrana w cywilne ubrania z żydowskimi opaskami, ze schowaną w workach bronią, poluje na moment, kiedy szmuglerzy wchodzą na mur. W tej samej chwili z worków błyskawicznie ukazują się automaty i los całej grupy jest przesądzony.

Na ulicę Orłą dzień w dzień zajeżdża mały Opel, z którego Niemcy wyrzucają związanego człowieka i rozstrzelują go natychmiast w pierwszej z brzegu bramie. To złapany po „aryjskiej stronie” bez dokumentów — Żyd.

W połowie maja 1942 roku wykonana zostaje egzekucja 110 więźniów z tzw. Aresztu Centralnego („Gęsiówka”), zatrzymanych za bezprawne przejście na „aryjską stronę”. Jeden z naszych towarzyszy (Grylak) przypadkowo miał możliwość przyglądania się, gdy skazańców wyprowadzano z aresztu do specjalnych samochodów. Prawie wszyscy szli zupełnie biernie, gdy nagle jedna kobieta zdobyła się na odruch protestu i na stopniach samochodu krzyknęła Niemcom: „Ja zginę, ale was czeka gorsza śmierć!”. I znów specjalne ogłoszenia podpisane przez dr. Auerswalda donoszą gettu, że 110 przestępców zostało „przykładnie” ukaranych.

W tym czasie następuje jedna z większych naszych „wsyp”. Zostaje „zasypane” mieszkanie, w którym mieści się nasza drukarnia. Niemcom nie udaje się jednak nakryć nikogo, gdyż nasz

wywiad wie o tym o 24 godziny wcześniej i zdąży w porę przenieść cały skład papieru, powielacz i maszyny w inne bezpieczne miejsce.

Z dnia na dzień zmienia się teraz nastrój getta. Dzień 18 kwietnia był dla getta dniem przełomowym. Do tego dnia, jakkolwiek źle było, czuli mieszkańcy getta, że byt ich i ich codzienność opiera się na czymś ustabilizowanym i trwałym. Że można układać budżet miesięczny, robić zapasy na zimę. Tego dnia nagle poczuli, że grunt usuwa się im spod nóg. Każda noc następna, pełna głuchych strzałów, mówi im wyraźnie, że getto nie ma podstaw, że żyje z łaski Niemców, że jest kruche i słabe, jak domek z kart. Wszyscy rozumieją, że getto zostanie zlikwidowane, ale nikt nie zdaje sobie sprawy z tego, że getto pójdzie na śmierć.

W połowie lipca 1942 roku zagęszcza się czarna chmura. Na pozór wszystko wygląda normalnie, krążą tylko „nieprawdopodobne” pogłoski o przyjeździe *Umsiedlungskommando*, o tym, że zostanie z getta przesiedlonych 20, 40 lub 60 tysięcy mieszkańców, o tym, że wszystkich bezrobotnych wywieżą do prac fortyfikacyjnych, że w Warszawie pozostaną tylko pracujący. Pogłoski te, chociaż ciągle jeszcze „niewiarygodne”, wywołują już zaniepokojenie, a nawet panikę. Ludzie masowo garną się do pracy, do fabryk, do instytucji społecznych, do urzędów. Przesiadujące dotąd w kawiarniach panie na gwałt przeobrażają się w spracowane szwaczki, cerowaczki, urzędniczki. Niektóre fabryki przyjmują do pracy tylko z własną maszyną krawiecką. Cena maszyn do szycia momentalnie skacze w górę. Ludzie płacą za dostanie miejsca przy warsztacie coraz skwapliwiej, coraz bardziej nerwowo, coraz więcej. O niczym innym nie mówi się, nie myśli. Wszyscy muszą pracować! „Urządzeni” — szczęśliwi oddychają z ulgą, „nieurządzeni” — niespokojni, zdenerwowani czepiają się kurczowo najmniejszej możliwości pracy.

20 lipca rozpoczynają się aresztowania. Zostają osadzeni na Pawiaku prawie wszyscy lekarze Szpitala „Czyste”, część zarządu Żydowskiej Samopomocy Społecznej, pewna ilość radnych gminy (m.in. J. Jaszuński).

Rozumiemy, że getto jest w przededniu likwidacji.

Dnia 22 lipca 1942 roku o godzinie 10-tej rano zajeżdżają przed dom Rady Żydowskiej niemieckie samochody. „*Umsiedlungsstab*”. Krótkie posiedzenie i przedstawiciele Judenratu wiedzą już, czego chcą Niemcy. Sprawa jest prosta. Wszyscy „nieproduktywni” Żydzi zostaną przesiedleni na wschód. Po wyjściu Niemców drugie wewnętrzne tajne posiedzenie. Żaden

z radnych nie zastanawia się nad tym, czy zarządzenie to ma wykonać Rada Żydowska, żaden z radnych nie znajduje odpowiedzi na rzuconą przez obecnego na posiedzeniu sekretarza Rady Żydowskiej uwagę: „Panowie, nim przejdziecie do technicznego wykonania zarządzenia, zastanówcie się, czy w ogóle należy je wykonać”. Nad tym, czy wykonać zarządzenie, nie ma dyskusji. Omawia się stronę techniczną, układa się plan pracy.

Nazajutrz wielkie białe plakaty, podpisane przez Judenrat (podyktowane przez Oberscharführera Hoefle), obwieszczają ludności żydowskiej, że wszyscy, z wyjątkiem pracujących u Niemców (dokładnie wyliczone placówki) oraz pracowników Rady Żydowskiej i Ż.S.S.⁶ muszą opuścić Warszawę. Wysiedlenie będzie przeprowadzała policja żydowska w porozumieniu z *Umsiedlungsstabem*. W ten sposób Niemcy doprowadzili do tego, że Rada Żydowska sama wydała wyrok śmierci na przeszło 300.000 mieszkańców getta.

Pierwszego dnia akcji zostaje wywiezionych przeszło 2.000 więźniów z Aresztu Centralnego i kilka tysięcy złapanych na ulicy żebraków i nędzarzy.

Przed wieczorem odbywa się zebranie piątki naszych instruktorów, na którym postanawiamy, że wobec braku broni i możliwości oporu musimy naszą działalność częściowo nastawić również na ratowanie przed wysiedleniem jak największej ilości ludzi. Wydaje nam się, że umożliwią nam to kontakty, posiadane przez niektóre organizacje społeczne w policji żydowskiej, w której rękach znajduje się techniczna strona wysiedlenia. Nim jednak zebranie zostało zakończone i praca podzielona, nadchodzi wiadomość, że sami Niemcy i Ukraińcy obstawili blok Muranowska - Niska, że sami przeprowadzają akcję i że zabrali stamtąd przeszło 2.000 ludzi, brakujących do kontyngentu dziennego, który w pierwszym okresie akcji wynosił 6.000 osób. Zabrani zostali wszyscy, nawet ci, którzy posiadali legitymacje niemieckich warsztatów pracy (z naszych towarzyszy zginął wówczas L. Rozensztajn). W takich warunkach cały dopiero co obmyślony plan okazuje się nierealny.

Drugiego dnia akcji, 23 lipca, odbywa się posiedzenie tzw. Komitetu Robotniczego, gdzie reprezentowane są wszystkie stronnictwa polityczne, i na którym my, popierani jedynie przez „Chaluców” i „Szomrów”, zajmujemy stanowisko czynnego oporu. Niestety, cała opinia publiczna była przeciwko nam. Ogół uważa wystąpienie takie za prowokacyjne, przekonywuje, że jeżeli

6. Żydowska Samopomoc Społeczna.

Żydzi spokojnie dostarczą wymaganego kontyngentu, reszta getta pozostanie na miejscu. Instynkt samozachowawczy kieruje powoli psychikę ludzi na drogę ratowania siebie, choćby za cenę innych. Nikt z nich nie wierzy jeszcze wprawdzie, że wysiedlenie — to śmierć. Ale Niemcom udało się już podzielić ludność żydowską na dwie części — jedną skazaną na śmierć, drugą — mającą nadzieję utrzymania się przy życiu. I powoli, z czasem, potrafią Niemcy wygrać tak jedną część przeciwko drugiej, że dojdzie do tego, że Żydzi jedni drugich poprowadzą na śmierć, byle tylko ochronić swoje własne życie.

Przez pierwszych kilka dni „akcji” bez przerwy obraduje Rada Partyjna (Orzech, Abrasza, Berek, Sonia, Bernard, Kłog, Paw, Grylak, Mermelsztajn, Kersz, Wojland, Russ, Marek oraz towarzysz z P.S.-u). Z godziny na godzinę oczekujemy przybycia broni, cała młodzież jest zmobilizowana. Przez trzy dni, dopóki nie znikły ostatnie nadzieje otrzymania broni, trwa stan ostrego pogotowia. Wszyscy nasi cukunfrowcy i skifiści są zmobilizowani w kilku punktach i czekają rozkazu. Nastrój jest tak podniecony, że dochodzi do kilku bójek ulicznych z biorącą udział w akcji policją żydowską.

Drugiego dnia akcji popełnia samobójstwo prezes Rady Żydowskiej inż. Adam Czerniakow. Wiedział on dokładnie, że rzekome przesiedlanie na wschód — to śmierć setek tysięcy ludzi w komorach gazowych i nie chciał być za to odpowiedzialny. Nie mając możliwości przeciwstawienia się temu, co się stało — wolał odejść. Uważaliśmy wówczas, że tak postąpić nie było mu wolno, że obowiązkiem jego, jako jedynej autorytatywnej osoby w getcie, było zawiadomić całą ludność żydowską o faktycznym stanie rzeczy i rozwiązać wszystkie instytucje, a w szczególności policję żydowską, która oficjalnie podlegała Radzie Żydowskiej i przez nią została stworzona.

Tego samego dnia ukazuje się pierwszy numer naszego wydawnictwa *Ojf der Wach* (Na straży), który przestrzega ludność przed dobrowolnym zgłaszaniem się do wyjazdu i nawołuje do stawiania oporu. „W wielkiej naszej bezsilności — pisze towarzysz Orzech w artykule wstępnym — nie dajcie się złapać, — brońcie się rękami i nogami”. Numer ten, wydany w potrójnym nakładzie, czwartego i piątego dnia akcji kolportowany jest przez Zośkę Goldblat, Marynkę Segalewicz i Cłuwę Kryształ-Nisenbaum.

Dla ostatecznego i konkretnego sprawdzenia, co się dzieje z transportami ludzi odchodzącymi z getta, wysłany zostaje na „aryjską stronę” w ślad za transportem Załmen Frydrych (Ży-

gmunt). Podróż jego na „wschód” trwa bardzo krótko, gdyż zaledwie trzy dni. Od razu po wyjściu z murów getta wszedł w kontakt z kolejarzem dworca gdańskiego, pracującym na linii Warszawa-Małkinia i z nim odbył podróż w ślad za transportem. Dojechał do Sokołowa, gdzie, jak informowali miejscowi kolejarze, linia kolejowa rozdwa się i jedna bocznica idzie w kierunku Treblinki. Jeździ tą linią codziennie jeden warszawski pociąg towarowy napełniony ludźmi i wraca pusty. Żadnego dowozu żywności nie ma. Dostęp do stacji Treblinka jest dla cywilów wzbroniony. Był to niezbity dowód, że ludzie zwożeni tam zostają straceni. Następnego dnia spotkał Zygmunta w Sokołowie na rynku dwóch nagich Żydów, uciekinierów z Treblinki. Ci już dokładnie opisali kaźń. Nie były to więc teraz żadne domysły, lecz stwierdzone przez naocznych świadków fakty (jednym z uciekinierów był nasz towarzysz Wałach).

Po powrocie Zygmunta zostaje wydany drugi numer *Off der Wach*, w którym podany jest dokładny opis Treblinki. Ale i teraz Żydzi uparcie nie wierzą. Przed twardą prawdą zaciskają oczy, zatykają uszy, „bronią się rękami i nogami”.

A Niemcy, nie przebieając w środkach, stosują nowy chwyt propagandowy. Przyrzekają i dają każdemu ochotniczo zgłaszającemu się do wyjazdu 3 kg chleba i 1 kg marmolady. To wystarcza. Dalej już propaganda i głód robią swoje. Pierwsza daje do ręki niezbity argument przeciwko wszelkim „bajkom” o komorach gazowych („bo po cóż by dawali chleb, gdyby chcieli mordować”), głód — jeszcze mocniejszy, przesłania wszystko obrazem trzech brązowych, wypieczonych bochenków. Ich smak już prawie wyczuwalny, bo przecież oddziela cię od nich tylko krótka droga z domu na Umschlagplatz, z którego odchodzą wagony, sprawia, że oczy przestają widzieć, co czeka na końcu drogi; ich zapach, znany, dobry, odurza, mąci myśl, która przestaje rozumieć to, co na pozór takie oczywiste. Zdarzają się dni, kiedy setki ludzi odchodzą z Umschlagu i po kilka dni czekają na kolejkę na wyjazd. Tyłu jest chętnych do otrzymania 3 kg chleba, że transporty, odchodzące już teraz 2 razy dziennie z liczbą 12 tysięcy, nie mogą ich pomieścić.

Pętla dookoła getta zaciska się coraz bardziej. W krótkim czasie zostaje oczyszczone i opróżnione z mieszkańców całe tzw. małe getto⁷. W ciągu 10 dni wszyscy „ochotnicy”, internaty (dzieci Korczaka) i punkty uchodźców zostają zabrane i zaczynają się systematyczne „blokady” domów i ulic. Ludzie z plecakami

7. Okolice ul. Twardej, Pańskiej itd.

uciekają z ulicy na ulicę, starają się ominąć przewidywany teren blokady.

Zgodnie biorą w niej udział żandarmi, Ukraińcy i żydowska policja. Role są podzielone, składnie, porządnie: żandarmi otaczają ulicę, Ukraińcy przed nimi ciasnym łańcuchem oplatają domy, policja żydowska wchodzi na podwórza i zwołuje wszystkich mieszkańców, — „Wszyscy Żydzi schodzą na dół, 15 kg bagażu. Kto nie zejdzie, będzie rozstrzelany”... I jeszcze raz. Po kolei ze wszystkich klatek zbiegają ludzie. Nerwowo, w biegu narzucają na siebie, co się da. Niektórzy idą tak, jak stali, czasem prosto z łóżek, inni mają na sobie wszystko, co możliwe, plecaki, tłumoki, garnki. Idąc rzucają trwożne spojrzenia wokoło. Stało się. Drżący ustawiają się w grupy przed domem. Usiłują zyskać sobie policjantów. Mówić nie wolno. Z następnych domów wychodzą takie same grupy drżących, zrozpaczonych ludzi i dołączają się do pierwszej. Żandarm kiwa karabinem na przypadkowego przechodnia, który za późno ostrzeżony, nie zdołał uciec z nieszczęsnej ulicy. Policjant żydowski, ciągnąc za rękaw czy kark, dołącza go do uformowanego przed domem szeregu. Jeżeli policjant jest przyzwoity, drugą ręką odbiera skreśloną w pośpiechu karteczkę z adresem rodziny. Zawiadomić... Opuszczone domy z przepisowo otwartymi drzwiami mieszkań szybko przebiegają Ukraińcy. Zamknięte — wywalają jednym kopnięciem ciężkiego buta, jednym uderzeniem kolby. Dwa, trzy strzały — to koniec z tymi, co nie zeszli na wezwanie, co pozostali w mieszkaniach. Blokada jest skończona. Niedopita herbata na czyimś stole stygnie powoli, nadgryziony kawałek chleba oblepiają muchy.

Ludzie poruszający się poza obrębem blokady rozpaczliwie szukają swych bliskich wśród idących wolno jezdnią, obstawionych Ukraińcami i policją żydowską czworobocznych grup. Za nimi, jedne przy drugich, zmobilizowane „riksze” wiozą starców i dzieci.

Bo droga na Umschlag jest daleka. Plac „przesiedleńczy” — miejsce, z którego odchodzą wagony — mieści się na samym skraju getta, na ulicy Stawki. Otaczające go wysokie mury, pilnie strzeżone przez żandarmów, przerywają się w jednym tylko wąskim miejscu. Tym wejściem właśnie wprowadza się grupy bezradnych, bezsilnych ludzi. Wszyscy mają w rękę jakieś papiery, karty pracy, legitymacje. Stojący przy wejściu żandarm rzuca na nie okiem. „*Rechts*” — to znaczy życie. „*Links*” — to znaczy śmierć. Chociaż z góry wiadomo, że nie pomogą żadne perswazje, każdy próbuje wykazać swą nieodzowność dla

niemieckiej produkcji, dla niemieckiego zwierzchnika i wybrać małe słówko „*rechts*”. Ale żandarm nie słucha nawet. Czasem każe pokazywać ręce — wybiera wszystkie małe — *rechts*. Czasem odłącza blondynki — *links*. Rano wyróżnia niskich, wieczorem faworyzuje wysokich. *Links, links, links...*

Fala ludzka napływa, rośnie, zalewa cały plac, trzy duże, trzypiętrowe budynki poszkolne. Ludzi jest więcej, niż wymaga tego czterodniowy nawet kontyngent, ludzie są na zapas. Po 4-5 dni czekają na załadowanie do wagonów. Ludzie wypełniają każdą wolną przestrzeń, cisną się do gmachów, biwają w pustych salach, korytarzach, na schodach. Brudne, lepkie błoto zalewa podłogi. Wody w kranach nie ma, ubikacje są zatkane. Co krok noga grzęźnie w kale. Zapach potu i moczu dławii w gardle. Noce są zimne, w oknach nie ma szyb. Niektórzy mają na sobie tylko koszule nocne, szlafroki.

Drugiego dnia głód gryzie już żołądek bolesnymi skurczami, zeschnięte, popękane wargi męczą się bez kropli wody. Dawno już skończyły się czasy trzech bochenków chleba. Dzieci rozpalone, spocone, leżą bezsilnie w ramionach matek. Dorośli kurczą się w sobie, maleją, szarzeją.

Wszystkie oczy mają jeden wyraz. Dziki, obłądny strach, blada, bezsilna rozpacz, nagłe olśnienie, że za chwilę stanie się nieuniknione to najgorsze, to nieprawdopodobne, to, w co do ostatniej chwili nie chciało się wierzyć. Dopiero tu, na tym natłoczonym placu przyskają złudzenia, dotąd pielęgnowane nadzieje, że właśnie ja uratuję się z ogólnej zagłady, że uchronię od niej najbliższych. Czarna zmora siada na piersiach, dławii gardło, wybałusza oczy, otwiera usta do bezdźwięcznego krzyku. Jakiś starzec czepia się gorączkowo, błagalnie obcych, co są obok. Jakaś matka przytula do siebie trójkę dzieci w bezsilnej męce. Chciałoby się krzyczeć, ale nie ma do kogo, chciałoby się przekonywać i prosić, ale nie ma kogo, jest się samym, zupełnie samym w tym tysięcznym tłumie, a dziesięć, nie — sto, tysięcy karabinów ma się wymierzonych w pierś, a postacie Ukraińców rosną w oczach do rozmiarów wielkoludów i już nic się nie wie i o niczym się nie myśli, siada się tępo w kącie, w samo błoto i gnój mokrej podłogi. I coraz duszniej, coraz ciśnień jest dookoła wcale nie od tych ciał stłoczonych, nie od smrodu i zaduchu sal, ale od nagłego poczucia, że wszystko stracone, że nic już zrobić nie można, że trzeba zginąć.

Możliwości wyjścia z Umschlagu istnieją, ale są kropłą w morzu wobec tysięcznego tłumu oczekującego ratunku. Niemcy sami stworzyli te możliwości, przynosząc do jednego z budyn-

ków szpitalik dziecięcy z „małego getta” i tworząc w swej złośliwości wobec skazanych na śmierć małe ambulatorium dla nagłych wypadków. Co dzień rano i wieczorem zmieniają się drużyny pracowników w białych fartuchach, z dowodami pracy w rękę. Wystarczy więc ubrać kogoś w biały fartuch, a łatwo już wyprowadzić go z ekipą pielęgniarek i lekarzy. Pielęgniarki biorą dzieci na ręce, podając je za swoje. Gorzej jest ze starcami. Tych można tylko odesłać na cmentarz lub do szpitala dla dorosłych, na co znów, nie wiadomo dlaczego, pozwalają Niemcy. W karetkach pogotowia lub trumnach przemyca się więc żywych, zdrowych ludzi poza obręb Umschlagu. Niemcy zaczęli jednak sprawdzać karetki i stan zdrowia „chorych”. Wobec tego, żeby dowód był namacalny, w małym pokoiku za ambulatorium, bez znieczulenia, na żywo łamie się nogi owym wybranym starcom i staruszkom, którzy dzięki tej lub innej prośbie czy protekcji przeznaczeni zostają na chwilowe odroczenie śmierci.

Poza tymi sposobami „pomaga” też ludziom na własną rękę policja żydowska, biorąc „od głowy” za wyprowadzenie bajorńskie sumy w pieniądzech, złocie, kosztownościach. Ci, których uratowano, a było ich przecież stosunkowo tak mało, wracają tu najczęściej po raz drugi i trzeci, by wreszcie zginąć w nieubłaganej głębi wagonów.

Tym niemniej ludzie ratują się rozpaczliwie, czepiają się fartuchów przechodzących pielęgniarek, żebrząc o biały fartuch, dobijają się do drzwi szpitala, strzeżonych przez żydowskiego policjanta.

Jakiś ojciec błaga o wypuszczenie choć dziecka. Lekarz naczelny szpitala Bersonów i Baumanów, dr Anna Braude-Heller, zabiera mu je z rąk i siłą, mimo oporu wartownika, wpycha do szpitala.

Błądą, nieprzytomną Helenę Szefner, przyprowadzoną z ostatniej blokady wciągają tu również nasi towarzysze, by przy pierwszej okazji za legitymacją lekarską wypchnąć ją poza mury Umschlagu.

Wyprowadzany przez nas Janek Stróż zostaje zatrzymany przez policjanta żydowskiego. Wydaje się, że przepadł. Pod bokiem żandarmów terroryzujemy policjanta. Przepuścił.

Często zdarza się, że wyprowadzającemu nie tylko nie udaje się spełnić zamierzonego zdania, ale wpada sam, zagarnięty wraz z tłumem do wagonów. Tak zginął właśnie jeden z najdzielniejszych naszych ludzi, Samek Kostryński, przysłany na Umschlag po naszych towarzyszy.

Najważniejszą i najtrudniejszą rzeczą jest przetrwać na Umschlagu moment ładowania. Transporty odchodzą rano i wieczorem — dwa razy dziennie odbywa się ładowanie. Nieprzerwany łańcuch Ukraińców otacza plac i zagarnia tysięczny tłum. Padają strzały. Każdy jest celny. Nietrudno jest trafić gdy ma się o krok od siebie skłębioną, zwartą masę, której każda cząstka to żywy człowiek — cel. Coraz bliżej i bliżej gnają te strzały ku przygotowanym, bydłęcym wagonom. Mało! Jak oszalałe bestie pędzą Ukraińcy z powrotem przez pusty plac do gmachów. I tu zaczyna się dzika gonitwa. Nieprzytomny tłum pędzi na górne piętra, ciśnie się do drzwi szpitala, kryje się w ciemne dziury na strychu, byle wyżej i dalej od pogoni, może uda się przetrwać ten jeszcze transport, uratować jeszcze jeden dzień życia. Towarzysz Mendelson (Mendefe) przesiedział na strychu trzy dni. Kilka skifistek kryje się tam przez 5 dni, po czym udaje się nam wyprowadzić je stamtąd z grupą pielęgniarek.

Ukraińcy nie fatygują się zbyt. Ci, co nie zdołali uciec, wystarczą do zapełnienia wagonów. Ostatni moment — ostatnie zatykanie dziur — w jakiś nie dość nabity wagon wpycha się matkę, dziecko już się nie mieści, więc odrywa się je od wyjącej z męki i ładuje się dalej, w następny wagon. Bronisz się? Krótki strzał. Powoli, z trudem zasuwiają się drzwi. Kolbami karabinów ubija się gęstą masę — tak jest pełno. Wreszcie. Pociąg rusza. Komory gazowe Treblinki otrzymają nowy żer.

W tym okresie straciliśmy prawie wszystkich naszych towarzyszy. Z przeszło 500 naszych członków pozostało zaledwie kilkudziesięciu. Istniejąca już w tym czasie „chalucowa” organizacja bojowa ma więcej szczęścia — zachowuje przypadkiem prawie wszystkich swoich członków. Przeprowadza więc kilka pozorów dywersyjnych i wykonuje zamach na żydowskiego komendanta policji, J. Szeryńskiego.

Tak na początku sierpnia 1942 roku zostają wywiezieni nasi najlepsi: S. Kostryński, I. Szpilberg, Pola Lipszyc, Cywia Waks, Mania Elenbogen, Kuba Zylberberg. Ginie Hanusia Waser z matką i Halinka Brandes z matką. Towarzysz Orzech, kilkakrotnie poszukiwany przez gestapo, musi uciekać na „aryjską stronę”.

Dnia 13 sierpnia 1942 zostaje z fabryki W. C. Toebbensa zabrana Sonia Nowogródzka. Dziwnie się to jakoś złożyło. Dwa dni przed tym Sonia, wyglądając przez okno na powracających z pracy, mówi: „Moje miejsce jest nie tutaj. Zobaczcie, kto zostaje w getcie — to przecież kołtuństwo. Cały proletariat idzie czwórkami na Umschlag. Ja muszę z nimi pójść. Gdy ja z nimi

będę, to nawet w ostatnich chwilach w wagonach i dalej będą czuć się ludźmi”.

Pozostaje nas mała garstka. Robimy, co można, ale można bardzo mało. Chcemy za wszelką cenę ratować jeszcze to, co się da. Umieszczamy ludzi na niemieckich, jak się wówczas zdawało, najlepszych placówkach pracy. Powoli tracimy kontakt prawie z wszystkimi. Pozostaje tylko jedna większa grupa towarzyszy (20-25 osób) u „szczotkarzy” na Franciszkańskiej.

Jest to najtragiczniejszy nasz okres. Widzimy, że zostajemy bez organizacji. Ze wszystko, cośmy pielęgnowali przez długie i ciężkie lata wojny — ginie w ogólnym kataklizmie. Że cały nasz trud i wysiłek idzie na marne. Jedynym człowiekiem, który potrafił w tym okresie ująć siebie w karby, był Abrasza Blum. To, że przetrwaliśmy te koszmarnie chwile, zawdzięczamy właściwie jemu. Jego spokojowi i opanowaniu.

W połowie sierpnia, gdy w getcie pozostało już tylko 120.000 osób, odnosi się wrażenie, że pierwszy etap akcji jest skończony. *Umsiedlungsstab* wyjeżdża z Warszawy, nie pozostawiając żadnych instrukcji. Ale i tym razem są to próżne nadzieje. Okazuje się wkrótce, że Niemcy robią krótką przerwę i przez ten czas likwidują Otwock, Falenicę, Miedzeszyn. Wywiezione zostaje całe sanatorium im. Medema. Ginie męczeńską śmiercią Roza Eichner.

Po tej przerwie akcja zaczyna się ze wzmożoną siłą. Blokad są coraz groźniejsze dla nas, bo ludzi jest coraz mniej i teren jest coraz mniejszy i coraz trudniejszy dla Niemców, bo ludzie nauczyli się już kryć. Wobec tego każdy policjant żydowski zostaje zobowiązany do sprowadzenia na Umschlag 7 „łebków” dziennie. I oto wygrywają Niemcy swoją najlepszą grę. Nikt jeszcze nigdy tak zawzięcie nie przeprowadzał akcji jak Żyd policjant, nikt jeszcze nigdy tak nieustępliwie nie wypuszczał z rąk złapanego, jak jeden Żyd — drugiego Żyda. Dla zdobycia 7 „łebków” zatrzymują policjanci żydowscy lekarza w białym fartuchu (fartuch sprzedają później za drogie pieniądze na Umschlagu), matkę z dzieckiem na ręku, lub samotne, zagubione dziecko, szukające domu.

Policja żydowska sama pisze swoją historię.

Dnia 6 września 1942 roku wszyscy pozostali przy życiu mieszkańcy getta zostają wezwani do stawienia się w obrębie ulic: Gęsiej, Zamenhofs, Lubeckiego, Stawki. Tu ma się odbyć ostateczna rejestracja.

Ze wszystkich stron ciągną czwórkami masy ludzi. Razem z innymi wszyscy nasi. Słyszymy, jak Ruta Perenson uspakaja

małego Nika: „Masz się niczego nie bać. Za chwilę będzie się działo strasznie. Tu chcą nas wszystkich zabić. Ale my się nie damy. Będziemy bić tak mocno, jak oni”.

Tak się nie stało. W małym czworoboku ulic skupia się cała ludność getta: robotnicy fabryk, urzędnicy Rady Żydowskiej, służba zdrowia, pracownicy szpitali (chorzy odsyłani są bezpośrednio na Umschlag). Każdej firmie niemieckiej oraz Radzie Żydowskiej Niemcy przyznają określoną liczbę pracowników, którzy mogą pozostać. Tym wybrańcom rozdawane są numerki. Numerki oznaczają życie. Szanse są małe, ale to, że są, wystarcza, by znów całkowicie splątała się myśl ludzka, żeby znów cała uwaga skoncentrowała się wyłącznie na jednym, żeby wszystko, poza otrzymaniem numerka, przestało być ważne. Jedni walczą o niego głośno, z krzykiem dowodzą swych praw do życia, inni czekają wyroku w pełnej łez rezygnacji. W najwyższym napięciu przebiega ostatnia selekcja. Po 2-ch dniach, których każda godzina wydaje się rokiem, wybrani zostają pod eskortą wyprowadzeni do miejsc pracy, gdzie będą skoszarowani. Resztę odprowadzają Niemcy na Umschlagplatz. Na samym końcu przybywają tu rodziny policjantów.

To, co się dzieje na Umschlagu teraz, gdy ratunku już nie ma żadnego i znikąd, nie daje się ująć w najmocniejsze ludzkie słowa. Sprowadzeni już wcześniej chorzy, dorośli i dzieci ze szpitala, leżą opuszczeni w zimnych salach. Robią pod siebie i pozostają już tak w cuchnącej mazi moczu i kału. Pielęgniarki wyszukują w tym tłumie swoich ojców i matki i z dzikim jakimś błyskiem w oczach wstrzykują im dobrą śmierć dając morfinę. Czyjaś litościwa lekarska ręka wlewa po kolei w rozpalone buzie obcych, chorych dzieci wodę z rozpuszczonym cyjankiem. Należy jej się cześć — oddaje swój cyjanek. Bo cyjanek — to teraz skarb najdroższy, nieodkupiony. Cyjanek oznacza cichą śmierć, ratuje przed wagonami.

W ten sposób w przeciągu 2 dni wywożą Niemcy 60.000 ludzi.

Z „kotła” zabierają naszych towarzyszy — Natana Liebeskinda, Dorę Kociołek, J. Gruszkę, Ankę Wołkowicz, Michelsona, Cłwę Kryszał-Nisenbaum i wielu innych. Towarzysz Bernard, poszukiwany, musi ukryć się po „aryjskiej stronie”.

Dnia 12 września akcja jest oficjalnie skończona. Nominalnie pozostaje w Warszawie 33.400 Żydów, pracujących w fabrykach i na placówkach niemieckich, w tym 3.000 urzędników Rady Żydowskiej. Faktycznie, łącznie z tymi, co zdołali ukryć się po piwnicach, jest około 6.000 ludzi. Wszyscy skoszarowani są

przy miejscach pracy. Nowe mury dzielą getto, między poszczególnymi blokami ciągną się długie, opuszczone, bezлюдne tereny, strasząc martwą ciszą ulic, stukającymi na wietrze pustymi ramami pootwieranych okien i mdłym zapachem niepochowanych trupów.

Getto obejmuje teraz: 1. teren fabryk (szopów) Toebbensa, Schultza, Roehricha — ulice Leszno, Karmelicką, Nowolipki, Smoczą, Nowolipie, Żelazną do Leszna; 2. teren szrotkarzy — ulice Świętojerską, Wałową, Franciszkańską, Bonifratską do Świętojerskiej i 3. teren getta centralnego — ulice Gęsią, Franciszkańską, Bonifratską, Muranowską, Pokorną, Stawki, Plac Paryowski, Smoczą do Gęsiej.

Komunikowanie się robotników jednego szopu z drugim jest zabronione. Niemcy wykorzystują do ostatnich granic darowane życia. 12 godzin dziennie (a czasem i dłużej) pracują Żydzi bez wytchnienia. Warunki tej pracy i warunki odżywiania są katastrofalne. Tak jak w pierwszym okresie getta plagą był tyfus plamisty, tak teraz powszechnie panuje gruźlica.

Bogacą się jedynie śmieciarze i grabarze („pinkiertowcy”), przewożąc w trumnach i pod górami śmieci rzeczy i kosztowności gettu już wtedy niepotrzebne na „aryjską stronę”, gdzie wszelkimi sposobami starają się przedostać i urządzić mieszkańcy nękaney dzielnicy żydowskiej.

W początkach października 1942 roku odbywają się rozmowy między prezydium naszego CK a komendą chalucowej organizacji bojowej w sprawie stworzenia wspólnej organizacji. Sprawa ta, dość długo dyskutowana wśród naszych towarzyszy, została sfinalizowana na posiedzeniu warszawskiego aktywu partii dnia 15 października. Postanawiamy utworzyć wspólną organizację bojową w celu stawienia zbrojnego oporu Niemcom w wypadku powtórzenia się akcji eksterminacyjnej. Rozumiemy, że tylko skoordynowana praca i najwyższy wspólny wysiłek mogą dać jakiegokolwiek efekty.

Około 20 października zostaje utworzona tzw. Komisja Koordynacyjna (K.K.), do której wchodzi przedstawiciele wszystkich istniejących żydowskich partii politycznych, z naszego ramienia — Abrasza Blum i Berek. Na tym samym posiedzeniu zostaje wyłoniona komenda Żydowskiej Organizacji Bojowej (Ż.O.B.). Komendantem zostaje Mordechaj Anielewicz („Szomer”). Z naszego ramienia do Komendy wchodzi Marek. Przedstawicielstwo Komisji Koordynacyjnej po „stronie aryjskiej” z naszego ramienia obejmuje dr L. Fajner (Mikołaj). Zostaje wy-

łonione również prezydium K.K. i komisja propagandowa, gdzie nas reprezentuje Abrasza.

Ponieważ getto jest podzielone na wiele bloków, prawie zupełnie nie kontaktujących się ze sobą, z konieczności ŻOB musi podzielić swoją pracę na poszczególne tereny. My obejmujemy kierownictwo terenu szczotkarzy (Grylak), W. C. Toebbensa (Paw), Prosta (Kersz). Udaje nam się utworzyć kilka grup bojowych. Element — to przeważnie młodzi skifiści, albo działacze Skifu. Tak więc w getcie centralnym dwie „piątki” prowadzą B. Pelc i Goldsztajn, na terenie szczotkarzy — Jurek Błones i Janek Bilak, u Schultza — A. Fajner i N. Chmielnicki, u Roehricha — W. Rozowski.

Znów wybudowaliśmy, już nie sami, lecz wspólnym wysiłkiem, wielką organizację i znów stoimy przed zagadnieniem broni. Nie ma jej prawie w getcie. Należy pamiętać, że jest to rok 1942 i że ruch oporu w społeczeństwie polskim jest jeszcze w powijakach, że o partyzantce krążą tylko legendy, że pierwsze zbrojne wystąpienie polskie ma miejsce dopiero w marcu 1943 roku. Nie należy więc dziwić się, że nasze starania o broń na terenie Delegatury Rządu i innych organizacji napotykać na duże trudności i przeważnie nie dają wyników. Ale udaje nam się otrzymać od Gwardii Ludowej kilka rewolwerów. Zostają wtedy wykonane w odstępie jednego miesiąca dwa zamachy: 20 października na Lejkina (komendanta policji żydowskiej) i 29 listopada na J. Fista (przedstawiciela Rady Żydowskiej do *Umsiedlungsstabu*).

ŻOB zyskuje sobie pierwszą popularność. W dalszym ciągu przeprowadza jeszcze kilka akcji terrorystycznych na majstrach żydowskich, dających się najbardziej robotnikom we znaki. W jednej z takich akcji karnych na terenie Hallmana (szop stolarski) niemieccy *Werkschutze* łąpią i osadzają w miejscowym areszcie trzech bojowców. W nocy grupa z terenu Roehricha pod dowództwem towarzysza G. Fryszdorfa rozbraja wartę niemiecką i uwalnia naszych więźniów.

Dla dokładniejszej orientacji w warunkach, w jakich wówczas pracujemy, chcę dodać, że gdzieś w połowie listopada (w okresie „spokoju”) nastąpiła wywózka kilkuset Żydów z różnych szopów rzekomo do robót w Konzentrationslager Lublin. Wtedy to właśnie tow. W. Rozowski wyłamał zakratowane okno wagonu towarowego, wyrzucił przez nie w biegu pociągu siedem dziewcząt (m.in. Gutę Błones, Chajkę Bełchatowską, Wiernik, M. Kojfman) i ostatni sam wyskoczył. Podobne czyny w czasie pierwszej akcji były jeszcze nie do pomyslenia. Jesliby nawet w

wagonie znalazł się śmiałek chcący uciekać, współtowarzysze nie pozwoliliby mu na to z obawy przed konsekwencjami dla pozostałych. Teraz Żydzi zaczynają wreszcie rozumieć, że wysiedlenie — to śmierć. Że nie ma dla nas innej rady, jak ginąć z honorem. Tylko, że wciąż jeszcze (jak to już jest w naturze ludzkiej) wolą tę chwilę ginięcia i honoru odwlec jak najdalej.

W końcu grudnia 1942 roku otrzymujemy pierwszy transport broni od Dowództwa Armii Krajowej. Jest on bardzo mały. Zawiera zaledwie 10 pistoletów, ale pozwala nam wreszcie przygotować się do pierwszego większego wystąpienia. Planujemy je na 22 stycznia — ma to być akcja odwetowa na policji żydowskiej.

Ale już 18 stycznia 1943 roku getto zostaje zamknięte i zaczyna się druga akcja likwidacyjna. Tym razem nie udaje się jednak Niemcom bezkarnie przeprowadzić swoich planów. Cztery zabarykadowane grupy bojowe stawiają pierwszy zbrojny opór w getcie.

ŻOB otrzymuje swój chrzest bojowy w pierwszej większej walce ulicznej na zbiegu Miłej i Zamenhofs. Tracimy tam kwiat naszej organizacji. Cudem tylko i dzięki swej bohaterkiej postawie uratował się komendant ŻOB Mordechaj Anielewicz. Okazuje się, że walka uliczna jest dla nas zbyt kosztowna — nie jesteśmy do niej przygotowani. Nie mamy odpowiedniej broni. Przechodzimy do walki partyzanckiej. Dochodzi do 4-ch większych starć w domach — Zamenhofs 40, Muranowska 44, Miła 34, Franciszkańska 22. Na terenie szopu Schultza bojowcy organizują zamach na SS-owców, biorących udział w akcji. Bierze w nim czynny udział i ginie przy tym tow. A. Fajner.

Jedna z naszych grup bojowych, która jeszcze nie została zao patrolowana w broń, zostaje złapana przez Niemców i razem z całą placówką odprowadzona na Umschlag. Przed wejściem do wagonów B. Pelc wygłasza krótkie przemówienie. Słów jest niewiele. Ale słowa są mocne, słowa są takie, że z przeszło 60 osób nikt nie wchodzi do wagonu. Wszystkich 60 Van Oeppen (szef Treblinka) rozstrzeliwa własnoręcznie na miejscu. Ta grupa pokazuje Żydom, że wszędzie i zawsze, w każdych warunkach można i należy przeciwstawiać się Niemcom.

W akcji styczniowej z 50 przygotowanych grup bierze udział tylko pięć. Reszta, która nie była skoszarowana, została akcją zaskoczona i nie może dostać się do magazynów broni.

I znów, jak w pierwszej akcji, tak i teraz 4/5 Organizacji Bojowej zginęło.

To, co się stało, znajduje jednak olbrzymi oddźwięk zarówno

w społeczeństwie polskim, jak i żydowskim. Bo oto po raz pierwszy niemieckie plany zostały pokrzyżowane. Po raz pierwszy rozpada się nimb nietykalnego, wszechmocnego Niemca. Po raz pierwszy społeczeństwo żydowskie przekonywa się, że można coś zrobić wbrew woli i sile niemieckiej. Nie ważne jest to, ilu Niemców padło pod strzałami ŻOB. Ważny jest moment psychicznego przełomu. Ważne jest to, że Niemcy, ze względu na słaby co prawda, ale dla nich niespodziewany opór, musieli akcję przerwać.

W całej Warszawie krążą legendy o setkach zabitych Niemców. O wielkiej sile ŻOB. Cała Polska podziemna jest dla nas pełna uznania. W końcu stycznia otrzymujemy od dowództwa AK 50 dużych pistoletów i 50 granatów. Następuje wówczas reorganizacja ŻOB. Wszystkie grupy bojowe zostają podzielone na cztery tereny. My kierujemy terenem szczotkarzy (komentantem jest Marek), gdzie posiadamy m.in. naszą grupę bojową pod dowództwem Jurka Błonesa. Grupy bojowe mieszkają bezpośrednio w pobliżu swoich punktów operacyjnych. Skoszarowanie to ma na celu niedopuszczenie do ponownego zaskoczenia akcją niemiecką i przyzwyczajenie ludzi do wojskowego ducha, do wojskowego rygoru, do stałej styczności z bronią.

W pobliżu murów getta dzień i noc czuwają warty mające w porę zawiadomić o nadchodzącym niebezpieczeństwie. Tymczasem niemiecka propaganda działa, stara się znów otumanić Żydów, tworząc legendę o rezerwach żydowskich w Trawnikach i Poniatowie, gdzie mają jakoby zostać przeniesione fabryki Toebbensa i Schultza i gdzie „produktywni Żydzi, pracując z oddaniem dla Niemców, będą mogli spokojnie przeżyć wojnę”. Na początku lutego Niemcy przywożą z K. L. Lublin 12 *Vorarbeiterów* — Żydów w celu agitowania ludności getta do dobrowolnego wyjazdu na „wspaniałych” warunkach pracy. Następnej nocy po ich przyjeździe ŻOB obstawia dom, w którym mieszkają i zmusza ich do natychmiastowego wyjazdu. Ale Niemcy nie dają za wygraną. Komisarzem wysiedleńczym mianują W. C. Toebbensa — właściciela największej fabryki mundurów wojskowych w getcie. Ma to na celu stworzenie dalszych pozorów, że wyjazd do Trawnik lub Poniatowa jest ściśle związany z pracą w przedsiębiorstwach niemieckich.

ŻOB prowadzi szeroko zakrojoną akcję propagandową. Wydaje kilka odezów, które plakatuje na domach i murach getta. Toebbens w odpowiedzi na to szykuje odezwę do ludności żydowskiej, lecz obydwie nakłady jej zostają przez ŻOB skonfiskowane jeszcze w drukarni.

W tym okresie ŻOB panuje już niepodzielnie w getcie. Jest jedyną siłą i władzą, która ma autorytet i z którą liczy się społeczeństwo.

Gdy w końcu lutego 1943 roku Niemcy wzywają do wyjazdu szop stolarski Hallmana, z przeszło 1.000 robotników zgłasza się 25. W nocy dwie grupy bojowe śmiałym wypadem podpalają magazyny szopu (w akcji bierze udział tow. Fryszdorf). Szkody wyrządzone Niemcom wynoszą przeszło 1.000.000 złotych. Cała dobrze obmyślona akcja niemiecka spala na panewce. Nazajutrz Niemcy wydają komunikat o rzekomych skoczках spadochronowych, którzy dokonali akcji dywersyjnej. Ale i tak cała ludność żydowska dokładnie wie, kto jest sprawcą tej dywersji i przed kim skapitulowali Niemcy.

Gdy na początku marca Niemcy znów wzywają do wyjazdu szop szczotkarzy, z trzech i pół tysiąca ludzi nie zgłasza się nikt. ŻOB przeprowadza bezkompromisowo wszystkie swoje plany. Transport maszyn szczotkarskich, załadowanych do wagonów na Umschlagplatzu, zostaje spalony w drodze przy pomocy specjalnie w tym celu spreparowanych butelek zapalających z opóźnionym zapalnikiem.

Niemcy czują się w getcie coraz gorzej, coraz wyraźniej wyczuwają wrogą postawę nie tylko grup bojowych, lecz całej ludności, która bez wahania wykonuje wszystkie rozkazy Komendy ŻOB.

ŻOB rozwija działalność w całej pełni, organizacja jest utrzymywana przez całe getto. Piekarze i kupcy dostarczają kontyngentu żywności. Na bogatych mieszkańców zostają nałożone specjalne podatki, które są przeznaczone na zakup broni. ŻOB nakłada kontrybucje na instytucje Gminy. Rygor jest taki, że każdy dać musi. Kto nie daje dobrowolnie — daje pod presją. Rada Żydowska płaci 250.000 złotych. Zakład Zaopatrywania 710.000 złotych. Wpływy pieniężne w ciągu trzech miesięcy wynoszą około 10 milionów złotych. Zostają one przesłane na „aryjską stronę”, gdzie przedstawiciele nasi organizują zakup broni i materiałów wybuchowych.

Broń przychodzi tak, jak wszelki inny przemyt. Przekupieni policjanci polscy zamykają oczy na przerzucane przez mur ciężkie paczki, które po drugiej stronie momentalnie zbierają łącznicy ŻOB. Wartująca tu policja żydowska nie ma nic do gadania. Najczynniejszymi naszymi łącznikami ze „stroną aryjską” byli — Zygmunt Frydrych (organizacja pierwszego transportu broni), Michał Klepfisz, Celemeński, Fajgele Peltel (Władka) i wielu innych. Michał Klepfisz w porozumieniu z PS i WRN organi-

zuje na dużą skalę zakup materiałów wybuchowych i zapalających (np. 2.000 litrów benzyny), a następnie po przetransportowaniu ich do getta zakłada tu fabrykę granatów i butelek zapalających („koktajli Mołotowa”). Pomimo że produkcja jest prymitywna i prosta, to jednak wielka ilość produkowanej broni wzmacnia znacznie siłę ogniową naszych oddziałów. Na każdego z bojowców przypada przeciętnie po jednym rewolwerze (10-15 nabojów), 4-5 granatów, 4-5 butelek zapalających. Na każdy teren — 2-3 karabiny. W całym getcie jest 1 pistolet automatyczny.

ŻOB przeprowadza teraz akcję oczyszczenia społeczeństwa żydowskiego z wrogich elementów i kompromitujących, zaprzeczonych Niemcom dusz. Zostają wykonane wyroki śmierci, wydane przez Komendę na prawie wszystkich gestapowców żydowskich. Ci, których nie dosięgła sprawiedliwość z naszych rąk, zbiegli ukradkiem na „aryjską stronę”. Do getta nikt z nich nie odważył się przyjść. Gdy raz czterech gestapowców zjawia się przypadkiem na pół godziny w getcie — trzech z nich zostaje zabitych, a jeden ciężko ranny. Ginie także znany gestapowiec dr Alfred Nosig, przy którym znaleziono legitymację Gestapo z 1933 roku.

W pierwszych dniach kwietnia na posiedzeniu Komendy ŻOB postanawiamy rozszerzyć naszą działalność na całą Generalną Gubernię. Zostaje wyłoniona specjalna komisja. CK Bundu mianuje Komitet po „stronie aryjskiej”: M. Orzech, dr L. Fajner, Bernard, S. Fiszgrund, Celemeński, Samsonowicz.

Niemcy widocznie dochodzą do wniosku, że dobrowolnie Żydzi z warszawskiego getta nie wyjadą. Zaczynają się znów łapanki. Niemieccy *Werkschutze* osadzają na Wachstubie kilkudziesięciu Żydów, zatrzymanych na ulicach getta za drobne przewinienia. Mają oni nazajutrz być odtransportowani do obozu w Poniatowie. Komenda ŻOB jest jednak innego zdania. O godz. 5-tej min. 30 przed wieczorem uzbrojona grupa ŻOB dostaje się na Wachstubę, terroryzuje pełniących służbę policjantów i zwalnia wszystkich zatrzymanych. Dzieje się to tuż pod drzwiami warty niemieckiej, która boi się interweniować. Wobec tego Niemcy próbują innego sposobu. Zatrzymanych ładują na samochody i wywożą od razu na Umschlag. Ale ŻOB działa jeszcze szybciej. Na terenach między poszczególnymi blokami (tzw. międzygetto) zostają ustawione grupy bojowe, które odbijają zatrzymanych.

W okresie poprzedzającym bezpośrednio ostatnią akcję eksterminacyjną Bund posiada cztery skoszarowane grupy bojowe: 1. na terenie szcztokarzy pod dowództwem Jurka Błonesy,

2. na terenie fabryk Schultza pod dowództwem W. Rozowskiego,
3. na terenie getta centralnego dwie grupy pod dowództwem L. Gruzalca i Dawida Hochberga. Grupy składają się wyłącznie ze skifistów i działaczy Skifu.

Niemcy postanowili za wszelką cenę zlikwidować getto warszawskie. Dnia 19 kwietnia 1943 roku o godz. 2-iej w nocy nadchodzą pierwsze meldunki od naszych wysuniętych czujek, że niemiecka żandarmeria i polska policja granatowa obstawiają w odstępach 25-metrowych zewnętrzne mury getta. Natychmiast zaalarmowano wszystkie grupy bojowe, które o godz. 2 min. 15, to znaczy 15 minut później, zajęły swoje stanowiska bojowe. Zaalarmowana przez nas cała ludność cywilna udaje się natychmiast do przygotowanych schronów i schowków w piwnicach i na strychach. Getto jest wymarłe — nigdzie żywej duszy, czuwa tylko ŻOB.

O godz. 4-tej nad ranem Niemcy w małych grupach po trzech, czterech, pięciu (by nie wzbudzić czujności ŻOB i ludności), zaczynają wkraczać na tereny międzygetta. Tam się dopiero formują, ustawiają w plutony i kompanie. O godz. 7-iej rano wkraczają na teren getta wojska zmotoryzowane, czołgi i samochody pancerne. Na zewnątrz Niemcy ustawiają artylerię. SS-mani są już teraz gotowi do ataku. Sprężystym, donośnym krokiem w zwartych szeregach wkraczają w jakby wymarłe ulice getta centralnego. Wygląda na pozór tak, jakby ich triumf był kompletny, jakby garstka śmiazków ulękła się tej wyśmienicie uzbrojonej i wyposażonej, nowoczesnej armii. Jakby nagle ci niedorośli chłopcy zrozumieli, że nie ma celu porywać się z motyką na słońce. Że na każdy ich pistolet przypada więcej kaemów niemieckich, niż oni mają do niego naboju.

Ale nie, myśmy się nie przestraszyli i nie byliśmy zaskoczeni. Czekaliśmy tylko odpowiedniego momentu. Nastąpił wkrótce. Gdy Niemcy rozłożyli się u zbiegu Miłej i Zamenhofs obozem, zabarykadowane w czterech rogach ulicy grupy bojowe otworzyły, jak to się mówi w terminologii wojskowej, koncentryczny ogień. Wybuchły pociski z nieznanej broni (to granaty naszej własnej produkcji), serie z pistoletu automatycznego pruffy powietrze (trzeba oszczędzać amunicji), gdzieś dalej szczękały karabiny. Tak to się rozpoczęło.

Niemcy próbują uciekać ale droga jest zamknięta. Na ulicy pełno trupów niemieckich. Ocalali jeszcze szukają osłony w pobliskich sklepach i bramach. Ale schronienie okazuje się niedostateczne. „Bohaterscy” SS-mani wprowadzają więc do akcji czołgi, pod osłoną których niedobitki 2-ch kompanii mają roz-

począć „zwycięski” odwrót. Ale i te nie mają zbyt wielkiego szczęścia. Pierwszy czołg spłonął od wybuchu naszej butelki zapalającej, pozostałe nie zbliżają się do naszych pozycji. Los Niemców zamkniętych w „kotle” Miła-Zamenhofs jest przesądzony. Ani jeden nie wyszedł stąd żywy. Walczyły tu grupy bojowe Gruzalca (z Bundu), Merdka (z Szomru), Hochberga (z Bundu), Berka (z Droru⁸), Pawła (z PPR).

Jednocześnie trwa drugi bój na zbiegu Nalewek i Gęsiej. Dwie grupy bojowe nie dopuszczają tu Niemców na teren getta. Walka trwa przeszło 7 godzin: Niemcy budują sobie barykady z przygodnie znalezionych materaców, jednak pod gęstym ostrzałem bojowców muszą się kilkakrotnie wycofywać. Ulica tonie we krwi niemieckiej. Co chwila niemieckie ambulanse odwożą swoich rannych do punktu zbornego na placu przed gminą. Tam leżą oni pokotem na chodniku, czekając na kolejną dostawę do szpitala. Na rogu Gęsiej znajduje się niemiecki punkt obserwacyjny dla lotnictwa, który sygnalizuje samolotom, krążącym bezustannie nad gettem, w którym miejscu znajdują się bojowcy i gdzie należy bombardować. Ale bojowców ani z ziemi ani z powietrza zgniebić nie można. Walka na rogu Gęsiej i Nalewek kończy się całkowitym wycofaniem Niemców.

W tym samym czasie trwają zacięte boje na placu Muranowskim. Niemcy atakują tu ze wszystkich stron. Osaczeni bojowcy bronią się zawzięcie, w nadludzkich zmaganiach odpierają natarcia. Zostają zdobyte dwa kaemy i wiele innej broni. Zostaje spalony czołg niemiecki. Jest to już drugi tego dnia.

O godzinie 2-iej po południu nie ma już na terenie getta ani jednego Niemca. Jest to pierwsze kompletne zwycięstwo ŻOB nad Niemcami. Reszta dnia przechodzi w „zupełnym spokoju”, tzn. trwa tylko ostrzał artyleryjski (artyleria ustawiona jest na placu Krasieńskich) i od czasu do czasu bombardowanie z powietrza.

Następnego dnia do godz. 2-iej po południu — cisza. Dopiero teraz Niemcy podchodzą znów zwartym oddziałem pod bramę szcztokarzy. Nie wiedzą, że w tym samym momencie obserwator bierze do ręki wtyczkę od kontaktu elektrycznego. *Werkschutz* niemiecki podchodzi do bramy, chce ją otworzyć. Dokładnie w tej samej chwili wtyczka zostaje włączona. Pod nogami SS-owców rozrywa się czekająca na nich od dawna mina. Przeszło 100 SS-manów ginie od wybuchu — reszta wycofuje

8. Centro-lewicowa syjonistyczna organizacja młodzieżowa.

się, odprowadzana strzałami naszych bojowców. Dopiero po 2-ch godzinach Niemcy powtórnie próbują szczęścia. Teraz już inaczej, ostrożnie, gęsiego, w szyku bojowym starają się przedostać na teren szcztokarzy. Ale tu po raz drugi doznają odpowiedniego przyjęcia przez czekającą na nich grupę bojową. Z 30 Niemców, którzy dostali się na teren, wydostaje się z powrotem zaledwie kilku. Reszta ginie od wybuchu granatów i butelek zapalających. I znów wycofują się Niemcy z getta. I znów bojowcy święcą swoje drugie kompletne zwycięstwo.

Niemcy nie dają jednak za wygraną i starają się jeszcze z kilku stron dostać na teren. Wszędzie napotykają na zdecydowany opór. Walczy każdy dom.

Na jednym ze strychów jesteśmy nagle osaczeni. Tuż obok na tym samym strychu są Niemcy. Nie sposób przedostać się na schody. W ciemnych zakamarkach nie widzimy się nawzajem. Nie widzimy, że Sewek Duński i Junghajzer przeczołgują się z dołu na strych po schodach, że zachodzą Niemców od tyłu i rzucają granat. Nie zauważamy nawet, jak to się dzieje, że Michał Klepfisz wyskakuje wprost na wałacy zza komina niemiecki automat. Widzimy tylko, że droga jest wolna. Kiedy po kilku godzinach (gdy Niemcy zostali już wyparci) znajdujemy jego ciało, jest podziurawione jak sito dwiema seriami z automatu.

Terren szcztokarzy jest nie do opanowania.

Następuje teraz coś, co się jeszcze dotąd nie zdarzyło. Trzech oficerów zbliża się z opuszczonymi automatami, z białymi kokardami w klapach. Są parlamentariuszami. Chcą prowadzić pertraktacje z Komendą terenu. Proponują 15-tominutowe zawieszenie broni w celu wycofania rannych i zabitych. Gotowi są przyrzec wszystkim mieszkańcom spokojne przeniesienie się do obozów pracy w Poniatowie i Trawnikach wraz z całym dobytkiem.

Odpowiedzią są strzały. Każdy dom to wroga twierdza, z każdego piętra, z każdego okna sypią się kule na nienawistne niemieckie hełmy, w nienawistne niemieckie piersi.

Na czwartym piętrze w małym okienku stoi stary wojak Diament. Ma długi karabin pamiętający wojnę rosyjsko-japońską. Diament jest flegmatykiem, rusza się powoli. Chłopcy w pobliżu niecierpliwą się, przynaglają. Ale Diament jest niewzruszony: mierzy w brzuch, a trafia w pierś. Każdy strzał — to jeden Niemiec.

Na drugim piętrze stoi w oknie Dwora. Zawzięcie strzela. Niemcy zauważyli ją. „*Schau, Hans, eine Frau schießt*”. Sta-

rają się zestrzelić. Ale jakoś kule ją mijają. Za to ona dopiekleła im widać dobrze, bo wycofują się dziwnie szybko.

Na pierwszym piętrze na klatce schodowej (pozycja Nr 1) stoi Szlamek Szuster z Kazikiem. Wyrzucają jeden granat za drugim. Po chwili braknie już granatów, a na podwórzu miota się jeszcze dwóch Niemców. Szlamek łapie butelkę zapalającą i tak dokładnie trafia w hełm Niemca, że ten staje w płomieniach i ginie w dzikich męczarniach.

Postawa bojowców jest tak zdecydowana, że Niemcy zmuszeni są w końcu zrezygnować ze zgnębienia ich orężem i znajdują nowy, niezawodny zda się sposób. Podpalają teren szczyt karzy od zewnątrz ze wszystkich stron. W jednej chwili płomień obejmuje cały blok, czarny dym dusi w gardłach, wygryza oczy. Bojowcy nie mają zamiaru ginąć żywcem w płomieniach. Stawiamy wszystko na jedną kartę i postanawiamy za wszelką cenę przedostać się do getta centralnego.

Płomienie czepiają się po drodze ubrań, które zaczynają się tlić. Asphalt topi się pod nogami w czarną, lepką maź. Rozsypane wszędzie szkło zamienia się w ciągnącą, lejącą maź, do której przylepiają się nogi idących. Od żaru rozpalonego bruku zapalają się podeszwy. Jeden za drugim brniemy przez płomienie. Z domu do domu, z podwórza na podwórze. Nie ma czym odetchnąć, w głowach wali sto młotów. Palące się belki spadają na głowy. Wreszcie wydostajemy się poza sferę ognia. Szczęściem jest stać w miejscu, gdzie się nie pali.

Pozostaje teraz najtrudniejsze. Do getta centralnego dostać się można jedynie przez mały wyłom w murze, z trzech stron obstawiony przez żandarmerię, Ukraińców i policję granatową. Dwumetrowego przejścia pilnuje 12 osób. Tędy to właśnie przebieć się ma pięć grup bojowych. Jedne po drugich, w butach obwiązanych szmatami dla stłumienia kroków pod gęstym obstrzałem, w najwyższym napięciu przedzierają się grupy Gutmana, Berlińskiego, Grynbauma. Przeszli. Grupa Jurka Błonesa kryje od tyłu. W momencie, kiedy pierwsi z tej grupy wychodzą na ulicę, Niemcy oświetlają to miejsce. Wydaje się, że nikt więcej nie przejdzie. Romanowicz jednym strzałem gasi reflektor. Nim Niemcy zdążyli zorientować się, wszyscy byliśmy po drugiej stronie.

Tu połączywszy się z tutejszymi grupami bojowymi — działamy dalej. Poruszanie się po tym terenie jest również prawie niemożliwe. Olbrzymie pożary zamykają często całe ulice. Morze płomieni zalewa domy, podwórza. Z trzaskiem palą się drewnia-

ne stropy, sypią się mury. Powietrza nie ma. Jest tylko czarny, gryzący dym i ciężki, parzący żar. Żar bije od rozpalonych murów, od rozgrzanych do czerwoności nie palących się schodów.

To, czego nie mogli zrobić Niemcy, robi teraz wszechmocny ogień. Tysiące ludzi ginie w płomieniach. Śwąd palących się ciał dusi oddech. Na balkonach domów, na framugach okiennych, na niespalonych kamiennych schodach leżą zwęglone trupy. Ogień wypędza ludzi ze schronów, każe im uciekać z od dawna przygotowanych, bezpiecznych skrytek strychów i piwnic. Tysiące wałęsają się po podwórzach, w każdej sekundzie narażając się na złapanie, uwięzienie lub bezpośrednią śmierć z rąk niemieckich. Śmiertelnie zmęczeni, zasypiają w bramach, na stojąco, leżąc, siedząc i tak we śnie trafia ich celna niemiecka kula. Nikt nie spostrzega nawet, że śpiący w bramie na ziemi starzec nie potrafi się już obudzić, że karmiąca niemowlę matka już od trzech dni jest zimnym trupem, a dziecko płacze daremnie w tych trupich ramionach i ssie daremnie trupa, martwą pierś. Setki ludzi kończą życie, skacząc z 3-go czy 4-go piętra. Matki w ten sposób ratują dzieci przed spalaniem żywcem. Ludność polska widzi to z ulicy Świętojerskiej i placu Krasieńskich.

Po tak przykładowym ukaraniu getta centralnego i terenu szcztokarzy zdawało się Niemcom, że inne szopy wyjadą dobrowolnie. Dlatego też dają termin stawienia się na punktach zbornych — w przeciwnym razie grożąc dopiero co pokazanymi represjami. Ale ani prośbą, ani groźbą nie udaje się do tego zmusić ludności.

Wszędzie bojowcy są na posterunkach. Na terenie Toebensa i Schultza starają się w pierwszym rzędzie przeszkodzić Niemcom w regularnym doprowadzeniu wojsk do getta centralnego. Z balkonów, okien, dachów obrzucają granatami i ostrzeżliwiają samochody z SS-manami. Raz nawet udaje się rozbić samochód, pędzący po „stronie aryjskiej”. Któregoś dnia Rozowski i Szlomo w czasie jednej z inspekcji terenu zauważyli zbliżający się wóz. Chwila zastanowienia — i obaj znaleźli się na balkonie. W tej samej chwili rzucają dwukilogramową bombę prochową w sam środek samochodu. Z 60 SS-owców uchodzi z życiem zaledwie pięciu.

Gdy 5-go dnia akcji mija termin dobrowolnego wyjazdu i Niemcy przystępują do „pacyfikacji” tych terenów — napotykać zdecydowany opór. Niestety nie można tu wykorzystać przygotowanych min, gdyż w całym getcie nie ma już prądu. Następują ciężkie zmagania. Bojowcy zabarykadowani w do-

mach nie dopuszczają Niemców na teren. I tu walczy każdy dom. Szczególnie zacięte są walki w domach: Nowolipki 41, Nowolipie 64, Nowolipie 67, Leszno 72, Leszno 56.

Na Lesznie 56 Jurek zaskoczony na czujce. Otacza go grupa SS-owców. Rzucają w niego granatem. Jurek lekko łapie granat w powietrzu i w porę nim rozrywa się — rzuca go w SS-owców. Czterech zginęło.

Szlomo — zastępca komendanta terenu, ranny w rękę, osłania odwrót z domu Nowolipie 72. Nagle wszystko stracone, na wszystko za późno. Są osaczeni. Szlomo szybko zdejmuje przesćcieradło z łóżka i po nim spuszcza na podwórze wszystkich. Jego nie ma kto przytrzymać. Skacze więc szybko z pierwszego piętra.

I na tym terenie „ratują” Niemcy swój honor wojskowy, zaczynając palić dom za domem.

Wobec tak zmienionych warunków ŻOB zmienia swoją taktykę. Stara się ochronić większe skupienia ukrytych w bunkrach ludzi przed nadejściem Niemców. Tak np. dwa oddziały ŻOB (Hochberga i Berka) z zaszypanego schronu przy ul. Miłej 37 przeprowadzają w jasny dzień kilkaset osób na Miłą 7. Tę pozycję, gdzie ukrywa się kilka tysięcy osób, udaje się utrzymać przeszło tydzień. Tymczasem palenie getta odbiega końca. Zupełnie już brak pomieszczeń, a co gorsze — wody. Wraz z ludnością cywilną schodzą do schronów bojowcy. Tam dalej bronić będą jeszcze tego, co się da uchronić.

Walki i potyczki odbywają się teraz przeważnie w nocy. W dzień getto jest zupełnie wymarłe. Dopiero na zupełnie ciemnych ulicach spotykają się patrole ŻOB z patrolami niemieckimi. Kto pierwszy zdąży wystrzelić — ten jest wygrany. Patrole nasze przemierzają całe getto. Co noc pada wielu zabitych z obu stron. Niemcy i Ukraińcy patrolują tylko większymi grupami, często urządzają zasadzki.

Dnia 1 Maja Komenda postanawia przeprowadzić specjalną akcję „święteczną”. Kilka grup bojowych wychodzi w teren z zadaniem „upolowania” jak największej ilości Niemców. Wieczorem odbywa się apel Pierwszomajowy. Krótkie przemówienia i „Międzynarodówka”. Cały świat obchodzi dziś święto. Na całym świecie w tej samej chwili padają krótkie, mocne słowa. Ale nigdy jeszcze nie była śpiewana „Międzynarodówka” w tak odmiennych, tragicznych warunkach, w miejscu, gdzie ginął i ginie naród. Słowa te i ten śpiew odbijają się od spalonych ruin, świadcząc tym razem, że w getcie walczy młodzież socjalistyczna, która nawet w obliczu śmierci o tym nie zapomina.

Sytuacja bojowców staje się coraz cięższa. Brak im już nie tylko wody i żywności, ale i amunicji. Żadnego kontaktu ze „stroną aryjską” nie mamy, nie można więc przetransportować broni, którą już w czasie walk otrzymujemy po „stronie aryjskiej” od Armii Ludowej (20 karabinów, amunicja).

Niemcy starają się teraz aparatami podsłuchowymi i psami policyjnymi wykryć wszystkie schrony, w których znajdują się Żydzi. Tak 3 Maja Niemcy wykrywają schron na Franciszkańskiej 30, gdzie znajduje się baza operacyjna naszych grup bojowych, które przebiły się tu z terenu szcztokarzy. Bojowcy staczają jedną z najpiękniejszych technicznie walk. Trwa ona dwa dni i ginie w niej 50 % naszych ludzi. Od wybuchu granatu pada Berek. W najcięższych chwilach, gdy wszystko już prawie stracone, podtrzymuje na duchu Abrasza. Sam nie walczy, ale obecność jego znaczy dla nas więcej i więcej dodaje siły, niż świadomość posiadania najlepszej broni. Trudno mówić o zwycięstwie, gdy się walczy w obronie życia i gdy traci się tylu ludzi, ale jedno możemy o tej bitwie powiedzieć — nie pozwoliliśmy Niemcom przeprowadzić ich planu. Nie wywieźli nikogo żywcem.

Dnia 8 maja zostaje przez oddziały Niemców i Ukraińców okrążona Komenda Główna ŻOB. Dwie godziny trwa zacięta walka. Gdy Niemcy widzą, że w boju nie uda się im zdobyć bunkru, wrzucają do wnętrza bombę gazową. Kto nie zginął od kuli niemieckiej, kto nie został zatruty gazem, ten popełnia samobójstwo. Jasnym jest, że stąd wyjścia nie ma, a nikomu nie wpada nawet na myśl oddawać się żywym w ręce niemieckie. Jurek Wilner wzywa wszystkich bojowców do zbiorowego samobójstwa. Lutek Rotblat zastrzelił matkę i siostrę, a następnie siebie. Ruth strzelała do siebie 7 razy.

W ten sposób ginie znów 80 % pozostałych bojowców, a wśród nich Komendant ŻOB Mordechaj Anielewicz.

Ocalałe cudem resztki w nocy połączyły się z niedobitkami oddziałów szcztokarzy, które teraz znajdowały się na Franciszkańskiej 22.

Tej nocy właśnie przychodzi dwóch naszych łączników (S. Rajzer — „Kazik” i Franek) ze „strony aryjskiej”.

Dziesięć dni temu wysłała Komenda ŻOB Kazika i Zygmunta Frydrycha do ówczesnego przedstawiciela naszego po „stronie aryjskiej” — Icchaka Cukiermana — „Antka” w celu zorganizowania odwrotu kanałami.

Niestety jest już za późno. ŻOB prawie nie istnieje, ale nawet i tych resztek, które ocalały, nie można było wyprowadzić

z getta za jednym razem. Droga kanałami trwa całą noc. W kanałach napotykamy wciąż na zasieki, które porobili tu przezwidujący Niemcy. Włazy pozasypywane są gruzem. W przejściach wiszą granaty, które przy dotknięciu natychmiast wybuchają. Co pewien czas Niemcy wpuszczają gaz trujący. W tych warunkach w kanale wysokim na 70 cm, gdzie nie można się wyprostować, a woda sięga do ust, czekamy 48 godzin na wyjście. Co chwilę ktoś mdleje. Najbardziej męczy pragnienie. Niektórzy piją gęstą, szlamowatą wodę kanału. Sekundy trwają miesiące.

10 maja o godzinie 10-tej rano przed właz na ulicy Prostej, róg Twardej zajeżdżają dwa ciężarowe samochody. W biały dzień, bez żadnej prawie obstawy (umówiona obstawa AK zawiodła i ulicę patrolują tylko trzej nasi łącznicy i jeden specjalnie delegowany do tej pracy przedstawiciel AL — tow. Krzaczek) — otwiera się kłapa włazu i jeden po drugim, na oczach zdumionego tłumu, wychodzą z czarnej jamy Żydzi z bronią w ręku (w owym czasie już sam widok Żyda jest sensacją). Nie wszyscy dążą się wydostać. Gwałtownie, ciężko zatrząskuje się kłapa włazu — pełnym gazem odjeżdżają samochody.

W getcie pozostały dwie grupy bojowe. Do połowy czerwca utrzymujemy z nimi kontakt. Następnie wszelki ślad po nich zaginął.

Ci, którzy przeszli na „aryjską stronę”, kontynuują dalej walkę partyzancką w lasach polskich. Większość ginie. Mała garstka żyjących bierze jako grupa ŻOB czynny udział w powstaniu warszawskim 1944 roku. Do dzisiaj pozostali przy życiu z naszych towarzyszy: Chajka Bełchatowska, B. Szpigiel, Chana Kryształ, Masza Glejtman i Marek Edelman.



W okresie poprzedzającym ostatnią akcję eksterminacyjną działalność Bundu jest ściśle związana z historią ŻOB. Jeszcze nigdy zdaje się nie było tak zgodnej i skoordynowanej współpracy między ludźmi różnych partii i ugrupowań politycznych, jak w tym okresie. Byliśmy wszyscy bojownikami jednej słusznej sprawy — równi wobec historii i śmierci. Każda przelana kropla krwi miała tę samą wartość.

Chcę jednak wspomnieć o kilku naszych towarzyszach, choć takich jak oni było wielu — a to dlatego, że z nimi stykałem się codziennie w pracy.

Abrasza Blum. W naszej Partii duchowy ojciec zbrojnego oporu. Fizycznej budowy bardzo słabej, lecz o wielkim zapale wewnętrznym i dużym harcie ducha. Zawsze decyduje o ważniejszych naszych wystąpieniach i zawsze jest po stronie młodych. Nie pozwala hamować zapału i pracy. W najtrudniejszych momentach spokojny i opanowany, zawsze myśli i dba o wszystkich. Sam na siebie wziął ten obowiązek, tak, jak brał na siebie zawsze najcięższe obowiązki. Wszystko, co robił, było proste i oczywiste. Kilkakrotnie towarzysze, chcący go ratować, próbują wyciągnąć go z getta na „aryjską stronę”. Nie godzi się na to. Chce zostać z gettem do końca. Chce wytrwać na posterunku, chociaż do walki się przecież nie nadaje. Nie ma broni w ręku, ale jest bojowcem z ducha. Gdy 3 maja toczą się walki o bazę operacyjną szczotkarzy i pada rozkaz: „Wszyscy do natarcia” — Abrasza zapytuje Komendanta: „Czy ja też”? W zdenerwowaniu, nie mając czasu na zastanowienie, tamten odpowiada — „Tak” i Abrasza, bezbronny, idzie do natarcia razem z innymi.

Jurek Błones. Dowódca grupy bojowej na terenie szczotkarzy. Młody zapaleniec. Dwa razy w czasie najcięższych walk, gdy wszystko już zdawało się stracone, gdy wszyscy już opuścili ręce, sam jeden pozostał na posterunku i wstrzymywał natarcie niemieckie, ratując życie nie tylko bojowcom, ale setkom osób cywilnych. Nazajutrz nawet o tym nie pamiętał.

Perelman Mełach. Dowódca patroli wypadowych w getcie centralnym. Odbywa kilkakrotne wypadki pod sam mur. Ostatnim razem dostaje trzy postrzały. Ciężka rana w brzuch uniemożliwia mu prawie chodzenie. Nie oddaje jednak dowództwa. Przez całą drogę osłania odwrót patrolu. Gdy przybywają na bazę operacyjną — nie może się tam dostać przez za wąskie dla niego wejście. Musi zostać na zewnątrz. Koledzy układają go w jednym z opuszczonych pokoi i zostawiają przy nim wartę. Gdy o godzinie 11-tej w południe przychodzą Niemcy, odsyła wartownika do schronu, oddaje mu swą broń, by dalej służyła innym, a sam pozostaje na górze i ginie. Jego krzyk długo było słychać poprzez płomienie.

Dawid Hochberg. Dowódca grupy bojowej w getcie centralnym. Jeszcze prawie dziecko, któremu kochająca matka nie pozwoliła wstąpić do ŻOB, tak bardzo chciała go uchronić. Gdy Niemcy zbliżają się do schronu, w którym znajduje się 5 grup bojowych i kilkadziesiąt osób cywilnych i śmierć ich zdaje się nieunikniona — Dawid oddaje broń i ciałem swoim tarasuje wąskie

przejście. W tej pozycji zabijają go Niemcy. I niełatwo z wąskiej szczeliny wyciągnąć jego ciało. Nim to następuje, cała ludność cywilna wraz z bojowcami zdążyła opuścić schron.

Tobcia Dawidowicz. Łączniczka w czasie akcji między terenem Schultza a Toebbensa. Kilkanaście razy odbywa tę straszną drogę. Gdy ostatni raz przeprowadziła swoją grupę do wejścia do kanału, zwichnęła nogę i trudno jej było samej iść. Koledzy ją podtrzymują. Gdy ma ostatnia zejść do wjazdu, oświadcza: „Ja nie pójdę, nie będę was obciążać w i tak trudnej drodze”. I sama została w getcie.



10 maja 1943 roku kończy się pierwszy okres krwawej historii Żydów warszawskich, pierwszy okres naszej krwawej historii. Miejsce, gdzie niegdyś było getto, staje się równą górą gruzów, sięgających drugiego piętra.

Ci, którzy polegli, spełnili swoje zadanie do końca, do ostatniej kropli krwi, która wsiąkła w bruk getta warszawskiego.

My, którzyśmy ocaleli, Wam pozostawiamy to, by pamięć o nich nie zginęła.

Marek EDELMAN

Jan KRAJOWIEC

ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH W STANIE WOJENNYM

W istocie rozdział ten można równie dobrze zatytułować „Związek Literatów Polskich w stanie wojennym” jak i „Stan wojenny w Związku Literatów Polskich”. Jak zawsze w tym środowisku, niesłuchanie czułym na wszelkie zmiany w układzie zewnętrznym i reagującym na nie równie szybko jak barometr na pogodę, sytuacja polityczna w kraju wywołana wprowadzeniem stanu wojennego i gwałtownym załamaniem procesu demokracji natychmiast odbiła się na wewnętrznych stosunkach w społeczności pisarskiej i w ich organizacji związkowej. Stosunki te najogólniej rzecz biorąc odwzorowały układ zewnętrzny: „pod parasolem stanu wojennego” — mówiąc językiem generalskiej kuchni władzy — ustępująca dotąd i oddająca pole pod presją społeczną mała garstka pisarzy partyjnych, którzy swoje pół-literackie, a pół-polityczne kariery zawdzięczają wyłącznie szczególnej opiece partii i państwa, sięgnęła po rząd dusz i władzę nad literaturą. Idąc śladem swych mocodawców wypowiedzieli oni natychmiast krwawą walkę — iście po bolszewicku, na śmierć i życie — wrogom klasowym, opozycji antysocjalistycznej, przeciwnikom ładu i porządku, zwolennikom anarchii czyli samorządności itp. itd. Jednym słowem prawie wszystkim — a skoro mowa o Związku Literatów Polskich, to ogromnej większości jego członków.

Trzeba tu zastrzec, że jeszcze do niedawna grupka ta nie była wcale reprezentatywna dla partii na terenie ZLP. Przeciwnie, jej członkowie znajdowali się w cichej, dość zresztą apa-

tycznej i indolentnej opozycji w stosunku do większości swoich towarzyszy, którzy wiązali się — mniej lub bardziej aktywnie — z liberalnym skrzydłem odnowy wewnątrzpartyjnej, tak skutecznie ogłuszonym i rozgromionym w okresie IX zjazdu PZPR, a zlikwidowanym praktycznie z ogłoszeniem stanu wojennego. W gruncie rzeczy była to samolikwidacja, poprzez masowe oddawanie legitymacji partyjnych. Ten sam proces zaszedł w organizacjach partyjnych literatów, zwłaszcza w organizacji warszawskiej. Stopniała ona liczbowo (około 25%), tracąc wielu tych, którzy dotąd nadawali jej ton w dużym stopniu dostrojony do ogólnonarodowego ruchu odnowy społecznej. Tak się złożyło, zapewne nie przypadkowo, że z szeregów partyjnych odeszli prawie wszyscy autentyczni pisarze, którzy w nich jeszcze tkwili.

Wtedy wyszli z ukrycia na pierwszy plan nasi cisi bohaterowie. W krótkim czasie zajęli szereg eksponowanych stanowisk, czy to w macierzystych organizacjach partyjnych, czy to w instancjach wyższych albo w działalności publicznej (w dyplomacji, urzędach, redakcjach, wydawnictwach, ministerialnych komisjach itp.). Do pełnego zwycięstwa brakuje im tylko jednej drobnej przyjemności: swobodnego manipulowania jedyną, bogatą w tradycje, od lat otoczoną powszechnym społecznym autorytetem organizacją zawodowo-twórczą pisarzy, Związkiem Literatów Polskich.

Na drodze do zniszczenia samorządności w ZLP stoją dwie przeszkody. Jedną z nich jest Statut, który zawiera nieszcześliwe przepisy, będące zapewne przeżytkami jakichś zamierzonych czasów, których już nikt nie pamięta — przepisy postanawiające, że do władz Związku mogą zostać wybrane jedynie osoby mające poparcie większości. Nasza zaś grupa, kultywująca stan wojenny wewnątrz ZLP, nigdy się takim poparciem nie cieszyła i nawet w najbardziej łagodnych czasach, a cóż dopiero teraz, nie miała żadnych szans w legalnych wyborach. Małym wyjątkiem jest Kazimierz Koźniewski: dawniej miał on pewne zaufanie jako rzutki publicysta, były harcerz, uczestnik ruchu oporu z lat wojny, dobry redaktor; ale od czasu jak objął w ostatnim z tak zwanych „iwaszkiewiczowskich” zarządów funkcję przewodniczącego komisji zagranicznej i skupił się na tym, by zapewnić sobie i swoim najbliższym szereg intratnych i interesujących wyjazdów w dalekie strony poza PRL, zaufanie się skończyło; w stanie wojennym Koźniewski ujawnił już w całości niebiesko-zieloną — czytaj wojskowo-milicyjną — podszewkę swego płaszczyka.

Drugą przeszkodą jest Zarząd Główny Związku Literatów Polskich, w pełnym składzie, taki jaki został wybrany na ostatnim XXI Zjeździe w ostatnich dniach grudnia 1980 roku. Podkreślam słowo „pełny”, ponieważ z oczywistych względów Zarząd ten nie jest jednolity światopoglądowo i politycznie; odzwierciedla w ten sposób bardzo prawidłowo niejednorodność światopoglądową i polityczną całej społeczności pisarskiej; a jednak jego członkowie, mimo dzielących ich różnic, kierując się nadrzędnymi wartościami społecznymi i kulturalnymi, potrzebami literatury i kultury polskiej — w sytuacjach krańcowego nacisku politycznego i szantażu ze strony władz — zachowali pełną solidarność i wspólne stanowisko obrony Związku, obrony literatury i kultury przed uzależnieniem, utratą wolności i prawdy. Jak dotąd, w miesiącach stanu wojennego nie udało się władzom przy współdziałaniu opisanej wyżej grupki pisarzy prorządowych, rozbić wewnątrznie Zarządu Głównego ZLP, podzielić, zmusić do uległości i odstępstwa od woli środowiska wyrażonej w Statucie i Uchwałach ostatniego Zjazdu. Jest to dla władz jeszcze jedna kampania przegrana. Wojskowi tego nie lubią, a zwłaszcza nie lubią przegrywać z cywilami. Wojna się jednak nie skończyła. Obecnie trwa walka podjazdowa, którą szczegółowo tu opiszemy.

Kością, o którą dziś toczy się walka jest sprawa odwieszenia Związku. Zarząd Główny domaga się reaktywowania działalności w prawnych, statutowych ramach; strona przeciwna stawia warunki, których przyjęcie prowadziłoby do pogwałcenia Statutu bądź do ubezwłasnowolnienia Zarządu. Taka jest cena dalszego istnienia Związku Literatów Polskich, organizacji, która przetrwała już z górą sześćdziesiąt lat w burzliwej historii współczesnej, w tym prawie czterdzieści lat w PRL, zachowując mimo wielu trudności i przykrych doświadczeń swoją wewnętrzną prawdę i autentyczność; dziś jednak stoi o krok od likwidacji, nie mogąc w żaden uczciwy sposób pomieścić się w jednej Polsce z rządem i partią gen. Jaruzelskiego i jego kolegów.

Skoro już mowa o możliwości i zarazem niemożliwości reaktywacji Związku Literatów Polskich, trzeba powiedzieć, jak do tego doszło — czyli zacząć od zawieszenia Związku.

Stało się to 18 grudnia 1981 roku, decyzją Prezydenta m. st. Warszawy datowaną z dnia poprzedniego. Jednocześnie zawieszono wszystkie pozostałe związki twórcze. Związek Literatów Polskich otrzymał komisarza czyli kuratora z oficjalnym tytułem „pełnomocnika Ministra Kultury i Sztuki do spraw

Związku Literatów Polskich". Został nim dobrze znany w naszym środowisku oficer służby bezpieczeństwa, a przy tym także magister (zapewne jakiegoś milicyjnego fakultetu) Marian Koliński, który w latach siedemdziesiątych, narzucony przez władze, pełnił funkcję dyrektora biura Zarządu Głównego ZLP. Równocześnie zawieszono zostały bezterminowo wszystkie oddziały terenowe ZLP, w tym także Oddział Warszawski, który otrzymał osobnego komisarza w osobie Stanisława Czajki (urzędnik MKiS). Na ogół funkcje komisarzy w regionalnych oddziałach Związku pełnią urzędnicy wydziałów kultury urzędów wojewódzkich lub miejskich z trzema wyjątkami: w Łodzi komisarzem został mianowany członek ZLP, Władysław Orłowski, w Opolu również kolega związkowy, Kazimierz Kowalski, a w Zielonej Górze Janusz Koniusz. Okazało się, co zresztą nie było niespodzianką, że rezerwa kadrowa władz sięga w głąb środowiska literackiego.

Podstawą „prawną” zawieszenia Związku był dekret o „stanie wojennym” z 12 grudnia 1981 roku, postanawiający m. in.: „Jeżeli działalność stowarzyszenia, związku zawodowego, zrzeszenia albo organizacji społecznej lub zawodowej godzi w ustrój polityczny, społeczny lub w porządek prawny Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej albo w inny sposób zagraża interesom bezpieczeństwa lub obronności państwa, może być ona zawieszona”.

Władzę w ZLP przejęli więc komisarze, odsuwając legalnie wybrane zarządy i ich komisje od pełnienia funkcji, a tym samym od wpływu na prawną i społeczną sytuację literatury i literatów. Stało się to w momencie niesłychanie krytycznym dla kultury polskiej, a szczególnie dla literatury — w okresie wielkiego załamania produkcji wydawniczej, frekwencji teatralnej i kinowej, upadku zaufania do masowych środków przekazu takich jak radio i telewizja, całkowitego prawie unicestwienia frontu upowszechnienia sztuki (domy kultury, świetlice itp.), wyeksploatowania zbiorów bibliotecznych itd. Sprawy te oczywiście zostały odsunięte na dalszy plan przez wydarzenia polityczne. Ale środowiska twórcze niepokoił fakt, że władze zamierzały nadal wprowadzać nowy system organizacji życia kulturalnego sprzęgnięty z tzw. „reformą gospodarczą” — teraz już bez udziału przedstawicieli zainteresowanych środowisk, bez „szerokiej konsultacji” i oczywiście z naciskiem na obowiązkową „państwowość” w miejsce lansowanego przez naszą stronę upowszechnienia kultury i środków jej przekazu.

Związek Literatów Polskich został więc zawieszony, aby nie mógł godzić w ustrój PRL i w „bezpieczeństwo państwa”. W

jaki sposób? Zapewne przez posiadanie własnego zdania, przez wyrażanie opinii pisarzy w sprawach publicznych, co czynił zawsze dla pożytku państwa i społeczeństwa. Tym razem był nowego reżimu nieprzyjacielem szczególnie groźnym.

Od wielu lat środowisko literackie i wielu najwybitniejszych pisarzy polskich przewodziło walce z uroszczeniami kolejnych klik partyjnych, sprawujących władzę w Polsce, do niekompetentnego mieszania się w delikatne sprawy kultury i sztuki, do reglamentowania treści i ograniczania form wypowiedzi. Najlepsza, demokratyczna część polskiej literatury niezmiennie domagała się zniesienia lub ograniczenia cenzury, uznania praw wszystkich ludzi, w tym pisarzy, do swobody wypowiedzi, zmian w polityce kulturalnej państwa w kierunku zaspokajania potrzeb społeczeństwa, a nie władz. Oczywiście robotnicza rewolucja lata 1980 roku nadała tej walce nowy sens i nową perspektywę. Ludzie kultury i sztuki, w tym literatury, w wystąpieniach robotniczych zostali poparci przez siłę, zdolną zrealizować ich dążenia. Szczególne znaczenie dla pisarzy miał fakt, że w Porozumieniach Gdańskich znalazł się paragraf o ograniczeniu cenzury, o ustawowym zabezpieczeniu wolności słowa.

Oczywiste jest więc, że środowisko pisarskie zaangażowało się szczególnie mocno — ponad zwykle pełnione społeczne obowiązki — w realizację Porozumień Gdańskich, we współdziałanie z robotnikami reprezentowanymi przez nowe związki zawodowe, a przede wszystkim przez NSZZ „Solidarność” — związek najbardziej masowy, ogarniający większość społeczeństwa polskiego, a przez to będący jedynym zabezpieczeniem realności reform, realności odnowy społecznej.

Dla zintegrowania wysiłków wszystkich środowisk twórczych kraju dla wsparcia procesów odnowy i narodowego porozumienia, w stronę współdziałania z ruchem społeczno-zawodowym, dla współdziałania z władzami państwowymi w celu przebudowy treści i form organizacyjnych życia kulturalnego — z inicjatywy Związku Literatów Polskich, jego zarządów Głównego i Warszawskiego (poprzedniej jeszcze kadencji) powstał we wrześniu 1980 roku Komitet Porozumiewawczy Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych, do którego przystąpiły wszystkie liczące się związki ludzi sztuki i nauk humanistycznych.

Największym osiągnięciem Komitetu, do którego najaktywniejszych działaczy należeli przedstawiciele środowiska lite-

rackiego, było wynegocjowanie po długich i uciążliwych pertraktacjach z władzami nowej ustawy o cenzurze, która znacznie ograniczała zakres interwencji, kodyfikowała zasady działania cenzury i poddawała ją kontroli administracyjnej i sądowej, tworząc system odwoławczy od decyzji. Szczytem niespełna półtorarocznej aktywności Komitetu było zwołanie (również z inicjatywy Zarządu Głównego ZLP) Kongresu Kultury Polskiej, brutalnie przerwano 13 grudnia 1981 wprowadzeniem stanu wojennego.

Wspominam o tym tak szeroko, ponieważ udział Związku Literatów Polskich w organizacji Komitetu Porozumiewawczego oraz Kongresu Kultury Polskiej stał się w miesiącach stanu wojennego podstawą oskarżeń Zarządu Głównego ZLP i jego członków o demontaż państwa, opozycję antysocjalistyczną i szereg podobnych idiotycznych wymysłów, których spis zawiera bogaty serwis prasowy z dwóch kampanii antyzwiązkowych, stoczonych zimą 1982 i zimą 1983 roku.

W momencie, gdy Związek Literatów Polskich został zawieszony, o czym osobiście poinformował członków Zarządu Głównego i Prezesa J.J. Szczepańskiego komisarz Koliński, odczytując stosowne pisma i natychmiast aresztując pieczętki i szuflady biurka — budynek Związku przy Placu Zamkowym był w ogłuszonej i zmaltretowanej psychicznie i fizycznie Warszawie ostatnią przystanią gasnącej z dnia na dzień nadziei. Stąd wyszły już w niedzielę 13 grudnia pierwsze inicjatywy nawiązania kontaktu z władzami (z sekretarzem Kubiakiem i ministrem Tejchmą) w sprawie ochrony instytucji i ludzi, w sprawie możliwości działania w radykalnie zmienionej sytuacji; inicjatywy rozeznające szanse ugody i rozejmu społecznego, bo już nie porozumienia, z negatywnym zresztą skutkiem; stąd wyszły pierwsze interwencje o zwolnienie aresztowanych i internowanych, w tym wielu kolegów pisarzy, naukowców, ludzi sztuki, dziennikarzy. Prezesowi ZLP udało się nawiązać kontakt z gen. Kiszczakiem, ministrem spraw wewnętrznych, dzięki czemu kilka interwencji okazało się skutecznymi: już wieczorem zwolniono prof. Klemensa Szaniawskiego, przewodniczącego Komitetu Porozumiewawczego, a w kilkanaście dni później Jacka Bocheńskiego, Andrzeja Kijowskiego, Michała Komara i kilku innych.

Dom Literatury stał się pierwszą przystanią komitetu pomocy dla więzionych i ich rodzin, utworzonego tu spontanicznie już rano w niedzielę 13 grudnia. Tu zebrano pierwsze paczki z ciepłymi rzeczami, stąd ekipa milicyjna przysłana przez gen. Kiszczaka zabrała je do samochodów i odwiozła na lotnisko

Bemowo, skąd już razem z internowanymi intelektualistami, przesiedlanymi z więzienia w Białołęce do obozu w Jaworzu, odleciały helikopterem — przynosząc im pierwszy znak otuchy i pamięci.

Zdając sobie sprawę z tego, że ogłoszenie stanu wojennego spowoduje gwałtowne załamanie się podstaw bytu materialnego znacznej większości pisarzy, zwłaszcza najmłodszych i najstarszych, ale także i dużej grupy tych, którzy z powodów politycznych znajdują się w konflikcie z władzami (poza rynkiem literackim, zmonopolizowanym przez państwo) — Zarząd Główny i Zarządy Oddziałów w miarę swych skromnych możliwości przystąpiły do organizowania pomocy socjalnej. Nawiązano kontakty z ministerstwem i wydziałami kultury, uzyskując enigmatyczne obietnice wsparcia. Zawieszenie Związku przerwało wszystkie te akcje.

Ale i te kilka dni gorączkowej działalności członków zarządów i ochotniczych działaczy społecznych, jakich nigdy nie brakło w tym środowisku, wystarczyły takiemu Józefowi Lenartowi, który 22 stycznia 1982 roku został wybrany sekretarzem warszawskiej POP literatów, do miotania bezpodstawnych oskarżeń na wszystkich tych ludzi dobrej woli („...wykorzystując do celów politycznych sprzecznych z prawami stanu wojennego siedzibę ZLP zagrozili podjętym funkcjom socjalnym” — z rozmowy w *Trybunie Ludu*, 9.II.1982 — zdanie, które zaiste mogłoby stać się tematem całej pracy doktorskiej z pogranicza polityki i psychologii, na temat niewolniczego skarlenia ducha i umysłu ludzi takich jak jego autor).

18 grudnia skończyła się cała ta szamotanina. Lokal Związku został zamknięty dla swoich i postronnych, z wyjątkiem personelu biurowego, zdezorientowanego pod rozkazami nowych szefów-komisarzy. Tak samo było we wszystkich oddziałach.

Komitet pomocy internowanym wyprowadził się do św. Marcina, wraz z całym swoim ochotniczym zespołem, sformowanym w dużej części z pań-literatek. Korytarz pod schodami w Domu Literatury na Placu Zamkowym stał się jedynym miejscem przelotnych kontaktów koleżeńskich, do czasu wznowienia postnych zupek w naszej piwnicznej stołówce. Tu, pod baczным okiem komisarzy, można było spotkać się, porozmawiać, zebrać wiadomości o kolegach. W parę tygodni później otwarto również kawiarnię na parterze, co stało się widomym znakiem tak zwanej „normalizacji”, niesłusznie pominiętym przez rządową propagandę. Natomiast jeden z najważniejszych warsztatów pracy twórczej pisarzy, biblioteka ZLP na II piętrze, była zamknięta

przez czas dłuższy, potem otwarto ją na jeden dzień w tygodniu, od niedawna dodano dzień drugi. Ta bezmyślna szykana wobec użytkowników biblioteki, mająca na celu zapewne zniechęcenie do korzystania z jej zbiorów i do odwiedzania siedziby Związku przez pisarzy, najlepiej świadczy o szczególnym stosunku komi-sarskich zarządców do kultury w ogóle.

Oddziały terenowe Związku, nawet te tradycyjnie posłuszne a w każdym razie niekonfliktowe, przeżywały podobne rozbitcie. Nieco luźniejsza atmosfera panowała jedynie w Krakowie, choć i tam doszło wewnątrz środowiska do ostrych podziałów na tle stosunku do stanu wojennego i nowej sytuacji politycznej (ciekawym dokumentem samookreślenia się jest wypowiedź krakow-skiego literata Stanisława Stanucha, drukowana w *Trybunie Ludu* 4 lutego 1982). Środowisko krakowskie stosunkowo naj-mniej dotknięte bezpośrednie represje, a przede wszystkim inter-nowania. Tu przodowała Warszawa. Internowano: przewodni-czącego Głównej Komisji Rewizyjnej Związku Literatów Pol-skich Andrzeja Szczypiorskiego, członka Głównego Sądu Kole-żeńckiego ZLP, a zarazem członka Zarządu Polskiego Penclubu Władysława Bartoszewskiego, członka Głównej Komisji Rewi-zyjnej ZLP Andrzeja Drawicza, dwóch członków Zarządu Głównego Związku Jacka Bocheńskiego i Andrzeja Kijowskie-go, członka zarządu Oddziału Warszawskiego ZLP Michała Komara, a ponadto: Aleksandra Małachowskiego, Wiktora Woroszyłskiego, Janusza Andermana, Andrzeja Wernera, Ankę Kowalską, Jacka Bierzina, Macieja Cisłę, Małgorzatę Łuka-siewicz, Antoniego Pawlaka, Jana Walca, Marka Zielińskiego, Irenę Lewandowską, Tomasza Łubieńskiego, Jerzego Łojka; część z nich zwolniono po krótkim pobycie w obozach interno-wania, większość spędziła w nich jednak po kilka miesięcy, niektórzy z poważnymi konsekwencjami dla zdrowia, nie mó-wiąc o twórczości. Andrzej Drawicz siedział najdłużej, bo aż do likwidacji instytucji internowania z końcem 1982 roku. We Wrocławiu internowano Lothara Herbsta, prezesa Oddziału Wrocławskiego. W Krakowie Juliana Kornhausera (wcześnie zwolniony) oraz Jana Polkowskiego i Annę Gorazd (ciężko cho-rą zwolniono na osobistą interwencję Prezesa ZLP Jana Józefa Szepepańskiego u min. Kiszczaka, latem 1982 r.) Łódź na tej liście reprezentują Mieczysław Szargan (siedział kilka dni) i członek łódzkiego koła młodych Witold Sułkowski z Łowicza, a Poznań czterej młodzi pisarze: Jan Krzysztof Adamkiewicz, Lech Dymarski (członek Komisji Krajowej „Solidarności”), Marian Dźwiniel i Piotr Czartołomny. Na liście lubelskiej jest

pięciu młodych: Zdzisław Bradel, Józef Fert, Przemko Grafczyński, Radosław Sarnicki i Bronisław Kowalski. Ze słupskiego koła młodych wzięto dwóch: Witolda Gauzę i Mirosława Kościńskiego. Z Katowic — Jana Zymana. Z Bydgoszczy — Mirosławę Wiórkiewicz, pracownicę tamtejszego radia. W połowie roku „dointernowano” jeszcze Józefa Kuśmierka i Krzysztofa Wolickiego. Aresztowany został natomiast Jan Józef Lipski (zastępca członka Zarządu Głównego ZLP). Pod zarzutem współudziału w organizacji strajku w Zakładach „Ursus” po ogłoszeniu stanu wojennego — stanął przed sądem. Wyrok w jego sprawie do dziś nie zapadł, gdyż z powodu bardzo złego stanu zdrowia J.J. Lipskiego proces kilkakrotnie przerywano, udzielając oskarżonemu urlopu w celach leczniczych. Obecnie sąd zmienił wobec niego środek zapobiegawczy uchylając aresztowanie, a procesu na razie nie wznowił. (J.J.L. aresztowany został potem w sprawie KOR-u. Będąc nadal oskarżonym, przebywa chwilowo w domu ze względów zdrowotnych — Red.).

Wielu członków Związku Literatów Polskich — w tym również członków Zarządu Głównego, Zarządów Oddziałów i innych władz stowarzyszenia — było przesłuchiwanym przez służbę bezpieczeństwa. W wielu mieszkaniach pisarzy miały miejsce rewizje, w czasie których tradycyjnie już (rytuał z czasów jeszcze gierkowskich) sekwestrowano maszyny do pisania jako najgroźniejszą broń antysocjalistyczną i antypaństwową. Niektórych zatrzymywano na kilka lub kilkanaście godzin w komisariatach milicyjnych, straszono w czasie przesłuchań, szantażowano itp. — repertuar dobrze znany. Szczególnie brutalnie — już po wyjściu z „internatu” — traktowany był wrocławski prezes Lothar Herbst. Zmuszano go do emigracji. Związek bronił go w liście skierowanym przez prezesa Szczyńskiego do gen. Kiszczaka.

Wiele osób dotychczas zatrudnionych w redakcjach, wydawnictwach, w radio i telewizji a także w teatrach straciło pracę bądź to w wyniku represyjnych zwolnień za aktywny udział w ruchu Solidarności, bądź też w rezultacie osobistych decyzji powstrzymania się od współpracy z państwowo-partyjną propagandą na znak sprzeciwu wobec stanu wojennego i solidarności z represjonowanymi kolegami. Większość pisarzy podjęła zdecydowany bojkot masowych środków przekazu, poczynając od prasy a kończąc na telewizji. Na tle frontu odmowy i wymownego milczenia większości tym ostrzej zgrzytnęły publiczne wystąpienia członków związku-aktywistów i chwalców nowego porządku, którzy nielicznie wprawdzie, ale widocznie pośpie-

szyli do studiów telewizyjnych i redakcji kilku działających gazet na sukurs chorej z braku przekonujących argumentów propagandzie. Nie można zresztą powiedzieć, aby dobrze wykonali swoją robotę. Mimo wysiłków nie udało im się ożywić owego dziwnego konglomeratu frazeologii endeckiej i sanacyjnej, będącego językiem nowej władzy, do którego zmuszeni byli sięgnąć. Dla pamięci trzeba wymienić przynajmniej tych, którzy w pierwszych tygodniach stanu wojennego pokazali się na ekranach telewizji: pierwszy był oczywiście Wojciech Żukrowski (za to stał się właścicielem stosu swoich książek, które oburzeni czytelnicy odesłali mu na adres domowy), następny Janusz Przymanowski, a dalej Józef Lenart, Jan Dobraczyński, Tadeusz Hołuj, Henryk Panas (z Olsztyna), prof. Konrad Górski (wypowiedź jego, z naiwności udzielona w najlepszych intencjach, została w widoczny sposób spreparowana przez telewizyjnych manipulatorów), Waldemar Kotowicz (Wrocław), Jerzy Grzymkowski, Marian Reniak, Henryk Worcell, Wł. Dunarowski, Henryk Gaworski, Tadeusz Chruszczewski, Edward Kurowski, Ryszard Danecki (Poznań), Stefan Gołębowski, Igor Sikirycki, Kazimierz Kowalski (Opole). Ten ostatni wystąpił 22 marca 1982 r. Następną porcję literatów na ekranie telewizyjnym otrzymaliśmy po dłuższej przerwie dopiero zimą 83 roku, kiedy to władze przystąpiły do gwałtownej kampanii antyzwiązkowej, chcąc doprowadzić do ostatecznych rozstrzygnięć w sprawie dalszego istnienia ZLP.

Choć upodobanie środków masowego przekazu do prezentowania literatów stanu wojennego jest znaczne, to jednak liczba około setki osób z tego środowiska, które w różnych miejscach i formach zabrały głos popierając generalski reżim, w stosunku do ponad tysiąca trzystu członków ZLP (jeśli dodać członków Kół Młodych, cyfra ta wzrośnie do ponad półtora tysiąca) nie jest imponująca. A przecież nie tylko światopogląd, ale i ciężkie warunki materialne, w jakich przyszło bytować większości polskich literatów, mogłyby być tu nauczycielem pokory, rezygnacji i poddania się presji rzeczywistości stanu wojennego. Tak się nie stało. Pisarze godnie znoszą swój los, dźwigając ciężar bytu na równi z całym społeczeństwem.

Szansę pracy i zarobku daje w tej sytuacji pisarzowi jedynie stosunkowo liberalna polityka wydawnicza. Zwiększenie produkcji książek zapoczątkowane w 1982 roku, niestosowanie znanej z okresu rządów nad kulturą Jerzego Łukaszewicza cenzury podmiotowej, adresowanej do nazwisk nie do treści — daje niektórym nadzieje na wydanie nowej książki lub wzno-

wienie starej. Jednakże nawet przy tym pewnym ożywieniu w tej dziedzinie trudności są znaczne: ustała prawie twórczość przekładowa, nowe kryteria ekonomiczne ograniczają szanse książek nierynkowych itd. Wprowadzono wprawdzie nową tabelę honoracyjną, ale jej skuteczność znacznie ograniczono, nie licząc się ze zdaniem w tej sprawie zawieszono Związku.

Zawieszenie ZLP uniemożliwiło temu niesłuchanie ważnemu dla całego naszego życia kulturalnego środowisku wpływ na wiele decyzji prawnych czy administracyjnych, podjętych w czasie stanu wojennego. W Narodowej Radzie Kultury, uformowanej bez wzięcia pod uwagę zgłoszonych na długo przed 13 grudnia postulatów Związku, który był inicjatorem powołania funduszu kultury i społecznego nim zarządzania — znalazło się wprawdzie wielu literatów, ale żaden z nich, gdyby przyszło do potwierdzenia mandatu przez środowisko, takiego potwierdzenia by nie uzyskał. Cóż to więc za przedstawicielstwo? Zapewne we wszystkich dziedzinach — z wyjątkiem tych dyscyplin, które są reprezentowane przez prezesów odwieszonych związków twórczych — byłoby to samo.

Jedynym ciałem państwowo-społecznym, powołanym w 1981 roku również z inicjatywy ZLP, a funkcjonującym nadal w tym samym składzie, jest Rada do Spraw Książki pod przewodnictwem wicepremiera Rakowskiego. W radzie tej działa pełnoprawna reprezentacja Związku Literatów Polskich, delegowana przez Zarząd Główny, która mimo zawieszenia Związku pełni swoje obowiązki uznawana przez obie strony.

Stan wojenny spowodował zerwanie oficjalnych kontaktów literackich z zagranicą. Prawdę powiedziawszy, kontakty te nie przedstawiały się imponująco, zwłaszcza jeśli chodzi o najbliższe stosunki sąsiedzkie. Wydarzenia polskiego lata 1980 roku wywołały gwałtowne ochłodzenie we wszelkich kontaktach Związku Sowieckiego i pozostałych krajów obozu socjalistycznego z Polską, w tym również w dziedzinie kultury, a zwłaszcza literatury. Nowy Zarząd Główny ZLP, wybrany w końcu 1980 roku, przywitany został wrogim milczeniem. Jedynym związkiem pisarzy z tego obszaru, który odnowił z nami tradycyjną umowę o współpracy był związek rumuński, zaznaczając w ten sposób swą niezależność od dyktatu centrali obozu pokoju i socjalizmu. Oczywiście tradycyjnie dobre stosunki łączyły nas nadal z organizacjami pisarzy republik jugosłowiańskich, zwłaszcza ze Słoweniami.

Moskiewska *Litieraturnaja Gazieta* kilkakrotnie dała wyraz

negatywnej ocenie polskiego życia literackiego, co jednak przy normalnej sowieckiej porcji dziennej mieszania się w polskie sprawy wewnętrzne nikogo nie bulwersowało. Natomiast po 13 grudnia pismo to wzięło na siebie ciężki obowiązek zwalczania polskich błędów w większym wymiarze, postępując się nie tylko piórami własnych autorów, lecz również autorów z PRL. Popisał się tu szczególnie wspomniany już raz Józef Lenart, który złożył skargę sowieckim czytelnikom (a może i władzom), że internowania pisarzy polskich przybrały zbyt mały — jak na jego potrzeby — zasięg. Dosłownie: „Wprowadzenie stanu wojennego wywołało popłoch i szok w środowiskach kontrrewolucji. Ci, którzy zdążyli się zaprezentować w sposób aktywny, zostali internowani. Ale daleko nie wszyscy. Więcej z tych szeregów zeszło do podziemia” (*Lit. Gaz.* 24.III.1982).

Tą samą drogą wypowiedział się nieco później również literat-milicjant Jerzy Grzymkowski, który oznajmił, że kontrrewolucja w środowisku pisarskim Polski zostanie zgnieciona, opozycyjny Zarząd obalony, a literaci otrzymają nareszcie upragniony socjalistyczny związek pisarzy.

Pogróżki te nie zostały dotąd wprowadzone w czyn, ale usilne starania czynione są od początku stanu wojennego. Jednym z istotnych powodów, dla których władzom nie dogadza koncepcja reaktywizacji Związku Literatów Polskich w jego statutowej postaci i z legalnymi władzami jest fakt, że władz tych nie uznaje za odpowiedniego partnera współpracy Związek Pisarzy Sowieckich, a za nim inne „bratnie” związki. Oto głęboka prawda o „niezależności”, „suwerenności”, „patriotyzmie” tych władz, które „samodzielnie” i „bez ingerencji z zewnątrz” wprowadziły stan wojenny w naszym kraju.

Wczesną wiosną 1982 roku wydawało się, że ZLP zostanie reaktywowany z innymi stowarzyszeniami twórczymi, które w tym czasie wracały do działania, takimi jak ZASP, Związek Plastyków, Związek Kompozytorów. Po serii roboczych kontaktów członków Prezydium Zarządu Głównego z ministrem Tejchmą i wiceministrem Pochałą, a także po spotkaniu Prezesa ZLP Jana Józefa Szczepańskiego z wicepremierem Rakowskim, gdzie omawiano różne aspekty spraw bieżących, zawo-wo-literackich, których rozwiązywanie wymaga obecności prawdziwej reprezentacji pisarzy na scenie społecznej i współpracy obu stron — nawet przy braku pełnego zaufania politycznego — można było spodziewać się zawarcia kompromisu. Za cenę z jednej strony świadomego samoograniczenia się do spraw ściśle związanych z uprawianiem zawodów literackich (co i tak obej-

muje konieczność ingerencji w szerokie dziedziny życia społecznego), z drugiej zaś przede wszystkim uwolnienia wszystkich internowanych osób ze środowiska literackiego (nie tylko członków ZLP), a ponadto zagwarantowania samorządności wewnętrznej stowarzyszenia — Związek Literatów Polskich był o krok od powrotu do życia.

8 kwietnia 1982 roku Prezydium Zarządu Głównego ZLP w niepełnym składzie: prezes J. J. Szczepański, wiceprezesi Andrzej Braun, Tadeusz Drewnowski, Leszek Prorok i Jerzy S. Sito oraz członkowie Kazimierz Dziewanowski, Andrzej Jarceki, Zbigniew Kubikowski i Władysław Terlecki — zostało zaproszone przez Ministra Kultury i Sztuki Józefa Tejchmę na spotkanie, w którym wzięli również udział (po drugiej stronie stołu) wiceministrowie Eugeniusz Mielcarek i Stanisław Puchała, zastępca kierownika Wydziału Kultury KC Grzegorz Sokołowski, płk Leszek Adamow — komisarz wojskowy MKiS, dyrektor Departamentu Książki Eugeniusz Celeda oraz dwaj koledzy literaci, zasiadający po stronie władz: Józef Lenart i Kazimierz Koźniewski.

Z ich to strony padły oskarżenia pod adresem Zarządu i całego Związku (główne zarzuty: utworzenie Komitetu Porozumiewawczego, organizacja Kongresu Kultury Polskiej, podpisanie umowy o współpracy z „Solidarnością” na zjeździe w Hali Olivii). Nikt jednak z obecnych samokrytyki nie złożył, przeciwnie — podjęto dyskusję, broniąc polityki Zarządu i wykazując jej zgodność z celami Związku.

Poza kilkoma momentami ostrzejszych spięć polemicznych na wspomnianej linii, spotkanie przebiegło w atmosferze raczej rzeczowej i godnej; na zakończenie minister Tejchma wyraźnie stwierdził, że widzi optymalne rozwiązanie przyszłości ZLP na płaszczyźnie koleżeńskiego porozumienia i reprezentacji interesów wszystkich grup i światopoglądów; winna być to „przyszłość negocjowana”. Zapowiedział wkrótce następne spotkanie, które miało już bezpośrednio utorować drogę odwieszeniu Związku.

Do takiego spotkania na szczeblu ministerialnym nie doszło do dziś.

Tymczasem usunięto ministra Tejchmę ze stanowiska i zastąpiono go prof. Kazimierzem Żygulskim, który wkrótce ujawnił dwie podstawowe cechy, różniące go od poprzednika: wrogość wobec środowisk intelektualnych i całkowitą nieznajomość istotnej wewnętrznej tkanki dziedziny, którą zarządza.

Równocześnie urwała się dyskusja prasowa na temat Związku Literatów Polskich, którą 12 kwietnia otworzyła na swoich łamach *Trybuna Ludu* artykułem Kazimierza Koźniewskiego „Czy ZLP jest nam potrzebny”. Zabrali w niej głos m.in. Edmund Osmańczyk (którego natychmiast skontrolował Michał Misiorny), Janusz Przymanowski, Eugeniusz Kabatec, Janina Dziarnowska, Leopold Lewin, a także Jerzy Urban (w *Tu i teraz*) oraz J.P. Gawlik (w *Zyciu literackim*). Jak widać, dyskutowała w zasadzie — z małymi wyjątkami — jedna strona, między sobą. Ale i tu nie było jednomysłności. Likwidatorskie zapędy Koźniewskiego zostały mocno powstrzymane.

Do tych polemik nie udało się wciągnąć nikogo z członków Zarządu Głównego Związku, co było zdaje się celem całej akcji. Jednakże wśród kolegów przeważała opinia, że prezentowanie poglądów nawet najśluszniejszych, walka nawet o pryncypia na łamach tej prasy — w sytuacji powszechnego łamania praw obywatelskich, gdy tak wielu członków Związku jest internowanych lub represjonowanych w inny sposób — byłoby chcąc nie chcąc akceptacją istniejącego stanu rzeczy, zgodą na prowadzenie dyskusji w takich warunkach.

Jedynym głosem z tej strony, wcześniej skonsultowanym z opinią przedstawicieli środowiska, była wypowiedź Leszka Prorocka zamieszczona w *Tygodniku Powszechnym* w październiku 1982 roku, szeroko wyjaśniająca umiarkowany i rzeczowy pogląd na zasady istnienia i działania Związku Literatów Polskich — jak można sądzić, pogląd będący wykładnią stanowiska znacznej większości jego członków.

Poza drobnymi zaczepkami w rozmaitych pisemkach, adresowanymi personalnie do autora artykułu, w rzeczowej sprawie jego treści zaległa cisza, która trwała kilka miesięcy.

Zanim przejdziemy do omówienia następnego cyklu wydarzeń wokół ZLP, który miał miejsce w lutym-kwietniu 1983 roku, wróćmy do nurtu działań społecznych w środowisku literackim. Wobec przedłużającego się zawieszenia władz Związku usiłowano działaniami tymi wypełnić lukę zwłaszcza w zakresie opieki socjalnej i pomocy materialnej.

Dotychczasowe funkcje Związku w tym zakresie (spełniane zresztą zawsze z najwyższym trudem, wskutek ograniczonych środków przyznawanych przez władze i stale ponawianych prób ingerencji w zakres i kierunki pomocy) obecnie przejęło Ministerstwo, powołując w marcu 1982 r. komisję stypendialno-socjalną dla środowiska literackiego, zarządzającą Funduszem Autorskim (powstającym z odpisów wydawnictw na rzecz auto-

rów niechronionych). Do komisji tej, wbrew ustaleniom podjętym już po 13 grudnia przez wiceministra Puchałę na spotkaniu z gronem przedstawicieli zawieszono Prezydium ZG ZLP, zaproszono tylko jedną przedstawicielkę Zarządu, kol. Annę Trzeciakowską, która wobec złamania umowy nominacji nie przyjęła. Podobnie postąpił Józef Hen, Prezes Warszawskiego oddziału ZLP. Tym niemniej trzeba przyznać, że działalność tej komisji, choć częściowo ograniczona przez preferencje polityczne, spełnia jednak w pewnym stopniu rolę ochrony materialnej pisarzy i ich rodzin znajdujących się w trudnym położeniu bytowym.

Drugą komisją działającą przy Ministerstwie, której skład gwarantuje pełną czystość ideologiczno-polityczną, jest zastępująca Komisję Zagraniczną ZG ZLP komisja do spraw współpracy literackiej z zagranicą. Jej celem jest wypełnienie luki, która powstała wskutek wyżej opisanej odmowy „bratnich” związków pisarzy utrzymywania kontaktów z naszym Zarządem Głównym.

Komisja ta wykazuje dużą aktywność. Gazety systematycznie informują od pierwszych tygodni stanu wojennego o wizytach, składanych przez faworytów i zwolenników nowej władzy w Związku Sowieckim, w NRD, Wietnamie, na Kubie, a nawet w Mongolii. Przyjmowane są także rewizyty, wśród nich rozmaitych ekspertów i doradców sowieckich od zwalczania „kontrrewolucji” w szeregach literackich. Jeden z takich specjalistów, niejaki Kuźniecowa, objeżdżał w ubiegłym roku Polskę, udzielając naszym partyjnym literatom wskazówek, jak uporać się ze Związkiem Literatów Polskich i jego legalnie wybranymi władzami, jak pozbyć się skrupułów związanych z poszanowaniem prawa (statutu) czy zasad koleżeństwa.

Istnieją również nieoficjalne kontakty środowiska literackiego w kraju z pisarzami zagranicą, zwrócone jednak w inne kierunki geograficzne. Pisarze zachodnioeuropejscy, bądź to za pośrednictwem Pen-Clubu, bądź innych swoich organizacji zawodowych, a najczęściej po prostu indywidualnie okazali nam wielką pomoc w formie kilkakrotnych przesyłek paczek żywnościowych lub ubraniowych. Pomoc ta, rozprowadzana w większości poprzez Duszpasterstwo Środowisk Twórczych w Warszawie, a w innych miastach dzięki pomocy niektórych parafii, dotarła do wielu najbardziej potrzebujących. Rozdziałem zajmowały się ochotniczo osoby dobrze zorientowane w potrzebach środowiska. Znaczną pomoc okazali członkowie Kół Młodych.

Akcja pomocy paczkowej objęła — o ile nam wiadomo — wszystkie oddziały związku, a także wszystkie jego odłamy: partyjnych i bezpartyjnych, wierzących i niewierzących. Gorzej było z pomocą finansową. Stale i w niezmiennym składzie funkcjonowała kasa pożyczkowa, dysponująca jednak dość skromnymi funduszami — no i korzystać z nich mogą jedynie ci, których stać na zwrot pożyczki. Takich jest w środowisku pisarskim niewiele. Gwałtowny upadek złotówki (oszczędności, jeśli kto je miał, straciły ponad połowę wartości) i jednoczesny spadek dochodów nominalnych, nie mówiąc o realnych, zepchnął większość tych, którzy utrzymują się z pióra, na skraj nędzy.

Zawieszony związek i jego zarządy niewiele mogły tu pomóc. Członkowie zarządów nie mogą działać w statutowych formach organizacyjnych, by nie wchodzić w otwarty konflikt z przepisami stanu wojennego i nie ściągać na związek jeszcze większego nieszczęścia. Działali więc w zespołach czysto koleżeńskich, wszelkimi możliwymi środkami mobilizując solidarność środowiskową dla wywarcia nacisku na rzecz uwolnienia internowanych kolegów. Również we wszystkich kontaktach oficjalnych zwolnienie internowanych było warunkiem wstępnym podjęcia rozmów. Zarząd występował w tych sprawach do gen. Jaruzelskiego, do Sejmu, do wicepremiera Rakowskiego i innych.

Kilkakrotne interwencje osobiste Prezesa ZLP J. J. Szczepańskiego u ministra Czesława Kiszczaka w szczególnie drastycznych przypadkach przetrzymywania w obozach osób chorych, w podeszłym wieku, lub też znajdujących się w trudnej sytuacji rodzinnej, przyniosły oczekiwany skutek. Chodziło tu zresztą o osoby nie tylko ze środowiska literackiego.

Większość internowanych pisarzy spędziła w obozach od kilku tygodni do kilku miesięcy; pod koniec października 1982 roku było ich tam jeszcze ośmiu, w tym aż pięciu członków kół młodych. Ostatni, jak już wspomnieliśmy, wyszedł z Darłówka Andrzej Drawicz, kiedy stan wojenny został zawieszony a instytucja internowania zniesiona.

Zanim to nastąpiło, w drugiej połowie listopada członkowie zawieszonych Zarządu Głównego postanowili zwrócić uwagę instytucji, która nominalnie pełni najwyższą władzę w kraju, a mianowicie Sejmu PRL, że u schyłku stanu wojennego Związek Literatów Polskich jest jednym z trzech ostatnich stowarzyszeń twórczych, które dotąd nie zostały reaktywowane. List, podpisany przez trzynastu członków Prezydium, informował

Komisję Kultury Sejmu o dotychczas podejmowanych przez Zarząd usiłowniach w kierunku odwieśnienia, które pozostały bezskuteczne.

Komisja Kultury Sejmu odezwała się całkiem oficjalną drogą informując Zarząd Główny ZLP, że do dalszych rozmów w sprawie Związku upoważniony został minister Żygulski. Wkrótce zaprosił on na rozmowę prezesa Szczepańskiego. W wyniku dwóch spotkań na życzenie ministra Zarząd przedstawił plan swej przyszłej pracy oparty na realizacji zadań statutowych oraz zaleceń i uchwał ostatniego Zjazdu. I znów nastąpiła przerwa oraz brak jakiegokolwiek reakcji na złożony dokument. Tylko w telewizyjnym programie „Pegaza” 27 stycznia 1983 roku ukazał się minister Żygulski, formułując pod adresem zawieszonoego Zarządu ZLP cierpkie uwagi o rzekomym braku zainteresowania losem swej organizacji.

W odpowiedzi na te kłamstwa Zarząd raz jeszcze ponowił w liście podpisanym przez Prezesa Szczepańskiego propozycję udzielenia zgody na odbycie jednorazowego posiedzenia Zarządu Głównego w rozszerzonym składzie z udziałem Prezesów Oddziałów oraz przedstawicieli stronnictw politycznych, aby uzyskać rozeznanie w opiniach środowiska na temat przyszłości Związku i kroków, jakie należy podjąć dla jego reaktywizacji.

List ten datowany 8 lutego 1983 roku, pozostał bez odpowiedzi.

Za to już dnia następnego rozpoczęła się nowa lawina ataków prasowych, insynuacji, kłamstw, oskarżeń, donosów — pełny repertuar pomówień o wszelkie grzechy prywatne i publiczne, skierowanych przeciw Związkowi i jego niezależnym członkom i działaczom. Grzechy przeciw stanowi wojennemu, który jest przecie najzdrowszym i najbardziej idealnym stanem społeczeństwa realnego socjalizmu, wymieniane były na pierwszym miejscu.

Kampanię wznowił Józef Lenart, zamieszczając w *Tu i teraz* z dn. 9.II.1983 wybór swych złotych myśli wyprodukowanych w czasie ubiegłego roku, wśród których znaczna część poświęcona była sprawom środowiska literackiego. Drugi stawił się do apelu dawno niewidziany i niesłyszany Andrzej Wasilewski, który 19 lutego odezwał się w *Trybunie Ludu* artykułem pod eleganckim tytułem „Bрудna piana nietolerancji”. Treść wiadoma. Kolejni dyskutanci to Bohdan Czeszko, Andrzej Przymkowski, Tadeusz Hołuj, Ireneusz Gwidon Kamiński itd. itp.

Wszystko to razem było artyleryjskim przygotowaniem ataku, który wyznaczono na 25 lutego. Tego dnia odbyła się w Komitecie Centralnym PZPR konferencja pisarzy — członków partii, która zgromadziła ponad dwustu uczestników (na ogólną liczbę 270).

Konferencja po całodniowej i burzliwej dyskusji, w której jak się okazało stanowiska w sprawie oceny i przyszłości Związku Literatów Polskich były bardzo podzielone, przyjęła „Oświadczenie” — które zresztą jest prawie w całości nie do przyjęcia, zwłaszcza w tych punktach, gdzie dokonuje selekcji członków związku na socjalistycznych i antysocjalistycznych, współpracowników i pracowników „ośrodków antypolskiej dywersji”, publikujących w kraju i za granicą, zgodnie i niezgodnie z prawem itp. Natomiast niewątpliwą zaletą „Oświadczenia” jest opowiedzenie się literatów partyjnych za utrzymaniem tradycyjnego Związku Literatów Polskich jako „wspólnej reprezentacji twórczo-zawodowej środowiska”.

Zanim jednak do uchwalenia tego dokumentu doszło, na sali obrad wydarzyła się sensacja. Otóż w momencie, gdy nagonka antyzwiązkowa rozpętana przez grupkę sterującą naradą napotkała na silny opór, któremu przewodziło dwóch partyjnych członków Zarządu Głównego obecnych na sali (Tadeusz Drewnowski i Marian Grześczak) — sekretarz KC Waldemar Świrgoń wy dobył z zanadru atutowego asa: list Prezesa ZLP J. J. Szczepańskiego skierowany do Przewodniczącego Rady Państwa Henryka Jabłońskiego, w którym Prezes potwierdza wszystkie zarzucane mu winy, butnie przyznaje się do wszelkich przestępstw własnych i całego Zarządu oraz zapowiada zemstę, a mianowicie odwołanie się ze skargą na konstytucyjne władze polskie do rzeczonych „ośrodków antypolskiej dywersji”. Na sali zawrzało. „Oświadczenie” przyjęto, zebranie zakończono odśpiewaniem... itd.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fakt, że list Prezesa był listem rzekomym, czyli — sfałszowanym.

Szydło wyszło z worka już wieczorem 25 lutego, gdy koledzy obecni na naradzie tknięci złym przeczuciem sprawdzili telefonicznie u zamieszkałego w Krakowie Prezesa, jakie to listy pisał w ostatnim czasie.

Bezwstydne fałszerstwo było niewątpliwie dziełem jednej z podgryzających się wzajemnie grup, które nie mogą się doczekać ostatecznego rozwiązania kwestii Związku Literatów (*Endlösung*), by osiągnąć wreszcie upragnione zwycięstwo w

bitwie (cóż to za wojna bez wygranych bitew?). Prezes zareagował natychmiast, pisząc — już autentyczne, co nb. sprawdzano! — listy do Przewodniczącego Rady Państwa H. Jabłońskiego (odpisał), sekretarza Świrgonia (nie odpisał), do prasy ze sprostowaniem (zamieściła jedna gazeta i *Tygodnik Powszechny*), do Prezesów zawieszonych Oddziałów ZLP (dla informacji w obawie, że prasa sprostowania nie zamieści) — oraz do Prokuratora Generalnego PRL ze skargą. Prokurator postępowanie w sprawie otworzył — otoczone stosowną tajemnicą, jako sprawa najwyższej wagi państwowej — ale, o ile nam wiadomo, do dziś rezultatów w śledztwie żadnych nie osiągnął.

Kompromitacja partii związana z ujawnieniem fałszerstwa — jak w klasycznej teorii skandalu — spowodowała przyspieszenie działań w sprawie reaktywizacji ZLP, i to w kierunku, jak się początkowo zdawało, optymistycznym dla większości związkowej. Do sprawy włączył się sekretarz KC Kazimierz Barcikowski, który zajął pozycję „bezzstronnego” arbitra w politycznym sporze wewnątrz-środowiskowym o kształt i charakter Związku. Doprowadził on, reagując pozytywnie na prośbę zawieszonych władz ZLP, do spotkania negocjatorów z ramienia Zarządu Głównego (kol. kol.: J. J. Szczepański, Andrzej Braun, Tadeusz Drewnowski i Marian Grzeszczak) z reprezentantami ogólnopolskiego zespołu pisarzy partyjnych, ciała utworzonego przez Wydział Kultury KC PZPR dla sprawniejszego sterowania strategią i taktyką partii w środowisku literackim. Na czele tego zespołu stoi Andrzej Wasilewski.

Szybko jednak okazało się, że zespół ten nie ma własnego oblicza ani własnej polityki i utożsamia się całkowicie z aparatem partyjnym, że w negocjacjach, które wkrótce się rozpoczęły serią spotkań, brali udział po stronie partyjnej tacy bądź co bądź pisarze jak Lenart, Koźniewski, Wasilewski, Jesionowski czy Roszko — to jednak ideologiczną platformę rozwiązania kwestii literackiej sformułował i podpisał niejaki Kazimierz Molek, zastępca kierownika Wydziału Kultury KC, czyli urzędnik partyjny średniego szczebla. On tu rządzi, i kropka.

Dokument ten, będący odpowiedzią na zgłoszone przez naszych negocjatorów i uzgodnione wcześniej z opinią większości członków zawieszonemu Zarządowi Głównemu ZLP „Tezy do dyskusji”, jest w gruncie rzeczy niczym więcej jak ultimatum, wzywającym do poddania się i rezygnacji z wszelkich nawet pozorów niezależności związkowej i obywatelskiej. Dla lepszej informacji zamieszczamy go tu w całości.

STANOWISKO W SPRAWIE DZIAŁAŃ ZMIERZAJĄCYCH DO NORMALIZACJI W ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

1. Związek Literatów Polskich jest i powinien być stowarzyszeniem zawodowo-twórczym. Siły opozycyjne działające w jego łonie doprowadziły do zmiany charakteru jego działań oraz wykorzystały autorytet i struktury ZLP dla realizacji celów nie mieszczących się w obszarze zasad ustrojowych PRL, których poszanowanie deklaruje statut.

Działacze Związku Literatów Polskich domagając się od miesięcy reaktywowania ZLP, nie zajęli w żadnej formie stanowiska wobec zasadniczych aspektów politycznej sytuacji w Związku. Nie odnieśli się do obecności we władzach aktywnych działaczy zagranicznych ośrodków dywersyjnych oraz antysocjalistycznej opozycji w kraju. Negatywne zaszczości w Związku Literatów Polskich mają charakter i skutki polityczne, dlatego punktem wyjścia wszelkich prac nad normalizacją sytuacji w stowarzyszeniu powinno być stworzenie realnych gwarancji zabezpieczających przed ponownym podjęciem działań opozycyjnych.

2. Stoimy na stanowisku, że należy zachować istnienie Związku Literatów Polskich jako organizacji zawodowo-twórczej pod warunkiem, że skupi się on na wypełnianiu swych zasadniczych funkcji:

- reprezentacji zawodowych i socjalnych interesów wszystkich swoich członków;
- współuczestniczenia w realizacji zasadniczych celów socjalistycznej polityki kulturalnej;
- współdziałania w kształtowaniu kultury literackiej społeczeństwa.

Reaktywowanie Związku Literatów Polskich będzie możliwe tylko wtedy, gdy usunięte zostaną wszystkie przeszkody utrudniające mu funkcjonowanie zgodnie z ładem prawnym i politycznym naszego państwa. Za punkt wyjścia do działań zmierzających do normalizacji w ZLP uważamy przyjęcie zasad zawartych w „stanowisku pisarzy-członków partii”. Określa ono zarówno polityczne ramy działalności Związku Literatów Polskich jak i zakres niezbędnych korekt statutowych.

3. Na prośbę przedstawicieli prezydium Zarządu Głównego zawieszono Związek Literatów Polskich w Wydziale Kultury KC trwają rozmowy. Są one wyrazem życzliwej i konstruktywnej postawy władz wobec tego stowarzyszenia. W ich wyniku musi nastąpić uzgodnienie działań przygotowawczych umożliwiających reaktywowanie działalności Związku Literatów Polskich.

Nadzwyczajny charakter sytuacji istniejącej w Związku dyktuje ogólne zasady postępowania na okres do najbliższego Zjazdu. Zjazd ten poprzez wybór nowych władz Związku, przyjęcie programu działania i znowelizowanego statutu zamknąłby przygotowania do normalizacji sytuacji w ZLP. „Tezy i propozycje w sprawie ZLP” zgłoszone przez J. J. Szczepańskiego, A. Brauna, T. Drewnowskiego i M. Grześczaka nie zawierają jasnej deklaracji politycznej, nie dają żadnych gwarancji poprawy sytuacji w ZLP po jego odwieszeniu i jako dokument nie wystarczający nie mogą być przyjęte.

4. Dla umożliwienia władzom zawieszono Związku Literatów Polskich przyjęcia zasad i trybu postępowania w Związku od reaktywowania do najbliższego zjazdu opowiemy się za udzieleniem zgody na odbycie jednorazowo-

wego posiedzenia Zarządu Głównego w wyłącznie statutowym składzie po spełnieniu następujących warunków:

a) przed posiedzeniem plenum zostaną wynegocjowane przez uczestników rozmów projekty uchwał plenum oraz zgłoszona zostanie gotowość działania na rzecz ich przyjęcia przez uczestników Plenum Zarządu Głównego. Uchwała plenum musi odnieść się do obecności w składzie władz ZLP i w samym ZLP współpracowników ośrodków antypolskiej dywersji, m.in. do osoby Zdzisława Najdera, Włodzimierza Odojewskiego, Krzysztofa Pomiana, Leszka Kołakowskiego i in.

b) plenum powinno zaakceptować tymczasowy zakres działania Zarządu Głównego w okresie do XXII Zjazdu ZLP. Powinien on ograniczyć działania Zarządu do funkcji opiekuńczo-socjalnych wobec członków — prowadzenia biur, bibliotek, stołówek, domów pracy twórczej, kasy pożyczkowej i działalności zapomogowej. Komisje d/s Funduszu Autorskiego, Kontaktów Literackich z Zagranicą będą działać nadal przy Ministrze Kultury i Sztuki. Do zjazdu musi być także wstrzymane przyjmowanie nowych członków.

c) przed plenum zostanie wynegocjowany imienny skład komisji zjazdowej, którą formalnie powoła się do życia w trakcie posiedzenia plenum Zarządu Głównego. Komisja zostanie wyposażona w wyłączne kompetencje do prowadzenia prac organizacyjnych, wyborczych, programowych i statutowych, związanych z przygotowaniem przyszłego Zjazdu.

Niniejszy dokument opracowano na prośbę uczestniczących w rozmowach członków prezydium Zarządu Głównego zawieszono Związku Literatów Polskich.

Z-ca Kierownika Wydziału Kultury
KC PZPR

Kazimierz MOLEK

Warszawa, dnia 29 marca 1983

Negocjatorzy związkowi oświadczyli, że warunków tych Zarząd Główny ZLP przyjąć nie może i ponowili żądanie wydania zezwolenia na odbycie Plenum Zarządu w rozszerzonym składzie, z udziałem tak zwanego „aktywu związkowego” i Prezesów Oddziałów terenowych.

Zgody takiej Zarząd dotychczas nie otrzymał.

Pertraktacje nie zostały jednak dotąd zerwane, choć toczą się znów ospale i stale wokół tej jednej w tej chwili sprawy. Ale oczywiste jest dla wszystkich, że nie chodzi tu wcale o takie czy inne zebranie, nie o strukturę organizacyjną Związku czy nawet nie o takie czy inne sformułowania w dokumentach.

Chodzi o zasadnicze warunki uprawiania zawodu pisarza, o podstawy jego osobistej i twórczej wolności, koniecznej dla życia i pracy.

Bowiem żądanie, by Związek Literatów Polskich akceptował ustrój panujący w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jest naprawdę błahą formalnością — pod warunkiem, że ustrój ten

będzie akceptował obywatela, jego charakter, poglądy, tradycje, wiarę, jego wolność osobistą, jego prawo do praw. Z tym bieda.

Tyle lat, czterdzieści bez mała, mieścił się Związek Literatów Polskich, mieściła się polska literatura i mieścili się polscy literaci w jednej Polsce z rządem, partią i tym, co nazywają oni socjalizmem — nawet z tym „realnym”. Współistniała literatura i współistnieli pisarze — prawda, wykrzywiając się jak od kwaśnych jabłek, czy jak od bólu zęba — prawda, doznając skrzywień kręgosłupa, tracąc zęby i paznokcie... Teraz nowi panowie Polski Ludowej postanowili nam wreszcie ten skrzywiony kręgosłup złamać.

Byłby to cios łaski. Dlaczego bronimy się przed nim ?

Jan KRAJOWIEC

PIERWSZA KSIĄŻKA
O PRZEMILCZANEJ WOJNIE Z KOMUNIZMEM

Lesław Jurewicz
**„ZBRODNIA CZY POCZĄTEK WOJNY
DOMOWEJ”**

Niszczenie patriotycznego Podziemia drogą denuncjacji do Gestapo przez Polską Partię Robotniczą na polecenie Kominternu: 1942. Narodowe Siły Zbrojne i część Armii Krajowej przystępują do zbrojnej samoobrony: 1943.

Import „władzy ludowej” w formie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego: 1944.

Sowiecka ingerencja zbrojna w wewnętrzne sprawy Polski, największe nasilenie walk i terroru indywidualnego: 1945-1947.

Otwarta polityczna koalicja anty-PPR-owska (PPS, PPS-WRN, SP i PSL) oraz podziemna walka polityczna (głównie SN i WiN): 1945-1952.

Podziemie z własnej woli zawiesiło opór w grudniu 1952 roku.
KC KPZS oraz KC PZPR muszą pojąć, że:

1. Siły zbrojne strony zwącej się „ludową” wojny tej nie wygrały.
2. Odrzucenie kompromisu sprowokuje społeczeństwo do aktów rozpaczy w postaci samoobrony: terror i podjęcie walki zbrojnej z góry skazanej na klęskę.
3. Jedynym rozsądnym i trwałym rozwiązaniem kryzysu byłby rząd koalicyjny.

Bogata dokumentacja i mapy.

Książkę można zamawiać bezpośrednio u Autora pod adresem:

Lesław Jurewicz
528 West 111th Street, New York, N.Y. 10025, USA

Cena wraz z przesyłką \$ 12.

Dr Leonidas A. B. KLISZEWICZ

„G R Z E G O R Z”
PLACÓWKA WOJSKOWEJ ŁĄCZNOŚCI
W GRECJI

Sytuacja wojenna jaka się wytworzyła jesienią 1940 r. na Bałkanach i na Bliskim Wschodzie spowodowała nowe trudności w łączności wojskowej z Krajem, tak pod względem przetrzutu kurierów, jak i poczty. Wprawdzie poczta wysyłana z terenu Węgier i Turcji korzystała z dyplomatycznej poczty angielskiej, ale działało się to raczej dorywczo, a poza tym ograniczenia co do wielkości przesyłek nie załatwiały potrzeb wojskowych placówek łączności z Krajem.

Poczta i kurierzy wychodzący ze Stambułu szli na Syrię, Palestynę i stąd do Kairu. Na skutek trudności jakie Francuzi zaczęli robić z udzielaniem wiz przejazdowych przez Syrię droga ta przestała prawie działać. Otwierała się jednak możliwość innej, a mianowicie przez Grecję.

28 października 1940 roku Włochy uderzyły na Grecję, której Anglia natychmiast udzieliła bezpośredniej pomocy. To spowodowało natężenie łączności między obydwojoma krajami. Sytuację tę postanowiła wykorzystać Centrala dla zainstalowania nowej placówki na terenie Salonik lub Aten, przez którą można było rozpocząć szerszą współpracę z Anglikami i wykorzystać ich wojskową łączność pomiędzy Grecją a Egiptem.

Placówka łączności mogła powstać w oparciu o placówkę dyplomatyczną, toteż gen. Sosnkowski zwraca się w dniu 20 listopada do Ministra Spraw Zagranicznych z prośbą o umożliwienie mu zorganizowania placówki na terenie Grecji. Pla-

cówka ta miałyby się składać z dwóch oficerów i dwóch urzędników i dysponować własną radiostacją.

Prośba gen. Sosnkowskiego załatwiona zostaje dopiero 4 grudnia, kiedy to radca Szydłowski wysłał do pośła w Atenach polecenie udzielenia pomocy w zorganizowaniu placówki łączności z Krajem na terenie Grecji.

Na początku listopada płk dypl. Stanisław Rostworowski i płk dypl. Alfons Krajewski wysłali do Centrali wspólną propozycję utworzenia Bazy Centralnej.

Odpowiadając w dniu 19 listopada, gen. Sosnkowski nie zgadza się z tą propozycją, natomiast jak najbardziej popiera potrzebę organizowania nowych szlaków idących z Grecji przez Jugosławię do Budapesztu, a stąd do Kraju, oraz z Grecji przez Jugosławię i Austrię. Na kierownika tych szlaków przewiduje płk. Krajewskiego, który ma na razie czekać u „Beya”¹ na dalsze rozkazy. Baza „Bey” ma natomiast przygotować 80-wattową radiostację dla placówki, która umieszczona będzie na terenie Grecji.

W raporcie z dnia 6 grudnia płk Rostworowski informuje, że radiostacja dla „Grzegorza” nie została jeszcze doprowadzona do stanu używalności. Na obsługę tej radiostacji przewiduje technika radiowego Alejskiego i Tokarza², którzy nie otrzymali wiz tureckich. Poza tym mówi, że nie będzie mógł wypłacić „Grzegorzowi” przewidzianych 2 tys. dolarów ze względu na własne duże nieprzewidziane wydatki.

W grudniu płk Rostworowski, który był komendantem bazy „Bey” zostaje mianowany komendantem bazy „Romek” w Budapeszcie, na miejsce płk. Krajewskiego, a komendantem „Beya” zostaje ppłk dypl. Stanisław Sulma, który w dniu 26 grudnia zawiadamia Centralę, że nie można ruszyć z miejsca sprawy placówki „Grzegorz” ze względu na negatywny stosunek do tej sprawy naszego konsula w Grecji. Prosi więc o interwencję w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Depesza ta rozminęła się z wcześniej, bo 21 grudnia wysłaną do niego depeszą Centrali, zawiadamiającą go, że Grecy odmówili wjazdu ludzi na obsługę „Grzegorza” i dlatego Centrala stara się o umieszczenie placówki przy Anglikach.

Centrala poleca, by przewidziana obsada placówki została

1. Baza łączności w Stambule.

2. Alejski Antoni, por. rez., technik radiowy. Tokarz — brak innych danych.

zmniejszona do trzech osób, które mają czekać w Stambule na rozkazy.

28 grudnia płk Krajewski wysłał do Centrali projekt organizacji „Grzegorza”. Przewiduje obsadę 4-rosobową, a mianowicie: kierownik, zastępca kierownika kpt. Aleksander Mazur z obsady personalnej bazy „Bolek”³, szyfrantka z bazy „Romek”, znająca niemiecki, francuski i węgierski, oraz dobry radiotelegrafista z ambasady w Bukareszcie.

Ze względu na to, że on jako kierownik placówki będzie często w rozjazdach do „Sławy”⁴, „Romka”, a nawet „Bolka II”⁵, zastępca jest konieczny.

Dla zainstalowania i uruchomienia radiostacji weźmie na kilka tygodni por. Edwarda Skibę.

Ze względu na sytuację polityczną na Bałkanach sprawa szybkiego zainstalowania „Grzegorza” jest bardzo pilna. Mały skład personalny placówki będzie można ulokować przy Anglikach.

Informuje następnie, że nazwisko paszportowe zmienił na Adam Korab i że posiada już grecką wizę pobytową.

Centrala odpowiada 14 stycznia 1941 r., wyrażając zgodę na projekt płk. Krajewskiego, z tym, że gdyby nie udało się załatwić wizy dla czwartej osoby, zastępca kierownika placówki musiałby być równocześnie szyfrantem.

Centrala robi starania u Greków o udzielenie pozwolenia na umieszczenie dwóch osób z placówki przy naszej ambasadzie w Atenach i wtedy tylko radiota pozostałby przy Anglikach.

8 stycznia płk Krajewski wysłał do Centrali pismo, w którym omawia trudności, jakie miał z polskimi placówkami dyplomatycznymi od chwili ucieczki z obozu na Węgrzech⁶. Nieprzychylny stosunek placówek dyplomatycznych tłumaczy tym, że konspiracyjna praca wojskowych placówek łączności z Krajem rzucała podejrzenie o robienie donosów na inne placówki oraz identyfikowała pracę placówek łączności z pracą O.II, którego niefortunne niekiedy posunięcia sprawiały im czasem kłopoty na swoim terenie. Dlatego płk Krajewski proponuje, by Centrala zwróciła się do MSZ z prośbą o położenie nacisku na nasze

3. Baza łączności w Rumunii (w Bukareszcie).

4. Placówka łączności w Jugosławii.

5. Placówka łączności w Rumunii po ewakuacji „Bolka” do Turcji, gdzie baza zmieniła kryptonim na „Bey”.

6. Płk Krajewski był pierwszym komendantem bazy „Romek” w Budapeszcie. Aresztowany, uciekł z obozu karnego do Jugosławii, a stąd przedostał się do Turcji.

konsulaty i ambasady, by ustosunkowały się przychylnie do wojskowych placówek łączności i pomagały im w ich pracy.

Drugim rozwiązaniem tego zagadnienia jest zdaniem płk. Krajewskiego formalne związanie placówek z Anglikami.

Następnie omawia obsadę personalną placówki i stwierdza, że dobrani przezeń ludzie będą nie tylko wypełniali swoje normalne obowiązki, ale też będą mogli być użyci jako bezpośredni kurierzy do „Romka” i „Bolka II”. On sam nie tylko będzie docierał do wymienionych placówek, ale w razie potrzeby uda się i do Warszawy... Na koniec zawiadamia, że zmienił ponownie swój dotychczasowy pseudonim na Roman Jasińczyk.

Następnego dnia płk Krajewski wysyła depezę do Centrali, podając, że w skład placówki wejdą: zastępca kierownika kpt. A. Mazur, pseudonim Popiel i radiota z Bukaresztu Chymkowski, z tym, że do chwili jego przybycia zastępować go będzie Aleksander Korecki od „Bolka”.

Załatwienie formalności z zainstalowaniem placówki napotyka na coraz to nowe trudności, spowodowane faktycznie stanowiskiem Greków, nie chcących narażać się Niemcom, a nie niechęcią Anglików czy naszej placówki dyplomatycznej.

Trudności te pociągają za sobą niestety nieporozumienia, które w okresie od 4 do 18 lutego powodują szeroką korespondencję między Centralą, Ministerstwem Spraw Zagranicznych i poselstwem polskim w Atenach.

Centrala została poinformowana przez angielskie władze wojskowe, że w czasie spotkania posłów angielskiego i polskiego w Atenach ten ostatni wyraził opinię, że umieszczenie placówki wojskowej łączności z Krajem w Grecji jest „niepotrzebne i niebezpieczne”.

Angielskie władze wojskowe są w stanie zmienić stanowisko swojego posła, ale proszą, by poseł polski im w tym nie przeszkadzał.

Odpowiadając na ten zarzut min. Zaleski stwierdza, że według depezy, jaką otrzymał od posła Gunthera z Aten, rozmowa miała nieco odmienny charakter, niż to przedstawili Anglicy. Min. Zaleski załącza odpis depezy do posła w Atenach, w której informuje go o zarzutach angielskich i poleca zrobić wszystko, by doprowadzić do zainstalowania w Grecji placówki wojskowej łączności z Krajem.

15 lutego gen. Sosnkowski pisze do min. Zaleskiego, wyrażając nadzieję, że po blisko dwóch miesiącach prób placówka wojskowa zostanie wreszcie w Atenach zainstalowana i w związku z tym prosi o wydanie posłowi w Atenach polecenia przyj-

mowania i wysyłania depezb placówki szyfrem ZWZ⁷ przez radiostację poselstwa.

W tym dniu gen. Sosnkowski wysłał depezbę do posła R.P. w Atenach, w której podaje treść depezbę jaką Foreign Office wysłało do swego posła w Atenach, w której poleca przyjęcie w konsulacie w Salonikach radiostacji polskiej placówki łączności, chwilowo bez jej uruchomienia, oraz umieszczenie czterech osób obsady placówki.

Gen. Sosnkowski prosi o wyrobienie wiz dla personelu placówki, przyjmowanie depezb szyfrem ZWZ i robienie dalszych starań u Greków na zezwolenie używania radiostacji w Salonikach.

13 lutego MSZ wysłał do Centrali odpis depezbę otrzymaną z Aten 11 lutego, w której poseł robi zastrzeżenia wobec dwóch członków obsady placówki, a mianowicie płk. Krajewskiego, który mimo tytułu sekretarza poselstwa był więziony przez władze węgierskie i radioty Piotra Kurnickiego, który jest znany jako protegowany i zaufany Drymmera.

Otrzymałszy tę depezbę do wiadomości, gen. Sosnkowski kieruje pismo do min. Zaleskiego, w którym między innymi mówi: „...Zmuszony jestem prosić Pana Ministra, aby zechciał dokonać moralnej oceny metod zastosowanych przez posła Gunthera, który najwidoczniej w obronie swego źle pojętego majestatu, lub może dla innych, bardziej tajemniczych przyczyn, kontrowersję czysto techniczną przeniósł nieoczekiwanie, po upływie kilku miesięcy, na tory tak niesmaczne, niepozbawione swoistego zapachu...”.

Następnie pisze, że osoba Piotra Kurnickiego nie jest mu osobiście znana, ale wie, że chodzi o byłego konsula w Bratysławie, który pracował z placówką przerzutową na terenie Rumunii i którego stuprocentowej lojalności nikt nigdy nie kwestionował.

Kandydatura Kurnickiego była omówiona z Kurejuszem⁸, przedstawicielem min. Kota, i ten żadnych zastrzeżeń nie miał. Jeżeli poseł Gunther przyjmie pełną i osobistą odpowiedzialność za twierdzenie o koneksjach łączących Kurnickiego z Drymmerem, to gen. Sosnkowski przy jego osobie opierać się nie będzie. Natomiast stanowczo protestuje przeciwko zarzutom posła Gunthera w stosunku do płk. Krajewskiego. Zarzuty te, stawiane

7. Związek Walki Zbrojnej, później przemianowany na Armię Krajową.

8. Dr Jerzy Kurejusz, pseud. Aleksander Kwiatkowski, działał na terenie Turcji.

poprzednio przez min. Kota, mają być zbadane przez specjalną komisję, a do czasu rzeczowego i bezstronnego zbadania ich, nie może przyjąć osądu posła Gunthera, o który nie był on proszony. Gen. Sosnkowski podkreśla, że „zastrzeżenia” posła są dla niego nieuczciwe, a pod względem formalnym niedopuszczalne.

Coraz to nowe trudności stawiane przez posła Gunthera opóźniają zainstalowanie placówki, która od dawna mogła już na terenie Grecji funkcjonować. „Być może — pisze gen. Sosnkowski — niestety, iż rozwój wypadków na Bałkanach rozstrzygnie cały spór siłą rzeczy w sensie ujemnym dla sprawy tej łączności”.

18 lutego Centrala depezuje do płk. Krajewskiego, że tak polski jak i angielski poseł w Atenach otrzymali polecenia od swoich władz odnośnie zainstalowania „Grzegorza” przy poselstwie angielskim. Z zainstalowanej przy Anglikach radiostacji nie będzie można jednak korzystać do chwili uzyskania pozwolenia Greków. W tym okresie placówka ma korzystać z radiostacji naszego poselstwa. Wizy dla obsady placówki załatwi poseł, natomiast ma on zastrzeżenia odnośnie osoby Kurnickiego i Centrala poleca płk. Krajewskiemu z niego zrezygnować. Płk Krajewski ma wyjechać do Aten i stamtąd starać się o ściągnięcie swego zastępcy.

Ponieważ Grecy odmówili wizy jednemu z radiooperatorów, płk Krajewski zawiadamia 18 lutego Centralę, że 26 lutego wyjeżdża do Aten, by osobiście załatwić sprawę wiz dla personelu placówki. Przewiduje, że zabawi w Grecji około dwóch tygodni.

Należałoby wnioskować, że po wymianie wspomnianej korespondencji i zarządzeniach MSZ nieporozumienia zostaną wyjaśnione i rozpocznie się zgodna i pozytywna współpraca między zainteresowanymi stronami w Atenach. Tak nakazywałyby zdrowy rozsądek oraz zrozumienie ważności prac dla Kraju naszych zagranicznych placówek. Ale natura ludzka z zasady jest słaba, ulega własnym, często niezdrowym ambicjom i przesadza w ocenę własnego „ja”.

Płk Krajewski po przyjeździe do Aten napotkał na stare trudności ze strony polskiego posła, którego negatywny stosunek do spraw wojskowych umocnił przybyły do Aten poseł Orłowski⁹.

Zawiadamia o tym Centralę 6 marca szef ekspozytury „A”.

Dzięki swoim osobistym kontaktom z Anglikami i Grekami

9. Orłowski Leon.

szeft ekspozytury „A” ulokował w Atenach płk. Krajewskiego i na wspólnej konferencji z nimi ustalono, że na skutek odmowy posła angielskiego, spowodowanej stanowiskiem posła polskiego, radiostacja zostanie umieszczona w Atenach w miejscu zakonspirowanym. Tak Anglicy jak i Grecy zapewnili wszelką pomoc w zainstalowaniu radiostacji.

Dla uniknięcia dalszych kłopotów z posłem, wszelkie instrukcje dla płk. Krajewskiego należy wysłać do ekspozytury „A”, co pozwoli na szybkie i sprawne załatwienie sprawy.

Treść depezy szefa ekspozytury „A” jest zupełnym zaprzeczeniem tego, co zostało napisane poprzednio, a mianowicie, że trudności w zainstalowaniu placówki spowodowane były przez nieprzychylnie stanowisko Greków. Ale tak w jednym jak i w drugim wypadku nie ma pomyłki, bo z innymi władzami greckimi rozmawiało poselstwo, a z innymi Oddz. II. Stanowisko władz wojskowych, tak greckich jak i angielskich, w tym wypadku było jak najbardziej przychylnie dla Polaków i stąd ten, zdawałoby się niespodziewany, sukces szefa ekspozytury „A”.

8 marca poseł z Aten wysłał depezę do MSZ, w której proponuje, by placówkę wojskowej łączności z Krajem włączyć w skład projektowanej Polskiej Misji Wojskowej w Grecji.

Otrzymawszy do wiadomości treść powyższej depezy, gen. Sosnkowski wysłał 12 marca pismo do MSZ, odrzucając projekt posła. Jako powody tej decyzji podaje, że włączenie do Misji placówki wojskowej łączności z Krajem, pracującej konspiracyjnie, automatycznie zdekonspirowałoby obsadę placówki wobec personelu tej Misji. W wypadku konieczności przejścia placówki łączności na pracę ściśle konspiracyjną uniemożliwiłoby to użycie tych samych ludzi, którzy występowali poprzednio oficjalnie jako pracownicy Misji.

Gen. Sosnkowski zaznacza, że nie chodziło mu o przydzielenie jego placówki do konsulatu czy poselstwa pod pokrywką urzędników dyplomatycznych, ale tylko o pomoc posła w wyrobieniu obsadzie placówek wiz greckich i ułatwienie w zainstalowaniu się przy Anglikach. Na dowód tego, że trudności wychodziły wyłącznie ze strony posła Gunthera informuje, że ekspozytura O.II. z pomocą Anglików i przy poparciu władz greckich załatwia wizy dla obsady placówki i zainstalowała ją w Atenach, a stało się to nie tylko bez pomocy posła, ale wbrew jego nieprzychylnemu stosunkowi do placówki łączności. Dlatego w zakończeniu swego pisma gen. Sosnkowski prosi Ministra Spraw Zagranicznych o polecenie posłowi Guntherowi, aby nie prze-

szkadzał placówce wojskowej łączności z Krajem w Atenach w jej instalacji i wykonywaniu zadań.

Odpowiedź daje min. Zaleski 15 marca. Pisze obszernie i nieemocjonalnie. Rozumie stanowisko gen. Sosnkowskiego, występującego w obronie swoich pracowników i ma nadzieję, że wzajemnie będzie zrozumiany broniąc swoich.

Treść całego pisma jest bardzo rzeczowa i pisana w tonie przyjacielskim, mającym sprawę załagodzić i zamknąć, a równocześnie przekonać o jak najlepszym podejściu i zrozumieniu min. Zaleskiego dla prac placówek wojskowej łączności z Krajem, ich ważności i potrzeby istnienia.

Odpowiadając w dniu 22 marca gen. Sosnkowski dziękuje min. Zaleskiemu za jego stanowisko i okazywaną mu pomoc oraz wyjaśnia kilka spraw związanych z postępowaniem pośła Gunthera. Uważa, że placówka łączności nie może działać bez wiedzy pośła i dlatego prosi min. Zaleskiego, aby poinformował go o jej zainstalowaniu oraz polecił mu jej zaakceptowanie i okazanie jej potrzebnej pomocy.

Z kolei płk Krajewski oficjalnie zawiadamia Centralę o powstaniu placówki i powtarza, w jakich warunkach do tego doszło.

Informuje równocześnie, że greckie władze wojskowe zgodziły się na umieszczenie w Salonikach punktu łączności, który prowadzić będzie przyjęty przezeń do służby Ernest Zaręba. W tej sytuacji ściągą ze Stambułu szyfrantkę i radiotę ze sprzętem radiowym.

Następnie mówi, że wbrew instrukcji MSZ poseł Gunther starał się, by Grecy ograniczyli jego pobyt do 10 dni, ponieważ — jak oświadczył przedstawicielowi wojskowemu greckiemu w obecności przedstawiciela angielskiego — pobyt płk. Krajewskiego jest dla niego kłopotliwy wobec zamiaru instalacji radiostacji na terenie Grecji.

W związku z sytuacją na Bałkanach, która może odciąć wkrótce dotychczasową drogę do „Romka” przez Jugosławię, gen. Sosnkowski wydaje 8 marca zarządzenia organizacyjne dla baz i placówek i odnośnie „Grzegorza” podaje:

„Grzegorz” został zainstalowany w Atenach przy naszej drzazdze¹⁰, z tym, że w Salonikach zostaje umieszczona pomocnicza jednoosobowa placówka łączności ze Sławą i Beyem¹¹. Placówka ta ma być zakonspirowana

10. Oddział Drugi.

11. Placówka łączności w Jugosławii i baza w Stambule.

i pozostać w Salonikach w każdym wypadku. Grzegorz w razie konieczności ewakuacji z Aten, przechodzi na Peloponez względnie na wyspę archipelagu tak, by móc najlepiej wykonywać zadanie i nie utracić oparcia o drżagę i damę¹². Należy mi nadesłać plan na wypadek ewakuacji.

Zadania Grzegorza bez zmiany. Zaopatrzenie bezpośrednio kwotami transferowymi oraz w efektywnych dolarach w poczcie dyplomatycznej.

Szczególnie ważne jest zaopatrzenie Grzegorza, a zwłaszcza placówek konspiracyjnych jak Saloniki, w syfony¹³ konsp. małych wymiarów. Jak tylko możliwości produkcyjne pozwolą, Grzegorz otrzyma stację tego typu w najbliższej przyszłości. Jeżeli można, nabyć sprzęt dla zmontowania tych syfonów na miejscu dla potrzeb Grzegorza i Sławy — byłoby bardzo pożądane”...

Mówiąc następnie o ewentualnym dojściu do skutku zrzutu lotniczego kurierów i poczty na terenie Jugosławii i Węgier, gen. Sosnkowski pisze, że wtedy całą sprawę organizacji przerzutu objąłby „Grzegorz” przy ewentualnej pomocy bazy „Alek” z terenu Egiptu. W związku z tym muszą zostać już obecnie wykonane pewne przygotowania, w których „Grzegorz” ma wy badać grunt przy pomocy Oddz. II w Atenach u władz lotniczych sojuszników znajdujących się w Grecji.

17 marca MSZ przekazuje do wiadomości Centrali treść depeszy otrzymanej od posła Gunthera.

Zaprzecza on w niej wszystkiemu, co mu uprzednio zarzucali szef ekspozytury „A” i płk Krajewski. Twierdzi, że od początku ustosunkował się jak najprzychylniej do wszelkich projektów wojskowych na terenie Grecji, oczywiście w granicach tamtejszych możliwości dyplomatycznych i administracyjnych. Po przybyciu Korabia (Krajewskiego) do Aten natychmiast osobiście załatwił mu w MSZ miesięczny pobyt. Pomógł też płk. Krajewskiemu w doprowadzeniu do spotkania z posłem angielskim, a po otrzymaniu wiadomości o poleceniu Foreign Office umieszczenia placówki w Salonikach ponownie udał się w tej sprawie do posła. Dla zgodnego postępowania wobec Anglików zażądał od płk. Krajewskiego pisemnego sprawozdania z jego postulatów i osiągnięć.

12. Poselstwo.

13. Aparaty radiowe.

28 marca min. Zaleski zawiadamia posła w Atenach o zorganizowaniu tam placówki wojskowej łączności z Krajem przy pomocy Oddz. II i Anglików oraz za zgodą władz greckich, poleca okazać placówce wszelką pomoc i prosi o harmonijną współpracę. Informuje też, że połączenie placówki z misją wojskową jest nieaktualne.

31 marca płk Krajewski zawiadamia Centralę o niemożności skompletowania obsady personalnej placówki, ponieważ ludzie spoza Grecji obawiają się przyjechać na teren wojenny. Zmuszony jest wobec tego do użycia ludzi znajdujących się na miejscu.

Po porozumieniu się z płk. dypl. Stanisławem Gano wypożycza od naszego wywiadu dla placówki zakonspirowaną pracownię oraz dostaje do swojej dyspozycji pchr. rez. Wacława Fedorowicza (jako szyfranta), oraz pracowniczkę wywiadu p. Szmodlibowską, żonę rotmistrza. Jako trzecią pracowniczkę chce zaangażować p. Zmijewską, żonę porucznika z Brygady Karpackiej. Radiotelegrafistę przysła baza „Alek”. Płk Krajewski prosi o zaakceptowanie tego personelu.

Następnie prosi Centralę o podanie mu kontaktu odnośnego resortu Anglików, z którymi Centrala współpracuje, oraz informuje o wysłaniu do Centrali sprawozdania przez płk. Gano.

3 kwietnia Centrala wysłała zgodę na propozycje personalne placówki, a sprawę kontaktu z przedstawicielem angielskim w Atenach załatwia.

Sytuacja w Grecji była bardzo niepewna, toteż po otrzymaniu od Anglików odmowy udzielenia jakiegokolwiek pomocy w wypadku przymusowego wyjazdu szef ekspozytury „A” postanowił ewakuować cały swój personel najbliższą nadarzającą się okazją. Równocześnie poselstwo odmówiło kategorycznie późniejszej ewakuacji placówki łączności, motywując, że może zabrać ściśle ograniczony i już podany skład.

W tej sytuacji płk Krajewski też decyduje się na ewakuację i zawiadamia o tym Centralę 16 kwietnia.

W ekspozyturze w Atenach zostawia melinę pod adresem ul. Kerameon 19, Jonatas Marianna, hasło: „przychodzę od Balcera”, zapytanie: „Czy od Witolda?”. Odpowiedź: „Nie, od Adama”.

19 kwietnia płk Krajewski razem z wywiadem wyjeżdża do Kairu, zabierając ze sobą radiooperatora i radiostację.

24 kwietnia wysłała meldunek de Centrali, podając w nim między innymi rozliczenie finansowe.

Następnie podaje, że według informacji jakie otrzymał od *attaché* i wywiadu mjr W. Zahorski, kierownik placówki „Sława”, 8 kwietnia pobrał zdeponowane w poselstwie dokumenty i przeniósł się na melinę. Z tego samego źródła został poinformowany, że w Sarajewie widziano 15 kwietnia Burhardta, który wyznaczony był na pozostawioną tam placówkę konspiracyjną. Płk Krajewski przypuszcza, że oba wymienione posterunki utrzymały się w terenie.

Radiostacje „Sławy” są nieczynne z powodu przerwy w dostawie prądu, spowodowanej bombardowaniami.

Zdaniem płk. Krajewskiego istnieje możliwość utrzymania drogi kurierskiej przez Jugosławię od strony morza. Po porozumieniu się z Anglikami będzie mógł podać w tej sprawie więcej danych.

Tak skończył się krótki i nie bardzo owocny rozdział w istnieniu placówki wojskowej łączności z Krajem na terenie Grecji.

Zorganizowanie i zainstalowanie tej placówki zajęło dużo czasu, wysiłku, zachodu, pieniędzy i różnego rodzaju nieporozumień.

Zebrawszy razem wszystkie korzyści z powołania do życia tej placówki i szkody, jakie przyniosły nieporozumienia w okresie prób jej zainstalowania, trudno wydać prawdziwie pozytywną opinię o stosunkach, jakie panowały w tym czasie wśród naszych zagranicznych placówek dyplomatycznych, wojskowych i politycznych.

Nieporozumienia między placówkami wojskowej łączności z Krajem a placówkami dyplomatycznymi i placówkami politycznej łączności z Krajem istniały wszędzie. Wszędzie były te same wzajemne pretensje, zarzuty i oskarżenia. Wszędzie odwoływano się do swoich central w Londynie, szukano u nich sprawiedliwości i potępienia strony drugiej. Dlaczegoż miało być inaczej w Grecji?...

Czy w ogóle warto zastanawiać się nad tą sprawą, jeżeli placówka wojskowej łączności istniała tak krótko i tak mało zrobiła?...

Nie ulega chyba dyskusji fakt, że placówka wojskowej łączności z Krajem na terenie Grecji była potrzebna i że dla przetrwania kurierów, poczty, pieniędzy i dla łączności radiowej miała ona pierwszorzędne znaczenie. Utworzenie jej otwierało nowe szlaki w kierunku Polski oraz skracало i ułatwowało łączność z Egiptem, a przez Egipt z Centralą. Pozwalało też na zorganizowanie w porę zapasowych, zakonspirowanych placówek, które

rozpocząć miały działanie z chwilą przymusowej ewakuacji właściwej placówki z Grecji.

Nieporozumienia o których wspominaliśmy miały wszędzie swój ujemny wpływ na pracę poszczególnych placówek, bo nie jednoczyły wysiłków, ale je rozdrabniały, a czasem może nawet rozbijały. Niemniej jednak dłuższy okres istnienia placówki wojskowej łączności dawał jej możność i warunki wypełnienia zadań i przygotowania się do pracy w warunkach ściśle konspiracyjnych.

Placówka „Grzegorz” istniała bardzo krótko. Za krótko, by wykonać swoje najważniejsze zadania. I dlatego nie z uczuciem ubolewania, ale z uczuciem zgrozy należy dziś patrzeć na te niepoważne w naszych oczach nieporozumienia, które nie pozwoliły na zorganizowanie placówki już w grudniu 1940 roku. Nie ulega wątpliwości, że były trudności, ale trudno z drugiej strony uwierzyć, że były one tak poważne, iż nic w tej sprawie nie można było zrobić. I dlatego mimo woli nasuwają się inne refleksje, może błędne już w swoim założeniu, może bezpodstawne, ale mimo tego warte wzmianki.

Nasuwa się np. pytanie, czy może niektórzy z naszych dyplomatów zagranicznych robili placówkom wojskowej łączności z Krajem trudności w obawie o własną skórę i własne bezpieczeństwo?... Czy niektórzy dyplomaci naprawdę wiedzieli względnie chcieli wiedzieć, jaki jest cel placówek łączności? Jak ważna jest ich praca dla Kraju? Jak ważne będzie ich działanie, kiedy placówki dyplomatyczne ich zdaniem najważniejsze, zostaną zmuszone do opuszczenia danego kraju?

Odpowiedź na te pytania pozostawia się innym historykom tego okresu.

Dr Leonidas A. B. KLISZEWICZ

Nottingham, 1983

WSPOMNIENIA

Ludwik ŁUBIENSKI

OSTATNIE ROZMOWY ŚP. GEN. SIKORSKIEGO W GIBRALTARZE

Od marca 1943 byłem Szefem Misji Morskiej w Gibraltarze z ramienia MON z głównym zadaniem odbierania ochotników polskich przedzierających się wprost z Francji, oraz głównie tych, którzy trafili do obozu Miranda del Ebro w czasie swojej peregrynacji i których Ambasada Brytyjska w Madrycie wyciągała i w porozumieniu z naszymi władzami wojskowymi w Londynie i w Lizbonie przetrzucała do Lizbony, a potem statkiem z portu Villa Reale przesuwało ich do Gibraltaru. Czasem transport szedł też wprost z Hiszpanii. Również Gibraltar był jednym z miejsc, gdzie czasem trafiali kurierzy z AK w Polsce i których należało natychmiast wysłać do Londynu, powietrzem.

Polaków tych prowizorycznie zapisywałem na nowo do Wojska Polskiego (przeważnie byli oni już w Wojsku Polskim we Francji), mundurowałem, zajmowałem się nimi podczas okresu ich wyczekiwania na transport (język angielski, ćwiczenia, gimnastyka etc.) i gdy zbierał się konwój morski do Anglii, ładowałem ich na statki. Były okresy, gdy tych Polaków w Gibraltarze zbierało się dość dużo, czasem dochodziło aż do 500 ludzi.

Po zlikwidowaniu Misji Czeskiej dostałem polecenie z Londynu zajęcia się również uchodźcami czesko-słowackimi, ale ich było bardzo mało.

W czasie mojego pobytu w Gibraltarze (marzec - listopad 1943) przez moje ręce przeszło około 2.700 ludzi, których przesyłałem do Wojska w Londynie. Pewną małą grupę Polaków lub Polaków żydowskiego pochodzenia, którzy wprost odmawiali wstąpienia do Armii Polskiej, po dłuższych pertraktacjach z władzami polskimi, angielskimi i francuskimi przesuwano się na tymczasowe osiedlenie do Marokka.

Zresztą ostatni podpis gen. Sikorskiego był właśnie na instrukcji wydanej mnie 4 lipca 1943 w powyższej sprawie. (Jest w Muzeum). Miałem do pomocy tylko jednego kaprała, odziedziczonego po moim poprzedniku, Komandorze Trzaska-Durskim. Niestety rangą byłem tylko podporucznikiem, co w wojsku angielskim *nic* nie przedstawiało. Mój kolega szef Misji Amerykańskiej był Generałem, Misji Belgijskiej podpułkownikiem, Misji Francuskiej pełnym podpułkownikiem i admirałem, nawet szef Misji Czeskiej był podpułkownikiem. Z tych wszystkich Misji ja miałem najwięcej roboty, bo najwięcej było polskich ochotników. Ranga moja nie pomagała mi w robocie i dziwiła bardzo władze angielskie. Przedstawiałem parokrotnie ten problem korespondencyjnie w MON, ale zbywano mnie milczeniem. Chwała Bogu Gubernator MacFarlan był wielkim przyjacielem Polaków, nam niesłychanie oddanym i dzięki temu mogłem moją robotę jakoś z pozytywnym rezultatem prowadzić. Mój następca był już podpułkownikiem (Bełdowski), choć roboty miał grubo mniej, bo fala przybywających Polaków wybitnie się zmniejszyła, choćby dlatego, że opróżniono kompletnie obóz hiszpański Miranda del Ebro i władze hiszpańskie, przesunawszy swoje sympatie do Aliantów, nie robiły już żadnych trudności Polakom w Hiszpanii. O ile pamiętam 26 maja rano, i to wcześniej, przyleciał generał Sikorski wraz z otoczeniem do Gibraltaru. Miał pozostać cały dzień, by dopiero wieczorem lecieć dalej do Kairu i na Bliski Wschód dla przeprowadzenia inspekcji Armii Polskiej i przeprowadzenia szeregu rozmów politycznych.

Jak już wspominałem, Gubernator Mason MacFarlan był nie tylko wielkim przyjacielem Polski i Polaków, ale bardzo był oddany gen. Sikorskiemu, którego poznał w Moskwie, gdzie był Szefem Brytyjskiej Misji Wojskowej. Ucieszył się też bardzo z tego przyjazdu i chciał mu pobyt jak najbardziej umilić, żeby wiedział, że jest wśród oddanych przyjaciół.

Gen. Sikorski wylądował Liberatorem (specjalny samolot dla VIP, którym normalnie latał podobno Eden). Załoga była mieszana, pilotem był Prchala). Po odpoczynku i lekkim przespaniu

się oraz śniadaniu Gubernator zabrał Generała samego bez świadków (bo to ścisła tajemnica i bardzo strzeżona) po fortyfikacjach gibraltarskich i różnych instalacjach podziemnych, które już wtedy były podobno wspaniałe i na ukończeniu. Ciągłe jeszcze bowiem groziła inwazja niemiecka.

Jako że właśnie poprzedniego dnia załadowałem na statki większą ilość polskich żołnierzy, jadących do Anglii i konwój jeszcze stał w porcie, pojechaliśmy motorówką do tych żołnierzy *in spe*, by Generał mógł ich zobaczyć, przywitać i pogadać. Robiło to zawsze Generałowi wielką przyjemność, tym bardziej, że była to ilościowo dość poważna grupa.

Po obiedzie w rodzinnej — że tak powiem — atmosferze, Generał położył się, otoczenie poszło na spacer, zaś pani Leśniewska na tenisa. Pogoda była piękna i ciepło. Generał więc po wstaniu zaproponował mi, żebyśmy poszli na spacer nad morze, bo chciał przy okazji bez świadków pomówić ze mną o mojej pracy, o Misji Wojskowej i o ludziach, którzy tędy już przeszli i mogą jeszcze przejść.

Poszedł z nami tylko adiutant Generała, por. Ponikiewski, ale trzymał się z dala i rozmowy w ogóle nie słyszał. Po spacerze usiedliśmy na ławce nad morzem. Generał był w doskonałym humorze, wypoczęty i wyraźnie cieszył się, że wyrwał się z Londynu i że ma przed sobą głównie pracę czysto wojskową, mniej polityczną, i że będzie wśród swoich żołnierzy. Nie taił jednak że ostrzegano go, że ta inspekcja może być brzemienne w skutki i że nawet mogą grozić mu pewne „niebezpieczeństwa”. Poza tym Generał był zadowolony z pobytu w Gibraltarze, ze spotkania się już tutaj z polskimi ochotnikami i wiadomościami, które mu Gubernator przekazał co do pracy Misji Polskiej, nowych zadań (udział w inwazji Północno-Afrykańskiej przy Armii gen. Andersona i możność wydobycia stamtąd większej ilości Polaków, którzy albo przedarli się z Francji do Algieru i Tunisu i tam utknęli, lub jako jeńcy wojenni dostali się w ręce angielskie, bo byli przymusowo wcielani do Armii Rommla). Ja z kolei meldowałem wszystkie nasze zmartwienia i kłopoty, bo właśnie wróciłem z Algieru, gdzie pojechałem w wyżej wspomnianych sprawach. Mówiłem o konieczności stworzenia z czasem osobnej placówki w Afryce Północnej, gdyż po poddaniu się całej Armii niemieckiej powinna znaleźć się tam znaczna ilość Polaków, których po uprzednich przebadaniach powinno się wcielić do Wojska Polskiego.

Widząc dobre nastawienie i humor generała Sikorskiego, poz-

woliłem sobie i ze swojej strony przekazać mu informacje, które miałem z Bliskiego Wschodu o nastawieniu znajdujących się tam żołnierzy, o pewnych tarcjach pomiędzy żołnierzami, którzy przybyli z Rosji i tymi, którzy znaleźli się tam od początku (Brygada Karpacka) i oficerami tak zwanej drugiej grupy, która nie miała nic do roboty, a chciała być dalej użyteczna i nie całkiem odstawiona na bok. Ostrzegałem, żeby Generał nie dawał wiary różnym plotkom i wiadomościom przekazywanym z tamtego terenu od ludzi, którzy może byli na poważnych stanowiskach, ale którzy błędnie oceniali sytuację, będąc wręcz wrogo nastawieni do ludzi z tzw. Sanacji lub do piłsudczyków, których niepotrzebnie tępił, swoje własne rozgrywki mając przede wszystkim na oku. Czas byłby wreszcie skończyć z tym dzieleniem Polaków na dobrych i niedobrych! Wszyscy chcą przecież jednej rzeczy, to jest brać czynny udział w walce o wolność naszej Ojczyzny, o ile możliwości z bronią w rękę, a nie być przedmiotem takich czy innych rozgrywek politycznych. Mając też wiadomości z kraju za pośrednictwem kurierów AK, którzy czasem szli i przez Gibraltar, mówiłem że w kraju, w warunkach grubo cięższych i niebezpiecznych, tych rozgrywek nie ma i że duża ilość piłsudczyków bierze czynny udział we wszelkich pracach w walce o prawdziwą niepodległość Polski. Właśnie teraz jest moment, żebyśmy wszyscy pracowali tylko dla jednego celu, odkładając na bok takie czy inne personalne rozgrywki. Głównie młodzież w moim wieku nie może zrozumieć tych walk podjazdowych i tępienia porządnych Polaków, tylko dlatego że brali udział w rządach przed wojną lub też byli w BBWR czy stronnictwie rządowym.

Twierdziłem, że nie mogę uwierzyć w takie czy inne plotki, że szykuje się zamach na generała Sikorskiego, a wręcz przeciwnie, pewny jestem, że Generał stwierdzi sam jak wszyscy będą gotowi do zwarcia szeregów wokół naszych władz, pod warunkiem, żeby ich nie kopano i nie odsuwano od jakiegokolwiek roboty. Generał nie był bardzo przekonany, ale powiedział: „No, zobaczymy, jak będę tędy wracał, powrócimy jeszcze do tej rozmowy”.

Potem, widząc że jest jeszcze czas, nagle powiedział: „Widzę, że jest Pan zainteresowany nie tylko swoją obecną pracą, ale i w szerszym znaczeniu całokształtem polskiego problemu. Wiem, że Pan był w Rumunii u boku Pana Becka i że z racji swojego nastawienia do niego miał Pan różne przykrości nie tylko we Francji, ale i w Anglii. Zapomnijmy na chwilę, że jestem Premierem i Naczelnym Wodzem, a że Pan jest podporucznik-

kiem. Porozmawiajmy przez chwilę jak Sikorski z Łubieńskim”. Odpowiedziałem, że jestem gotów. „Niech więc Pan mi powie, jakie jest rzeczywiste zdanie Pana o Panu Beck, o jego roli w Rządzie Polskim, o jego nastawieniu po klęsce wrześniowej i o warunkach pobytu w Rumunii”.

Odpowiedziałem prosto z mostu. „Panie Generale, uważam i uważać będę zawsze, że minister Beck był i jest jednym z naszych wielkich mężów Stanu, że zdrajcą nigdy nie był i nie będzie, że próbował ratować to, co się da i że ostatecznie nikt inny nie doprowadził do tego, że o Polskę wybuchła wojna światowa, a właśnie on. Że był zawsze lojalny wobec kolegów w Rządzie i że głównie dlatego pozostał w Rumunii, chcąc ratować innych, a nie myślał tylko o sobie — boć przecież zaraz na początku, po przekroczeniu granicy rumuńsko-polskiej, miał jeszcze możliwości, by natychmiast z Rumunii wyjechać. Nie zrobił tego, bo uważał — licząc, może błędnie, na lojalność naszej ambasady i Aliantów — że potrafi przekonać Rumunów (jako naszych sprzymierzeńców), by cały Rząd wypuścili dalej, a głównie Prezydenta RP, by móc zastosować raz jeszcze „cas Belgue” z Pierwszej Wojny Światowej i dalej walkę prowadzić o Polskę. Sam, po dymisji Rządu, zgłosił się zaraz do wojska, lecz niestety przyjęty nie został. Próbował różnych potem ucieczek z Rumunii, które niestety były głównie torpedowane nie tyle przez Rumunów i Niemców, ile przez władze polskie i francuskie. Że pozostawienie go na pastwę niemiecką w Rumunii jest wielkim błędem, a nawet zbrodnią”. Na ostatku, może śmiało i bez względu na rozmówcę, powiedziałem: „Kiedyś, Panie Generale, historia oceni należycie tego człowieka, a tych którzy nie dopuścili do jego wyjazdu z Rumunii i pozostawili go na łaskę i niełaskę niemiecką odpowiednio osądzi i należycie potraktuje, bez względu na potem zajmowane stanowisko”.

Generał, jak to usłyszał, zaczerwienił się, wstał i powiedział: „Jan Pan śmie takie rzeczy mówić, to jest prawie obraza Majestatu Rzeczypospolitej, gdyż ja Ją teraz przedstawiam. Oddam Pana pod Sąd Wojenny za takie postępowanie wobec Naczelnego Wodza i za Pana bezczelność”. Potem krzyknął do siedzącego opodal na innej ławce adiutanta. „Porucznik Ponikiewski do mnie”. Ja też wstałem z ławki i w postawie zasadniczej czekałem, nic nie mówiąc. Po paru sekundach generał Sikorski patrząc się na mnie, krzyknął: „Dlaczego Pan nic nie mówi, ani się nie broni, cóż Pan języka nagle zapomniał — stoi Pan jak kij i milczy?”. Odpowiedziałem: „Melduję posłusznie, że

nie mam nic do powiedzenia, ani nie mam zamiaru się bronić. To było i jest oraz będzie moje zdanie. Przecież Pan Generał sam to wywołał, mówiąc przedtem, że mam zapomnieć z kim mówię i kim jestem, ale że mam mówić tylko prawdę i to co uważam". W tej chwili podszedł do nas por. Ponikiewski, dość zmieszany, bo zorientował się, że sytuacja jest naprężona. Wówczas — przyznam się, że ku mojemu wielkiemu zdziwieniu — gen. Sikorski ciągle jeszcze czerwony na twarzy, popatrzył na mnie, położył mi rękę na ramieniu i powiedział: „Przepraszam, uniosłem się niepotrzebnie i zapomniałem o naszej 'umowie'. Hardy to Pan jest, ale też i młody. Nie mam zamiaru Pana karać, a przeciwnie, siądźmy sobie jeszcze i pogadajmy na ten temat bardziej dokładnie, bo to jednak bardzo mnie interesuje”.

Adiutanta zaraz odesłał z powrotem na inną ławkę i wdał się ze mną w dyskusję. Opowiadałem więc mu szeroko całe nasze przeżycia w Rumunii, organizowane próby ucieczek, różne interwencje pozytywne i negatywne różnych ludzi, Polaków, Anglików i Amerykanów, oraz krecią robotę rumuńską, niestety głównie przedstawiciele prof. Kota w Bukareszcie, wszelkie wysiłki Gestapo, żeby ministra Becka skończyć, całą siatkę ludzi różnych narodowości, która nas pilnowała, interwencje tureckie, angielskie i amerykańskie, żeby nam pomóc, etc.

Wieczór zapadał i trzeba było wracać do pałacu Gubernatora. Generał Sikorski wstał i powiedział: „Dużo rzeczy Pan mi powiedział, nie zawsze miłych, ale powrócimy do tej rozmowy, jak będę tędy wracał do Londynu. Będę sprawdzał na Bliskim Wschodzie to co Pan mi teraz mówił, a na dowód że nie mam już do Pana żadnej pretensji, a przeciwnie oceniam Pana śmiałość i lojalność wobec swojego poprzedniego szefa — mianuję Pana z dniem dzisiejszym porucznikiem. Dawno już Panu się ten awans należał, ale właśnie wobec Pana były zawsze opory. Polecę to w Londynie zaraz załatwić, proszę zaraz nałożyć odpowiednie odznaki, bo i Gubernator się tym ucieszy, jako że o Panu specjalnie miło się wyrażał”.

W parę dni potem przyszło potwierdzenie mojej nominacji z MON. Wróciliśmy do pałacu i po kolacji w ścisłym gronie, generał Sikorski i otoczenie wylecieli tym samym samolotem dalej do Kairu.

Minęło sześć tygodni. 3 lipca 1943 roku w południe dostałem telefoniczny rozkaz stawienia się u Gubernatora. Gdy przybyłem, oświadczono mi, że po południu będzie lądował gen. Sikorski wraz z otoczeniem w drodze do Londynu; ponieważ jest

bardzo zmęczony, prosi o możliwość noclegu i wypoczynku, i odlotu dopiero nazajutrz, znów w nocy, do Londynu.

Ledwo wróciłem do biura, nowy telefon, żebym natychmiast znów się zgłosił. Gdy wszedłem do gabinetu Gubernatora, powiedział mi: „Sprawa się komplikuje, właśnie dostałem prośbę, też o nocleg, od Ambasadora Majskiego z Londynu, który leci na wezwanie Stalina do Moskwy. Właśnie teraz, w tym momencie (po zerwaniu stosunków dyplomatycznych) nie mogę mieć tych dwóch gości pod jednym dachem. Co zrobić, tym bardziej, że przelot gen. Sikorskiego trzeba utrzymać w najgłębszej tajemnicy, ze względu na lotnictwo niemieckie?”. Powiedziałem: „Trudno mi coś radzić, bo nie wiem, kogo Ekscelencja woli mieć jako gościa”. Gubernator rozsierzdził się: „Głupi jesteś Lulu, wiesz chyba dobrze kogo chcę tu mieć, ale jak z tego impasu wyjść, nie obrażając nikogo i nie dając zarazem żadnych powodów do tarć dyplomatycznych między Aliantami i jednocześnie utrzymując tajemnicę”. Powiedziałem: „Chyba jest to do rozwiązania. Przelot z Londynu dniem jest jeszcze ciągle niebezpieczny, nocą mniej. Niech Ekscelencja powie, że dom jest pełen, że lot dniem jest niebezpieczny i że Pan proponuje, by Majski wyleciał nocą, wtedy o świcie będzie w Gibraltarze. Tu Ekscelencja chętnie zaprosi Majskiego na pierwsze śniadanie, da mu możliwość wykąpania się i krótkiego odpoczynku, a potem już dniem może dalej lecieć do Kairu, bo lot nad Morzem Śródziemnym jest już bezpieczny. Przez ten czas zatrzymamy gen. Sikorskiego i otoczenie w ich pokojach, żeby Majski w ogóle o tym się nie dowiedział”. Tak się i stało.

Generał Sikorski wylądował około 4-tej po południu i zaraz przejechał do pałacu Gubernatora, a gdy dowiedział się o tych trudnościach, oświadczył, że nie chce robić swoją osobą żadnych kłopotów i gotów jest zaraz startować dalej, choć jest zmęczony i chciałby choć 24 godzin w Gibraltarze pozostać. Gubernator naturalnie to samo mu oświadczył co mnie, i zarazem powiedział, że jest już potwierdzenie z Londynu, że amb. Majski bardzo jest wdzięczny i że tak przyleci, jak zostało zaproponowane. Umówiliśmy się, że gen. Sikorski i otoczenie tak długo pozostaną w swoich pokojach, aż ja się nie zgłoszę, oświadczając, „że powietrze już czyste”.

Ambasador Majski rzeczywiście około 4-tej nad ranem dnia 4 lipca wylądował samolotem rosyjskim z obsługą też rosyjską. Był w pałacu Gubernatora kilka godzin i około 9-tej rano wyleciał dalej do Kairu. Samolot rosyjski został zaparkowany tuż

koło samolotu angielskiego, którym przyleciał generał Sikorski. Warta była zaciągnięta przy obu samolotach.

Generał Sikorski zaraz się położył i przeprosił, że na kolację nie zejdzie. Kazał tylko mnie jeszcze przyjąć na górę. Gdy się zameldowałem, zapytał mnie o wiadomości z terenu Gibraltaru. Odpowiedziałem, że jest właśnie bardzo poważna grupa nowych ochotników polskich, gotowa do jazdy do Londynu i że Gubernator chce następnego dnia zorganizować ich przegląd. Generał zgodził się z całym programem i oświadczył: „Pamiętam dobrze naszą rozmowę temu 6 tygodni. Wiele byłoby mówić na ten temat, ale dziś jestem zmęczony. Stwierdzam tylko, że wiele wiadomości które miałem od Pana w związku z sytuacją na Bliskim Wschodzie sprawdziłem i są zgodne. Trzeba wszelkimi siłami dążyć teraz, by wszystkich Polaków właśnie teraz, gdy sytuacja polityczna jest tak groźna, skupić razem i dać każdemu możliwość wykazania się swoją pracą, bez względu na jego przeszłość polityczną, pod warunkiem, żeby był tylko dobrym i uczciwym Polakiem. Przekonałem się, że wielu moich doradców w Londynie nie jest na poziomie i że tylko intrygują i robią przez to krzywdę Polsce. Albo się zmieniają, albo muszą odejść. Głównie takie osoby jak prof. Kot, gen. Modelski i niektórzy inni politycy rzucają mi kłody pod nogi i robią złą robotę. Piłsudczyków trzeba koniecznie wciągnąć do pracy, by stworzyć jedną wielką polską rodzinę. Przecież nawet sam kazałem teraz grać w Jerozolimie 'Pierwszą Brygadę', by wykazać moje zmienione nastawienie. Muszę szereg ludzi w wojsku i w Rządzie przetasować i powymieniać. Również po rozmowach z ambasadorem Sokolnickim i innymi urzędnikami z dawnego MSZ, postanowiłem — jeżeli to jest jeszcze możliwe — wyciągnąć ministra Becka z Rumunii. Anglicy nam w tym pomogą. Podobno jest bardzo chory i na początku wymaga kuracji w Egipcie. W związku z tym i że tu tę pracę którą Pan robi, może robić teraz ktoś inny, chcę Pana ze sobą zabrać do Londynu i po naradach tamże wysłać Pana do Turcji, by stamtąd próbował Pan wyciągnąć Becka. Niech to będzie dla Pana satysfakcją, że Pana na to wytypowałem. Niech się Pan tylko zapyta pilota, czy jest jeszcze jedno miejsce wolne w samolocie i czy ze względu na wagę możemy Pana zabrać. Resztę omówimy jutro i załatwię też wszystko z Gubernatorem. Również mam dla Pana jutro inną jeszcze niespodziankę. Dobranoc Panu”.

Uradowany, odmeldowałem się. Przez władze angielskie zapytałem pilota, czy mogę się zabrać. Odpowiedział, że jeżeli nie

będę miał żadnego bagażu, to jeszcze może mnie zabrać. Zacząłem się więc zbierać do odjazdu. W nocy jednak nagle dotarł do Gibraltaru kurier z AK z Warszawy, niejaki Gralewski, młody chłopak, który dość długo szedł przez Niemcy i Francję. Rano zabrałem go do Szefa Sztabu gen. Klimeckiego i płk. Mareckiego. Po chwili zabrali go do gen. Sikorskiego.

Po pewnym czasie zostałem wezwany do Generała. Tam zakomunikowano mi, że ponieważ jest jeszcze jedno miejsce w samolocie i ponieważ jest sprawą bardzo pilną, by ten kurier jak najszybciej dostał się do Londynu, gdyż ma ważne zaszyfrowane wieści z kraju i AK, a na to czasu teraz nie ma w Gibraltarze, zajmie on moje miejsce, a ja mam przylecieć kilka dni później — moja misja do Turcji nadal jest pilna i teraz nie trzeba tracić ani chwili, jeżeli się chce jeszcze uratować ministra Becka z Rumunii.

Generał Sikorski na zakończenie rozmowy uśmiechnął się i powiedział: „A oto moja niespodzianka. Dużo Pan przecierpiał, chcę Panu wykazać, że cenię Pana nadal i chcę to Panu wynagrodzić. Mianuję więc Pana z dniem dzisiejszym kapitanem. Nie mam już czasu ani potrzeby telegrafować o tym do Londynu, sam to załatwię i nominację otrzyma Pan na miejscu, po przybyciu”.

Potem wszyscy zeszlśmy na dół. Gubernator przygotował wielką paradę wojskową. Angielska kompania honorowa. Przegląd całej grupy polskiej pod dowództwem por. Różyckiego i możliwość rozmowy z nimi. Wszyscy byli już umundurowani. Potem obiad, przed którym Generał uroczyście dekorował wysokimi polskimi odznaczeniami Gubernatora, Admirala i Marszałka Lotnictwa. Po obiedzie, jako że był to 4 lipca, a więc Święto Amerykańskie, Generał kazał posłać depezę do Prezydenta USA i postanowił wziąć udział w przyjęciu organizowanym z tego powodu przez Szefa Misji Amerykańskiej. Z panią Leśniowską poszliśmy jeszcze na miasto, by kupić parę drobiazgów — upominki dla jej rodziny i trochę owoców południowych, których w ogóle nie było wtedy w Anglii.

Wieczorem kolacja była już w prywatnym gronie. Generał był w doskonałym humorze. Jego otoczenie również. Parokrotnie powtarzał, że choć sytuacja jest bardzo skomplikowana i niebezpieczna dla Polski, wierzy że jednak Polska odzyska pełną niepodległość i wolność. Liczył bardzo na poparcie Churchilla, gdyż miał już z nim umówione spotkanie zaraz po powrocie.

Chciał też od razu lecieć dalej do USA. Wierzył, że uda mu się wszystkich Polaków połączyć i skupić wokół siebie i Rządu. Robił szerokie plany połączenia wszystkich wojsk polskich w jedną całość i marzył, że wówczas będzie w stanie objąć osobiście dowództwo nad całością i poprowadzić te oddziały do walki.

Szkoccy kobziarze chodzili naokoło stołu i przygrywali gościom. Gubernator robił wszystko, żeby goście dobrze się czuli. O 10.30 wieczór zawiadomiono nas, że pilot chce startować o 11-tej wieczór i że prosi o przyjazd na lotnisko. Bagaż już poszedł wcześniej. Pojechaliśmy wszyscy na lotnisko. Tym razem grupa żegnających była grubo większa. Całe dowództwo angielskie, szefowie alianckich Misji wojskowych. Minister wojny Sir James Grigg, który właśnie w tę samą stronę leciał, został w pałacu.

Dojechaliśmy do samolotu. Jeszcze chwila krótkiej rozmowy. Wreszcie pilot podszedł i zameldował, że samolot gotowy do lotu. Zaczęli się wszyscy żegnać. Otoczenie Generała pierwsze weszło do samolotu. Generał pozostał sam. Pożegnał się z wszystkimi, a bardzo serdecznie z Gubernatorem. Ja sam podprowadziłem go jeszcze do stopni samolotu. Generał, już jedną nogą na stopniu, odwrócił się do mnie, podał mi dłoń i rzekł: „No Panie Kapitanie, dziękuję za wszystko i do zobaczenia za parę dni w Londynie. Niech Pan tylko nie zwleka z przyjazdem. Do widzenia i z Bogiem”.

Salutując czekałem na zniknięcie Generała w samolocie. Kłapa się zamknęła.

Nie przypuszczałem, że ostatni uścisk dłoni Generała przeznaczony był dla mnie i że ostatni raz widzieliśmy go żywego.

Kilka chwil potem, na rozkaz Gubernatora, wszedłem do motorówki by rozpoznać zwłoki wyłowione z wody. Pierwsze ciało zawinięte w koc — to był Generał Sikorski.

Do Londynu, jako że wszystko się zmieniło, dojechałem dopiero kilka miesięcy potem, bo dopiero w listopadzie. Podobno były robione starania o wyciągnięcie ministra Becka z Rumunii, ale nie doszły one do skutku. Minister Beck zmarł 6 czerwca 1944, w dniu lądowania Aliantów w Francji, nadal będąc więziony przez Rumunów i to w okropnych warunkach.

Ludwik ŁUBIENSKI

W MOSKWIE: MIĘDZY STALINEM A DE GAULLEM*

Do poniższego tekstu, napisanego w styczniu 1945 roku, wprowadziłem jedynie nieznaczne poprawki stylistyczne i wykreśliłem z niego kilka sądów o uczestnikach wydarzeń. Wyraża on mój ówczesny stan ducha. Uwagi, poczynione 36 lat później, precyzują pewne fakty, głównie w oparciu o archiwa MSZ.

Jesienią 1944 roku byłem w Genewie. Od końca sierpnia konsulat generalny w miarę swych sił starał się reprezentować Rząd Tymczasowy. Pełniłem w nim funkcję *chargé d'affaires* dopóki nie mianowano konsula generalnego.

Gdzieś w połowie listopada nadszedł z Paryża telegram: „Czy nie mógłby Pan być tłumaczem z rosyjskiego przy poważnych pertraktacjach międzynarodowych?”. Odpowiedziałem, że rosyjski wprawdzie znam, ale nie mam żadnej praktyki w tłumaczeniu. Po trzech dniach dostałem kolejny telegram: „Proszę natychmiast przyjechać do Paryża”.

Drogi zalane, koła się ślizgają, ale wreszcie 21 listopada przyjeżdżamy do Paryża. Zdążyłem zatelefonować do Pierre'a Pascala i jego żony w Neuilly, zajechać do nich, zdrowych i serdecznych, żeby pożyczyć podręczny słownik. Wylecieliśmy z Bourget w piątek 24 listopada — a wróciliśmy na Orly 17 grudnia. Słownik przepadł bez śladu. Został gdzieś w Moskwie.

Pierre Pascal dawno mi wybaczył. Już poprzednio egzaminując mnie z rosyjskiego przy egzaminach konkursowych do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, z wyrozumiałością przysłuchiwał się moim potknięciom i błędom.

Niechaj opowieść o podróży, w której towarzyszyły mi jego poglądy i myśli, będzie dzisiaj wyrazem mojego hołdu dla Pierre Pascala; po raz pierwszy spotkałem go w 1934 roku i przez wszystkie następne lata doznałem od niego jedynie dobrodziejstw: nie szczędził mi mądrych rad, zachęty i przyjaźni.

Maj 1981

* *Revue des études slaves*, t. 54, fasc. 1-2, Paryż 1982.

I

Z Paryża do Baku lecimy przy słonecznej pogodzie. Dzień w dzień przyjęcia i obiady, interesujących spotkań niewiele. W Tunisie poprosiłem, żeby mnie przedstawiono Generałowi. „Bardzo mi miło pana poznać” — mówi uprzejmym, głębokim głosem. Jest rzeczywiście bardzo wysoki, trochę ciężkawy; worki pod skupionymi oczami zdradzają zmęczenie, które zniknie stopniowo w trakcie podróży. Nos ma ogromny, jakby niezależny od reszty twarzy. Nieczęsty, ale szeroki uśmiech, obnażający wszystkie zęby. Cały wygląd Generała przypomina jakieś potężne zwierzę — niektórzy twierdzą, że dinozaura, mnie przypomina raczej dużą, zamysloną i wyniosłą małpę. Ale duch, który ożywia tę wielką maszynę jest nadzwyczaj ludzki. To on każe mu zwracać się do spotkanych na salonach kobiet bez pustych komplementów, być zawsze prostolinijnym, bezpośrednim, godnym. Nie ma w nim śladu nieśmiałości, o której tyle się mówi, jedynie pragnienie, aby nie zwracać na siebie uwagi, unikać popularności i pochlebstw.

W Teheranie zebrała się kolonia francuska, jak zawsze trochę dziwna: usłużne starsze panie, emerytowani wojskowi, trochę młodych kędzierzawych ludzi — miejscowych Francuzów.

Generał wygłasza krótkie przemówienie, bardziej wzruszające niż bywa jego silny głos w radio: „Zbliżyliśmy się do ostatniego etapu — do zwycięstwa. Nie, źle się wyraziłem, mówiąc — do ostatniego. Po zwycięstwie nastanie pokój, a wraz z nim wielkość kraju, którą każdy powinien podtrzymać i do której wszyscy winniśmy się przyczynić. W ten sposób rzeczywiście odbudujemy Francję. Niech żyje Francja!”.

Następnego dnia w poniedziałek 27 listopada udaje nam się jeszcze dolecieć do Baku. Ale poczynając od tej chwili trzeba się dostosować do warunków atmosferycznych, a także do wymogów władzy sowieckiej. Specjalny pociąg, który przejeżdża przez Stalingrad dowozi nas do Moskwy. Po locie nad ołowianym Morzem Kaspijskim, ledwo widocznym w przerwach między gęstymi kłębami chmur, lądujemy w Baku. Natychmiast popychają mnie w stronę Generała — trzeba tłumaczyć. Po przywitaniu, które nie wymagało dużego zapasu słów, nieco zbyt głośna orkiestra gra Marsylianekę, w kilku taktach nieco uproszczoną (zapewnie były zbyt „zachodnie”); w oddali łopoczą na chłodnym wietrze czerwone i trójkolorowe proporczyki. Pasują do siebie, przypominając barykady i radosny lud odzyskujący wol-

ność w słońcu Ile-de-France. Ale jesteśmy w Baku. Sowiecki hymn przypomina nam o potędze imperium Sowietów. Wsiadamy do samochodu razem z zastępcą przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych Azerbejdżanu, malutkim, uprzejmym, pełnym gorliwości południowcem. Ledwie wjeżdżamy do Baku, spostrzegam ludzi ubranych w bezkształtne kapoty, w białych zawojach na głowach, wyliniałe, brudne domy, wyboiste jezdnie. Poznaje stary Związek Sowiecki — nic się nie zmienił przez cztery lata¹. Zastępca przewodniczącego co jakiś czas usprawiedliwia się: „To wszystko wojna, nie mogliśmy remontować, utrzymywać miasta w dobrym stanie, jak przedtem”. „Tak, tak” — mówi generał, ślizgając się chwilę półsennym wzrokiem po ubogim tłumie. Przyjechalśmy. Szybko wysiadamy z samochodu. Jacyś ludzie usłużnie otwierają drzwi windy, wprowadzają Generała sztywnego jak posąg. Drzwi się zamykają, winda nie rusza. Bezskuteczna krzątania wokół zamka. Generał stoi prosto jak święty w niszy, z nieruchomą twarzą. Wreszcie jakiemuś oficerowi milicji udaje się, nie pamiętam już w jaki sposób, skłonić windę do ruszenia.

Na czwartym piętrze czeka na nas apartament z roku 1900: białe firanki, mereżki, ozdoby z kwiatów, meble w pokrowcach, których zadaniem nie jest ochrona, lecz ozdoba, palmy koło okna wychodzącego na szary, zamglony port.

Podają obfite śniadanie; tak bogate, że po chwili wszyscy tracą apetyt. Kelnerzy są zrozpaczeni, zwłaszcza jeden, uprzejmy i potulny jak stary spaniel, w starannie reperowanych i obielonych tenisówkach, po których od razu można poznać naturę pedantyczną, pokorną i zdyscyplinowaną. „Proszę skosztować, to bardzo smaczne” — przekonywująco mówi do mnie, spostrzegłszy, że rozumiem po rosyjsku. Generał mało pije, mało je. Słucha uprzejmości przewodniczącego i moralizatorskiej mowy Bogomołowa, sowieckiego posła w Paryżu, na które zwięźle odpowiada. Chciałby jak najszybciej kontynuować podróż, ale na wieczór zaplanowano wizytę w operze. Odjedziemy dopiero we wtorek o 11-tej.

Śmiertelnie długi wieczór w teatrze. Nie wiedząc co ze sobą począć, rozglądam się po sali. To jeszcze nie Rosja, ale już ZSSR. Dużo wojskowych, mniej biedoty niż na ulicach. W przerwach Generał przed przeładowanym stołem wypija kieliszek

1. Okres mojego pierwszego pobytu w ZSSR we francuskim poselstwie, którym kierował wówczas Erik Labonne z pomocą Jean Payarta. Pierwszy miał sprawny, wizjonerski umysł, drugi był raczej człowiekiem intuicji, doświadczenia i rozwagi.

wina i wita się z artystami. Wracając do swojego pokoju siada i mówi do adiutanta: „Wszystko to bardzo miłe, ale jak na razie niczego nie załatwiliśmy”.

Następnego dnia pociąg powoli opuszcza Baku. Przed nami podróż przez całą Rosję. Usadowiłem się w salonce Generała, „najnowszy wagon pancerny” — mówił Bogomołow. „Może i pancerny, ale na pewno nie najnowszy” — odpowiadamy, wskazując na zasłony z pomponami i meble godne Wielkiego Księcia. „Owszem, owszem — upiera się Bogomołow — taki jest styl salonek”. W tym pałacu znajdują się także dyrektor gabinetu Gaston Palewski, porucznik Guy, Bogomołow i jego sekretarz Ratiani, zabawny, błady, dwuznaczny Gruzin. Pociąg jedzie wzdłuż Morza Kaspijskiego. Wieczorem dowiaduję się od szefa ochrony, że droga potrwa pięć dni. Ostrożnie przekazujemy tę informację Generałowi. Burczy trochę, ale w gruncie rzeczy ten wymuszony urlop dość mu się podoba, a może nawet jest mu potrzebny.

W nocy korzystamy z postoju i wychodzimy odetchnąć świeżym powietrzem. Generał wkłada futro i przechadza się ze mną i Guy'em. „Bardzo przyjemna podróż, dałby tylko Bóg, żeby w tym czasie we Francji nie wybuchła rewolucja”.

Posiłki są długie i nudne. Bogomołow poucza nas o wszystkim. Jego wykłady są męką dla mnie, bo nieustannie prosi mnie, abym mu podpowiedział właściwe słowo. Nie sposób się skupić. Generał niekiedy wtrąca się do rozmowy. Któregoś wieczoru mówiliśmy o francuskiej Afryce ekwatorialnej i o powstaniu wolnej Francji. Widać, że jest do tego okresu przywiązany uczuciem najgłębszego patriotyzmu. Często pewnie upadał na duchu, zachował więc wdzięczność dla tych, którzy przyszli mu z pomocą w tych trudnych dniach. Nagle pochyla się do przodu, opiera się łokciami o stół: „Rozumie Pan, Panie Ambasadorze, tak właśnie odwojowaliśmy Francję, niemal gołymi rękami”. Twarz mu się ożywia, kiedy mówi o historii, nie tylko Imperium, ale o historii Francji w ogóle. Po wielowiekowej historii Francji porusza się jak po własnym domu. Kiedyś wieczorem, gdy pokazywał jakim krokiem maszerowali żołnierze starej monarchii, boski albo w drewnianych trepach, przypomniał mi się Péguy rozmawiający z Halévyem o żołnierzach II roku. Bogomołow wdaje się trochę nietaktownie w rozmowę o Vichy, gdzie był *chargé d'affaires*. Innego wieczoru Generał przerywa mu: „Dla ludzi Vichy charakterystyczne było to, że zawsze chcieli stawiać na jedną kartę, to niemiecką, to angielską, to raz nawet rosyjską. My natomiast

nie gramy. Dla nas istnieje tylko Francja. Nie gramy ani na rzecz Anglików, ani nawet na rzecz Rosjan”.

Począwszy od Armawiru zaczynamy dostawać miejscowe gazety, których jałowość jest wprost rozpaczliwa. Tłumaczę je Generałowi. Interesuje go w nich wszystko. Wyraźnie chce sobie wyrobić obraz kraju, w którym się znajduje. Nie ukrywam przed nim, że nudzą mnie te bezbarwne, wyłącznie propagandowe artykuły.

Kiedys przy kolacji rozmawialiśmy właśnie o propagandzie. „Propaganda nigdy niczemu nie służy — mówi Generał — jeśli nie jest poparta faktami. Potrzebne są twarde fakty. One zastępują wszelką propagandę”. Bogomołow zgadza się z tym poglądem, chociaż jest to wyrok na jedną z podstaw ustroju, który reprezentuje.

W Mozdoku wychodzimy na peron. Wzdłuż odgruzowanych torów sterczą osmalone ściany domów, wałają się pogruchotane czołgi i samoloty. „Nie należy zapominać, że Niemcy doszli aż tutaj. Widzicie, jak się teraz biją? To wielki naród, prawdziwie wielki. Eisenhowerowi w Belgii nic nie wychodzi. Nie wychodzi. Nie udało mu się. Do końca wojny jeszcze daleko...²”.

Wieczorami, kiedy nasi rosyjscy gospodarze szli spać, Generał dość często wracał do jadalni i wszyscy razem w głębokiej ciszy czytaliśmy. Niekiedy coś mówił. I to bardzo jasno: „Czego nam trzeba, to granicy na Renie. Chciałbym uzyskać poparcie Rosjan w negocjacjach z Anglosasami. Musimy mocno usadowić się na Renie, żeby nie mogli nas stamtąd wyprzeć”.

„Nie wydaje mi się — wtrąciłem nieśmiało — żeby powstały z tego powodu trudności z Rosjanami. Odpowiada im wszystko, co nas dzieli od Niemiec. Poprą nas na pewno, może nawet popchną na tę drogę”.

„Nie myślę jednak — ciągnął Generał — że zgodzą się w tej sprawie. Na to są zbyt ostrożni”.

„I ja nie myślę, że zwiążą się jakąkolwiek obietnicą. Pozostawiają nam swobodę ruchów i chętnie będą śledzić, jak wyciągamy za nich kasztany z ognia”.

„Stalin myśli, że mnie pokona przy pomocy komunistów. Bogomołow to profesor. Zapewnie pisze Stalinowi teoretyczne raporty. Niech pisze. Tutaj Stalin się myli. Mnie nie zbije tym z tropu. To jego słaby punkt”.

2. Uwaga ta, skierowana do Francuzów, zrodziła zapewne legendę, zgodnie z którą Generał miał powiedzieć Mołotowowi w Stalingradzie: „Co za wielki naród! Mam na myśli Niemców...”. Mołotowa w Stalingradzie nie było, a Generał de Gaulle nie był niepoczytalny.

Potem dość długo rozmawialiśmy o Anglikach, do których Generał nie czuł specjalnej sympatii. Nie ufał im i nie ukrywał tego. Jednak któregoś wieczoru znalazł taką formułkę: „W kwestiach ogólnych nie było nigdy między nami i Anglikami różnicy zdań. Poglądy nasze są zbieżne. Ale rozdziły się okropne tarcia za każdym razem, kiedy chcieli wtrącić się w nasze sprawy wewnętrzne...”.

30 listopada w południe pociąg przyjechał do Stalingradu, który kilometry naprzód zapowiadają zwały złomu żelaznego, po-gruchotanych czołgów i transporterów, skrzydła samolotów ze swastykami.

Dworzec w gruzach. Wychodzimy na plac, wokół którego sterczą jedynie wypalone ściany, kikuty domów. Samochody wiozą nas przez miasto, gdzie na pustych przestrzeniach wyrosły ubogie baraki; jedziemy na północ, do fabryki „Czerwony Październik”. Fabryka wypatroszona, hale pod gołym niebem, pełno odłamków. Słychać hałas dźwigów. Wszędzie remont. W centrum fabryki pracuje już sześć wielkich pieców. Płynna surówka wylewa się z nich na zamrożoną ziemię, z której dzień w dzień odkopują trupy. Robotnicy — bardzo dużo kobiet — są źle ubrani, twarze mają zamknięte i wrogie. Żadnej reakcji, cienia uśmiechu. We wszystkich halach wiszą transparenty z oficjalnymi hasłami: „Pracujemy jak na froncie... Zwiększając produkcję, ocalamy życie żołnierza...”. Na odchodnym Generał prosi, aby zwołano robotników; w kilku prostych słowach przekazuje im pozdrowienia od robotników francuskich. Jeden z nich odpowiada, reszta stoi w milczeniu. W drodze powrotnej zatrzymujemy się na pagórku nad zamrożoną Wołgą. Odbili go żołnierze generała Rodimcewa na początku października 1942. Nieco dalej wymijamy kolumnę ciężarówek załadowanych ludźmi, których pilnują żołnierze z bagnietami. „Co to za ludzie?” — pyta Bidault. „Zatrzymani” — odpowiada nasz przewodnik, jakby mowa była o kilku dniach spędzonych w komisariacie!

Obejrawszy film o Stalingradzie, wsiadamy znów do ciepłego i spokojnego pociągu, pełni wrażeń i poruszeni tym tragicznym widowiskiem: ruiny, leje po bombach, śnieg, roztopiona surówka, robotnicze baraki, w oddali rzeka, kolumna skazańców, zagadkowy, milczący tłum.

Wieczorem Generał zostaje ze mną na chwilę w jadalni. „To nie jest ustrój ludowy, w tej masie nie czuje się entuzjazmu. 11 listopada w Paryżu zupełnie inaczej wygląda — tam ludzie są wolni...”. Mogę tylko przytaknąć. Wydaje mi się, że rozmowy

potoczą się gładko, ale kwestia granicy na Renie mnie niepokoi. Czy nie ryzykujemy zablokowania wszystkich pertraktacji, jeśli odetniemy się od możliwości ustalania granic strategicznych, których Rosja, jak sama twierdzi, potrzebuje.

Pociąg jedzie wśród śnieżnego krajobrazu. Z rzadka widać przycupnięte na białej równinie wsie, niekiedy stacje obsługi maszyn rolniczych, bardzo rzadko cerkiew. Długo wpatruję się w ten pejzaż, w którym na chwilę daje się wyczuć tajemnicę Rosji. Na stacjach tłum chłopiek przyjaźnie oferuje nam jaja i cebulę. Jeden z nas szybko fotografuje grupę roześmianych uczniów na skraju peronu. Natychmiast rozgania ich milicja: „Rozejść się, nic tu po was”. Innym razem zwraca się do mnie jakiś podoficer: „Jadę z frontu zachodniego na turecki”, informuje mnie po chwili rozmowy. W tej samej chwili wzywa go milicjant i coś mu mówi. Podoficer oddala się i na odchodnym robi gest ręką, jakby chciał powiedzieć: „Cóż zrobić?”.

II

W sobotę 2 grudnia w południe pociąg wjeżdża do Moskwy. Na peronie rozpoznajemy okrągłą twarz Mołotowa — *pince-nez*, karakułowa czapka. Generał oświadcza, że zatrzyma się w ambasadzie, pozostawiając Bidault korzystanie z gościnności gospodarzy.

O szóstej wieczorem Bidault udaje się na Kreml na spotkanie z Mołotowem, zresztą bez większego znaczenia. O dziewiątej wieczorem wizyta Generała u Stalina. Nad sowieckim tłumaczem czuwa Garreau³, ja zostaję w domu. Następnego dnia, w niedzielę 3 grudnia o dziesiątej rano, msza we francuskim kościele Saint-Louis. Na trzeciej ławce sadowią się koło mnie trzej agenci NKWD. Obserwują ruchy publiczności, ale w czasie podniesienia nie bardzo wiedzą co robić. Dwóch siedzi dalej, trzeci klęka. W czasie błogosławieństwa wszyscy trzej trwają w ławkach. Reszta wiernych klęczy.

Po mszy przyjęcie dla miejscowych Francuzów w ambasadzie. Prawie ich nie ma, dwustu pięćdziesięciu przebywa jeszcze w środkowej Azji. Generał zabiera głos, mówi po prostu, jak w Teheranie. Pamiętam taki zwrot: „Naród musi być silny, wielki... i uczciwy” — dorzuca jakby dla siebie.

3. Roger Garreau, przedstawiciel Tymczasowego Komitetu Wyzwolenia a potem Rządu Tymczasowego w Moskwie od czerwca 1942 do stycznia 1945.

O drugiej po południu delegacja przybywa do Spiridonowki⁴ na pierwszy oficjalny obiad.

Zjawia się Litwinow, jak zawsze niechlujny, ale w mundurze ze złotymi galonami, Łozowski, Dekanozow⁵ — dwie miernoty z bródkami — i kilku dziarskich i bezpośrednich w obejściu generałów. Po kilku chwilach wkracza marszałek Stalin: niewysoki, w mundurze i czarnych oficerkach, kaczy chód, oczy przymrężone w fałszywym uśmiechu.

Gdzie się podział człowiek z granitu, człowiek monolit, którego pokazują oficjalne obrazy? Przed nami stoi sułtan, ukrywający się w zakamarkach seraju, z dala od światła i tłumy, pogrążony w swoich rachubach, kombinacjach i podejrzeniach. Żółtawa, blada twarz, obwisłe policzki, błyszczące, z lekka mętnej już oczy, siwawe, rzadkie włosy przycięte na jeża, starannie podstrzyżone siwy wąsy, głos cichy, ledwie słyszalny. Jak automat ściska wyciągające się doń drżące dłonie, a kiedy dochodzi do wniosku, że ceremonia skończona, zwraca się do Mołotowa: „Nikogo nie opuściłem?”. Po czym podchodzi do Generała i przy pomocy rosyjskiego tłumacza Podsieroba i mnie kontynuują przedobiednią rozmowę.

— Wczoraj świętował Pan zwycięstwo, Panie Marszałku.

— Aaa, kilka węgierskich miast, kilka miasteczek. Czego nam potrzeba, to Wiednia. Tam też idziemy⁶.

Potem następuje kilka uwag o szybkości ruchów armii, piechoty zmotoryzowanej, o zastosowaniu wojsk pancernych. Generał przytakuje. Uwagi zdradzają zdrowy rozsądek, znajomość spraw wojskowych, może nawet pasję.

Zaraz po tej rozmowie przechodzimy do stołu. Siadamy zgodnie z protokołem. Znajduję się na samym skraju i w rozmowie więcej nie uczestniczę. Już przy pierwszych zakąskach zaczynają się toasty: pijemy po kolei za wszystkich obecnych. Potem Mołotow znów podnosi kieliszek i jękając się nieco mówi: „Piję za naszą przyjaźń, za nasz sojusz...”.

To słowo zaskakuje. Nagle z drugiej strony stołu odzywa się bezbarwny głos starego wodza, poprawiający: „Nie za pakt w stylu Laval, a za prawdziwy sojusz...”.

Po obiedzie rozchodzimy się po salonach. Znajduję się pomiędzy Mikojanem i Dejeanem⁷, niedaleko od Litwinowa.

4. Stara moskiewska rezydencja, używana na oficjalne przyjęcia.

5. Cała trójka to zastępcy *narkoma* spraw zagranicznych

6. Sowieckie wojska wkroczyły do Wiednia 13 kwietnia 1945.

7. Maurice Dejean, dyrektor departamentu politycznego MSZ, w latach 1956-1964 ambasador Francji w Moskwie.

Mikojan — wygląd konspiratora, ponury wzrok — nie wychodzi poza zdawkowe, bezpieczne banały. Litwinow, któremu mówię, że przyjeżdżam z Genewy, wyraża nadzieję, że „pobyt w Genewie przed przyjazdem do Moskwy nie kompromituje mnie zbyt”.

O siedemnastej odjeżdżamy. Po krótkim odpoczynku w ambasadzie orszak znów rusza, tym razem do Teatru *Bolszowo*. Lokują nas w łoży carskiej. Po wejściu Generała z Mołotowem rozbrzmiewają trzy niekończące się zwrotki „Marsylianki”. Potem hymn sowiecki, oklaski. Publiczność jest ubrana przyzwyczajenie, kobiety na ogół na czarno, ale w prawdziwej czerni, nie w tych wyblakłych, trudnych do określenia barwach właściwych ubiorom sowieckim. Balet tańczy doskonale, lekko i z wdziękiem. Klasyczna perfekcja. W czasie przerwy Generał składa Mołotowowi wyrazy uznania. Podchodzi także Bidault, Mołotow korzysta z okazji: „Tancerze tańczą tak harmonijnie, jakby zawarli pakt o wzajemnej pomocy”. Żegnaj, wdzięku i lekkości!

W czasie drugiej pauzy dyskusja przybiera obrót bardziej konkretny. „Nasi prawnicy chcieliby wiedzieć, kto z Waszej strony będzie mógł ratyfikować pakt. Zgromadzenie Narodowe? Rada Ministrów?”. Pytanie to, skierowane najpierw do Dejeana, zwracają także do Bidault, aż wreszcie dochodzi ono do Generała. Wszyscy po kolei starają się im wytłumaczyć, że jest to szczegół formalny, łatwy do uzgodnienia, ale Mołotow upiera się jak pilny uczeń: „Zrozumcie Panowie, nasi prawnicy, sowieccy prawnicy są bardzo metodyczni...”, po czym nagle: „Zmieniając temat, jak Panu się podoba nasz balet, Panie Prezydencie?”.

Stalin nie pojawił się na żadnej z przerw. Jeśli zestawić ten protokolarny szczegół z naciskami kładzionymi na ratyfikację paktu, słowa Mołotowa można interpretować dwojako:

- jako asekurację na zbyt gładkiej drodze paktu. Trzeba się móc wycofać, jeśli...
- jako przypomnienie, że jesteśmy tylko „rządem tymczasowym”, przejściowym, i żebyśmy sobie za dużo nie wyobrażali.

Przy wyjściu Generał nachylił się w stronę Mołotowa i rzucił niewinnie:

- Czy podpisaliście pakt z Czechami?
- Tak — odparł Mołotow mrużąc z lekka brązowe oko za szkłem.
- A Czesi mają rząd tymczasowy. Sam Pan widzi, że nie stanowi to żadnej przeszkody.

Następne przedpołudnie, 4 grudnia, poświęcamy na zwiedzanie Moskwy. Generał nie ma na to specjalnej ochoty i bez skrupułów daje wyraz zniecierpliwieniu. Prowadzą go na Worobiove Gory, na wystawę zdobyczy wojennych i wreszcie do metra. Inżynier pyta nas, ile czasu mu dajemy: „Pięć minut” — mówi Generał. Przekładam to na: „Okolo dziesięciu minut”. Zjeżdżamy najpierw w głąb. Generał, który mimo nalegań inżyniera nie godzi się na przejażdżkę metrem, przystaje wreszcie na zwiedzenie jednej stacji. Po obejrzeniu marmurów i kryształowych żyrandoli czekamy na kolejkę powrotną. Na peronie kłębi się tłum. Policja bez żenady rozpędza ciekawskich, ale Generał interweniuje: „Zostawcie ich, lubię na nich patrzeć”. Ludzie znowu zbijają się wokół nas. Generał stoi dwa metry od nich, poważny i nieruchomy, jak zwykle nieco wyniosły. Nagle pochyla się ku mnie: „Niech Pan im powie, że cieszę się, iż przypadek pozwolił mi ich spotkać i że życzę im wszystkim szczęścia w życiu osobistym”. Tłumaczę, przypadkiem trafiając na słowo „przypadek” w słowniku. Ludzie są wyraźnie poruszeni. Spojrzenia się ożywiają, ten i ów robi przyjazny gest ręką, gdziegdzie słychać niezdarne wypowiedziane *merci, merci*. Jakby nagła fala wzburzyła gładką powierzchnię wody. W wagonie Generał kilkakrotnie powtarza: „Milczenie morza...”. „Tak, milczenie oceanu, który może wszystko zalać” — podejmuję, ale Generał dorzuca: „Mam na myśli tłum, tych ludzi — co za milczenie!”.

W czasie obiadu w ambasadzie, na który stawiła się grupa „przyjaciół Francji” — Ilja Erenburg, Wiktor Fink, Antokolskij i jeszcze kilku — zastanawiam się, ilu mężów stanu zachowało dość wolności wewnętrznej, by wyczuć duszę tłumy rosyjskiego. Wnieść się ponad banalne wrażenie bierności i fatalizmu i odgadnąć tajemnicę, milczenie, wielkość... Mam wrażenie, że w tej konkurencji Ilja Erenburg przegrał. Znacznie później, w pociągu wiozącym nas z powrotem, Generał pokazuje mi „Upadek Paryża” z dedykacją Erenburga i mówi: „Gdybyśmy byli o 8.000 kilometrów dalej, my napisalibyśmy dzisiaj „Upadek Moskwy”. Nie byłoby dobrze, gdyby nam rzucali kłody pod nogi...”.

Popołudnie mija spokojnie. Bidault udaje się na rozmowy z Mołotowem. Przedstawia mu projekt francuski⁸. Pod koniec

8. Według akt paktu, przechowywanych w archiwach dyplomatycznych, francuski projekt paktu został przedstawiony Bogomołowowi przez Dejeana 3 grudnia o godz. 13-tej. Zgodnie z telegramem nadanym z Moskwy do Paryża 6 grudnia projekt ten był przeróbką wersji sporządzonej w Paryżu. Nie wiadomo, czego dotyczyły przeróbki. Jest jednak godne uwagi, że

rozmowy na czoło wysuwa się kwestia polska, o której Stalin już mówił. Wieczorem przyjęcie w Spiridonowce. Masa ludzi. Idę za Generałem, który rozmawia kilka chwil z Mołotowem, po czym podchodzi do różnych ambasadorów. Mołotow tymczasem łapie Bidault i wznosi toast na jego cześć. Nieco później dorzuca: „Polska nie powinna nas krępować...”.

Nie powinna nas krępować, ale nie można jej pominąć. Odnajduje się ją wszędzie. Przede wszystkim w Europie: prasa sowiecka roi się od opisów kryzysu w krajach wyzwolonych. Kryzys we Włoszech, wojna domowa w Grecji, kryzys w Belgii. Równocześnie naród polski domaga się, aby Komitet Lubelski stał się rządem tymczasowym. Pod opieką Rosji Polska jest spokojna, kraje wyzwolone przez Anglosasów wrą. Czy Francja będzie musiała wybierać?

Wtorek 5 grudnia nie przynosi niczego nowego. W czasie wieczornego przyjęcia w ambasadzie Mołotow wręcza Bidault rosyjski kontrprojekt. Ledwie przychodzimy do domu, zabieram się do tłumaczenia tekstu Bidault, Dejeanowi i Charbonnière⁹. Istotnych zmian znajdujemy niewiele:

- a. — brak jakichkolwiek napomknąć o paktach z 1932 i 1935 roku,
- b. — zbiorowe bezpieczeństwo wspomniane jest tylko w preambule,
- c. — usunięty został artykuł dotyczący konwencji wojskowych,
- d. — preredagowany został artykuł dotyczący rezygnacji z wszelkich oddzielnych negocjacji,

Następnego ranka, 6 grudnia, znowu program oficjalny.

odnotowana w aktach dyskusja z 5 grudnia dotyczyła wyłącznie kwestii drugorzędnych. Dwa zasadnicze punkty (art. 3 i 4), które definiują warunki wzajemnej pomocy układających się stron, były niemal identyczne w projekcie francuskim i sowieckim.

Tekst tych artykułów wart jest odnotowania. Jest on podobny do tekstu paktu sowiecko-czechosłowackiego z grudnia 1943 roku. Strony winne są sobie pomoc nie tylko — jak przewidywał pakt sowiecko-brytyjski z 1942 roku — w razie agresji niemieckiej, ale także w przypadku, gdy jedna ze stron zostanie „wciągnięta” w walkę z Niemcami na skutek prewencyjnego sprzeciwu wobec „jakiegokolwiek inicjatywy mogącej umożliwić nową próbę agresji z ich strony”. Klauzula taka pozwalała na wojnę prewencyjną. Swym nieprecyzyjnym sformułowaniem narzuca na słabszą z układających się stron trudne do przewidzenia zobowiązanie. Biorąc nawet pod uwagę okoliczności chwili, należy się zastanowić, dlaczego przywódcy francuscy bez wszelkiej dyskusji zgodzili się na tak elastyczne zobowiązanie.

Traktat pozostał co prawda martwą literą i ZSSR wypowiedział go w maju 1955, ale kto mógł to przewidzieć w grudniu 1944?

9. Guy de Girard de Charbonnière, ówczesny dyrektor gabinetu ministra.

Wizyta w Wyższej Szkole Lotniczej. Ciemne, surowe budynki na peryferiach Moskwy. Komendant tłumaczy nam cele i zasady funkcjonowania szkoły. Wstęp do niej mają chłopcy po maturze albo podoficerowie frontowi. Na pierwszym piętrze zatrzymujemy się na ganku. Z głębi korytarza paradowym krokiem, od którego trzęsie się podłoga, sunie w naszą stronę imponujący robot z obnażoną szpadą. Dyżurny oficer! Siedzący w ławkach chłopcy o jednakowo prostackich obliczach i wygolonych głowach witają nas chórem. Jesteśmy pod ogromnym wrażeniem tej zautomatyzowanej i bezlitosnej masy. A jednak w jadalni stoją pojedyncze stoliki nakryte obrusami. Za jadalnią znajduje się sala teatralna, w której uczniowie wieczorami wystawiają sztuki. Ale czy to wystarczy, aby w tych młodych maszynach wojskowych zakiełkowały ludzkie uczucia?

Udaje mi się uniknąć oficjalnego posiłku i uciekam do ojca Brauna¹⁰, który zaprosił mnie na prywatny obiad. Braun został w Moskwie po 22 czerwca 1941, przeżył tam najgorszy okres. Jego zdaniem doktryna komunistyczna ma „przetrażony kręgosłup”. Młodzież nie wierzy w nią z dawnym zapałem. Każdy wie, że inne kraje doszły do tego samego, jeśli nie dalej. Porównuje się w każdym razie, czyli — myśli. Braun pokazuje mi kilka zakazanych książek, które kupił jesienią 1941 roku. Wszystko można było wtedy kupić, bo wszyscy myśleli, że to już koniec. Był również świadkiem zmiany w polityce wobec Cerkwi. O to zapytał go przede wszystkim Generał. Braun powtarza, co mu odpowiedział: „Oportunizm, koniunkturalizm, cynizm”. Fakt, że okupanci niemieccy otwierali z powrotem bramy cerkwi skłonił Stalina do przyznania Cerkwi malusieńkiego miejsca w swoim systemie. Trzeba się jednak strzec niebezpiecznych porównań. Jesienią 1943 roku patriarcha Siergiej opublikował książkę o „Sytuacji religii w ZSSR”. Braun zapytał kiedyś za przyjaźnionego popa, czy łatwo uzyskano zgodę cenzury na tę publikację. „Zgodę!?” — odparł tamten. — Powiedzmy raczej rozkaz! To był rozkaz”. To zniewolenie oficjalnej Cerkwi utrzymuje rozłam między nią a Cerkwią podziemną, która choć liczbowo skromna, zachowuje nieufność. W czasie wyboru Siergieja dwunastu biskupów na dziewiętnastu przywieziono salonkami z łagrów, w których siedzieli od dawna. Oficjalne odrodzenie religii zbliżyło niektóre kręgi studenckie w Moskwie nie do pogardzanego i rozbitego prawosławia lecz do katolicyzmu. Wła-

10. Amerykański Zmartwychwstaniec mówiący po francusku, kapelan korpusu dyplomatycznego z tytułu układu między Rooseveltem a Litwinowem z 1933 roku; mieszkał w ambasadzie francuskiej.

dze zabroniły Bibliotece Leninowskiej wypożyczenia dzieł Władimira Sołowiewa. Z punktu widzenia Cerkwi największy problem stanowią duchowni. W Moskwie wyświęcono starego, 72-letniego lekarza. Prawosławny Instytut Teologiczny nie ma dość książek, zwrócił się więc do ojca Brauna z prośbą o ewangelie i inne teksty. Oficjalne stanowisko jest nadal głęboko antykatolickie. Pełnomocnik do spraw wyznań nie prawosławnych oświadczył Braunowi, że uprzednie ustawy dotyczące nie prawosławnych w niczym nie zostaną zmienione. Kościół jest czynnikiem jedności narodowej i używa swojego aparatu propagandzie. Czy potrafi stać się czymś więcej? Jeśli tak, nie stanie się to wyłącznie z powodów naturalnych.

Wieczorem koncert pieśni i tańców Czerwonej Armii.

Generał zwrócił się do Stalina z prośbą o jeszcze jedną rozmowę. Chce mu przedstawić swoje stanowisko w sprawie Polski. Przez godzinę czekamy na przybycie „Pana Prezydenta”, jak mówi Bogomołow. Zjawia się wreszcie, nieco zmęczony. Występ Czerwonej Armii uderza ociążałością i sztuczną wesołością. Prawdziwe pieśni ludowe są rzadkie. Większość utworów chóralnych wyszła spod pióra dzielnego generała Aleksandrowa, z wielkim przejęciem dyrygującego zespołem, który mógłby być doskonały. Ale te walce, te cygańskie romanse!

Następnego dnia wieczorem (9 grudnia) dzielnie maszerujemy z Palewskim na „Eugeniusza Oniegina”. Publiczność wyraźnie delectuje się tą najklasycyzniejszą z oper. Wspaniałe dekoracje i kostiumy. Ludzie na to wszystko patrzą. Czy mają nadzieję, że kiedyś życie będzie znów bliższe powieściom?

Tego właśnie czwartkowego wieczoru wybucha pierwsza niespodzianka. Stalin dostał jakoby od Churchilla list z propozycją trójstronnego paktu (angielsko-francusko-rosyjskiego). Proponuje zatem rozszerzenie negocjacji. Mołotow informuje o tym Bidault bez obsłonek. Delegacja francuska jest zaniepokojona. Czy to ma być sygnał zerwania? Dejean natychmiast konstruuje teorię trójczłonowego bezpieczeństwa etapami, wyjaśniającą różnicę między paktem trójczłonowym a dwoma paktami bilateralnymi. Generał akceptuje te tezy i przedstawi je Stalinowi w sobotę. W piątek odmawia wyjścia; sami idziemy zwiedzać Kreml i fabrykę samolotów.

Poza apartamentami Iwana Groźnego na Kremlu oglądać można tylko pałac Mikołaja I. Lodowaty mróz nie pozwala nam dłużej zatrzymać się przed katedrami i widokiem na rzekę Moskwę. Minister, któremu się spieszy, stara się wymknąć w chwili wyjścia do fabryki, udaje nam się jednak utrzymać go na drodze

obowiązku. Fabryka samolotów mieści się poza Moskwą. Ogromny teren, olbrzymie, pomalowane na zielono, zakurzone hale. Stołówki, szkoła zawodowa. Przyjmuje nas dyrektor, młody inżynier w skórzanym płaszczu i futrzanej czapce, typowy okaz sowieckiego człowieka czynu. Odnajduję w nim moich szwajcarskich więźniów¹¹, ich naiwną nieufność, ich uczciwość, wytrzymałość i dzielność. Treścią jego życia jest fabryka, poprzez nią partia a poprzez partię sprawiedliwość i szczęście, przy czym te ostatnie zlewają mu się w jedno; z miejsca nam wyjaśnia, że pod koniec 1941 roku dawną fabrykę ewakuowano na Ural. Tam już została. Ta którą oglądamy zastąpiła swą ewakuowaną poprzedniczkę. Jest nowa. Rytualna przechadzka po halach produkcyjnych. Robotnicy, a zwłaszcza robotnice robią wrażenie żywszych, weselszych niż w Stalingradzie. Zbierają się małe grupki, komentując nie bez ironii wizytę francuskiej delegacji, w której znajdują się postacie dla oka rosyjskiego dość niezwykle. Korzystając z chwili ciszy generał Juin pyta, ile godzin dziennie pracuje się tutaj. „Osiem godzin — odpowiada dyrektor — a jeśli praca nie jest wykonana, to i dłużej”. Chwilę później generał Juin ryzykuje następne pytanie: „Jaka jest dzienna produkcja?”. Odpowiedź jest natychmiastowa: „Produkujemy tyle, ile przewiduje plan. Jeśli trzeba będzie produkować więcej, wyprodukujemy więcej”. Teraz ja pytam o powierzchnię fabryki. Nie otrzymuję jasnej odpowiedzi. Kilkakrotnie natomiast muszę tłumaczyć Bidault patriotyczne formułki: „Walczymy przeciw wspólnemu wrogowi...”, „Naród francuski winien szybko stanąć na nogi...”.

Po długiej przechadzce wychodzimy wreszcie na próbne lotnisko. Niebo jest zachmurzone i samoloty nie latają, jednak na nasz benefis uruchamia się w jednym z nich motor. Śmigło wiruje, potężny dźwięk wypełnia atmosferę, samolot drga, wibruje i wszyscy poddają się upojeniu potęgą, lekkością, władzą nad materią. Uczestniczymy w sowieckim misterium rytualnym. Co do tego nikt nie ma wątpliwości, Rosjanie też nie. Ale wychodząc z fabryki lepiej rozumiem, czym żyje dyrektor. Nie własną potęgą, ale potęgą człowieka, jego wiarą w siłę, wibrującą siłę, która się na nim opiera. Gdybyż choć mógł sobie pewnego dnia uprzytomnić, jakie są tego rezultaty!

11. Chodzi o sowieckich jeńców wojennych w Niemczech, którym udało się uciec do Szwajcarii, gdzie ich internowano. Odwiedzałem ich w latach 1943-1944 z ramienia YMCA, dostarczając im pomocy materialnej i wsparcia duchowego. YMCA reprezentował w Genewie Amerykanin Donald Lowrie, zwany Donaldem Iwanowiczem.

Na sobotę — w przeddzień wyjazdu — nic nie jest jeszcze zaplanowane. Generał spotkał się ze Stalinem 8-go wieczorem. Staramy się znaleźć wyjście kompromisowe. W czasie rozmowy Stalin bez oporu rezygnuje z projektu paktu trójczłonowego — cóż go to kosztuje? Generał zgadza się na spotkanie z delegatami Komitetu Lubelskiego i wysłanie do Lublina przedstawiciela bez uprawnień dyplomatycznych. Kontakt został ponownie nawiązany, ale jest on jeszcze niesprecyzowany.

Około szóstej po południu wracający od Mołotowa Bidault wzywa nas do dużej jadalni. Jest oburzony. Mołotow wręczył mu projekt listu Komitetu Lubelskiego. Jest on zredagowany po rosyjsku. Proponuje „natychmiastowe nawiązanie stosunków oficjalnych” i przysłanie „oficjalnych delegatów”. Wszyscy są zgodni co do tego, że należy odmówić. Próbujemy zredagować kontr-projekt komunikatu, który Bidault chce przedstawić Generałowi. Jest siódma wieczór, pora jechać na Kreml na kolację. Wszyscy mamy wrażenie, że sprawa jest przegrana. W rzeczywistości po pierwszych kontaktach, obwąchiwaniu się i obserwacji zaczyna się walka. Gra w pokera.

Kolacja odbywa się na Kremlu w sali Katarzyny. Ledwie wszedłem, zaczynam szukać mego miejsca na planie stołu. Nigdzie go nie znajduję. Zaniepokojony zwracam się do Charbonnièra, który również szuka swego miejsca i nie bez ironii odnajduje moje nazwisko w samym środku stołu, między Garreau i generałem Juin, naprzeciw Stalina. Rosjanie odkryli, że towarzyszę delegacji jako tłumacz i upierają się zatrudnić mnie w tym charakterze. Natychmiast po przybyciu Stalina siadamy do stołu. Jest olbrzymi. Wszyscy zgromadzeni są ubrani galowo, mundury błyszczą od złotych, epoletów i orderów. Francuzi prezentują się ubożuchno w swych garniturach. Naprzeciwko mnie siedzą kolejno Beria, Bogomołow, Generał, Stalin, Harriman¹², po lewej stronie Juin, Woroszyłow i Kaganowicz, po prawej Garreau, Mołotow, Bidault i tłumacz Podsierob. Siedzących dalej nie rozpoznaję, koncentrując uwagę na najbliższych. Pierwsze toasty wznosi Mołotow, jakby się chciał ich pozbyć. Pije za Francję, za Generała, za „przyjaźń” (nie za pakt) francusko-sowiecką. W miarę jedzenia Stalin, który początkowo rozmawia głównie z Harrimanem, rzadko zwracając się do Generała, rozwesela się trochę. Wznosi jeden, potem kilka toastów za obecnych generałów, za Bułganina z krótką bródką, członka Rady

12. Ambasaador Stanów Zjednoczonych w Moskwie od października 1943 do stycznia 1946.

Obrony i nieoficjalnego delegata w Lublinie, za Woronowa, wielkiego marszałka, różowiutkiego i żwawego. Przy każdym toastie niewysoki Stalin wstaje i swym kołyszającym się krokiem podchodzi do nich. Ostentacyjnie pije za wszystkie rodzaje broni: za artylerię, wojska pancerne, marynarkę. Podchodząc do marszałka lotnictwa Nowikowa wygłasza hymn pochwalny na cześć jego dokonań i jego talentu. I nagle dorzuca: „Jeśli nie będzie dobrze pracował, powiesimy go!”. Po czym znowu wstaje: „Ponieważ Mołotow się zgadza, wzniosę jeszcze jeden toast”. Tym razem honoruje grupę Normandie-Niemen i pułkownika Pouyade, którego zdaje się darzyć sympatią.

W czasie tych dziwnych żartów parę razy zauważam jego czujne, zmrużone oczy: „Czy ci durni Francuzi rozumieją? Czy też uważają, że nie wolno sobie pożartować?”. Ponieważ patrzę nań z rozbawieniem, uśmiecha się do mnie. Przez cały czas staram się doprowadzić do rozmowy między Juin i Woroszyłowem, ale mi się to nie udaje. Obydwaj milczą. Woroszyłow jest rumiany, gruby, o banalnej i nieco fałszywej twarzy, jak na portretach. Stalin pije jeszcze na cześć inżyniera Jakowlewa, twórcy myśliwców Jak 3. „Jest młodziutki” — dodaje. Zachowuje się jak stary kapitan otoczony młodymi, wytwornymi, oddanymi mu wesołymi ludźmi, których towarzystwo go bawi. Stary kapitan... ale też Wielki Książę rozparty za stołem wespół ze swą drużyną w Kijowie, matce miast rosyjskich. Jest w tym coś dziwnie knajackiego, zbójckiego. Ani cienia wiary, przekonania, zapału, pasji rewolucyjnej.

Uroczysty poczęstunek wojskowych kończy się tortem. Przechodzimy do salonu.

Ważna grupa tworzy koło. Na kanapie siedzą Stalin i Mołotow, potem z prawa do lewa Bidault, Dejean, Balfour, angielski *chargé d'affaires*, Harriman, Generał i ja obok Stalina. Z naszej strony rozmowa nie wychodzi poza banały. Stalin zdobywa się na kilka uprzejmości, które Generał kwituje bez szczególnej wzajemności. Mołotow tymczasem żywo konwersuje z Bidault. Stalin pochyla się od czasu do czasu w jego stronę i zamienia z nim cicho kilka słów. Ponieważ dyskusja się przeciąga, Stalin udaje znużenie: „Ach, ci dyplomaci! Cóż za nudna rasa! O czym tu tyle rozprawiać? Karabin maszynowy by się tu przydał! Z karabinu maszynowego do nich! Natychmiast by przestali gadać!”. Dziesięć razy powraca do tego karabinu maszynowego, nie zwracając uwagi na lodowate oblicze Generała. Wreszcie zwraca się do Bułganina: „Przynieś mi karabin maszynowy i ustaw go na pozycji! Ach, ci dyplomaci! Co za rasa!”. Bułganin kłania się

pośród usługnych uśmiechów. Słowa „karabin maszynowy” dobiegają mnie jeszcze kilkakrotnie, ale przestaję tłumaczyć, nie chcąc doprowadzić do furii wielkiego współbiedniaka, który siedzi z chmurną, zatroskaną miną.

Nagle Stalin wstaje: „Chcecie? Pokażemy wam film? Piękny film. Nakręcony przed wojną. Widać na nim, jaka będzie przyszła wojna”. Idziemy wąskimi korytarzami, mijamy schody o kątach prostych, drzwi ze starymi, złożonymi klamkami, aż trafiamy do wewnętrznego salonu, w którym czekają na nas wygodne fotele, jak zwykle pokryte pokrowcami. Na stołach leżą cygara, stoją wina, owoce. Zapadam w głęboki fotel między dwoma rozmówcami, Dużym i Małym. Bidault i Mołotow przechodzą do innego salonu, z dala od karabinów maszynowych, gdzie kontynuują dyskusję, wiedząc doskonale, który z nich ma ich więcej. Zapada ciemność. Zaczyna się film¹³. Widzimy wstrętnych Niemców w okularach gotowych do najazdu na Rosję. Stalin wychyla się do mnie z głębi białych poduszek: „Ten film pokazywano w całym Związku Sowieckim. Wszędzie. Niemcy protestowali, twierdząc, że to prowokacja. Odpowiedzieliśmy im: 'To jest dzieło sztuki bez cech politycznych'”. Po tych słowach zapada się znowu w poduszki, śmiejąc się z wyraźnym rozbawieniem. Przed naszymi oczami Niemcy uginają się pod mocarnymi kontratakami Rosjan. Widać pędzących kawalerzystów. Nagle jeden z nich, Rosjanin, trafiony spada z konia. Stary wódz zaciera dłonie: „He! He! Spadł, już po nim!”. Wojna toczy się dalej, Rosjanie zwyciężają, w Berlinie wybucha rewolucja. Widać pochody z transparentami: „Precz z faszyzmem”. Stalin nachyla się ku mnie: „To się panu de Gaulle'owi pewnie nie podoba”. Przekazuję. „W każdym razie dotychczas się to nie wydarzyło” — odpowiada Generał. Przekazuję. „Tak, to mu się nie podoba. A mnie się podoba, bo to osłabia Niemcy. Uważam to za doskonałe”. W chwilę potem Generał mówi mi: „Proszę powiedzieć panu Bidault, żeby niczego nie podpisywał bez porozumienia ze mną”. Wychodzimy z Charbonnière przekazać polecenie. Rozwścieczony minister odpowiada: „Proszę mu powiedzieć, że nie oszalałem”. Kilka chwil później Generał pochyla się ku mnie: „Co się dzieje?”. Tłumaczę mu dialog z filmu. Powtarza pytanie: „Co się tam dzieje?”. Odpowiadam, że rozmowy trwają bez konkretnych rezultatów. Generał wie, o co mu chodziło, a i ja poniewczasie pojmuję, po co mnie wysłał do Bidault. Film się kończy. Zapalają światła. Generał na-

13. *Jesli zawtra wajna*, nakręcony zdaje się w latach 1937-1938.

tychmiast wstaje. Zamienia kilka słów ze Stalinem, po czym nagle mówi: „Dziękuję Panu, Panie Marszałku, za przyjęcie, którego nie zapomnę. Jest już późno. Pora wracać. Dobranoc, Panie Marszałku”. Stalin na to: „Mamy jeszcze jeden film, wesoly. Macie przecież czas”. Generał już jest daleko; za drzwiami staram się go zatrzymać. Cofa się dwa kroki. „Nie, w sali zapalono światło. Chodźmy”. I odchodzi.

Stalin usiadł, udając, że uważa to za całkiem naturalne. Delegacja stoi oszupiała. Bidault stara się zastąpić Generała. Ten jednak przysyła Palewskiego, wzywając nas do wyjścia. Zostają jedynie Dejean i Garreau, którzy kontynuują negocjacje, podczas gdy w sali kinowej Stalin żartuje z Pouyade, komendantem brygady normandzkiej, z Jean Cathala, *attaché* prasowym, z Gérard Jouve z AFP i paroma innymi osobami.

My tymczasem wracamy do ambasady, gdzie Generał udaje się do swego gabinetu. Czekamy w dużym żółtym salonie. Nagle telefon. Dzwoni Dejean. „Za kilka minut przywożę tekst. Jeśli Generał go zaakceptuje, możemy natychmiast podpisywać”. Przywozi tekst komunikatu o wymianie delegatów z Lublinem, mocno już złagodzony. Słowo „oficjalny” zniknęło. Generał wykreśla jeszcze jedno sformułowanie. Pozostają dwa bezbarwne zdania. „Pan... przybył do Paryża jako delegat PKWN, pan... przybył do Lublina...”. Z tym wiatykiem wracamy na Kreml. Przez pół godziny czekamy na Mołotowa, zajętego przy swym panu i władcy. Nadchodzi. Podejmujemy znów rozmowę w salonie wykładanym purpurą i złotem. Mołotow zgadza się — nie bez oporów — na naszą redakcję tekstu. Ustalamy teraz datę ogłoszenia komunikatu: „Dwa tygodnie po moim powrocie do Paryża” — mówi Generał. Mołotow chciałby natychmiast. Stopniowo ustępuje. „Dobrze, na Boże Narodzenie”. Nasz minister, któremu nie bardzo się uśmiecha poświęcać Polskę w dniu Bożego Narodzenia, stanowczo odmawia. „Obawiam się — mówi wreszcie z pewnym zakłopotaniem Mołotow — że jeśli zbyt długo będziemy zwlekać, PKWN przekształci się w międzyczasie w rząd tymczasowy¹⁴”. Ustalamy wreszcie, że komunikat w wersji francuskiej zostanie opublikowany 28 grudnia przez obie strony równocześnie. Jest wpół do czwartej. „Możemy teraz podpisać pakt” — mówi Mołotow. Sporządzenie tekstu rosyjskiego, poprawienie go i przepisanie na maszynie zajmuje godzinę. Stalin tymczasem daje znać, że chce być obecny przy podpisywaniu. Przybywa Generał. Wycieńczeni pijemy bezus-

14. KRN przekształciła PKWN w Rząd Tymczasowy 1 stycznia 1945.

tannie kawę, oranżadę i palimy. Charbonnière, któremu nie brak intuicji, zarzuca Bidault a zwłaszcza Dejeanowi, że za bardzo dali poznać Rosjanom, że im zależy na podpisaniu. „Mogliśmy zapłacić taniej” — dodaje odpowiednim tonem. Minister spokojnie przyjmuje tę nauczkę¹⁵.

O piątej opuszczamy pałac mikołajewski i udajemy się do siedziby *Sownarkomu*, gdzie mieszczą się biura Mołotowa. Wespół z Rosjanami zmieniamy jeszcze parę przecinków. W pół do szóstej obie delegacje wchodzi do gabinetu Mołotowa. Reflektory, fotografie. Obydwaj ministrowie wymieniają kilka uprzejmych słów. Na stole pojawiają się tymczasem niezliczone półmiski. „Trzeba to oblać” — mówi Stalin. Wszyscy siadają. Sadowię się między Generałem i Stalinem, obok tłumacza rosyjskiego. Ledwie usiedliśmy, Stalin nachyla się do Mołotowa: „Przechytrzył cię ten Bidault, przechytrzył!”. Czuje się zdecydowanie bardzo swobodnie. Odkłada nóż i widelec i z zapamiętany obrzydzeniem skrzydełko kury. Jesteśmy przecież u siebie, za nami pracowity dzień. „Kiedy wybierze się Pan do Paryża, Panie Marszałku?” — pyta Generał. „Przyjadę, owszem, jeśli nie umrę. Niedługo już umrę. Jestem słaby, słabiutki”. — Tylko marszałek Stalin może sobie pozwolić na powiedzenie, że jest słaby. Nie powtórzę tego, bo i tak nikt mi nie uwierzy. „Był Pan już kiedyś w Paryżu?”. — „Tak, w 1907, przez dwa miesiące...”. Tymczasem płyną toasty. Nagle Mołotow wykrztusza z siebie: „Marszałek Stalin ma głos”. Stalin staje na rozkraczonych nieco nogach, z lekka trąca butelkę kieliszkiem i zaczyna prosto, bez emfazy: „Pragnę wypić za pakt, za sojusz. Francja musi być silna. Potrzebna nam jest silna Francja. Taki sens

¹⁵. Geneza paktu z 1944 roku jest mało znana. Podobnie jak podróż generała de Gaulle'a do Moskwy, pakt zrodził się prawdopodobnie z obopólnego życzenia, wyrażanego aluzjami, które pozwoliły nadać skrytym zamiarom konkretny kształt. Jeśli przyjąć to założenie za słuszne, delegacja francuska miała niewątpliwie większe pole manewru aniżeli w owym czasie sądziła. Aby móc stawić czoła aliantowi ze Wschodu, musiała mieć jednak lepsze stosunki ze swymi aliantami zachodnimi. Także polityka niemiecka musiałaby być mniej inspirowana przeszłością. I wreszcie trzeba było być gotowym zadowolić się wspólnym komunikatem lub deklaracją wyrażającą zbliżenie francusko-sowieckie, a nie dążyć do podpisania jak najszybciej traktatu. Za tę cenę można było uniknąć tego wielkiego ustępstwa w sprawie Polski, które, choć w złagodzonej formie, jest tym czym jest, bo w tamtym czasie nawet rząd Benesa nie uznał rządu lubelskiego, który jak każdy wie, nie reprezentował niczego. Benes uznał go pod presją Moskwy dopiero 31 stycznia 1945 roku, kilka dni przed konferencją w Jałcie, w trakcie której problem Polski, zwłaszcza problem rządu polskiego, był jednym z centralnych punktów negocjacji.

nadajemy paktowi. Im Francja będzie silniejsza, tym ściślejsze będą nasze stosunki. Francja ma teraz przywódców nieustępliwych, twardych, niezłomnych przywódców. To dobrze, tak trzeba. Cieszę się z tego. Tego właśnie Francji potrzeba”.

Tłumacząc słowo w słowo, wsłuchując się w każde zdanie. Rosyjski tłumacz szepcze mi do ucha: „Marszałek Stalin powiedział: on bardzo dobrze tłumaczy”. Stalin ciągnie: „Powiem jeszcze kilka słów o Polsce. Nie dość wiemy o Polsce. Polacy to naród dumny, naród dzielny, który się wspaniale bije. Nie jestem tego dość świadomi. Polska musi być silna, niezależna, demokratyczna. Państwo niedemokratyczne nie jest silne. Tylko demokracja zapewnia siłę. Silna, niezależna, demokratyczna Polska. Oto, czego trzeba. Polityka carów była błędna. Chcieli narzucić swe wpływy wszystkim ludom słowiańskim. My się z tym nie zgadzamy. Prowadzimy inną politykę. Żadnego przymusu. Narody słowiańskie powinny być niezależne i wolne. Wtedy będą naszymi przyjaciółmi. Kiedyś Polska była przeszkodą w stosunkach francusko-rosyjskich. Dzisiaj te kłopoty są skończone. Niech żyje Polska. Niech żyje przyjaźń francusko-polsko-sowiecka!”.

Znowu tłumacząc słowo w słowo. Zamieniam się w słuch i nie mam czasu na zastanawianie się. Jednak powtarzając słowa Stalina, mam uczucie jakbym balansował nad przepaścią: „Czy on naprawdę myśli to, co mówi? Jeśli tak, to czy jest przy zdrowych zmysłach? A jeśli nie, to jak on może?”¹⁶”.

Wszyscy piją za przyjaźń francusko-polsko-sowiecką. Ale to nie wystarcza. Marszałek Stalin kontynuuje, wciąż stojąc: „Co myśli o tym generał de Gaulle?”. Generał odpowiada: „Zgadza się ze wszystkim, co *powiedział* marszałek Stalin”. „Czy jest Pan zwolennikiem przyjaźni francusko-polsko-sowieckiej?”. — „Powiem to... w Paryżu... cały świat to usłyszy”.

Stalin z kieliszkiem w rękę kiwa lekko głową, jakby brał nas na świadków: „Jest przeciwny, widzę przecież, że jest przeciwny...”. Generał milczy.

Gospodarze znów wznoszą toasty. Mołotow pije za każdego z nas. Stalin ma własny styl przepijania. Czeką, aż gość wzniesie kieliszek i z całej siły wyrzuca ramię do przodu, uderzając w puchar, z którego wino tryska na wszystkie strony. Jednemu z nas trafia się taki przyjacielski prysznic. Mnie udało się przynaj-

16. Z dzisiejszej perspektywy można uważać, że „silna” Francja znaczyła dla Stalina Francję wolną od wpływów anglo-amerykańskich, a „silna” Polska Polskę, którą ZSSR naprowadzi na drogę ustroju „prawdziwie demokratycznego”.

mniej częściowo uchylić od ciosu. Stalin pozwala sobie na grube żarty wobec jednego z bliskich współpracowników Generała. Zabawa ta trwa jakieś pięć minut. Potem, po chwili milczenia, oświadcza: „Chcę odkupić moje grzechy. Proście o co chcecie, przyrzekam wszystko”. Jesteśmy w namiocie wielkiego chana, rozdającego łaski i nagany. Ale robi się późno. O szóstej Generał i Stalin ściskają sobie dłonie jak po meczu bokserskim. Remis? O tym się dopiero przekonamy.

„Gdyby Francja znalazła się kiedykolwiek w tarapatkach, zwracając się bez wahania do mnie. Zrobię dla Was wszystko, co będzie w mojej mocy”. Wyrzuty sumienia, pycha, czcza gadanina? Generał ściska dłonie obecnym i kieruje się w stronę drzwi. Wychodzę za nim na korytarz, kiedy nagle słyszę, że ktoś za mną biegnie i łapie mnie za ramię. Stalin: „Cóż to, zapomniał Pan się ze mną pożegnać?”.

Zegnam się najuprzejmiej jak umiem i osłupiały uciekam.

Jakiś czas później, już w naszej willi, Georges Bidault pyta mnie cicho: „Co Pan o nim myśli?”.

„Potwór” — odpowiadam szeptem, zasłaniając ręką usta.

Potwór czy dziadzio? Tyran czy wódz? Marszałek czy bandyta¹⁷? Oto próba odpowiedzi, napisana sześć miesięcy przed śmiercią „genialnego wodza”¹⁸: „Z pozoru prosty, niemal dobroduszny, zarazem pełen chłodnej godności, niemal wrogiej rezerwy; ojcowski wobec żołnierzy, zwłaszcza młodych, i przerażający dla swoich bliskich; sprawia często wrażenie, że mówi szczerze, skrywając zarazem swe myśli, rachuby i zamiary; mówi głosem niemal niesłyszalnym, jak starzy chłopci, ale jednym zmrużeniem oka, jednym skinięciem głowy zamyka usta wszystkim, jedynowładca, którego decyzji nikt nie śmie kwestionować; wynoszony dzień w dzień pod niebiosą przez setki milionów ludzi, zblazowany, bo wszystko już widział, pełen pogardy dla kadzideł, jakie bezustannie pali przed jego ołtarzem klęcząca ludzkość i którymi się żywi; podkreślając chętnie swą władzę szefa państwa, nie rezygnuje z żadnej z zasad leninowskich; nieustępliwy, brutalny ale ostrożny, chytry, zmierzający krok po kroku, zostawia sobie zawsze odwrot; nigdy się nie wzrusza, nigdy nie marzy, jest zawsze świadomy, zawsze kalkuluje; spr-

17. „Stalin to bandyta. Jedyne marksizm, jaki ten bandyta rozumie, to marksizm bandycki”, powiedział w 1928 roku do N. Walentinowa J. M. Stieklów, dawny redaktor *Izwestii*, w owym czasie już w niełasce. W 1937 roku został rozstrzelany. P. N. Walentinow, *NEP i krizis partii posle smierti Stalina*, Stanford 1971.

18. J. Laloy, *Entre guerres et paix*, Plon, Paryż 1966.

wia wrażenie człowieka o dwóch obliczach: jedno, to które widać, wzbudza zaufanie; drugie, jak odbłask pierwszego, jest ciemne i straszne. A świat nie przestaje się zastanawiać, które jest prawdziwe”.

III

Znowu kołyszemy się w ciepłym, przytulnym wagonie. Pierwszy dzień spędzamy leżąc i drzemiąc. Następnego dnia każdy wraca do swoich przyzwyczajzeń. Wieczorem Generał przychodzi po jakąś książkę. Siada. Zbliżam się i chwilę rozmawiamy. „Mam jednak wrażenie, że za całą tą potęgą kryje się wielkie zmęczenie” — odważam się powiedzieć. „Jedno jest pewne — dorzuca Generał — nie jest to władza partii czy klasy, lecz władza jednego człowieka. Nie jest to ustrój ludowy — ciągnie. Bo jest to ustrój sprzeczny z naturą człowieka”. Potem zagłębia się w lekturze. Nicco później wchodzi Palewski. Generał rozpościera ramiona w geście rozdrażnienia i zarazem siły: „Przez sto lat będziemy ich mieli na karku!”.

Podróż koleją trwa zaledwie trzy dni, po czym jeszcze trzy dni samolotem z Baku do Paryża.

17 grudnia lecimy nad Francją, którą przesłaniają gęste chmury. Z daleka widać ośnieżone szczyty Alp, między chmurami migają spokojne, zwykłe miasta francuskie. Na lotnisku wsiadam do samochodu Bidault. Jedziemy w stronę Paryża, mijamy małe, szare domki: „Jakże piękne jest Choisy-leRoi!”, mówi Bidault z ironią i wzruszeniem.

Rosja też jest piękna. Tylko która?

W pamięci kołacze mi się wiersz Władimira Sołowiowa¹⁹:

... *Jaki Wschód?*
Wschód Kserkesesa czy Chrystusa?

Jean LALOY

Paryż, styczeń 1945

(Z upoważnienia Autora przełożyła z francuskiego Julia JURYS)

19. „Ex Oriente Lux” w *Œuvres*, Bruxelles 1970.

*O Ruś! W przedwideniu wysokom
Ty myślu gordoij zaniata:
Kakim że chcesz być Wostokom
Wostokom Xerxa ili Christa?*

„WRAŻENIA Z POLSKI”*

(1885)

Wyjątki

Pociąg zatrzymał się, granica. Pasporty miały być sprawdzone, bagaż przeszukany. Jasnowłosy rosyjski żandarm w całej krasie swego uniformu, w szarym długim szynelu, wojskowej czapce bez daszka i z szablą przy boku wkroczył do wagonu, zażądał od podróżnego paszportu i oddalił się wraz z nim.

Zaraz potem zezwolono i nakazano opuścić pociąg. Podróżny sądził, że pledy, wierzchnie okrycie i co tam jeszcze można spokojnie zostawić w przedziale, do którego się wróci za godzinę, ale mały Polak wyprowadził go z błędu:

— Wszystko trzeba zabrać ze sobą; nawet zapomniany parasol wzbudza podejrzenie, a jeśli ktoś zostawi palto, zostanie je później z odprutą podszewką.

Pierwsze, co znalaziono w mojej podróżnej torbie, to dwa numery *Nouvelle Revue*, które czytałem podczas jazdy.

— Co to jest? — spytał po niemiecku najstarszy rangą z umundurowanych celników.

— Co to jest?! — odparłem. — To jest *Nouvelle Revue*.

— Tak, ale co to jest?

— Francuskie czasopismo.

— Co tu jest napisane?

— Zna pan francuski?

— Nie.

— Czy jest tutaj ktoś, kto zna francuski?

— Nie ma takiego.

— Tu jest mnóstwo różnych rzeczy; to są dwa numery; każdy z nich zawiera dziesięć artykułów. Nie jestem w stanie powiedzieć w kilku słowach, co tu jest napisane.

* Georg Brandes (1842-1927) — krytyk, eseista, historyk literatury; jedna z największych postaci w kulturze duńskiej. Ważniejsze prace to m.in.: „Główne nurty w piśmiennictwie XIX stulecia”, „Kierkegaard”, „Shakespeare”, „Goethe”, „Michał Anioł”.

Książka „Wrażenia z Polski” („*Indtryk fra Polen*”), z której pochodzą niniejsze urywki, zawiera spostrzeżenia i refleksje autora z dwóch podróży do Polski, a także kilka szkiców o literaturze polskiej. „Wrażenia z Polski” ukazały się w Kopenhadze nakładem księgarni Gyldental w roku 1888.

— Skoro tak, zatrzymujemy to; odesłamy to do cenzury w Warszawie.

— Czy to czasopismo jest zakazane?

— Wszystko jest zakazane, czego ja nie znam, a ja nie znam tej publikacji.

Celnik wziął się za kartkowanie zeszytów, wertując je dokładnie, jak gdyby szukał papierów ukrytych między stronicami nierozciętych arkuszy. Wrażenie było takie jak przy oglądaniu starych litografii, przedstawiających dużą małą, która dobrała się do czyjegoś sakwojażu i przewraca kartki w znalezionych tam książkach.

— Ma pan coś jeszcze w tym rodzaju?

— O tak, moja walizka jest do połowy zapełniona książkami. Wzięto się już do jej otwierania, gdy doszedł do mnie okrzyk jednego z celników: rewolwer!, który to okrzyk zrozumiałem, jako że słowo jest międzynarodowe. Znalaziono pistolet w mojej podręcznej teczce. Każdy z panów chciał go obejrzyć, podawali go więc sobie z rąk do rąk.

— Czy jest nabity?

— Tak, sześcioma kulami.

— Czy mogę być tak dobry i wyjąć kule?

Odmówiłem stanowczo bycia tak dobrym.

— Jak pan nie chce, zrobimy to sami.

Zaraz też kule wyjęto, a nieco później na dzień mojej walizki odkryto także puzderko od nich, będące dodatkiem do pistoletu.

Teraz rewizja zaczęła się na dobre. Każdą książkę, każdą broszurę przejrzano uważnie i odsunięto na bok. Wszystkie gazety, nawet te, w które zawinałem buty, wyjęto, wygładzono i ułożono w stertę. Wypytywano mnie szczegółowo, w jakim języku książki są napisane i jaka jest ich treść. A że wyjaśnienia moje uznano za niezadowolające, odebrano mi wszystkie druki i otrzymałem w zamian pokwitowanie na 15 funtów literatury. Równocześnie kazano mi zapłacić 3 ruble za przesyłkę tejże literatury do Warszawy. Może bym i spróbował dać łapówkę, ale Polacy uprzedzili mnie już wcześniej, ażebym się nade wszystko wystrzegął proponowania łapówek w niewłaściwym miejscu. Taka próba mogłaby być poczytana za dowód moich niecznych zamiarów. Daremnie upierałem się, że książki, które mi odebrano, są mi niezbędne do pracy w Warszawie. Daremnie naprowadzałem ich na myśl, że mogliby mi przynajmniej zostawić duńskie książki i gazety, które żadnej szkody nie są w stanie wyrządzić w Polsce, gdzie nikt języka duńskiego nie zna.

— W cenzurze znają wszystkie języki — brzmiała odpowiedź.

— Zakładam, że jest to prawda, chociaż mam swoje wątpliwości; ale rządowego cenzora, który jest Rosjaninem, nie uda mi się przecież zdeprawować, a co do innych, nie znają oni języka, czy nie tak?

— To jest słuszne z pańskiego punktu widzenia — odparli panowie i ze swego punktu widzenia książki zatrzymali.

Wśród stosu książek leżał francusko-duński słownik Sundby'ego i Baruela; pokazałem im, że to jest słownik i że słowa w nim są ustawione kolumnami. Panowie zaczęli łączyć sobie głowy i roztrząsać wspólnie problem. Ostatecznie, po dojrzałym namyśle, zwrócili mi pierwszy tom, od „A” do „L”, drugi zaś, od „M” do „Z”, dołączyli z poważnymi minami z powrotem do tej literatury, która miała przejść kontrolę cenzorów.

— Gdzie i kiedy mogę to wszystko odzyskać? — spytałem.

— Co się tyczy książek, wystąpi pan z prośbą do cenzury, ma pan przecież pokwitowanie. Na pistolet pokwitowania pan nie otrzyma, ale może pan, na oddzielnym arkuszu, napisać podanie do generałgubernatora, prosząc o zwrot pańskiej broni. Jeżeli zechce, wyda urzędowi celnemu w Warszawie rozkaz, ażeby ją panu zwrócono.

W ten sposób już od razu na granicy dano mi wyraźnie odczuć, że odtąd poruszam się poza obszarem właściwej cywilizacji europejskiej.



Do Warszawy byłem zaproszony dla wygłoszenia na ratuszu trzech odczytów po francusku. W związku z tymi odczytami miałem już wcześniej niemało kłopotów. Musiały one być gotowe i dostarczone w rękopisie do Warszawy na miesiąc przed moim przyjazdem, ażeby przejść przez podwójną cenzurę: jedną zwyčajną i drugą specjalną, od wystąpień publicznych. Gdybym te teksty po prostu nadał pocztą, ugrzęzłyby niechybnie — Bóg wie na jak długo — gdzieś na granicy, zmuszony przeto byłem szukać pewniejszej drogi. Udało mi się przesłać je przez uprzejmość via Petersburg, dotarły więc na miejsce przeznaczenia z opóźnieniem nie większym niż to, które spowodowała okrężna trasa. Sporządzono po dwa odpisy, które spowodowały do obu cenzur, ale już po przeczytaniu francuskich tekstów w obydwu instancjach nazajutrz po moim przybyciu do Warszawy wyniknęła nowa przeszkoda: osławiony kurator oświaty pan Apuchtin — ten sam, któremu przed rokiem młody student wymierzył policzek, którego odgłos wywołał poruszenie i zajścia w całym mieście — zażądał, by mu przedstawiono wszystkie trzy odczyty raz jeszcze w

przekładzie rosyjskim. Zabrało to oczywiście, wraz z ponownym przestudiowaniem tekstów, sporo dodatkowego czasu. Wynik zaś był taki, że ku ogólnemu zdziwieniu ani jedna linia nie została skreślona, mimo że w odczytach nie brakowało rzeczy, które, jak się okazało, zdolne były poruszyć słuchaczy. Wyjaśniono mi poza tym, że surowość cenzury bywa często neutralizowana przez niedbalstwo lub łaskawość nadzoru; może się wydawać, że obecny na sali cenzor nie zawsze pilnuje z dostateczną uwagą tego, by słowa padające z katedry zgadzały się co do joty z przedłożonym wcześniej do wglądu manuskryptem.

Widać na tym przykładzie, jak i na wielu innych, że w Rosji dla wprowadzenia jakiegoś nakazu albo zakazu w życie niezbędny jest cały system dodatkowych zarządzeń. A zwłaszcza wówczas, gdy nie dopuszczając czegoś do druku ma się na oku jakiś konkretny cel: w styczniu umarł w Warszawie stary Odyniec, znany poeta, wierny przyjaciel i towarzysz młodzieńczych podróży Mickiewicza, osobistość politycznie neutralna, prawie konserwatywna; ale że jego nazwisko było ściśle związane z pamięcią o powstaniu 1830 i o brylantowym okresie polskiej literatury, a ponadto był on bliskim przyjacielem najstawniejszego wroga rosyjskich ciemnych Mickiewicza, usiłowano, posługując się cenzurą, zapobiec demonstracjom na jego pogrzebie. Zarówno więc nekrologi w prasie jak i rozlepiane na murach i u wejścia do kościołów klepsydry nie mogły zawierać daty ani godziny pogrzebu. Ale ten zakaz niewiele pomógł — 50 tysięcy ludzi odprowadzało Odyńca w jego ostatnią drogę.

Nie odnosząc tedy najmniejszego skutku, interwencje cenzury stają się po prostu zwykłymi szykanami. To samo dotyczy polskiej prasy. Zdarza się ciągle, że cenzura zatrzymuje jakiś artykuł, a po kilku dniach zezwala nagle na jego druk. Rezultat — niepożądany artykuł już się zdezaktualizował, konkurencyjne gazety omówiły zagadnienie wcześniej. Zdarza się też, że cenzor w jednej gazecie artykuł odrzuca, a cenzor w innej przepuszcza do publikacji...

... Miałem dosyć czasu na rozmyślanie o tym wszystkim, kiedy wśród nudy oczekiwania w brudnej stacyjnej poczekalni, gdzie kłębił się tłum popijających herbatę i grog próżniaków, spacerowałem tam i z powrotem, nagabywany przez natrętów, którzy na siłę chcieli wymienić moje austriackie pieniądze na ruble; inni natręci usiłowali podnieść mnie na duchu, argumentując, że w postępowaniu ze mną cała słuszność jest po stronie urzędników: to, że moje książki były duńskie, nie stanowiło żadnej

gwarancji — kto mógłby zaręczyć, iż nie zawierały one materiałów z socjalistycznego kongresu w Kopenhadze!

Na koniec odzyskałem uszczuploną zawartość mojej walizki i, nie mając już nic do skonfiskowania prócz tego co było w mojej głowie, następnego ranka przybyłem do Warszawy.



... W roku 1795 nastąpił trzeci i ostatni rozbiór. Państwa polskiego odtąd już nie było.

Ale istniał jeszcze naród polski. Ten naród, który miał pod dostatkiem bohaterskich, rycerskich, wspaniałych, bezużytecznych cnót, ale cnót użytecznych, obywatelskich posiadał znacznie mniej. Naród pełen zapału i niepraktyczny, szlachetny i niesolidny, rozkochany w zbytku i niezrównoważony, tryskający życiem i lekkomyślny — naród, który nigdy nie cierpiał twardej, nudnej pracy i zawsze kochał mocne lub wyszukane rozkosze zmysłów i ducha, ale nade wszystko, aż do szaleństwa, niezawisłość, wolność aż po *liberum veto*; i który nawet teraz, kiedy niezawisłość i wolność utracił, pozostał swojej starej miłości wierny.

Ten przepojony ufnością i prostolinijny naród wojowników, zawsze gotowy do ofiary z życia w zamian za obietnicę, której nikt nie ma zamiaru dotrzymać...

... Polacy są pełni temperamentu jak południowcy, ale nie przeszli szkoły Macchiavellego i brak im politycznej mądrości Włochów, którzy pozwolili Francuzom wyciągać za siebie kasztany z ognia. To jest naród, którego legiony Napoleon skłonił z łatwością, by wykrawiały się dla niego na stu bitewnych polach: wystarczyło, że wymachiwał przed nimi białym orłem...

... Taki młodzieńczy albo dziecinny entuzjazm nie jest oczywiście elementem stabilizującym pośród wielkich zmaganiań narodów o życie, w epoce uprzemysłowienia i militarizmu. Nie bardzo daje się on pogodzić z gospodarnością, sprytem, dyscypliną, umiarkowaniem, a też innymi mądrością życiową uosabiającymi cechami, które mogą jednostce i społeczeństwu zapewnić przetrwanie.

W dawnych opisach Polaków podkreśla się też chętnie, że na ich rycerskość i osobiste męstwo zawsze można liczyć, ale że jest coś pyszałkowatego w ich wspaniałomyślności, coś kapryśnego w ich wielkodusznej naturze, że są uparci, skłonni do zwady, kłótlivi, że nie są w stanie uznać żadnego prawa wyższego ponad ich własną wolę, nie potrafią też na dłużej skupić tej woli na jakimś jednym celu. Mówi się również, że są złymi

gospodarzami i zbyt łatwo wpadają w tarapaty finansowe, nawet ci dobrze sytuowani; że mogą przejrzeć tysiąc ksiązek i nie przeczytać do końca ani jednej, że ich uwaga jest wiecznie rozproszona i że trwonią swój czas i swoje zdolności. Oskarża się ich także o to, że rojąc o wolnościowych ideach, wobec swoich chłopów zachowują się równocześnie jak udzielni panowie, i że będąc najczulszymi małżonkami, trzymają dwie kochanki obok ubóstwianej żony. Słowem, dostrzega się u nich mieszaninę zachodnich i wschodnich przywar.

Nie da się zaprzeczyć, że jest dużo słuszności w tych dawnych ocenach. Warto więc się przyjrzeć, które z omawianych cech nasiliły się jeszcze pod obcym panowaniem, a które zniknęły bez śladu.

Jeśli chodzi o zamięłowanie do zewnętrznego blichtru, to zmalało ono — rzecz jasna — chociaż nie zniknęło całkowicie... Natomiast słabość do orderów, wstęg i innych widomych oznak prestiżu ustąpiła z oczywistych przyczyn miejsca głębszemu poczuciu godności.

Kiedy pierwszego wieczoru w Warszawie znalazłem się na balu w wielkiej sali ratuszowej, gdzie zgromadzonych było 500 par — kwiat warszawskiego towarzystwa — uderzyło mnie z punktu to, że poza trzema rosyjskimi oficerami nikt z obecnych nie nosił odznaczeń...

...Co do zasadniczych rysów arystokratyzmu, to uchowały się one, acz mocno zmodyfikowane. Polak nie ma wrodzonej skłonności do mieszczańskich cnót; jego ideałem był i pozostał *grand seigneur*. Wstręt do liczenia, dodawania, robienia rachunków i prowadzenia ksiąg jest czymś nagminnym...

...Nic nie wskazuje na to, że Polacy stali się pod obcym jarzmem bardziej gospodarni, może z wyjątkiem Poznania, gdzie działa przykład Niemców. Ale na ogół nikt nie szanuje swego czasu.

Ponieważ nie ma wolności zgromadzeń i stowarzyszenia wszelkiego rodzaju są zakazane — jedyny klub, który istniał w Warszawie, został zamknięty, kiedy jego członkowie przed kilku laty usiłowali przeszkodzić antyżydowskim rozruchom na przedmieściach, w przeciwieństwie do policji, która nie chciała interweniować — ponieważ działalność publiczna jest zabroniona całkowicie i 50 osób nie ma prawa się zebrać na sali bez zezwolenia i nadzoru policji, przeto życie towarzyskie, które musi zastępować wszystko inne, pochłania ogromną masę czasu.

Gościnność jest bardzo wielka i w bardzo dobrym guście. Rzadkie poczucie taktu — to cecha wrodzona Polaków. Niech

mi wolno będzie w związku z tym wspomnieć z wdzięcznością tę elegancję, z jaką przyjęto mnie w Warszawie. Zawieziono mnie do obszernego luksusowego mieszkania, pełnego rzadkich obrazów i książek; moje nazwisko widniało na drzwiach; na biurku leżały wizytówki z moim warszawskim adresem; opiekowało się mną dwóch służących, którzy znali obce języki.

Gościnność jest głęboko zakorzenioną cechą Polaków; w stosunku do cudzoziemców potęguje ją zapewne to, że obcy w naszych czasach tak rzadko odwiedzają Polskę, ale główną przyczyną tej dzisiejszej wybujałej gościnności, świadczonej przez Polaków także sobie wzajem, jest bezsprzecznie fakt, iż życie towarzyskie musiało stać się tak zupełną namiastką życia publicznego.



... Polska zmienność nie przypomina w niczym francuskiej. Zmienność Francuzów objawia się głównie w życiu publicznym, wszędzie tam, gdzie występują oni w masie, jako zbiorowisko lub jako naród. Polega ona na nagłej zmianie nastroju, za którą jednostka nie czuje się odpowiedzialna. Zmienność Polaków natomiast jest natury osobistej, bierze się częściowo z pogoni za nowością, częściowo zaś z instynktownej tęsknoty do uniwersalizmu.

We Francji dobrze zrozumiały, mądry, nierzadko subtelny egoizm jest zasadą, która z rodziców przechodzi w spadku na dzieci, nauką zaszczepioną im już w kołysce i kierującą z reguły całym ich dalszym życiem...

... Całkiem inaczej rzecz przedstawia się w Polsce, gdzie młody człowiek w życiu prywatnym daje się raczej powodować kapryśnym instynktem niż mądrym egoizmem i gdzie jedyna wspólna sprawa — utrata ojczyzny, brak niepodległości, mowa ojczysta, narodowa literatura i sztuka — góruje twardo i niezłomnie nad wszystkimi koniunkturalnymi przeobrażeniami.

Niewola więc sprawiła, że dzisiaj nie można już mówić o polskiej niestałości w sprawach najwyższej wagi, ale za to w sferze życia osobistego ta narodowa wada pełni się jak nigdy przedtem.

Bo i co ma ze sobą począć młody uzdolniony człowiek w rosyjskiej Polsce? Załóżmy, że studiuje prawo. Jeśli zechce później zostać sędzią albo urzędnikiem, obojętne jakim, postawi siebie tym samym poza nawias społeczeństwa....

... Oto przykłady z mego najbliższego otoczenia: młody człowiek, bardzo utalentowany, poszedł najpierw na prawo, przeżył się następnie na medycynę i został lekarzem, nie wytrwał

jednak w tym zawodzie, kupił natomiast gospodarstwo rolne, przez cztery lata studiował agronomię, maszyny rolnicze itp., wprowadził mnóstwo ulepszeń na swoim folwarku, sprzedał go wkrótce potem i jest obecnie najlepszym krytykiem teatralnym w Warszawie. Inny młody człowiek zaczął jako ziemianin, porzucił rolnictwo dla muzyki, kształcił się na wirtuoza, zrezygnował jednak z kariery i zamiast tego otworzył fabrykę instrumentów, przez wiele lat budował wiolonczele, ale przestało go to interesować i jest dzisiaj studentem monachijskiej akademii sztuk pięknych, gdzie specjalizuje się w malarstwie obyczajowym...

... Pewnego wieczora, na przedstawieniu „Dalili” Feuilleta, patrząc jak aktor niezbyt szczęśliwie radzi sobie z rolą Carniolego, nie mogłem się nadziwić, że ów aktor nie umiał znaleźć modelu do postaci genialnego dyletanta, którego uczniem jest młody kompozytor, w mieście takim jak Warszawa, gdzie aż się roi od Carniolich. Najznakomitszy z tych okazów stał nieco później tuż obok mnie za kulisami. Jeszcze tego samego wieczoru, zapytany w szerokim gronie, co, jako krytyk, sądzę o polskim społeczeństwie, odparłem z miejsca:

— Jesteście narodem dyletantów.

Wydaje mi się, że ta definicja, w jej najszerszym znaczeniu, jest słuszna, ale nie wolno ani na chwilę zapominać, dlaczego z Polakami tak się dzieje.

Trzeba mieć nieustannie przed oczami ten energiczny z natury lud, którego energia nie może znaleźć ujścia, ten żołnierski naród, którego synowie tylko pod przymusem idą do wojska, a już nikt z nich nie wybiera dobrowolnie kariery oficerskiej; naród wyjątkowo ambitny, dla którego dostęp do wszystkich wyższych stanowisk i urzędów pozostaje zamknięty a zaszczyty i odznaczenia nie wchodzi w rachubę, gdyż dochrapać się do nich można jedynie wyrzekając się własnych przekonań lub odmawiając solidarności z rodakami; naród, który nigdy nie miał wielkiej burżuazji ale dąży do przyswojenia sobie mieszczańskich zalet, jednakże warunki w których żyje obecnie stanowią nieprzerwaną zachętę do niestałości; lubiący zabawę naród ze stolicą, gdzie nie ma lokali rozrywkowych; naród z żywym nieposkromionym zacięciem do polityki, któremu uniemożliwiono wszelką polityczną edukację, ponieważ nie wolno mu wybierać swoich przedstawicieli i decydować o sprawach państwowej wagi, a jego polityczna prasa jest całkowicie wyprana ze wszystkiego, co naprawdę polityczne; mówić o politycznych gazetach w Polsce to mniej więcej to samo, co mówić o marynistycznych czasopismach w Szwajcarii.

Trzeba więc pamiętać o tym narodzie, stworzonym do otwartego swobodnego istnienia w pełnym blasku działalności publicznej, a zepchniętym teraz całkowicie w światłocień życia prywatnego; trzeba pamiętać o tym narodzie, który od zarania dziejów z egzaltacją bronił praw jednostki przeciwko władzy państwa, a dzisiaj zmuszony jest żyć bez żadnego prawnego zabezpieczenia przed nadużyciami ze strony przypadkowych dygnitarzy i dla którego Sybir jest tym samym, czym dla nas innych choroba, która może nadejść, kiedy jej się najmniej spodziewamy!...

... Życie w Warszawie jest nerwicą, powiedział mi jeden z najwybitniejszych ludzi w mieście. Na dłuższą metę nikt nie jest w stanie tego wytrzymać.



... Może i nie ma w gruncie rzeczy lepszego wychowania narodowego niż to tutejsze, gdzie nikt kto naprawdę zasłużony nie zdobywa nigdy nagród, tytułów ani odznaczeń i gdzie oficjalny symbol hańby — strój więzienny — jest otoczony powściągniętą czcią.

Każde warszawskie dziecko, które codziennie mija pomnik Paskiewicza, każde dziecko w tym mieście, zmuszone do ciągłego patrzenia na obelisk z nazwiskami zdrajców przystrojonymi w laur, oswaja się już od niemowlęctwa z myślą, że ci, których władza fetuje, nie zawsze są najlepsi, a nie zawsze są najgorsi ci, których władza gnębi.

Wiedzę o tym, co jest prawdziwie na tym padole godne chwały, a co prawdziwie zasługuje na potępienie, co to naprawdę sprawiedliwość, co wielkość, a co małość — tę wiedzę, będącą sednem nauki chrześcijańskiej, wszyscy tutaj, nawet ci najmniej zdolni, mają w koniuszkach palców. Cóż to za szkoła życia! — Myślę, że Polska jest jedynym krajem, gdzie chrześcijaństwo, w swojej pierwotnej formie, przetrwało po dziś dzień jako żywa siła społeczna i to zarówno wśród chrześcijan jak i nie-chrześcijan.

Imienia Polski nie ma na mapie Europy. Naród polski nie liczy się między europejskimi narodami. Jego synom i córkom obca przemoc narzuciła niewolę i nędzę. Język polski jest prześladowany i tępony.

Wśród możliwych tego świata nie ma naród polski ani jednego przyjaciela, ma natomiast potężnych, bardzo potężnych i niezmordowanie aktywnych wrogów. Wrogowie ci są na jego nie-szczęście pierwszymi mocarzami na kuli ziemskiej.

Ale za to najlepsi i najbardziej ludzcy w każdym z narodów świata są — wierzę w to — przyjaciółmi Polski.

Obraz Polski to wizerunek narodu, który nie tylko skazano na śmierć, ale, jak mówi Cherbuliez, pogrzebano żywcem; który jednak na przekór wszystkiemu próbuje wciąż na nowo unieść wieko swojej trumny, pokazując, że jego siły żywotne nie są bynajmniej wyczerpane.

Mamy przed sobą naród, którego nerwy są napięte do ostateczności, ponieważ musi on dzień po dniu walczyć o swoją egzystencję, zamiast jak inne ludy z niej korzystać. Naród pochłonięty całkowicie swoją sprawą narodową — a przecież ta narodowa sprawa nie jest niczym innym jak ludzką sprawą, sprawą ogólnoludzką.

Dlatego kocha się Polskę nie tak jak się kocha Niemcy albo Francję albo Anglię, ale tak jak się kocha wolność. Bo i czymże jest miłość do Polski jak nie umiłowaniem wolności, głębokim współczuciem w obliczu nieszczęścia, podziwem dla męstwa i wojowniczego zapału!

Polska jest symbolem — symbolem tego wszystkiego, co najlepsi z ludzi ukochali i o co walczyli. W Polsce wszystko objawia się z wyjątkową mocą: zarówno to, co najbardziej nienawistne i najplugawsze, jak i to, co najbardziej warte miłości i najwspanialsze; sprzeczności życia występują tutaj wyraźnie jak na płaskorzeźbie; dostrzega się tu samą istotę świata, zgęszczoną jak esencja.

Wszędzie tam, gdzie w ostatnim stuleciu walczone w Europie o wolność, Polacy brali udział w tej walce, na wszystkich polach bitew, na wszystkich barykadach. Mylili się niekiedy, używając swego oręża nie tym, którym należało; ale wierzyli, że biją się dla dobra ludzkości; uważali siebie za przysięgłą gwardię wolności i w każdym obcym, kto walczył o wolność, widzieli brata.

Ale można też powiedzieć na odwrót, że wszędzie tam, gdzie w Europie toczy się walka o wolność, jest to walka o Polskę. Przyszłe losy Polski i Europy są od siebie zależne; jeśli bowiem idea samostanowienia narodów i prawo każdego z nich do pełnej wolności politycznej zaczną zwyciężać na coraz większych połaciach globu, przybliży to chwilę, kiedy zmartwychwstanie Polski stanie się czymś więcej niż nadzieją.

Georg BRANDES

(Z duńskiego przełożył Krzysztof GRUSZCZYŃSKI)

DOKUMENTY

PRZYCZYNY, PRZEBIEG I SKUTKI KRYZYSÓW SPOŁECZNYCH W DZIEJACH PRL*

(Projekt opracowania syntetycznego Komisji KC
dla wyjaśnienia przyczyn konfliktów społecznych
w dziejach PRL)

IX Nadzwyczajny Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej zapisał w swej uchwale programowej, iż „jednym z ważnych warunków wiarygodności partii i jej programu socjalistycznej odnowy jest gruntowne i rzetelne wyjaśnienie wszystkich dramatycznych wydarzeń w powojennej historii kraju, zwłaszcza zaś najbardziej bolesnych: tragedii poznańskiej 1956 roku i tragedii grudniowej 1970 roku na Wybrzeżu. Czyniąc zadość tej konieczności, IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR zobowiązuje Komitet Centralny do powołania komisji dla wyświetlenia wszystkich okoliczności i faktów, w tym również odpowiedzialności personalnej za decyzje, które spowodowały te tragedie”.

Zgodnie z uchwałą Zjazdu, III Plenum Komitetu Centralnego w dniu 2 września 1981 roku powołało Komisję dla wyjaśnienia okoliczności, faktów i przyczyn konfliktów społecznych w dziejach Polski Ludowej.

W skład Komisji weszli: Kazimierz Barcikowski, Józef Ba-

* Tzw. „Raport Kubiaka”.

ryła, Andrzej Burda, Eugeniusz Duraczyński, Tadeusz Fiszbach, Jan Głowczyk, Ludwik Janczyszyn, Czesław Kiszczak, Zbigniew Kowalski, Stanisław Kalkus, Hieronim Kubiak, Ryszard Kucharski, Jan Łabęcki, Jarosław Ładosz, Marian Marek, Władysław Markiewicz, Zbigniew Messner, Norbert Michta, Jan Mikulski, Mirosław Milewski, Stanisław Miśkiewicz, Józef Mitak, Jadwiga Nowakowska, Marian Orzechowski, Mieczysław Rakowski, Jerzy Romanik, Wiesław Skrzydło, Edward Skrzypczak, Maria Studnicka, Bronisław Syzdek, Romuald Schwengler, Jerzy Topolski, Jerzy Wiatr, Sylwester Zawadzki.

Na pierwszym posiedzeniu w dniu 7 października 1981 roku przewodniczącym Komisji wybrany został członek BP, sekretarz KC tow. Hieronim Kubiak, a sekretarzem — kierownik Wydziału Nauki i Oświaty KC — tow. Eugeniusz Duraczyński.

Zadaniem Komisji było:

- zbadanie i określenie społecznego, ekonomicznego i politycznego podłoża oraz przebiegu kryzysów, napięć i konfliktów społecznych, a zwłaszcza tych, które miały szczególnie dramatyczny przebieg i przyniosły tragiczne konsekwencje;
- przedstawienie propozycji dotyczących sposobów badania i analiz życia społeczno-politycznego jako ważnego instrumentu ułatwiającego możliwie najwcześniejsze dostrzeżenie narastania napięć społecznych;
- zgodnie z programem IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR — sformułowanie zasad i metod rozwiązywania konfliktów.

Przystępując do urzeczywistnienia tych zadań Komisja przyjęła, że analiza przyczyn i przebiegu kryzysów wiąże się m.in. z odtworzeniem procesu dziejowego w określonych cezurach czasowych i nie może abstrahować od oceny głównych kierunków rozwojowych Polski Ludowej. Przyjęto, że indywidualne działania ludzkie i odpowiedzialność personalna może być rozpatrywana na tle procesów i uwarunkowań społecznych, ekonomicznych i politycznych.

Komisja ukonstytuowała się w czterech zespołach roboczych: trzech chronologicznych dla okresów: 1) 1948-1956; 2) 1968-1970; 3) 1976-1980 oraz czwarty zespół metodologii i syntezy. Syntetyczne wyniki prac trzech pierwszych zespołów przedstawione są w tomie „Materiały z prac Komisji”, stanowiącym uzupełnienie niniejszego opracowania. Metoda pracy zespołów to organizacja ekspertyz naukowych, dyskusja nad opracowaniami ekspertów i przygotowanie, w oparciu o tak przygotowany

materiał, syntez częściowych. Ogółem zlecono prace ponad 70 ekspertom — naukowcom różnych specjalności. Efektem ich pracy było 69 opracowań cząstkowych (zestawienie ekspertyz w załączeniu) poszczególnych problemów zawierających zarówno ustalenia faktów jak i analizę procesów i uwarunkowań ekonomicznych, społecznych i politycznych dotyczących danego okresu, 7 projektów zbiorczych opracowań zespołowych i 3 końcowe syntezy zespołów.

W trakcie pracy korzystano z materiałów źródłowych będących w dyspozycji CA KC PZPR, Kancelarii Sekretariatu KC, KW PZPR, archiwów MSW, MON i archiwów państwowych. Komisja korzystała również z materiałów i informacji przesyłanych przez poszczególne osoby lub instytucje.

W ciągu roku Komisja odbyła 7 posiedzeń plenarnych i 18 zebrań zespołów problemowych.

Komisja inspirowała i współorganizowała sesje naukowe i dyskusje konsultacyjne, traktując to jako formę rozszerzenia naukowej i społecznej płaszczyzny swojej działalności. W sumie odbyły się 3 sesje naukowe, 5 dyskusji konsultacyjnych. Współpracowano z organizacjami partyjnymi województw, gdzie miały miejsce społeczne konflikty, wykorzystując materiały opracowane z inicjatywy tych organizacji.

W pracy Komisji wystąpiło szereg trudności, a zebrany materiał niepozbawiony był słabości i braków. Trudności te dotyczyły przede wszystkim:

- ograniczonego czasu pracy (roczny termin ukończenia prac), co nie pozwalało w pełni wykorzystać wartości naukowych metod analizy rzeczywistości;
- braków w materiale źródłowym, wynikających z niedostatków praktyki dokumentowania prac organów władzy w 35-leciu, a także zaginięcia części źródeł;
- zróżnicowanego poziomu opracowań i ekspertyz, w części słabych i świadczących o brakach stanu badań szeregu dyscyplin z dziedziny nauk społecznych;
- subiektywnego, uwarunkowanego brakiem jasnych kryteriów oceny i spójnej metodologii, podejścia części autorów ekspertyz.

Trudności te wpływają też na jakość końcowego materiału. Komisja przedstawiając to opracowanie widzi konieczność kontynuacji badań związanych z tym tematem przez nauki społeczne, tak ażeby prace te mogły systematycznie uzupełniać luki i braki

syntezy oraz wzbogacać wiedzę społeczną o przyczynach kryzysów w dziejach PRL.

I. Założenia teoretyczno-metodologiczne

Podstawą teoretyczną wyjaśniania kryzysów społecznych w dziejach PRL jest marksistowska teoria procesu historycznego oraz wynikająca z niej główna dyrektywa metodologiczna, nakazująca rozpatrywać rozwój społeczeństwa w sposób dialektyczny, tzn. w sposób odkrywający jego wewnętrzne sprzeczności oraz doszukujący się przyczyn zjawisk społecznych w pierwszym rzędzie w ich wewnętrznych mechanizmach. Badanie takie, zdawano sobie sprawę, nie wyklucza brania pod uwagę również tzw. czynników zewnętrznych, lecz nie traktuje tych czynników, jak to się nieraz spotyka, w sposób samodzielny jako głównych czynników sprawczych. Metodologiczna dyrektywa dialektycznego badania procesów społecznych zawiera w sobie wskazanie traktowania czynników zewnętrznych (takich jak na przykład nieprzychylna czy wroga socjalizmowi propaganda zagraniczna) w powiązaniu z czynnikami wewnętrznymi, bowiem te wewnętrzne procesy rozwojowe sprawiają, że dany układ społeczny jest w mniejszym czy większym stopniu podatny na takie czy inne działania zewnętrzne.

Dyrektywa ta nakazuje również przeciwstawiać się wszelkim próbom sprowadzania masowych procesów społecznych do działań jednostek czy do działań stosunkowo nielicznych grup przy biernym traktowaniu klas i warstw społecznych. Byłoby to bowiem przeciwne dyrektywie klasowo-historycznego ujmowania dziejów, która postuluje poszukiwanie właśnie klasowych źródeł wydarzeń historycznych, szczególnie tego typu jak konflikt między władzą a większymi siłami społecznymi. Również dlatego działania indywidualne nie mogą być traktowane w sposób samodzielny i autonomiczny. Działania takie są zawsze powiązane z konkretnymi siłami społecznymi, choćby działający nie w pełni zdawali sobie z tego sprawę. Nie wyklucza to wszakże możliwości jak najbardziej wnikliwego badania działań poszczególnych ludzi — szczególnie tych, którzy (jak na przykład pierwsi sekretarze KC partii) ze względu na swą rolę mieli wyjątkowo duże możliwości podejmowania decyzji. W każdym przypadku chodzi jednak o całościowe badanie rozwoju historycznego, nie absolutyzujące żadnego z czynników, lecz ukazujące ich cały splot.

Z dialektycznego rozumienia procesu historycznego wynika, że w badaniu kryzysów społecznych musi w pierwszym rzędzie chodzić o ukazanie takiego spłotu czynników, czyli o ukazanie mechanizmu rozwojowego prowadzącego do kolejnych kryzysów. Nie może zadowolić zatem wyliczenie, choćby bardzo pracowite, dziesiątków różnych możliwych przyczyn tych kryzysów, lecz odkrycie mechanizmu przyczyny te wiążącego. W mechanizmie tym winien zostać ukazany określony wewnętrznie powiązany system, w którym przede wszystkim wskazane zostaną czynniki bardziej podstawowe i czynniki mniej podstawowe, związane z tymi pierwszymi.

W samym badaniu przyczyn kryzysów społecznych równocześnie trzeba, kierując się dyrektywami metodologicznymi wypływającymi z teorii materializmu historycznego, wziąć pod uwagę to, że w procesie historycznym wyróżnić można dwie jego strony: obiektywną i subiektywną. To stwierdzenie teoretyczne nakazuje wyjaśnianie każdego zjawiska, a szczególnie zjawiska społecznego o szerszej randze, zarówno poprzez odniesienie do obiektywnych prawidłowości historycznych (na przykład do prawidłowości ekonomicznych), jak i przez odniesienie do ludzkich motywacji (tzn. do motywacji jednostek, grup, klas itd.). W badaniu kryzysów społecznych dyrektywa ta nakazuje powiązanie analizy przyczyn wywołanych bezpośrednio działaniami konkretnych ludzi jak i przyczyn rozumianych jako swego rodzaju konieczne następstwa powstałych sytuacji.

W przeprowadzonym badaniu kryzysów społecznych wzięto pod uwagę to, że nie można sobie wyobrazić bezkonfliktowego rozwoju społecznego; taki rozwój byłby bowiem możliwy jedynie w jakimś nierealnym świecie idealnego społeczeństwa i idealnego sterowania procesami społecznymi. Wprawdzie tezy bliskie takiego widzenia rzeczy głoszone (należała do nich na przykład teza o jedności moralno-politycznej narodu polskiego w latach siedemdziesiątych) lecz realistyczne spojrzenie na rzeczywistość oraz odwołania teoretyczne wyraźnie im przeczą.

Szczególnie istotnym założeniem teoretycznym, a zarazem metodologicznym w badaniu kryzysów społecznych jest odróżnianie żywiołowych i sterowanych procesów społecznych. Procesy żywiołowe charakterystyczne są dla przedsocjalistycznych formacji społeczno-gospodarczych. Procesy sterowane zachodzą w nich jedynie w stopniu ograniczonym i dotyczą pewnych fragmentów rzeczywistości społecznej, gospodarczej czy politycznej, natomiast

formacja socjalistyczna jest ze swej natury poddana sterowaniu; tylko bowiem poprzez nie możliwe jest świadome dążenie do całościowych celów socjalizmu.

Można ogólnie powiedzieć, że każdy kryzys społeczny w warunkach budowy socjalizmu jest świadectwem pojawienia się w ogólnym procesie sterowania takich czy innych zjawisk żywiołowych, które utrudniają realizację uświadomionych sobie przez społeczeństwo, a szczególnie przez klasę robotniczą, celów socjalizmu. Wybuch społecznego niezadowolenia (tak bowiem można by również nazwać kryzys społeczny) zwraca w sposób drastyczny uwagę na zagrożenie oczekiwań co do realizacji społecznych celów socjalizmu.

Społeczne oczekiwania co do realizacji tych celów dotyczą przede wszystkim dwu sfer:

- 1) poziomu i warunków życia,
- 2) zakresu ludowładztwa, tj. stopnia udziału ludzi pracy w decydowaniu o losach narodu i państwa.

Z teoretycznej analizy procesów rozwoju historycznego wynika, że na działania ludzi warunki obiektywne — na przykład ekonomiczne — nie wpływają bezpośrednio, lecz jedynie za pośrednictwem świadomości, w skład której wchodzi w pierwszym rzędzie wiedza o tych warunkach obiektywnych oraz system przekonań społecznych i politycznych. Wiedza ta zwykle tylko w części odpowiada rzeczywistym procesom, zaś system przekonań ideologiczno-politycznych jest w stałym rozwoju, także pod wpływem stale toczącej się walki ideologicznej. Kształtowanie się wiedzy i systemów wartości nie jest czymś oderwanym od kształtowania się obiektywnych warunków życia. W zasadniczych liniach istnieje tu, jak uczy historia, wyraźne powiązanie. Określone idee rozwijają się jedynie wówczas, gdy trafiają na podatny grunt społeczny.

Z tego, co powiedziano wynika, że odwołanie do materialistycznej i dialektycznej teorii i metodologii procesów społecznych nakazuje w badaniu kryzysów społecznych w PRL rozpatrzenie we wzajemnym związku następujących spraw:

1) czynników obiektywnych, w których przyszło realizować budownictwo socjalizmu w Polsce, to jest czynników niezależnych od ludzi działających w tym kierunku;

2) sposobu realizacji, szczególnie przez ludzi sprawujących władzę celów budownictwa socjalizmu;

3) uzyskiwanych w tym budownictwie rezultatów, szczególnie w sferze warunków życia ludzi pracy oraz w sferze ich uczestnictwa w sterowaniu działaniami zmierzającymi do realiza-

cji celów socjalizmu czyli w sferze gospodarki i w sferze demokracji socjalistycznej;

4) stanu świadomości społeczeństwa, szczególnie zaś jego głównych klas i warstw (klasy robotniczej, chłopów, inteligencji), a także, z uwagi na specjalną wrażliwość na problemy różnic pokoleniowych, młodzieży, przy czym w analizie owego stanu chodzi w pierwszym rzędzie o wpływ stopnia realizacji przyjętych celów na stan świadomości społecznej;

5) faktów i działań stanowiących bezpośrednie przyczyny pojawienia się danego kryzysu, to znaczy tych czynników, które były w stanie bezpośrednio spowodować mniej czy bardziej lawinową reakcję społeczną.

Zdawano sobie również sprawę z pewnej odmienności wyjaśniania samego pojawienia się kryzysu społecznego od analizy jego przebiegu. W toku samego kryzysu, jak to wynika z różnego rodzaju uogólnień historycznych i teoretycznych, następuje zwykle aktywizacja działań zorganizowanych zmierzających do uzyskiwania określonych rezultatów, zwiększa się rola procesów świadomościowych, a więc propagandy i agitacji zmierzającej w różnych kierunkach, uaktywnia czy odradza się opozycja polityczna, mająca oparcie w będącej jeszcze w toku przemian, a więc nie w pełni socjalistycznej strukturze klasowo-wartościowej. Przeciwwstawienie się wybuchowi kryzysów społecznych możliwe jest jedynie w drodze zmniejszania rozbieżności między zakładanymi i akceptowanymi przez ludzi pracy celami, a stopniem ich realizacji. Natomiast powstrzymanie rozwoju już wybuchłego kryzysu możliwe jest jedynie przez wpływanie na świadomość społeczną, połączone oczywiście z podjętymi równocześnie staraniami o zmniejszanie tej rozbieżności. Wśród wspomnianych czynników łagodzących wystąpienie konfliktu między większymi czy mniejszymi odłamami społeczeństwa a władzą na czoło wysuwają się takie, jak wprowadzanie do procesów gospodarczych mechanizmów samoregulacji (na przykład rynkowej), a do całego życia społecznego i politycznego możliwie jak największego uczestnictwa ludzi pracy w realizacji celów rozwojowych. Tylko w ten sposób władza uzyskać może rzeczywistego partnera, przyjmującego również odpowiedzialność za niełatwe zadania odpowiadające osiąganym stopniom rozwoju gospodarczego i społecznego.

Kryzysy występujące w PRL trzeba rozpatrywać na tle całej historii tego okresu. Był to okres wielkich, na historyczną skalę,

osiągnięć. Zwracamy na nie w syntetycznej postaci uwagę w następnym rozdziale. Faktem jest jednak, że gdyby nie powtarzające się kryzysy, osiągnięcia Polski Ludowej byłyby większe, a ich cena niższa.

II. Osiągnięcia Polski Ludowej

W latach 1944-1982 w Polsce nastąpiły zasadnicze przemiany, obejmujące system polityczny i społeczno-gospodarczy, miejsce i pozycję Polski w świecie, treść i kierunki polityki zagranicznej oraz stosunki z sąsiadami. Równie istotnym przeobrażeniem podlegała świadomość narodu a także system uznawanych przezeń wartości życia zbiorowego. Jakkolwiek nie były one zjawiskiem jedynie polskim, stanowiły bowiem i stanowią nadal część składową wielkich przemian społecznych zapoczątkowanych Wielką Październikową Rewolucją Socjalistyczną w Rosji, to jednak główne ich korzenie tkwiły w stosunkach wewnętrznych, w uwarunkowaniach narodowych, będąc przede wszystkim rezultatem dojrzewania głębokich wewnętrznych procesów społeczno-gospodarczych i politycznych. U ich podłoża leżało zarówno bankructwo koncepcji politycznych obozu burżuazyjnego, jak i stopniowe dojrzewanie klasy robotniczej i reprezentującej jej interesy lewicy społecznej do roli kierowniczej. Główne przesłanki przeobrażeń rewolucyjnych w Polsce powstawały w latach czterdziestych. Wtedy też rodziły się nader wartościowe koncepcje przebudowy stosunków społeczno-ekonomicznych i politycznych w kierunku socjalistycznym, niestety nie wykorzystanych w latach następnych.

Polska wyszła z wojny zwycięsko, kształtując przy zdecydowanym poparciu Związku Radzieckiego granice państwowe, bezpieczne ze względu na zawarte sojusze i sąsiedztwo bliskich ideowo i politycznie państw. Do Macierzy powróciły ziemie poddawane w minionych wiekach brutalnej polityce wynaradawiania. Polska wracając nad Bałtyk, Nysę Łużycką i Odrę, powracała do swych historycznych piastowskich granic. Był to sukces Polski jako uczestnika koalicji antyhitlerowskiej, a także państwa bezpośrednio zainteresowanego w ostatecznym rozwiązaniu swoich narosłych w przeszłości problemów. Nowy kształt terytorialny ludowego państwa polskiego z jednej strony kładł definitywnie kres wielowiekowemu sporom z narodami: ukraińskim, białoruskim i litewskim — Polska stała się państwem jednorodnym pod względem etnicznym — z drugiej zaś — przez powrót

na ziemię piastowskie osłabiał imperializm niemiecki i tym samym wzmacniał bezpieczeństwo Polski. Procesy migracyjne objęły olbrzymią liczbę ludności. Do 1949 roku podstawowa masa ludności niemieckiej została przesiedlona, a na ziemiach zachodnich i północnych osiedliło się 4,5 mln Polaków.

Naród polski realizował wiele pilnych zadań, nieznanych w dotychczasowych jego dziejach. Ogromnego wysiłku wymagała odbudowa kraju ze zniszczeń wojennych. Straty bowiem sięgały ok. 38 % majątku trwałego sprzed wybuchu wojny. Wymagało to mobilizacji całego społeczeństwa, które z autentycznym entuzjazmem włączyło się w proces odbudowy i rekonstrukcji gospodarczej kraju. Podział ziemi obszarnej i ponemieckiej, przejęcie i zagospodarowanie Ziemi Zachodnich i Północnych, odbudowa przemysłu i handlu wciągała tysiące i miliony ludzi do współuczestnictwa w procesie odbudowy i przebudowy Polski. Udział ten miał często spontaniczny, żywiołowy charakter. Przeżycia wojenne powodowały, że w pierwszych latach społeczeństwo polskie przejawiało szczególnie patriotyzm i entuzjazm twórczy, silną wolę odbudowania własnych warsztatów pracy, umocnienia własnego kraju i jego miejsca na arenie międzynarodowej. W ten sposób z udziałem większości narodu następowało urzeczywistnianie demokracji autentycznie ludowej — robotniczej i chłopskiej — której zasadniczą cechą był bezpośredni udział w rozwiązywaniu problemów o różnym wymiarze społecznym.

Odbudowa kraju, w której społeczeństwo brało powszechny udział odbywała się wraz z przeprowadzaniem zasadniczych reform społecznych, podważających panowanie klas posiadających — obszarnej i wielkiej burżuazji. Reforma rolna spowodowała zasadniczy przewrót w stosunkach agrarnych w Polsce. Ziemianstwo jako klasa społeczna przestało istnieć, jednocześnie unicestwiono skutki niemieckiej działalności kolonizacyjnej, łagodząc równocześnie odwieczny głód ziemi wśród chłopów. Poważnym wreszcie efektem reformy było tworzenie podstaw dla rozwoju rolnictwa w kierunku socjalistycznym — taki sens miało tworzenie sieci państwowych gospodarstw rolnych oraz upaństwowienie lasów oraz znacznej liczby obiektów przemysłu rolnego.

Praca nad odbudową, tworzeniem normalnej tkanki życia społeczno-gospodarczego odbywała się nie bez trudności powodowanych zarówno zniszczeniami wojennymi, jak działaniem opozycji politycznej, wspieranej walką podziemia zbrojnego, dążą-

cych do zahamowania rewolucyjnych przeobrażeń. Największe ofiary w walce z podziemiem ponosili robotnicy, oni też przejmowali główny ciężar rewolucji socjalistycznej.

Z natury rzeczy robotnicy odegrali największą rolę przy odbudowie i przejmowaniu przemysłu. Właśnie robotnicy samorzutnie zagospodarowywali i uruchamiali zakłady zniszczone działaniami wojennymi. Przywracając do życia fabryki, pracując bez zapłaty, organizując zaopatrzenie w żywność i surowce robotnicy stawali się mocą faktów dokonanych rzeczywistymi gospodarzami zakładów pracy — tworząc w ten sposób przesłanki dla uspołecznienia przemysłu. W tych warunkach ustawa KRN z 3 stycznia 1946 roku w sprawie nacjonalizacji przemysłu sankcjonowała istniejący faktycznie stan rzeczy. Ustawa podcinała byt burżuazji, ograniczała wpływy kapitału obcego w Polsce, godziła w osoby, które w okresie okupacji dopuściły się kolaboracji, stanowiła akt gruntownie zmieniający stosunki społeczne w Polsce.

Jednocześnie znacznej stabilizacji ulegała sytuacja polityczna. Następowo umocnienie władzy ludowej, której główne zręby tworzyły partie robotnicze zdecydowane konsekwentnie przeprowadzić proces demokratycznych i rewolucyjnych przeobrażeń. Kolejne batalie polityczne — Referendum Ludowe z 1946 roku oraz wybory do Sejmu Ustawodawczego z 1947 roku — wykazały, że obóz demokracji zyskuje poparcie klasy robotniczej, chłopstwa, większości społeczeństwa. Niewątpliwie przyczyniły się do tego sukcesy odnoszone na polu gospodarczym oraz rzeczywista integracja społeczeństwa wokół wspólnych celów, wyrażanych przez swoją, ludową władzę. Uchwalony przez KRN w lipcu 1947 roku Plan Odbudowy Gospodarczej na lata 1947-1948, przewidujący odbudowę gospodarczą kraju i podniesienie w ciągu trzech lat stopy życiowej pracujących warstw ludności powyżej poziomu przedwojennego został pomyślnie wykonany. W istocie nie był to tylko plan odbudowy, lecz plan perspektywicznych zmian w samej strukturze ekonomicznej i społeczno-klasowej kraju. W wyniku realizacji Planu Trzyletniego nastąpiło bowiem umocnienie sektora socjalistycznego w gospodarce narodowej przede wszystkim w przemyśle i obrocie towarowym.

Polityka socjalistycznego uprzemysłowienia przyniosła globalne wyniki nieznanne w poprzednich okresach dziejów Polski. Warto wspomnieć, iż w 1973 roku Polska osiągnęła poziom produkcji przemysłowej 20 razy wyższy w stosunku do 1938 roku. Wydatnie rozbudowano przede wszystkim przemysł środków produkcji, znacznej rozbudowie uległa baza paliwowo-energetyczna, stworzono liczne nowe okręgi i ośrodki przemysłowe. Powstały

nowe okręgi przemysłu węglowego, jak np. Rybnicki Okręg Węglowy, ośrodki wydobywania węgla brunatnego w Turosszowie, Koninie, Bełchatowie, zagłębie wydobywania siarki w Tarnobrzegu, miedzi w Lubinie. Zbudowano kilka ośrodków przemysłu chemicznego, jak np. w Płocku, Puławach, Włocławku, Gdańsku, Szczecinie i Policach. Znacznej rozbudowie poddano przemysł stoczniowy, budowy maszyn. Równocześnie ze wzrostem ilościowym nastąpiły głębokie przemiany w strukturze przemysłu. Jeśli bowiem w 1950 roku w przemyśle polskim dominowały przemysł spożywczy, górnictwo i przemysł włókienniczy, to obecnie dominuje przemysł elektromaszynowy. Wraz z rozwojem przemysłu rozwijał się także transport kolejowy, samochodowy oraz żegluga morska. Jednakże w tym ogromnym skoku ilościowym i jakościowym tkwiły słabości, które — zważywszy niekonsekwencje działań modyfikujących główne kierunki polityki gospodarczej — wyrażały się w niedorozwoju przemysłu produkującego na potrzeby ludności, w tym także znaczne niedoinwestowanie rolnictwa i przemysłu spożywczego. Stawało się to źródłem napięć społecznych i jednocześnie silnego nacisku konsumpcyjnego.

Postęp w stosunkach społeczno-ekonomicznych i politycznych byłby wszakże niemożliwy bez rzeczywiście rewolucyjnych przeobrażeń w sferze oświaty i kultury. Ich celem było przygotowanie społeczeństwa do szerokiego uczestnictwa w życiu politycznym, gospodarczym i kulturalnym. Konieczne zatem stało się rychłe odbudowanie oświaty, jej upowszechnienie i demokratyzacja oraz rozbudowa szkolnictwa wszystkich stopni, odpowiadające potrzebom i aspiracjom społeczeństwa budującego socjalizm. Niemniej ważne było objęcie nauczaniem ludzi starszych, a szczególnie podjęcie walki z analfabetyzmem jako zjawiskiem społecznym.

Te trudne zadania trzeba było realizować w wyjątkowo ciężkich warunkach spowodowanych wojną i okupacją hitlerowską: straty wojenne w szkolnictwie i instytucjach naukowych szacowano na 60 % ich przedwojennej wartości. Odbudowa oświaty, nauki i kultury została dokonana w zasadzie w latach 1944-1949. Walka z analfabetyzmem w latach 1947-1949 doprowadziła do jego likwidacji jako zjawiska społecznego. Od 1950 roku system oświatowy integralnie związano z potrzebami społeczno-ekonomicznego rozwoju kraju i przygotowaniem kadr kwalifikowanych na potrzeby rozwijającej się gospodarki narodowej i innych dziedzin życia społecznego. O ogromie dokonanych przeobrażeń świadczą następujące liczby: w 1937/1938 w przedszkolach było

83,3 tys. dzieci, w 1949/1950 — 289,8 tys.; absolwentów szkół podstawowych odpowiednio — 127,1 tys. i 269,8 tys.; absolwentów liceów ogólnokształcących — 14 tys. i 23,7 tys.; absolwentów szkół zawodowych — 14,1 tys. i 110,5 tys. W Polsce Ludowej nastąpiło zatem upowszechnienie oświaty. W ten sposób realizował się awans ogromnych rzesz społeczeństwa, zwłaszcza robotników i chłopów. Przemiany w sferze społeczno-gospodarczej i politycznej wspierane były przeobrażeniami w sferze oświaty, nauki i kultury i na odwrót. Przeobrażenia cywilizacyjne stawały się dalszą przesłanką rewolucyjnych przeobrażeń na płaszczyźnie społecznej i politycznej, rodząc jednocześnie nowe potrzeby i oczekiwania łączące się z nowym ustrojem — socjalizmem. W tym też splocie wzajemnych zależności należy upatrywać źródła poważnych napięć a nawet kryzysów. Albowiem wykształcone społeczeństwo, wykazujące wysokie ambicje polityczne i kulturalne, było w rzeczywistości ograniczone w zakresie współuczestnictwa w podejmowaniu decyzji państwowo i społecznie ważnych, ponosząc wszakże konsekwencje decyzji podejmowanych bez jego udziału.

Momentem przełomowym przeobrażeń rewolucyjnych w Polsce powojennej stało się zjednoczenie PPR i PPS — powstanie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Zjednoczenie polityczne klasy robotniczej umocniło jej wpływy i znaczenie w kraju w stosunku do innych warstw i klas społecznych. Klasa robotnicza w sposób niekwestionowany przejęła funkcję głównej siły narodu — jego hegemonu. Kongres Zjednoczeniowy wytyczył konkretne, oparte na naukowych przewidywaniach plany socjalistycznych przeobrażeń naszego kraju.

Doniosłym elementem socjalistycznych przeobrażeń w Polsce stały się przemiany społeczne; nastąpiło przekształcenie społeczeństwa typu rolniczo-drobnomieszczańskiego w nowoczesne społeczeństwo miejsko-przemysłowe. W 1931 roku utrzymywało się ze źródeł pozarolniczych 39,4 % ludności, zaś w 1976 roku — ponad 75 %. Odsetek mieszkańców miast, który w 1938 roku wynosił ok. 28 % ogółu ludności, wzrósł po 1950 roku do 39 %, w 1966 roku nastąpiło zrównanie liczbowe zaludnienia wsi i miast, aby w 1977 roku doprowadzić do wzrostu ludności miejskiej do ponad 57 %. Zasadniczym przeobrażeniem uległa struktura społeczeństwa polskiego. Jeśli w 1931 roku robotnicy stanowili 28,6 % ówczesnego społeczeństwa polskiego, to w 1970 roku ich odsetek wzrósł do 49,8 %; chłopów odpowiednio z 51,8 % do 25,8 %, pracowników umysłowych z 5,5 % do 22,4 %.

Najdonioślejsze społecznie i politycznie zmiany objęły klasę robotniczą. Klasa robotnicza była w początkowych latach Polski Ludowej, a i obecnie pozostała, podstawową społeczną bazą rekrutacji kadr, grup kierowniczych państwowych i partyjnych wszystkich szczebli. Rola klasy robotniczej w wielkiej mierze zdeterminowała równocześnie wysoki prestiż i pozycję w państwie jej sojuszników: pracującego chłopstwa i ludowej inteligencji. Postawa klasy robotniczej stawała się czynnikiem rozstrzygającym w sytuacjach przełomowych, decydujących o rozwoju państwa i narodu. Jej reakcje i postawy wobec polityki grup kierowniczych, partii i państwa, polityki innych klas i grup społecznych oraz ich politycznych reprezentacji stawały się istotnym czynnikiem zmian w polityce partii i państwa, korygowania jej przy równoczesnej obronie zasad socjalizmu. Wynikało to m.in. stąd, że awans cywilizacyjny klasy robotniczej, wyrażający się w wykształceniu, kwalifikacjach zawodowych, warunkach bytu materialnego, dostępu do kultury, awans i ruchliwość społeczna były znacznie szybsze i głębsze niż innych klas i grup społecznych. Zmieniając rzeczywistość polityczną, klasa robotnicza zmieniała także własną świadomość polityczną, a zarazem w decydujący sposób wpływała na świadomość polityczną całego narodu. Stąd każdorazowe odchodzenie od zasad i wartości uznawanych przez klasę robotniczą spotykało się z jej strony z oporem, który nie znajdując ujścia i rozwiązania w instytucjach demokracji socjalistycznej — poważnie ograniczonych i wadliwie funkcjonujących — wybuchał jawnym konfliktem politycznym.

Zasadniczym przeobrażeniem uległa także inteligencja, w swej większości z pochodzenia robotnicza i chłopska, co przekreślała możliwość ponownego zasklepienia się jej w swym własnym, odcięty od innych klas społecznych kręgu. Kadry z wyższym wykształceniem skoncentrowane zostały przede wszystkim w przemyśle oraz w nauce i oświacie. Zwiększający się udział inteligencji w bezpośredniej produkcji, jej rola w kształtowaniu postępu naukowo-technicznego, stopniowe zacieranie różnic między pracą umysłową a fizyczną pogłębiają więź tej warstwy z klasą robotniczą. Ta przebudowa społecznej struktury inteligencji — w porównaniu z okresem przedwojennym, kiedy dominowała grupa pracowników urzędniczych — a obok niej wpływ praktycznych doświadczeń historycznych i oddziaływanie ideologii socjalistycznej powodują, iż inteligencja polska w swej podstawowej masie jest coraz ściślej i trwalej związana z socjalistyczną perspektywą rozwoju Polski.

W rezultacie rewolucyjnych przemian znacznemu przyspie-

szeniu uległ awans klasy chłopskiej. Podstawowym tego elementem była reforma rolna likwidująca zasadnicze sprzeczności na wsi polskiej, zmniejszająca liczbę bezrolnych oraz znosząca biedotę wiejską jako wyraźnie wyróżniającą się grupę społeczną. Uległo ponadto likwidacji przeludnienie agrarne i utajone bezrobocie na wsi, co łączyło się nie tylko z reformą rolną, ale także z nie mającą precedensu w dotychczasowych dziejach Polski industrializacją i urbanizacją. W rzeczywistości awans wsi odbywał się równolegle, jakkolwiek w tempie wolniejszym w stosunku do klasy robotniczej. Likwidacja bezrobocia oraz rewolucja kulturalna objęła w równym stopniu klasę chłopską, korzystającą zarówno z możliwości przemieszczeń poziomych jak i pionowych. Bo przecież likwidacja analfabetyzmu dotyczyła w znacznej mierze wsi. Wreszcie istotnym elementem sytuacji mieszkańców wsi stało się zarówno prawne zabezpieczenie własności chłopskiej jak i objęcie wsi powszechnymi ubezpieczeniami społecznymi. Wielka ruchliwość społeczna tej klasy w Polsce Ludowej zacieśniła jej więź z klasą robotniczą, a także zbliżyła ją do warstwy inteligencji.

U podstaw przeobrażeń w Polsce legły zasady wynikające z socjalistycznego charakteru ustroju społeczno-gospodarczego, likwidującego dochody oparte na wyzysku, uzależniające dochody osobiste od własnej pracy oraz rozbudowującego społeczny fundusz spożycia. W rezultacie głębokich reform społeczno-gospodarczych zlikwidowana została jedna z najbardziej dotkliwych plag II Rzeczypospolitej — bezrobocie. Głównym źródłem utrzymania ludności stała się praca społecznie zorganizowana, wykonywana na podstawie stosunku pracy w gospodarce uspołecznionej.

Jednakże ogólna tendencja zmierzająca do tworzenia stosunków społeczno-ekonomicznych zgodnych z zasadami sprawiedliwości i równości społecznej napotykała w praktyce na zakłócenia, co powodowało rozdział między formułowanymi celami i deklaracjami a rzeczywistością ich realizacją. Stawało się to niejednokrotnie przyczyną poważnych napięć.

Przemiany rewolucyjne dokonane w Polsce w latach powojennych stworzyły podstawy rozwoju demokracji socjalistycznej. Zlikwidowały one zasadnicze przyczyny nierówności społecznej i politycznej, torując drogę zasadzie sprawiedliwości społecznej. Zniesienie wyzysku i ucisku klasowego stworzyło przesłanki równego startu życiowego ogółu ludności. Wraz z przesłankami ekonomicznymi umacniały się formalno-prawne podstawy demokra-

cji. Powstanie i rozwój samorządu robotniczego, ewolucja rad narodowych, umocnienie roli Sejmu, stabilizacja praworządności ludowej — to kolejne etapy demokratyzacji i umacniania systemu demokracji socjalistycznej. Decydującym wszakże czynnikiem określającym zasięg i bogactwo treści powołanych i istniejących instytucji demokracji socjalistycznej była i pozostaje Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Właśnie sytuacja w partii w poważnej mierze warunkowała rozwój demokracji socjalistycznej.

Toteż w warunkach pełnienia przez partię roli przewodniej w stosunku do społeczeństwa i państwa, niedomagania w funkcjonowaniu demokracji wewnątrzpartyjnej i odstępstwa od leninowskich zasad działania partii nie pozostawały bez wpływu na stan społeczeństwa, państwa, ich instytucji i organizacji, stając się decydującym źródłem kryzysów.

III. Syntetyczna ocena źródeł i konsekwencji kryzysów w dziejach PRL

I

W przedstawieniu mechanizmu wyjaśniającego występowanie kryzysów społecznych w Polsce po drugiej wojnie światowej chodzi przede wszystkim o wskazanie na czynniki główne i to zarówno w sferze obiektywnych warunków jak i subiektywnych działań ludzi, grup, klas i instytucji. Dopiero na tym tle nabiera właściwego sensu odwoływanie się do różnego rodzaju czynników ubocznych, a także odkrywanie przyczyn bezpośrednich wywołujących kryzysowe wybuchy. Analiza wszystkich kryzysów społecznych, które wystąpiły po 1945 roku odniesiona do całości dziejów PRL, pozwala w sposób jednoznaczny, a przy tym mający teoretyczne oparcie w teorii materializmu historycznego, na ukazanie ogólnego mechanizmu rodzącego kryzysy. Mechanizm ten zawiera odwołania zarówno do ogólnych prawidłowości budownictwa socjalizmu jak i do czynników specyficznych tego budownictwa w Polsce.

Na wstępie zaznaczyć należy, że w mechanizmie tym nie można w sposób izolowany przedstawiać czynników obiektywnych i subiektywnych. Czynniki obiektywne nie działają samodzielnie. Są one jedynie warunkami, w których ludzie działają, to zaś w jaki sposób wpływać one będą na działających zależy w dużym stopniu od nich samych, a mówiąc ściślej od stopnia rozpoznania przez nich obiektywnych warunków. Należy stwier-

dział, że im pełniejszy jest stopień owego rozpoznania, tym bardziej realistycznie formułowane są cele działania oraz tym bardziej przewidywalne są efekty działania.

Do podstawowych czynników obiektywnych, które należy brać pod uwagę przy wyjaśnianiu polskich kryzysów społecznych po 1945 roku należą w pierwszym rzędzie następujące:

1. Spuścizna historyczna czyli obiektywne warunki ludzkiego działania odziedziczone z przeszłości;
2. sytuacja polityczna i ideologiczna świata, jaka ukształtowała się po drugiej wojnie światowej oraz tendencje jego rozwoju gospodarczego i społecznego;
3. prawidłowości budownictwa socjalizmu wynikające z istotnych cech ustroju socjalistycznego.

W zakresie spuścizny historycznej na pierwszym miejscu postawić należy zacofoanie gospodarczo-społeczne będące rezultatem niełatwych polskich dziejów. Jeśli rozpatrywać rzecz w dłuższej perspektywie historycznej, jest ono rezultatem rozbiorów Polski, które zahamowały i zdeformowały rozwój gospodarczy i społeczny kraju, a także następstwem okupacji niemieckiej, która postawiła naród polski wobec niebezpieczeństwa biologicznej zagłady, a równocześnie przyniosła zniszczenie około 1/3 majątku narodowego. Owo nieprzewidywane zacofoanie oznaczało start do budownictwa socjalizmu z bardzo niskiego poziomu. Oznaczało to równocześnie istniejące obiektywne trudności dla szybkiego podniesienia poziomu życia narodu, tym bardziej, że idące z postępem ogólnym uświadomienie potrzeb odznaczało się, podobnie jak na ogół w innych krajach tak i w Polsce, stałą i znaczną dynamiką. Pojawił się zatem nie tylko problem zachowania jakiegoś przeciętnego tempa rozwoju gospodarczego i społecznego kraju, lecz równocześnie konieczność nadrobienia historycznych zapóźnień, tak aby luka między osiągnięciami a oczekiwaniami nie była zbyt duża, a przynajmniej nie powiększała się. Do obiektywnej spuścizny historycznej należy także narodowa świadomość historyczna z jej specyficznymi, wykształconymi głównie w efekcie rozbiorów i walk o niepodległość cechami.

Jeśli z kolei mowa o obiektywnej sytuacji politycznej i ideologicznej świata i tendencjach jego rozwoju gospodarczo-społecznego, to mamy w pierwszym rzędzie na myśli fakt, że budownictwo socjalizmu w Polsce odbywało się i odbywa w warunkach podziału politycznego i ideologicznego świata. Jest to równoznaczne z istnieniem stałej, raz mniej, drugi raz bardziej nasilonej walki politycznej i ideologicznej oraz rywalizacji świata

kapitalistycznego i socjalistycznego. Procesem idącym z tym w parze jest, mimo owego podziału, stopniowy wzrost powiązań i współzależności międzynarodowych. Ów podział świata jest faktem niosącym liczne koszty dla państw i narodów, które są tym dotkliwsze, im niższy jest ich poziom rozwoju gospodarczego. Jest to silnie odczuwane przez kraje startujące do wzrostu gospodarczego i podnoszenia poziomu życia ze stosunkowo niskiego poziomu, tak jak większość krajów socjalistycznych.

Dochodzimy z kolei do następnego z wymienionych warunków obiektywnych budowy socjalizmu, do którego w wyjaśnianiu kryzysów należy przywiązać szczególną wagę. Mamy tu na myśli decydującą dla budowy socjalizmu rolę sterowania procesami rozwojowymi, co zasadniczo różni socjalizm jako pewien etap rozwoju historycznego, od bardziej żywiołowo rozwijających się formacji poprzednich. Sterowanie procesami społecznymi, jak to już wyraźnie analizował Marks, jest obiektywną koniecznością historyczną, tylko bowiem poprzez świadome sterowanie przez społeczeństwo swym własnym rozwojem może dokonywać się zmniejszenie rozbieżności między zakładanymi przez ludzi celami działania a rezultatami tych działań. Oznacza to przekształcanie się procesu historycznego z procesu o charakterze przyrodniczym (a więc żywiołowym) w proces o charakterze humanistycznym, a tym samym stopniowe urzeczywistnianie świadomego kierowania przez społeczeństwo własnymi losami.

Najważniejszym wymogiem skutecznego sterowania całokształtem rozwoju społecznego, a także warunkiem właściwego (tzn. uzależnionego od konkretnej obiektywnej sytuacji) formułowania i konkretyzowania celów, do których w procesach sterowania chce się zmierzać jest dysponowanie dostateczną a zarazem dynamicznie rosnącą wiedzą pozwalającą na właściwy wybór strategii działania i na dokonywanie niezbędnych korektur w jego toku. Wiedza taka nie może być przy tym czymś danym niejako z góry, lecz musi być stale rozwijana w toku procesów sterowania. Taką wiedzą winni przede wszystkim dysponować ci, którzy zajmują najbardziej decydujące pozycje. Winna ona jednak być upowszechniana w całym społeczeństwie, które nie może dla skuteczności samych procesów sterujących być traktowane jako bierny przedmiot, za który decyzje podejmuje jedynie ośrodek kierowniczy. Wiedza taka poza tym pozwala na uruchamianie mechanizmów samoregulacji, ważnych z tego powodu, że wyeliminowanie całkowite procesów żywiołowych jest niemożliwe, szczególnie w życiu gospodarczym.

Z tego co powiedziano wynika wyraźnie, że budowa socjalizmu jako proces sterowania przemianami społecznymi jest zadaniem nader trudnym. Idealna bezbłędna realizacja tego procesu byłaby możliwa jedynie wówczas, gdyby ludzie sterujący tymi przemianami dysponowali idealną wiedzą dającą orientację we wszystkich czynnikach wpływających na zmieniające się wielkości, a tym samym możliwość wybierania właściwych działań stanowiących elementy realizacji zakładanych celów. Ponieważ nie istnieje i trudno założyć by mógł istnieć taki idealny mózg czy komputer wskazujący na idealne rozwiązania, mamy w rzeczywistości do czynienia z sytuacjami mniej lub bardziej trafnego — a niekiedy wyraźnie błędnego wyboru strategii działania.

Należy wskazać jeszcze na dwa dalsze wymogi adekwatnego sterowania globalnymi procesami społecznymi w budowie socjalizmu. Jest to wymóg właściwego doboru kadr, szczególnie tych, które spełniają istotne funkcje w procesach sterowania oraz wymóg świadomego uczestnictwa całego społeczeństwa (a głównie klasy robotniczej, inteligencji i chłopów) w realizacji globalnych celów. W tym drugim przypadku chodzi o realizację zasad demokracji socjalistycznej.

Dlaczego te dwa wymogi są w procesach sterowania budownictwem socjalizmu szczególnie ważne, jakkolwiek wspomniany poprzednio wymóg wiedzy ma charakter i bardziej ogólny, i bardziej podstawowy? Właściwy dobór ludzi, szczególnie tzw. inicjatorów i organizatorów, jest oczywiście ważny w każdym przypadku dążenia do osiągnięcia w sposób możliwie jak najbardziej racjonalny zakładanych celów, tzn. nie tylko w przypadku budowy socjalizmu. W tym ostatnim przypadku wszakże, jako że mamy tu do czynienia ze świadomym sterowaniem procesami społecznymi, rola tego czynnika automatycznie wzrasta. Właściwy dobór kadr pozwala nie tylko na wykonywanie w sposób najbardziej właściwy dyrektyw ośrodka sterującego, lecz równocześnie łagodzi to, że nie istnieje idealna wiedza o procesach sterowania, a zatem zmniejsza rolę procesów żywiołowych. Aby wszakże taki mógł być efekt właściwego doboru kadr, trzeba aby kadry te nie ograniczały się jedynie do wypełniania podstawowych zadań, lecz by istniały warunki pozwalające na uruchamianie ich indywidualnej wiedzy i doświadczeń. Inaczej będziemy mieli do czynienia jedynie z przenoszeniem w dół nigdy nie idealnej wiedzy centralnych ośrodków kierownictwa politycznego i gospodarczego bez jego wzbogacenia.

Problem demokracji socjalistycznej ma dwa istotne z intere-

sującego nas tutaj punktu widzenia aspekty. Po pierwsze, demokracja socjalistyczna, która znajduje swe podstawowe odniesienie w istnieniu systemu ekonomicznego opartego na zasadzie społecznej własności środków produkcji, zapewnia uczestnictwo we władzy ludzi pracy, a w pierwszym rządzie klasy robotniczej, która jest jej wiodącą siłą społeczną i polityczną. Mówiąc o uczestnictwie w sprawowaniu władzy mamy na myśli zarówno sprawowanie przez ludzi pracy kontroli nad procesami sterowania jak i bezpośrednie uczestnictwo, poprzez najróżniejsze mechanizmy, w podejmowaniu decyzji. Tylko w ten sposób możliwe jest wciągnięcie mas pracujących w świadome kierowanie budownictwem ustroju socjalistycznego i realizowaniem celów socjalizmu. Zapewnia to równocześnie realizację wspomnianego poprzednio wymogu właściwego doboru kadr mających bezpośredni wpływ na owo kierowanie. Nie chodzi tu tylko o kontrolę tych kadr i wpływ na odpowiednie zmiany, lecz równocześnie o umożliwienie, właśnie przez stałe uczestnictwo w sprawowaniu władzy, naturalnego wyłaniania się zdolnych i odpowiednio przygotowanych kadr kierowniczych. Bez takiego procesu stałego wyłaniania się inicjatorów i organizatorów nie może dokonywać się postęp społeczny, gospodarczy i kulturalny.

Drugi aspekt demokracji socjalistycznej w perspektywie procesów sterowania ma bezpośredni związek z występowaniem kryzysów społecznych w toku budowy socjalizmu. Z uwagi na niemożność dysponowania idealną wiedzą w tej budowie a zatem z uwagi na stałe niebezpieczeństwo pojawiania się trudności w realizacji wytyczonych celów, ważne jest aby istniał możliwie jak najszerszy świadomy i aktywny udział społeczeństwa w tej realizacji, która jak wspomniano nigdy nie będzie dokonywała się bez większych czy mniejszych trudności i konieczności dokonywania korektur. Im bardziej społeczny charakter ma zatem sterowanie budową socjalizmu, tzn. im bardziej demokratyczna jest odpowiedzialność za osiągnięte rezultaty, tym mniejsze jest niebezpieczeństwo wystąpienia konfliktu między tymi, którzy skupili w swym ręku procesy sterowania (partią, kierownictwem partii, grupą w kierownictwie, rządem itd.) a społeczeństwem. W warunkach działania demokracji socjalistycznej większość społeczeństwa czuje się odpowiedzialna za efekty; większość też czuje się zobowiązana do korygowania ewentualnych błędów.

Można zatem ogólnie powiedzieć, że zarówno właściwy dobór kadr jak i wpływająca także na ten dobór demokracja socjalistyczna są w stanie łagodzić skutki nieistnienia idealnej wiedzy w procesach sterowania budownictwem socjalizmu.

II

Z przeprowadzonych analiz wynika, że warunki obiektywne, w których dokonuje się budowa socjalizmu, takie przede wszystkim jak start z niskiego poziomu rozwoju gospodarczo-społecznego, stan świadomości społecznej, podział świata oraz wymóg sterowania globalnymi procesami społecznymi tworzą zbiór warunków sprzyjających pojawianiu się trudności w tej budowie, a tym samym stwarzających obiektywne niebezpieczeństwo wystąpienia kryzysów społecznych. To jednak, czy taka możliwość przekształci się w rzeczywistość zależy już całkowicie od czynników, które można nazwać subiektywnymi czyli leżącymi w sferze ludzkich decyzji. Można by bardziej konkretnie powiedzieć, że niebezpieczeństwo wystąpienia sytuacji kryzysowej jest tym większe im:

1. uboższa jest wiedza tych, którzy sterują procesem budowy socjalizmu, a w konsekwencji im większą rolę w podejmowaniu decyzji i ich realizacji gra woluntaryzm nie liczący się z realną sytuacją oraz

2. im słabsze są mechanizmy łagodzące niemożność oparcia się w sterowaniu globalnymi procesami społecznymi o idealną wiedzę pozwalającą na doskonale precyzyjną realizację zakładanych celów, a więc: a) im mniej adekwatna, czyli zwiększająca zakres niekompetencji w sterowaniu jest demokracja socjalistyczna, czyli im wyraźniejszy jest podział na rządzących i rządzonych, prowadzący do oderwania się partii od klasy robotniczej czy ogniw kierowniczych partii od jej bazy członkowskiej.

Niebezpieczeństwo wystąpienia kryzysu społecznego staje się rzeczywistością nie automatycznie, lecz tylko wówczas, gdy odstępstwa od akceptowanego przez społeczeństwo a szczególnie jego najbardziej aktywne (pod względem produkcyjnym i opiniotwórczym) warstwy staną się tego rodzaju, że w świadomości społeczeństwa ukształtują się silne dążenia do zmian. Jest to tym bardziej prawdopodobne, im bardziej pojawiają się tych postaw towarzyszy proces wyłaniania się przywódców i ośrodków organizacyjnych czy opiniotwórczych ogniskujących odczucia społeczne. Obok czynników obiektywnych i subiektywnych po stronie sterujących budową socjalizmu i po stronie mas społecznych dla wybuchu konkretnego kryzysu społecznego niezbędne jest poza tym pojawienie się jakichś przyczyn bezpośrednich, spełniających rolę przysłowiowych iskier wywołujących wybuch.

W każdym z polskich kryzysów społecznych po drugiej wojnie światowej odkryć można taki właśnie mechanizm. Czynniki

obiektywne, a szczególnie wymóg globalnego sterowania, który wraz z postępowaniem w budowie socjalizmu stawał się coraz bardziej skomplikowany, działały przez cały okres 1945-1980. Zmieniał się natomiast stopień adekwatności wiedzy, do której odwoływano się w toku sterowania budową socjalizmu oraz różnie przedstawiały się mechanizmy łagodzące następstwa braku wiedzy doskonałej. Różne, jakkolwiek mieszczące się głównie w sferze warunków bytowych, były także bezpośrednie czynniki prowokujące wybuchy społecznego niezadowolenia.

Z tego co powiedziano wynika dość wyraźnie, że dla wyjaśnienia pojawiania się kryzysów społecznych niezbędne jest wskazanie na charakter procesów zachodzących w świadomości społecznej w warunkach sterowania działaniami zmierzającymi do realizacji zakładanych celów budownictwa socjalistycznego. Można stwierdzić, że jedną z głównych cech charakterystycznych tych procesów jest na ogół powszechne zaakceptowanie tych celów, jeśli chodzi o hasła podnoszenia poziomu życia ludzi pracy w oparciu o zasadę społecznej własności środków produkcji, egalitaryzmu odwołującego się do zasady „każdemu według jego pracy”, rozwoju uczestnictwa w kulturze oraz w sferze politycznej — ludowładztwa, przy równoczesnym stałym porównywaniu owych celów ze stopniem ich realizacji.

Owo porównywanie może mieć różny charakter: może odpowiadać rzeczywistości czyli operować adekwatną wiedzą o tej rzeczywistości, może być łagodzone przez współodpowiedzialność polityczną szerokich rzesz społeczeństwa, świadomie uczestniczącego w procesie podejmowania decyzji, najczęściej wszakże jest deformowane niedostateczną wiedzą społeczną o rzeczywistym rozwoju oraz świadomą działalnością propagandową sił politycznych nie akceptujących socjalistycznych celów a uaktywniających się w warunkach znaczniejszej rozbieżności między zakładanymi celami w sferze ekonomicznej i w sferze ludowładztwa, co wywołuje rozszerzającą się krytykę partii i rządu.

Występowanie kryzysów społecznych w PRL było efektem działania scharakteryzowanego splotu czynników obiektywnych i subiektywnych. Przez cały czas nie opanowano w sposób dostateczny, tzn. oparty o niezbędną wiedzę, procesu globalnego sterowania budownictwem socjalizmu, co powodowało pojawienie się różnego rodzaju procesów żywiołowych (w sferze społecznej i politycznej). Równocześnie nie uruchomiono w sposób dostateczny mechanizmów łagodzących trudności tego sterowania poprzez stałe i rzeczywiste, a nie w dużym stopniu pozorne aktywizowanie mas pracujących poprzez różne ogniwa demokracji so-

cialistycznej. Przez cały czas występowały też rozbieżności między zakładanymi celami w sferze ekonomicznej i w sferze ludowładztwa a stopniem realizacji tych celów. Powodowało to pojawienie się powracających fal nasilonej krytyki partii i rządu, konkretne zaś błędy kierownictwa partii, szczególnie w dziedzinie polityki cen, bezpośrednio dostarczały materiału wybuchowego. W każdym kryzysie działanie tego mechanizmu przyczynowego występowało w sposób specyficzny i konkretny, co nie przeczy istnieniu wspomnianego mechanizmu. Miało jednak równocześnie miejsce zjawisko, które nazywamy kumulacją kryzysów. Owa kumulacja był wynikiem tego, że za każdym razem rozwiązywano cząstkowo i powierzchownie niektóre tylko z problemów niesionych przez kolejne kryzysy, co powodowało gromadzenie się spraw do rozwiązania. Stawiało to problem nieprzeprowadzonej nigdy w sposób konsekwentny reformy gospodarczej jako zadanie szczególnie ważne. Odwołanie się w 1956 roku do osoby Władysława Gomułki, a w 1970 roku do Edwarda Gierka, z którymi wiązano nadzieje reform, skracало okres ostrego kryzysu lecz zarazem sprawiało to, że kolejne fale kryzysowe były jedynie powstrzymywane. Z tego między innymi powodu kryzys roku 1980, gdy już nie zaistniała możliwość takiego powstrzymania, okazał się tak głęboki i wszechstronny.

Przechodzimy obecnie do bliższego scharakteryzowania wspomnianego ogólnego mechanizmu wywołującego kryzysy społeczne w PRL, zastanawiając się kolejno nad strukturą wiedzy funkcjonującej w procesach sterowania budową socjalizmu, doborem kadr dla tego budownictwa, stopniem rozwoju demokracji socjalistycznej oraz problemem rozbieżności między oczekiwaniami społecznymi a realizacją celów gospodarczych i politycznych.

III

W odniesieniu do wiedzy będącej podstawą procesów sterowania budową socjalizmu wskazać należy na następujące zasadnicze braki przejawiające się w narastaniu woluntaryzmu i niedokompetencji [tak oryginał — Red.] w głównych ogniwach decydujących o tym sterowaniu, w pierwszym rządzie w centralnym kierownictwie partyjnym:

1. operowanie idealnym a nie realistycznym obrazem klasy robotniczej i społeczeństwa a zarazem utopijne przeświadczenie o możliwości sterowania przy pomocy centralistycznie i nakazowo pojmovanych dyrektyw;

2. ogólnikowe i niedostatecznie opracowane teoretycznie formułowanie celów budownictwa socjalizmu;

3. niedostateczne korzystanie z rezultatów badań naukowych, czemu sprzyjało uznawanie z góry za jedynie słuszne własnego zdania, a przy tym niebranie pod uwagę informacji pozwalających na rozpoznawanie niebezpieczeństwa kryzysów i na dokonywanie odpowiednich korekt w sterowaniu. W tym samym kierunku szło niewłaściwe czy niepełne rozpoznanie konfliktów stanowiących zapowiedzi narastania groźniejszej sytuacji kryzysowej (1968, 1976).

Pierwszy z tych problemów ma charakter zasadniczy. Kierownictwo partii wypowiadając często hasła o decydującej roli klasy robotniczej w państwie socjalistycznym nie zdawało sobie dostatecznie sprawy z rzeczywistego wzrostu tej roli. Protest klasy robotniczej w 1980 roku unaoczniał rolę tej klasy, a jednocześnie zdyskredytował całkowicie hasło rzekomej jedności moralno-politycznej narodu na bazie jednakowego klasowo stosunku do socjalizmu bez odwołania się do przodującej roli klasy robotniczej w procesach społecznych i politycznych. Odwoływano się w praktyce politycznej lat 1945-1980 do abstrakcyjnego pojęcia klasy robotniczej, a zatem klasy w pełni świadomej celów socjalizmu i niejako automatycznie, z samej swej „natury” realizującej te cele, przy czym najbardziej drastyczne było to w dziesięcioleciu 1970-1980. Tymczasem w Polsce przed podjęciem wielkich procesów industrializacji nowoczesna klasa robotnicza w pełnym tego słowa znaczeniu jeszcze nie istniała. Rozwijała się ona stopniowo, szczególnie dynamicznie w ostatnim dziesięcioleciu, mimo to pozostając powiązana licznymi więzami ze wsią i stopniowo kształtując swą robotniczą świadomość. W praktyce politycznej operowano zaś nadal tym samym teoretycznym jej obrazem, utrudniając sobie dotarcie do niej, a tym samym otwierając drogę dla tak częstego w całym okresie rozwoju PRL „odrywania” się partii od klasy robotniczej a także kierownictwa partii od jej mas członkowskich. Musiało to rodzić tendencje do pozornego czy fasadowego traktowania instytucji demokracji socjalistycznej tak w samej partii jak i w płaszczyźnie partia-państwo i partia - społeczeństwo.

Niedostateczna refleksja nad celami socjalizmu utrudniała jasne i realistyczne zarazem (tzn. liczące się ze spuścizną historyczną i aktualną sytuacją) wytyczne strategii działania. Przeważały decyzje kierunkowe o charakterze cząstkowym, coraz bardziej, w miarę lat, „wymuszane” sytuacjami kryzysowymi i obciążone, jak w szczególności program wzrostu gospodarczego

lat siedemdziesiątych, strachem przed kolejnym kryzysem, bez perspektywicznego widzenia całości rozwoju. Szczególnie negatywnie na efektywności osiągania celów socjalizmu zaciążył niedowład myśli strategicznej, który po części wywodzi się także z porzucenia w 1948 roku idei polskiej drogi do socjalizmu (nie sprecyzowanej skądinąd w sposób dostateczny). Zwrot ten miał, jak wiadomo, charakter kryzysu wewnątrzpartyjnego, który rozwiązany został w sposób brzemienny na przyszłość w kryzysowe skutki, co stało się oczywiste, gdy wybuchł kryzys 1956 roku. Przejście władzy do rąk działaczy o nastawieniu sekciarskim i dogmatycznym, wywodzących się z grupy kierowniczej Centralnego Biura Komunistów Polskich w Związku Radzieckim (takich jak H. Mińc, J. Berman, R. Zambrowski), a także niektórych działaczy krajowych (jak B. Bierut czy F. Józwiak) i odsunięcie oskarżonego o „odchylenie prawicowe i nacjonalistyczne” Władysława Gomułki, w sposób głębszy rozumiejącego polską sytuację, przyniosło zanik twórczych poszukiwań strategicznych na rzecz wzmocnienia jednostronnie rozumianego centralizmu i dyscypliny. Przyjęcie błędnej stalinowskiej tezy o zaostrażającej się w miarę budowy socjalizmu walce klasowej przy niecierpliwości w dochodzeniu do celu młodych w większości działaczy oraz w atmosferze szerzącej się, związanej z sekciarstwem nieufności do ludzi wpływało na rozszerzenie się stosowania ponad miarę i potrzebę przemocy, rażącego łamania praworządności (szczególnie w działaniu organów bezpieczeństwa, również w wojsku).

Po 1956 roku uznanie rewizjonizmu za głównego wroga w budowie socjalizmu przy nazbyt pobłażliwym stanowisku w stosunku do dogmatyzmu i sekciarstwa, wynikającym z obawy przed rozwojem opozycji politycznej, ponownie zahamowało rozwijanie niezbędnej wiedzy dla sterowania procesami społecznymi i spowodowało zdławienie reformy gospodarczej, niosąc w ten sposób nowe załazki kryzysu. Miało w związku z tym miejsce stałe dopasowywanie się do zmieniającej się w sposób żywiołowy sytuacji, czyli swego rodzaju „szamotanie” się przy odrzuceniu strategii wymagających głębszych zmian systemowych. Próba E. Gierka, wywołana w większym stopniu woluntarystyczną tendencją do pozyskania społeczeństwa i wizją szybkiego dobrobytu aniżeli naukową analizą sytuacji, była w rzeczywistości kontynuacją poprzedniego trendu.

Niedostatecznemu korzystaniu zarówno z wyników badań naukowych, jak i konkretnych ekspertyz dotyczących sytuacji społeczeństwa sprzyjało wykształcenie się po zwrocie w polityce partii 1948 roku centralistycznego i nakazowego systemu spra-

wowania władzy, postawy zaś dogmatyczne i sekciarskie rodziły nieufność do inteligencji, a po części także do nauk społecznych, niezależnie od wypowiedzianych w tym względzie deklaracji. Nauki społeczne traktowano niewłaściwie, uznając je za służebne w stosunku do partii i wytyczanych przez nią celów, a zarazem jako bezpośrednią część tzw. frontu ideologicznego. Musiało to wzmacniać tendencje apologetyczne u części przedstawicieli nauki oraz zawężyć możliwości oddziaływania marksistowskiej nauki na naukowe środowisko niemarksistowskie. Tymczasem w stosunku do tych nauk należało formułować jedynie postulaty badawcze związane ze sterowaniem budową socjalizmu, domagając się, by były one jak najbardziej precyzyjne i rzeczowe. W praktyce zaś chodziło przede wszystkim o efekty propagandowe, nie zaś o rzeczowe wykorzystywanie badań. Ukształtowana po 1948 roku i utrzymująca się z małymi przerwami nadmierna propaganda dotycząca osiągnięć w budowie socjalizmu, która przerosła się w latach siedemdziesiątych w drażniącą społeczeństwo propagandę sukcesu, miała niewątpliwy wpływ również na słabo teoretycznie przygotowanych i coraz bardziej przyzwyczajających się do manipulowania aniżeli strategicznego kierowania tych, którzy skupiali w swym ręku najwyższą władzę w partii i państwie.

IV

Analiza czynników, które mogłyby łągodzić efekty niedysponowania przez kierujących rozwojem kraju taką wiedzą, która pozwalałaby na formułowanie optymalnych celów i strategii działania wiąże się, jak wskazywaliśmy, przede wszystkim z refleksją nad mechanizmem doboru kadr mających realizować te cele oraz z problemem demokracji socjalistycznej, będącej warunkiem wciągania ludzi pracy do świadomego uczestnictwa w realizacji stawianych celów, a jednocześnie przyczyniającej się do zaniku podziału na rządzonych i rządzących, a tym samym brania przez całe społeczeństwo odpowiedzialności za swój rozwój. Sprawa stałego rozwoju i twórczych, wywoływanych przez postępy w tworzeniu materialnej bazy budownictwa socjalizmu, modyfikacji całego systemu demokracji socjalistycznej ma w tym kontekście znaczenie podstawowe. W warunkach rzeczywistych rozwoju ludowładztwa zmniejsza się do minimum niebezpieczeństwo błędnej polityki kadrowej hamującej możliwości obejmowania przez najbardziej powołanych ludzi właściwych stanowisk. Można zatem powiedzieć, że ukształtowany w końcu lat czterdzie-

tych i na początku lat pięćdziesiątych centralistyczno-nakazowy system sprawowania władzy, który objął wszystkie sfery życia społecznego, wywarł szczególnie niekorzystny dla harmonijnego rozwoju kraju wpływ na dobór kadr, w tym także na mechanizmy kształtowania się ekip kierowniczych w partii.

Ogólnie można stwierdzić, że w warunkach utrwalonego a tylko przejściowo rozluźnionego systemu centralistycznego, w którym zerwany został związek między dyktaturą proletariatu a demokracją socjalistyczną oraz poważnym deformacjom uległ sojusz robotniczo-chłopski, polityka kadrowa stawała się procesem żywiołowym. Takim żywiołowym procesem, który okazał się nie do opanowania w ramach centralistycznego systemu rządzenia, było rozrastanie się biurokracji ze wszystkimi jej ujemnymi cechami i wynikającymi z tego konsekwencjami. Najważniejszą z tych cech okazał się konserwyzm powiązany z klikowością (a także kształtowaniem się branżowych czy regionalnych grup interesu), niechętny zmianom i wszelkim reformom, w wyniku których mogłaby nastąpić oparta o wyniki pracy wymiana kadr i nastąpiłaby utrata przywilejów. Produkcją coraz większe liczby różnego rodzaju zarządzeń i ogólników, często nie liczących się z obowiązującymi normami prawa a „uzasadniających” jej istnienie machina biurokratyczna w dużej mierze zrosła się z centralistycznym systemem rządzenia, zdejmującym z niej odpowiedzialność, i dobrze się w nim czuła. Jak wykazały szczególnie kryzysy z 1970 i 1980 roku, klasa robotnicza okazała się jedyną siłą zdolną do wystąpienia przeciw tym konserwatywnym strukturom społecznym.

Wskazując na ścisły związek żywiołowego umacniania się struktur biurokratycznych o małej zdolności do twórczych inicjatyw z systemem centralistyczno-nakazowym trzeba równocześnie podkreślić, że oba te układy wzajemnie się umacniały. Oznaczało to tym samym znaczną deformację zasady kierowniczej roli partii, wyrażającej ideę sprawowania władzy przez ludzi pracy z klasą robotniczą na czele. Zasada ta była w praktyce interpretowana bardzo prymitywnie, po prostu jako dążenie do obsadzenia możliwie jak największej liczby stanowisk przez członków partii, przy czym obsadzanie stanowisk było realizowane w oparciu o kryteria, wśród których kompetencja i walory moralne zbyt często były lekceważone. Warto też zauważyć, jak bardzo wpływać to musiało na dopływ do partii ludzi bezideowych, a zmierzających przede wszystkim do zajęcia wyższego i dającego przywileje stanowiska. Wytwarzało się w ten sposób coś w rodzaju błędnego koła, osłabiającego w efekcie rzeczywiste realizowanie się

zasady przewodniej roli partii. Takie niezgodne z marksizmem-leninizmem rozumienie zasady przewodniej roli partii w rządzeniu krajem sprzyjało umacnianiu tendencji konserwatywnych, ograniczało możliwości właściwego doboru kadr kwalifikowanych, a równocześnie pogłębiało przepaść między rządzącymi a rządzonymi. Odsuwało to od decydowania o sprawach kraju liczne rzesze zdolnych bezpartyjnych a także członków stronnictw politycznych współpracujących z PZPR, co rodziło ich uzasadnione niezadowolenie. Tendencje te pogłębiało utrwalane przez biurokratyczny centralizm wykształcenie się w praktyce (choć nie w deklaracjach programowych) takiego systemu oceny kadr, w którym na pierwsze miejsce wysuwało się posłuszeństwo (tzw. dyspozycyjność) wobec wyżej uplasowanych w drabinie zależności służbowych, nie zaś rzeczywiste kwalifikacje.

Uproszczone rozumienie przewodniej roli partii przejawiało się także w zreformowaniu systemu nomenklatury, co w wielu przypadkach prowadziło do tzw. karuzeli stanowisk, będącej przedmiotem powszechnej krytyki. System ten zwalniał poszczególne osoby od szukania poparcia i aprobaty ze strony ludzi pracy a także ważnych organizacji partyjnych. Dla osób tych zwykle ważniejsze były powiązania z wyższymi instancjami władzy partyjnej czy państwowej. Powszechna zasada nominowania i ograniczanie zasady wyboru w odniesieniu do kierowniczych kadr partyjnych ograniczała aktywność a zarazem odpowiedzialność organizacji partyjnych w kwestiach kadrowych. Możliwość nieliczenia się w takiej sytuacji z ludźmi pracy sprzyjała powstawaniu wadliwych postaw moralnych.

Najbardziej głębokie, jak można sądzić skutki dla sterowania procesami budowy socjalizmu miał usankcjonowany i utrwalony po 1948 roku mechanizm wymiany ekip najwyższego kierownictwa partyjnego. Jakiś naturalny, związany z założeniami demokracji wewnątrzpartyjnej mechanizm takiej wymiany nie istniał; zmiany były z zasady wymuszane przez wystąpienia klasy robotniczej. Zmiany te jednak nie szły na ogół głębiej, ograniczając się w pierwszym rządzie do zmiany na stanowisku pierwszego sekretarza Komitetu Centralnego i części Biura Politycznego. Brak wspomnianego mechanizmu wpływał na pojawianie się autokratycznych postaw przywódców partii i zwielokrotniał skutki ich cech osobowych, nawyków, przeświadczeń i sposobu widzenia rzeczywistości, a równocześnie czynił ich coraz mniej zdolnymi do liczenia się z krytyką partyjną i obywatelską. Wyraźnego przykładu tego dostarcza działalność Władysława Gomułki pod koniec lat sześćdziesiątych czy Edwarda Gierka w la-

tach siedemdziesiątych. Było to tym bardziej brzemiennie w skutki, im bardziej ograniczana była demokracja wewnątrzpartyjna oraz im bardziej władza skupiała się w ręku małej grupy kierownictwa partyjnego, a szczególnie pierwszego sekretarza KC. Na tym tle możliwe było m.in. skupienie nadmiernej władzy w latach siedemdziesiątych w ręku premiera Piotra Jaroszewicza, równocześnie członka Biura Politycznego partii.

W sumie po 1948 roku obserwować można stałe nawroty procesu koncentracji władzy. Wyrażał się on także w kumulowaniu funkcji partyjnych i państwowych, co zwiększało zakres oddziaływania czynnika niekompetencji, bowiem ta ostatnia również w ten sposób się kumulowała. Ograniczało to zakres kontroli władzy, czego przejawem było na przykład podporządkowanie w latach siedemdziesiątych Najwyższej Izby Kontroli premierowi.

Struktura aparatu partyjnego była odbiciem scharakteryzowanego tu sposobu funkcjonowania partii, w którym zanikła zasada kolegialności. Pracowników aparatu partyjnego obowiązywała zasada bezwzględnego podporządkowania się przełożonym, ograniczająca pełniejsze wykorzystanie ich wiedzy i doświadczeń. Równocześnie nastąpiło uniezależnienie się tego aparatu od kolegialnych instancji partii. Wszystkie te procesy uległy szczególnemu nasileniu w latach sześćdziesiątych, kiedy to w rzeczywistości nie było rozgraniczenia kompetencji między Biurem Politycznym, sekretariatem KC a Prezydium Rządu. Efektem wskazanych procesów było z jednej strony trwanie przez partię cech partii typu leninowskiego, posiadającej więź z klasą robotniczą i całym narodem, a z drugiej rozmywanie się podziału pracy między kierownictwem partii a rządem, a także zacieranie się indywidualnego poczucia politycznej odpowiedzialności za kierowanie losami kraju.

Odbiciem sposobu funkcjonowania partii był ogólny stan demokracji socjalistycznej w kraju. Cechował go stopniowy regres na tle przejściowych zmian demokratycznych po kolejnych kryzysach, kiedy to po pewnych próbach zmian (na przykład rozwoju samorządu robotniczego po 1956 roku) następował szybko nawrót do poprzedniej tendencji. Ogólnie rzecz ujmując stwierdzić należy, iż rozrost centralizmu i biurokratycznej kontroli przyczyniał się do hamowania rzeczywistej inicjatywy i aktywności społecznej, dającej klasie robotniczej i ogółowi ludzi pracy poczucie autentycznego uczestnictwa w decyzjach społeczno-politycznych. Rozrost ten wyrażał się przede wszystkim w drobiazgowej ingerencji aparatu partyjnego w prace organizacji przed-

stawicielskich i administracyjnych, co było dalszym ciągiem zastępowania aparatu państwowego przez ogniwa wykonawcze partii. Szczególnie dotkliwie odczuwane było ograniczanie roli związków zawodowych oraz nadawanie im coraz bardziej fasadowego charakteru. Na tym tle coraz powszechniej odczuwana była — zwłaszcza w latach siedemdziesiątych — przez ludzi pracy potrzeba zmiany tej sytuacji, z czego wszakże kierownictwo partii nie zdawało sobie sprawy. Instytucje gospodarczo-polityczne, które miały być platformą aktywnej działalności klasy robotniczej, jak KSR-y, utraciły szybko swój samorządny charakter. Ruch młodzieżowy uniformizowano. Sejmowi nie została zagwarantowana właściwa ranga polityczna. Wybory posłów miały charakter plebiscytu, a nie rzeczywistych wyborów uwzględniających należycie strukturę społeczną i światopoglądową społeczeństwa. W tym względzie nie zostały wykorzystane możliwości, jakie zaistniały po 1956 roku, gdy odzyskany został autorytet partii w społeczeństwie.

V

Niedowład i w dużym stopniu pozorny charakter instytucji demokracji socjalistycznej nie tylko pozbawił ośrodki kierujące budową socjalizmu swego rodzaju systemu ochronnego przed niezadowolaniem społecznym, lecz równocześnie sprawiał, że rozwierała się luka między oczekiwaniami rozwijającego się społeczeństwa co do jego udziału w szeroko pojętej władzy a rzeczywistością. To zaś, poprzez wpływ na kształtowanie się stanu świadomości i postaw społeczeństwa, było jednym z najważniejszych czynników subiektywnych pojawiania się kryzysów. Drugą podstawową płaszczyzną dokonywania przez społeczeństwo porównań zakładanych celów z osiąganymi rezultatami jest sfera materialnych warunków życia, bezpośrednio wiążąca się z problematyką gospodarki i polityki socjalnej. W poszczególnych kryzysach rola obu tych płaszczyzn była różna (na przykład w 1956 roku najsilniej występowały sprawy związane z łamaniem praworządności oraz nieprawidłowościami w stosunkach polsko-radzieckich, choć w każdym z nich, szczególnie zaś w 1970 i w 1980 roku, na czoło wysuwały się trudności gospodarcze, czy wręcz kryzys gospodarczy (jak w 1980 roku).

W miarę rozszerzania się konfliktu ekonomicznego do głosu dochodziły coraz silniej postulaty ze sfery politycznej.

Należy w tym miejscu zastanowić się nad tym, jakie były

główne wady w zakresie wiedzy, którą posługiwali się kierujący budową socjalizmu w Polsce w sformułowaniu i realizowaniu celów. Trzeba starać się o rozszyfrowanie źródeł występującego przez cały czas woluntaryzmu, powodującego, że stawiano cele nierealne i nie osiągnano zakładanych rezultatów, a tym samym pozwalano na rozwój procesów żywiolowych, które doprowadziły do niszczenia centralnego planowania gospodarczego, co w latach siedemdziesiątych zyskało „teoretyczne” uzasadnienie w koncepcji tzw. „planu otwartego”. Owa wewnętrznie sprzeczna formuła dobrze symbolizuje załamanie się efektywności centralnego sterowania procesem budowy socjalizmu.

Dwie były najbardziej brzemienne w skutki cechy gospodarczego myślenia przywódców partii, które w warunkach skupienia przez nich całej władzy decydująco określały politykę partii w tym zakresie. Pierwszą z nich był dogmat rozbudowy za wszelką cenę ciężkiego przemysłu i w ogóle produkcji, oznaczający przyjęcie z góry określonego wariantu industrializacji. Miał on swe historyczne podłoże w zacofaniu Polski i chęci szybkiego uzdrowienia tego zacofania ekonomicznego. Był on jednak błędny i zamiast przyspieszać opóźniał rozwój gospodarczy, rodził marnotrawienie wysiłku mas pracujących. Pochodną tego dogmatu było uznawanie inwestycji za cel sam w sobie, co nie pozwalało wyraźniej dostrzegać, że inwestycje powinny przynosić podnoszenie poziomu życia narodu. Można przypuszczać, że tego rodzaju preferowanie inwestycji wiązało się z tym, że dzięki nim można było osiągnąć doraźny efekt propagandowy, oferując ponadto względnie szybko nowe miejsca pracy, jednakże bez perspektywnego myślenia o efektywności inwestycji. Niemalże znaczenie w utrwalaniu się takiego myślenia miało to, że wysunięcie programu inwestycyjnego jest łatwiejsze niż staranie się o wzrost efektywności istniejących miejsc pracy.

Program inwestycyjny, bez którego rzecz jasna nie można rozwijać gospodarczo kraju nie może być jednak nadmiernie rozbudowany: łatwo wówczas bowiem wpaść w pułapkę żywiolowego rozwoju inwestowania, gdy jedne inwestycje w sposób niekontrolowany „rodzą” inne (szczególnie gdy chodzi o produkcję środków produkcji dla przemysłu ciężkiego) obciążając, tak jak to było w latach siedemdziesiątych, gospodarkę w sposób przekraczający jej możliwości, a przy tym zmuszając do zaciągania coraz to nowych kredytów zagranicznych. Równocześnie nie liczące się z możliwościami inwestowanie (szczególnie w przemyśle grupy A) musiało iść w parze z wysokim udziałem akumulacji w podziale dochodu narodowego, co równało się

ograniczaniu bezpośredniego spożycia klasy robotniczej i większości ludzi pracy, dla których przecież cały program inwestycyjny miał być przede wszystkim przeznaczony. Zwykle w okresach przed wystąpieniem kryzysu społecznego spadek płacy realnej był bezpośrednim skutkiem nadmiernego inwestowania, co wbrew zamiarom ekip kierowniczych oznaczało obciążanie jego kosztami ludzi pracy.

Pochodną dogmatu o konieczności stałego inwestowania przede wszystkim w rozwój przemysłów grupy A było myślenie w kategoriach przede wszystkim wzrostu gospodarczego, nie zaś w kategoriach równowagi gospodarczej. Taka była ogólna tendencja choć w poszczególnych okresach intensywność jej przejawiania się była różna. Nawet jednak w latach sześćdziesiątych, gdy usiłowano skorygować błędy planu sześcioletniego, występowało nadmierne rozwijanie inwestycji silnie kapitałochłonnych przy niedocenianiu wytwórczości lekkiej (przemysłu grupy B). W sumie oznaczało to wzrost zapotrzebowania na materiały i energię na jednostkę produkcji, co bardzo negatywnie zaciążyło na rozwoju gospodarki polskiej, a także na jej zdolnościach eksportowych.

Drugim elementem gospodarczej mentalności tych, którzy kierowali w Polsce budownictwem socjalizmu, było niedocenianie rolnictwa w ogólnym planowaniu wzrostu gospodarczego. Okazało się to jednym z głównych powodów trudności w uzyskiwaniu równowagi gospodarczej kraju oraz źródłem niedoborów w zaopatrzeniu ludności m.in. w mięso, co stawało się w ostatecznym rachunku bezpośrednim powodem konfliktów między ludźmi pracy a władzą.

Struktura gospodarcza kraju nakazywała otoczenie rolnictwa szczególnym zainteresowaniem i dbanie o interesy rodzinnego gospodarstwa chłopskiego, w tym gospodarstwa chłopo-robotników, których rzesze wraz z procesami industrializacji kraju wyraźnie rosły. Wśród tej grupy ludności wiejskiej partia miała zresztą najwcześniejsze i najsilniejsze oparcie.

W rzeczywistości zaznaczała się odmienna tendencja, wynikająca z niekonsekwencji w polityce rolnej, w latach siedemdziesiątych z wyraźnego już jednostronnego preferowania gospodarstw wysokotowarowych. Nie umiano kojarzyć polityki w odniesieniu do wszystkich grup ludności wiejskiej z dążeniem do realizacji ogólnego celu, jakim była przebudowa struktury agrarnej kraju. W efekcie górę wzięły procesy żywiołowe, których najbardziej negatywnym z punktu widzenia zakładanych celów

było pogarszanie się struktury agrarnej. W latach siedemdziesiątych okazała się ona gorsza od tej, jaką pozostawił okres międzywojenny.

Można sądzić, że źródłem braku jasnej i konsekwentnej polityki w stosunku do rolnictwa, tzn. polityki takiej, która potrafiłaby w widoczny sposób przeciwstawić się procesom żywiołowym, była nadmierna koncentracja wysiłków wokół przemysłowego programu inwestycyjnego, obciążonego wieloma niedopasowanymi do miejsca i czasu poglądami. Rolnictwo było w tym kontekście traktowane jako uboczny dział gospodarki, który zmuszony był obywać się stosunkowo bardzo niskimi nakładami, nie przekraczającymi kilkunastu procent całości nakładów inwestycyjnych w kraju. Dodać przy tym należy, iż przez cały czas po drugiej wojnie światowej jedną z głównych cech polskiego rolnictwa była bardzo niska efektywność nakładów, oznaczająca jego wysoką kapitałochłonność, co obniżało w sposób wyraźny wpływ tych nakładów na wzrost produkcji.

W sumie wskazać można na dwa główne czynniki zbyt małych wyników produkcyjnych rolnictwa, a także, co za tym idzie, niedostatecznego rozwoju wpływów partii na wsi. Jednym z nich był brak konsekwentnego programu polityki rolnej na wsi, przynoszący na wsi poczucie niepewności i braku stabilizacji, a drugim — nienadążanie zaopatrzenia wsi w środki produkcji za wzrostem technicznej świadomości rolników. Stale popełniano te same błędy. Po kryzysowych korektach stosunku do wsi, a szczególnie do indywidualnych chłopów, wracano do decyzji wpływających w ostatecznym rachunku hamujących na rozwój produkcji rolnej. Szczególnie zaniedbany został prywatny sektor rolniczy. W zakresie dalekosiężnej polityki rolnej nie umiano się zdecydować na popieranie określonego (spółdzielczego czy państwowego) wariantu przebudowy rolnictwa, przez co oba te warianty realizowano niekonsekwentnie i bez właściwych wyników. Program pegeeryzacji przyczyniał się do powstawania wysoce nierentownych gospodarstw państwowych, do gigantomanii w zakresie poczynań produkcyjnych a także do ograniczania samorządności wsi i samodzielności produkcyjnej gospodarstw indywidualnych.

Wskazane tu deformacje w procesie sterowania gospodarką, wiążące się zarówno z charakterem wiedzy stosowanej w toku tych procesów, z nawykami i postawami jak i całym systemem rządzenia krajem, jaki powstał po 1945 roku i nie został w latach późniejszych zreformowany, prowadził do sytuacji kryzysowych. Kryzysy rodziły się na tle odczuwanych przez ludzi pracy zagrożeń

osiągniętej przez nich stopy życiowej, co rodziło zwykle w takich sytuacjach falę krytyki w stosunku do partii i rządu. Działo się tak niezależnie od tego, co mówiły wskaźniki o wzroście produkcji przemysłowej i rolnej czyli niezależnie od niewątpliwych osiągnięć w procesie przekształcania kraju w nowoczesny kraj przemysłowy, mający realizować idee sprawiedliwości społecznej.

Tymczasem wymowę tych osiągnięć podważały negatywne dla ludzi pracy tendencje w polityce socjalnej, które znacznie bardziej bezpośrednio wpływały na świadomość aniżeli wspomniane wskaźniki dotyczące produkcji czy dochodu narodowego. Dotyczy to w tym samym stopniu polityki cen i płac, która opanowana przez procesy żywiolowe (szczególnie w latach siedemdziesiątych) okazała się w ostatecznym rachunku czynnikiem silnie wpływającym na powstawanie kryzysów.

Ogólnie rzecz ujmując w zakresie polityki socjalnej od czasu pojawienia się trudności z realizacją programu forsowanej industrializacji lat pięćdziesiątych można obserwować tendencję ograniczania uczestnictwa ludzi pracy w jej zdobyczach. Stopniowe ogarnienie różnych świadczeń zasadami odpłatności rynkowej ograniczało udział w tych świadczeniach wielu niżej zarabiających. Aż do lat siedemdziesiątych najniższe płace kształtowały się na poziomie niższym od minimum socjalnego. Wiele rozgoryczenia i poczucia niesprawiedliwości niósł system rent i emerytur. Podobne odczucie wywoływała nierównomierność tempa wzrostu dochodów i płac, przejawiająca się zarówno w płaszczyźnie grup zawodowych jak i w płaszczyźnie klasowo-warstwowej. Miało miejsce pogłębianie się rozpiętości między płacą minimalną a maksymalną, a także, szczególnie w latach siedemdziesiątych, rozbudowanie systemu zwykle niejawnych uprzywilejowań, dających nieaprobowane społecznie zwiększanie dochodów kadr kierowniczych. Społeczeństwo nie występowało przeciw samej rozpiętości dochodów, jeśli była ona uzasadniona wkładem pracy i talentu, lecz bacznie obserwowało narastającą tendencję do nagradzania nieuzasadnionego. System biurokratyczno-centralistyczny preferujący i nagradzający posłuszeństwo rodził coraz większe przywileje i niesprawiedliwości. Podział świadczeń społecznych, głównie rzeczowych, coraz bardziej preferował grupy o wyższych dochodach, w tym przedstawiciele wyższych ogniw władzy. W latach siedemdziesiątych system ten nabrał charakteru patologicznego — zwłaszcza jeśli rozpatrywać tę sprawę w kategoriach idei socjalistycznych. W wyniku polityki inflacyjnej owego okresu ciężar wzrostu gospodarczego spadł na masy pracujące, przy powstających z tej sytuacji korzyściach

dla prywatnej inicjatywy czy wręcz elementów spekulacyjnych. Ludzie pracy odczuwali także w pierwszej kolejności skutki zaniedbań w zakresie służby zdrowia, oświaty, turystyki i wypoczynku, komunikacji zbiorowej, a równocześnie skutki polityki mieszkaniowej, która zerwała niemal całkowicie z budownictwem mieszkań z funduszy państwowych. Zmniejszył się dostęp do dóbr kultury, co było dotkliwie odczuwane po rozbudzeniu przez socjalistyczne państwo zainteresowań kulturalnych i w warunkach dynamicznego rozwoju oświaty. Dawało to argumenty zwolennikom tezy o odradzaniu się wyzysku klasowego i rodziło głębokie oburzenie ludzi pracy.

Tylko w pewnych okresach miało miejsce realizowanie polityki społecznej wyrażającej interesy ludzi pracy. Były to w szczególności lata 1945-1948, a następnie krótkie okresy zbiegające się z pojawianiem się nowych ekip kierowniczych, działających jeszcze pod wrażeniem protestu społecznego i chcących zapewnić sobie poparcie społeczeństwa (lata 1956-58, 1971-73). Potem powrót do starych dogmatów myślenia gospodarczego i społecznego prowadził szybko do naruszania równowagi, do spadku stopy życiowej, a także do pogłębiania nierówności społecznych.

Analizując szerzej przyczyny niepowodzeń gospodarczych i spadku stopy życiowej, nie można oczywiście nie brać pod uwagę czynnika międzynarodowego, niezależnego od tych, którzy kierowali rozwojem kraju. Tak więc na przykład zastrzeżenie się sytuacji międzynarodowej w 1950 roku po wybuchu wojny w Korei miało swój negatywny wpływ na realizację planu 6-letniego. Trudno jednakże byłoby uważać sytuację zewnętrzną za główny czynnik trudności i kryzysów, szczególnie gdy analiza odnosi się do procesów długofalowych.

VI

Również nie jest uzasadnione wiązanie genezy kryzysów społecznych wyłącznie z działalnością opozycji politycznej. Działalność ta zwykle wpływała na pogłębianie sytuacji kryzysowych, lecz sama nie była w stanie ich wywoływać. Historia Polski Ludowej pokazuje wyraźnie, iż zarówno fale krytyki socjalistycznego państwa jak i działania sił opozycyjnych w stosunku do socjalizmu pojawiały się czy ożywiały wówczas, gdy uprzednio pojawiały się odpowiednie warunki obiektywne, tzn. gdy ujawniała się wyraźna luka między zakładanymi celami budownictwa socjalizmu a osiąganymi rezultatami. W takiej sytuacji opozycja

polityczna różnych odcieni ideowych zdobywała grunt dla swej działalności. Siła jej oddziaływania była zwykle funkcją głębokości załamania programu partii i rządu w zakresie warunków bytowych i w zakresie rozwijania demokracji socjalistycznej. Należy przy tym oddzielić rozpatrywanie samej genezy kryzysu od charakteru jego przebiegu. W tym drugim przypadku rola opozycji politycznej bywała oczywiście większa.

Przystąpienie po drugiej wojnie światowej do budownictwa socjalizmu mimo procesów radykalizacji społecznej w okresie okupacji oznaczało gigantyczne zadanie przyciągnięcia dla tego programu ogromnej większości społeczeństwa, które dopiero w toku jego realizacji miało się związać politycznie z nowym ustrojem. Lata powojenne, mimo aktywnych wpływów niesocjalistycznych czy antysocjalistycznych sił społecznych i politycznych, sprzyjały realizacji tego zadania. Entuzjazm odbudowy spletał się wówczas z sukcesami, które mogło zapisać na nowe konto państwo socjalistyczne. Była to sprawnie dokonywana odbudowa powiązana przy tym z doniosłymi reformami społecznymi (reformą rolną, nacjonalizacją przemysłu). Już około 1948 roku osiągnięto przedwojenne wskaźniki produkcyjne. Jednocześnie wykonano wielkie zadanie zasiedlenia i zagospodarowania zachodnich ziem i północnych. W sumie, co warto podkreślić, spełnione zostały zapowiedzi zawarte w Manifeście Lipcowym. Znaczne było pole dla inicjatywy społecznej, a sytuacja polityczna uległa widocznej stabilizacji. Oznaczało to usunięcie warunków działania dla bardziej widocznego członu opozycji politycznej. Następowало natomiast stopniowe upowszechnianie się myślenia kategoriami własności społecznej i celów socjalizmu niezależnie od różnic światopoglądowych.

System sprawowania władzy w okresie 1948-1956 przyczynił się do wzrostu nastrojów opozycyjnych, choć w większym stopniu była to krytyka wypaczeń tego systemu nie postulująca jego obalenia. Rezultatem słabości teoretycznej ówczesnego kierownictwa partii było to, że nie potrafiło ono wyrobić sobie realistycznej opinii o zasięgu wpływów opozycji antysocjalistycznej. Nie potrafiło ono także ocenić roli Kościoła w Polsce i nie potrafiło w związku z tym właściwie kształtować polityki w stosunku do Kościoła, powodując w tej dziedzinie niepotrzebny stan napięcia. Sprzyjało to upolitycznieniu się Kościoła w świadomości społecznej i hamowało procesy upowszechniania się idei socjalistycznych.

Po wycofaniu się partii z programu reform gospodarczych i politycznych zapowiadanych w rezultacie kryzysu 1956 roku i po-

wrocie w latach sześćdziesiątych do systemu centralistyczno-nakazowego znów tworzyła się gleba dla słusznej krytyki, lecz zarazem dla głoszenia programów mniej czy bardziej przeciwstawnych socjalizmowi. Tendencje dogmatyczne w partii nie sprzyjały dyskusji, to zaś nie pozwoliło na rzeczywistość, a nie tylko pozorną, przy pomocy etykietek, walkę z rewizjonizmem, czyli poglądami sprzecznymi z podstawowymi założeniami socjalizmu.

Tendencje te uległy pewnemu osłabieniu w początku lat siedemdziesiątych, lecz coraz głębszy od połowy lat siedemdziesiątych kryzys gospodarczy oraz niewłaściwa reakcja kierownictwa partii na wystąpienie klasy robotniczej w 1976 roku stworzyło dodatkowe warunki sprzyjające działalności opozycji antysocjalistycznej (szczególnie KSS „KOR” i KPN). Działalność ta tworzyła nastroje wrogie w stosunku do ludowego państwa i partii, wpływając na ostrość kryzysu 1980 roku. W tym kontekście istotną rolę odgrywały i odgrywają dywersyjne działania wrogich Polsce Ludowej ośrodków imperialistycznych.

Wskazując na pojawienie się obiektywnych warunków dla działalności opozycyjnej, na kształtowanie się stosunku niektórych grup społeczeństwa do państwa nie można nie wziąć pod uwagę związanego z wzrostem biurokracji i centralizmu a także demoralizacji władzy osłabienia się zaufania do państwa. Oderwanie w świadomości efektów pracy od płacy oraz traktowanie państwa jako instytucji, od której należy tylko wymagać sprzyjało myśleniu, że wszystko zależy od woli władzy a nie od obiektywnych możliwości i procesów. Na tym podłożu, wzmacnianym przez woluntaryzm rodziły się w coraz większym stopniu tendencje roszczeniowe wzmacniane błędami w polityce płac, mającymi swe źródło w zerwaniu świadomości związków między płacami, cenami i kosztami.

Podsumowując stwierdzić można, że podstawową przyczyną kryzysów społecznych w Polsce Ludowej był sposób rządzenia i stosunek władzy do społeczeństwa, a nie zasady ustrojowe. To sposób sprawowania władzy, który ma swą odległą genezę w nigdy nie przewyżczonym zwrocie w polityce i samookreśleniu partii w 1948 roku, przyniósł w konsekwencji odstępstwa od zasad socjalizmu; pozwolił bowiem na wykształcenie się biurokratycznych i technokratycznych sił społecznych, które były zainteresowane w rządzeniu bez współdziałania i kontroli klasy robotniczej i ogółu ludzi pracy. Nie pozwalała on na korzystanie z wiedzy i doświadczeń ludzi pracy i na działania mechanizmów łagodzących obiektywne trudności sterowania procesami społecz-

nymi. Ten scentralizowany system władzy rodził też tendencję do reagowania środkami przemocy na wystąpienia klasy robotniczej, co było przyczyną tragedii czerwca 1956 i grudnia 1970 r. W kryzysie 1980 r. partia i władze państwowe wyciągnęły już wnioski z tego doświadczenia.

IV. Wnioski

Zgodnie z uchwałą IX Zjazdu III Plenum Komitetu Centralnego zadaniem Komisji — obok wyjaśnienia źródeł konfliktów społecznych w minionych latach historii PRL — jest sformułowanie wniosków, które pozwoliłyby w przyszłości dostrzegać w porę narastające konflikty społeczne i podejmować działania zmierzające skutecznie do tego, by nie przekształcały się one w groźne i niszczące kryzysy polityczne. Analiza podłoża i charakteru minionych kryzysów — w szczególności zaś kryzysu zaczętego w 1980 roku i trwającego nadal — prowadzi do wniosku, że w każdym z tych kryzysów istniał splot obiektywnych społeczno-ekonomicznych warunków rodzących konflikty społeczne, jak również do wniosku, że w niektórych z tych kryzysów znaczną rolę odgrywały niezależne od nas czynniki sytuacji międzynarodowej. Jednakże nie te obiektywne okoliczności same przez się, lecz błędy polityczne popełniane przez partię, a szczególnie jej kierownictwo, oraz władze państwowe stawały się przyczyną przekształcania się tych obiektywnych trudności w groźne kryzysy. Dlatego też wnioski praktyczne muszą być skierowane do partii jako kierowniczej siły państwa ludowego. To od jej działania w przyszłości zależeć będzie, by kryzysy nie powtarzały się, a konflikty społeczne rozwiązywane były w porę i w sposób zgodny z interesami klasy robotniczej, służący celowi jakim jest zbudowanie socjalizmu w Polsce.

Podstawowe zasady polityki partii określone zostały w uchwale IX Zjazdu. Uchwała ta określiła jednoznaczne zasady, jakimi partia musi się kierować, by jej polityka była zrozumiała dla klasy robotniczej i przez nią akceptowana, by mogła ona uzyskać poparcie ludzi pracy.

Są to zasady:

- *sprawiedliwości społecznej* jako podstawowej wytycznej polityki społeczno-gospodarczej;
- *demokracji socjalistycznej i praworządności* jako podstawowych wytycznych polityki wewnętrznej ludowego państwa;

- *demokracji wewnątrzpartyjnej i jedności ideowo-organizacyjnej partii* jako podstawowych założeń życia partyjnego;
- *internacjonalizmu proletariackiego i socjalistycznego patriotyzmu* jako podstawowych zasad działania partii i państwa ludowego.

Realizując te zasady partia zdobywać dla nich musi coraz szersze poparcie ludzi pracy i na gruncie tych zasad budować partnerski sojusz samodzielnych sił politycznych, które uznają nienaruszalność ustroju Polski Ludowej i sojuszu łączącego nasz kraj z ZSRR i innymi państwami Układu Warszawskiego, nadrzędność interesu ludowego państwa, kierowniczą rolę PZPR w państwie.

Realizacja zasad określonych przez uchwałę IX Zjazdu wymaga wysokiego poziomu pracy ideologicznej w partii i całym społeczeństwie. Częścią składową tej pracy musi być głębokie studiowanie doświadczeń płynących z dotychczasowego rozwoju Polski Ludowej z jej historycznymi osiągnięciami, ale również z porażkami, niepowodzeniami i błędami. Częścią tego historycznego doświadczenia są konflikty społeczne i kryzysy, które wystąpiły w historii PRL. Muszą one być zgodnie z prawdą historyczną objaśniane i zrozumiane. Nie przez przemilczenie najbardziej tragicznych stron naszej historii, lecz przez ich zgodne z prawdą historyczną wyjaśnienie i zrozumienie wiedzie droga do tego, by w przyszłości konflikty mogły być w porę rozwiązywane i by nie przeradzały się one w kryzysy. Dlatego też wyniki analiz przeprowadzonych przez naszą Komisję powinny zostać przestudiowane przez całą partię, a partyjne dyskusje nad tą tematyką oraz jej marksistowsko-leninowskie analizy powinny być kontynuowane w przyszłości. Uważamy, że ogłoszenie wyników prac Komisji nie może być końcem zainteresowania tą tematyką, lecz jedynie etapem w jej badaniu.

Następujące wnioski praktyczne sformułować można dla przyszłej działalności partii i władz państwowych:

1. We wszystkich kryzysach zasadniczą rolę odgrywały sprzeczności o charakterze społeczno-ekonomicznym, wyrastające ze zbyt niskiego poziomu życia mas pracujących przy równoczesnym występowaniu nadmiernych różnic materialnych, przywilejów i niesprawiedliwości społecznej. Konieczne jest więc staranne i obiektywne badanie warunków materialnych całego społeczeństwa a zwłaszcza klasy robotniczej i wyciąganie w porę wniosków z wszelkich sygnałów świadczących o pojawiających się nieprawidłowościach. Główny Urząd Statystyczny i partyjne i państwowe placówki naukowe w zakresie nauk społecznych muszą zostać

zobowiązane do prowadzenia systematycznych badań w tym zakresie a kierownictwo partii musi dokonywać ze szczególnym uwzględnieniem stopnia realizacji zasad sprawiedliwości społecznej w praktyce.

2. Warunki ekonomiczne, w jakich działamy, muszą być prawdziwie i obiektywnie przedstawione narodowi. Nie wolno ukrywać trudności, wyolbrzymiać osiągnięć, gdyż rodzi to w konsekwencji wyobrażenia i oczekiwania na wyrost, niezgodne z rzeczywistym stanem rzeczy. Nigdy nie może być powrotu do tzw. „propagandy sukcesu” z lat siedemdziesiątych, która poważnie zaciążyła na świadomości mas i w znacznej mierze przyczyniła się do narastania kryzysu zaufania do partii i władzy ludowej.

3. W całej polityce wychowawczej — w szkole, organizacjach młodzieżowych i społecznych, w wojsku, w środkach masowego przekazu musimy wytwarzać postawy obywatelskie nacechowane szacunkiem dla pracy, dyscypliną społeczną, realistycznym umiarem w aspiracjach konsumpcyjnych, poczuciem współodpowiedzialności za Polskę. Zdolność do wytwarzania takich postaw musi być niezbędnym warunkiem pracy we wszystkich ogniwach szeroko pojętego frontu wychowawczego. Organizacje partyjne pracujące w tych obszarach mają obowiązek poddawać systematycznej analizie postawy i zachowania ludzi, na których spoczywa odpowiedzialność za realizację zadań wychowawczych, w tym szczególnie nauczycieli.

4. Warunkiem dyscypliny obywatelskiej jest wytworzenie się współodpowiedzialności za los Polski a to uwarunkowane jest realizacją w praktyce zasady współzrządzenia wszystkich ludzi pracy. Dlatego niezbędne jest wprowadzenie szeregu posunięć politycznych, które zwiększą w radykalny sposób poczucie ludzi pracy, że mają oni rzeczywisty udział w rządzeniu. W tym celu konieczne jest podjęcie reform politycznych zwiększających rolę samorządu w miejscu pracy i samorządu lokalnego, zwiększających wpływ wyborców na to, kto uzyska mandat posła lub radnego, umacniających rolę Sejmu jako najwyższego organu władzy państwowej. Reformy polityczne są równie niezbędne, jak realizowana już reforma gospodarcza.

5. Kierownicza rola naszej partii w całym systemie politycznym powoduje, że stosunki panujące w partii mają podstawowe znaczenie dla funkcjonowania państwa. Statut PZPR uchwalony na IX Zjeździe wyraża dążenie mas pracujących do urzeczywistnienia demokracji wewnątrzpartyjnej. Jego przestrzeganie jest niezbędne, by nie wróciły w partii stosunki umożliwiające odry-

wanie się kierownictwa od mas i prowadzenie przez kierownictwo polityki niezgodnej z interesami partii i narodu. W szczególności do warunków zapobiegania kryzysowi należą:

- demokratyczny tryb wyborów w partii,
- kolektywny styl kierowania,
- nadzór wybieralnych instancji nad aparatem partyjnym,
- stałe zasięganie przez kierownictwo partii opinii podstawowych organizacji partyjnych,
- rotacja na funkcjach wybieralnych i w aparacie partyjnym,
- systematyczne ocenianie przez Komitet Centralny pracy Biura Politycznego i Sekretariatu KC i wyciąganie z tej oceny wniosków organizacyjnych.

6. W pracy partii istnieć musi stały system gromadzenia i analizowania sygnałów świadczących o narastaniu zjawisk kryzysowych. Informacja ta musi powstawać w paru od siebie niezależnych kanałach — tak, by stworzyć warunki możliwie obiektywnego przedstawiania sytuacji i eliminowania subiektywnych ocen lub wpływu interesów grupowych na te oceny. Biuro Polityczne powinno regularnie oceniać sytuację z punktu widzenia stanu konfliktów społecznych. Partyjne ośrodki naukowe mają obowiązek opracować system wczesnego wykrywania oznak narastających konfliktów tak, by kierownictwo partii i rząd podejmować mogły w porę działania zapobiegające przegradzaniu się tych konfliktów w kryzysy.

7. W okresie przechodzenia od kapitalizmu do socjalizmu, w którym znajduje się Polska, walka klasowa trwa ze znaczną siłą. Wspierane przez imperializm ośrodki opozycji antysocjalistycznej istnieją i trzeba się liczyć z ich działalnością przez długi jeszcze czas. Sił antysocjalistycznych nie wolno lekceważyć, jak to czyniło kierownictwo partii w latach siedemdziesiątych. Nakazem politycznym pozostaje czujność rewolucyjna, stała gotowość do walki z przeciwnikami socjalizmu. Trzeba zarazem pamiętać, że skuteczność tej walki zależy od tego, by partia i rząd prowadziły słuszną, zrozumiałą dla ludzi pracy politykę i by umiały dla niej pozyskiwać poparcie społeczne. Podstawową metodą walki z opozycją antysocjalistyczną jest jej polityczne izolowanie, przekonywanie ludzi pracy czynami i słowami o antynarodowym charakterze działań opozycyjnych. Równocześnie zdecydowanie stosować trzeba represję karną, żeby nikt bezkarnie nie mógł łamać zasad ładu konstytucyjnego obowiązującego w PRL. Wymaga to udzielenia przez całą partię dostatecznej uwagi sprawie walki z siłami antysocjalistycznymi. Żaden członek partii nie może biernie przyglądać się ich działaniom. Konieczne jest do-

konywanie przez Komitet Centralny regularnych ocen politycznych wpływów antysocjalistycznej opozycji i skuteczności walki o ich ograniczenie.

8. W trudnych chwilach najlepiej poznaje się wrogów i przyjaciół. W czasie obecnego kryzysu gdy kraj nasz jest celem bezwzględnej i nie liczącej się z zasadami suwerenności działalności antypolskiej wielu rządów burżuazyjnych, Związek Radziecki i inne kraje wspólnoty socjalistycznej udzielają nam niezbędnej pomocy politycznej i ekonomicznej. Warunkiem zapobiegania kryzysom lub ich szybkiego rozwiązywania, gdy już do nich dochodzi, jest prowadzenie polityki ścisłego, internacjonalistycznego sojuszu państw socjalistycznych. Trzeba zawsze dbać o to, by polityka naszej partii była zrozumiała dla bratnich partii komunistycznych. Trzeba uważnie wsłuchiwać się w opinię wyrażaną na temat naszej polityki przez bratnie partie, a równocześnie trzeba umieć ogólne zasady marksizmu-leninizmu twórczo i samodzielnie stosować w konkretnych warunkach budownictwa socjalizmu w Polsce.

Kalendarium kryzysów w PRL (lata 1953-1980) zamieścimy w następnym „Zeszytach Historycznym” — REDAKCJA.

GŁOSY Z ZA MURU

C z ę ś ć III*

INTERNOWANY DZIAŁACZ „SOLIDARNOŚCI” DO KOLEGÓW ZE SWEGO REGIONU

Areszt, Kielce, 30 czerwca 1982 r.

Kochani!

Chciałbym zwrócić dzisiaj uwagę na kilka spraw, które być może są dla Was oczywiste, niemniej byłbym bardzo rad, gdyby moje uwagi pomogły Wam choć trochę w przewyżnianiu codziennych problemów. Minęło już ponad pół roku naszego więzienia, stąd w moim spojrzeniu będzie brakowało wycucia atmo-

* Części I i II były zamieszczone w *Zeszytach Historycznych* nry 62 i 63.

sfery panującej na „wolności”. Stąd też mogą wynikać pewne błędy w ocenie. Proszę o uwzględnienie tych realiów.

1. Postawa przedstawicieli legalnej władzy związku — członków KK, ZR i KZ; w poprzednim grypsie poruszyłem tę sprawę. Nie poruszam sprawy ludzi w podziemiu. Władze PRL-u będą chciały dotrzeć do działaczy „S”. Będzie im obojętne do kogo — czy do ludzi z podziemia (mam nadzieję, że to się nie uda), czy do tych w więzieniach lub na wolności. Dotychczasowa postawa wielu działaczy „S” pozostawia, delikatnie mówiąc, wiele do życzenia. Okres decydujących rozstrzygnięć dopiero nadejdzie. Tym razem nie można sobie pozwolić na działania rozłamowe. Tysiące ludzi przebywa w więzieniach, są represjonowani. Dlatego ostrzegam. Nikt nie może rozpoczynać rozmów ugody bez spełnienia podstawowych warunków. WRON-a wypowiedziała wojnę narodowi, lecz WRON-a bez społeczeństwa jej nie zakończy. Społeczeństwo będzie dyktować warunki, czy to się władzy podoba, czy nie. Podstawowymi warunkami rozpoczęcia rozmów w sprawie ugody są: uwolnienie więzionych i aresztowanych, abolicja dla działaczy „S”, przywrócenie działalności „S”, zwolnienie internowanych. W sprawie ugody mogą rozmawiać tylko KK, Prezydium KK, Przewodniczący „S”. Żadne grupy lokalne takich rozmów prowadzić nie mogą. Mogłoby dojść do rozłamu i władze skrzętnie by to wykorzystały.

2. Metody walki. Rozwiązanie problemu sprowadza się w zasadzie do sposobu i metod walki, które należy zastosować (w przypadku fiaska sprawy ugody). Oczywiście, że symbole oporu (np. znaczki, oporniki, światła itp.) podtrzymują ludzi na duchu, lecz nimi nie wygrywa się wojny. Dlatego trzeba być przekonanym co do przyjętych metod.

Wydaje się, że najskuteczniejsze jest „nie pracować — czyli strajk powszechny”. Nie jestem zwolennikiem wielkich przygotowań, co lansują niektóre grupy. Takie przygotowania mogą być szybko wykryte, a organizatorzy zamknięci. Przede wszystkim załogi muszą być przekonane co do metody walki i zdecydowane ją podjąć. A że walka jest nieunikniona jest coraz bardziej oczywiste wobec pogarszającej się sytuacji życiowej każdego Polaka. Nie znamy, być może, terminu rozpoczęcia. Trzeba mieć stały kontakt z siecią krajową, żeby można było natychmiast włączyć się do akcji ogólnokrajowej. W tej chwili należy mieć wytypowane zakłady do prowadzenia strajku okupacyjnego. Ustalić formy strajku w pozostałych zakładach (np. absencja). Z po-

zostałych załóg zorganizować system pomocy dla okupujących zakłady. Nie jestem też zwolennikiem „sztucznego duszenia” terminu do czasu zakończenia przygotowań. Według niektórych środowisk termin ten może wypalić np. po wizycie Ojca Świętego w sierpniu, wczesną jesienią lub w drugiej połowie września, itp. Oczywiście nie można podburzać nastrojów społecznych przed i w czasie wizyty Papieża. Ruchy społeczne mają to do siebie, że często wybuchają spontanicznie i jeśli jest to wynik autentycznych nastrojów społecznych — jest duża szansa na powodzenie walki.

Z doświadczeń ostatnich miesięcy widać, że wycofanie się z walki nie zawsze było korzystne i właściwe. Ponowne zmobilizowanie społeczeństwa było w takich przypadkach niemożliwe. Dlatego sprawa terminu może być otwarta, jednak odciąganie do zimy nie daje szans powodzenia. Decydując się na walkę, trzeba zdawać sobie sprawę, że może być ona ciężka, a społeczeństwo może ją przyplacić dużymi ofiarami. Kto się zdecyduje, musi o tym pamiętać.

3. Przyjazd Ojca Świętego. Wiadomo, jak wielką rolę i znaczenie przypisuje kler do czysto religijnej strony wizyty. Na obecnym etapie nie ma pewności, że Papież przyjedzie. Episkopat Polski czyni olbrzymie starania, żeby wizyta doszła do skutku. Należy przyłączyć się jak najliczniej do tych sił, które rzeczywiście chcą doprowadzić do wizyty Papieża. Trzeba zastanowić się nad pomocą dla tych sił. Pomoc ta mogłaby być formą nacisku na władze, np. petycje i oświadczenia z podpisami do władz lub wyrazy poparcia na ręce Episkopatu i Prymasa. Przy wyborze jednej z form należy uwzględnić wszystkie za i przeciw. W przypadku zdecydowania się na pisanie do przedstawicieli sprawujących obecnie władzę w PRL, trzeba pamiętać, że może to być przyjęte jako wyraz uznania obecnej władzy.

Z drugiej strony pisanie do Prymasa ma tę zaletę, że może być dla Niego argumentem w rozmowach. Każda forma pisania, o ile miałyby być przyjęta, powinna być poparta masową akcją zbierania podpisów. Pisząc do władz PRL (o ile na taką formę zgodzi się społeczeństwo), trzymać się tonu stanowczego o charakterze żądania, a nawet groźby w przypadku odmowy. Władze należy ostrzec, że odmowa na przyjazd Ojca Świętego spotka się ze zdecydowanym protestem. O formie protestu na razie nie przesądzać.

4. Pomoc społeczna. Wygląda na to, że jedyną formą pomocy

dla osób represjonowanych i ich rodzin, która może jako tako funkcjonować w miarę legalnie, jest pomoc organizowana przez Kościół. Ponieważ okres prowadzenia akcji pomocy może się wydłużyć, należy stworzyć dla niej ramy organizacyjne. Społecznością, która mogłaby wziąć na siebie całą organizację działania jest społeczność parafialna. Może ona rozwinąć bardzo szeroką akcję niesienia pomocy. Zakres jej zależy od możliwości parafii, wielkości, zainteresowań parafian, liczby potrzebujących pomocy itp. Działania takie w parafii mają szansę skupić dużą ilość ludzi zorganizowanych wokół konkretnej sprawy. Wobec ciągle pogarszającej się sytuacji bodajże najważniejszą sprawą staje się zorganizowanie się społeczeństwa. Zorganizowana pomoc niesiona przez parafie byłaby więc formą komitetu pomocy społecznej. Inną formą są działania podziemne, ale na nie nie mogą sobie pozwolić szerokie kręgi społeczeństwa. Oczywiście, nie wyczerpuje to i nie przekreśla innych form samoorganizowania się. Sprawa wymaga dalszej dyskusji i ciągłego doskonalenia form pracy w miarę zmiany sytuacji w kraju. W naszym środowisku trwa również dyskusja, przy okazji postaram się przekazać wnioski.

5. Sprawa porozumienia. Przy wszystkich rozważaniach o sposobach rozwiązania sytuacji w kraju należy mieć ciągle na uwadze możliwość porozumienia. Jak na razie, propozycja ugody złożona przez Episkopat w lutym nie została przyjęta i jest mała szansa na to, że obecne władze pójdą na ugodę. Realnymi siłami w kraju, które mogłyby być stronami i gwarantami ugody są: Kościół, „S” i ta część wojska, która stanie po stronie narodu. Ponieważ sytuacja staje się coraz bardziej dramatyczna, należałoby w formie ostatecznej przestrzec przedstawicieli sprawujących władzę w PRL, że odrzucenie możliwości dogadania się doprowadzi do wojny domowej. Jednocześnie należy żądać od każdego działacza i członka „S” wyraźnego określenia się i zdeklarowania. Musi coś takiego nastąpić. Związek musi wiedzieć, na czym stoi, a władza musi zdawać sobie sprawę, z jak dużą siłą zorganizowaną w Związku ma do czynienia. Jest to o tyle istotne, że postawy wielu członków w ostatnim okresie nie miały nic wspólnego z „S”.

6. W tym wszystkim jest sprawa wojska. Oczywiście nie WRON, lecz tego zwykłego, szarego żołnierza, który jest przecież jednym z nas. Problem wymaga zapewne dłuższej dyskusji, dlatego chcę w kilku słowach zwrócić uwagę, o co chodzi. Otóż w miarę pogarszania się sytuacji postawa wojska będzie decydu-

jąca, a jeśli doszłoby do rozstrzygnięć, sukcesem społeczeństwa byłaby odmowa wykonania rozkazu. Dlatego nie można lekceważyć środowisk wojskowych. Trzeba podejmować próby dotarcia i uświadomienia im, czym są narzędziem, jak są oszukiwani, do czego są wykorzystywani itd. Większość żołnierzy zdaje sobie z tego sprawę, jednak warunki panujące w wojsku nie pozwalają na przeciwstawienie się machinie i zajęcie innej postawy. Obok problemu nie można przejść obojętnie.

Życzę wytrwania. Powodzenia.

Internowany

Z OBOZOWEJ PRASY

*GRYP*S — *Tygodnik Internowanych* Nr 17 z 12.06.82 r.
Kielce - Piaski

BĄDŹ SOLIDARNY!

13-go każdego miesiąca gaś światło w godz. 21.00-21.15; 13-go-16-go nie chodź do kina, teatru. W każdą środę nie kupuj gazet.

OD REDAKCJI:

Opóźniony Nr 17 *Grypsu* zawiera 4 strony. Skomasowanie materiałów i opóźnienie wyniknęło z powodów „przeprowadzki”, jak również z istotnych zdarzeń w życiu obozowym w czasie ostatniego tygodnia. Wyjaśniony został główny cel przeprowadzki, aczkolwiek nie do końca. To co już jest jasne, to rewizja, która skrupulatnie i z dużym poświęceniem została dokonana przez SB wobec wszystkich internowanych, przechodzących z oddziału IV-tego na oddziały VI-ty - VII-my. Podczas tej rewizji konfiskacie uległo ok. 50 % kopert ostemplowanych z okazji 3-ej rocznicy pobytu w Polsce Ojca Świętego w dniach 2-10 czerwca 1979 roku. Do tych kopert dołączony był tekst zawarty na ostemplowanych kartach mówiący o odmianie oblicza naszej polskiej ziemi po wizycie Ojca Świętego, o solidarnym wysiłku wszystkich Polaków włożonym w tę wielką odnowę oraz wyrażający nadzieję na kolejny przyjazd Jana Pawła II. Wzywał wszystkich do przygotowania duchowego na ten dzień. Konfiskata objęła również koperty „Czerwiec” i załączony doń tekst „Cztery czerwcowe daty”: 46 rok i oszukańczy zabieg poparty represjami, czyli referendum, potrzebny nowej władzy jako legi-

tymacja legalnego działania. 56 rok — efekt działalności tej władzy; 76 rok — kolejny przejaw autokratycznych rządów „władzy ludowej” i obecny Czerwiec 82 — półrocze wojny tej władzy ze społeczeństwem. Znowu pięść podniesiona nad Polską, obca nam i nienawistna pięść, ale dłoń naszą otwiera symbol zwycięstwa „V”, bo ono nadejdzie.

Rewizja pochłonęła warsztat „Manufaktury” krzyży, wiele notatek, wierszy, dwa radioodbiorniki. Sztandar „Solidarności” uchronił się i już podczas niedzielnej Mszy św. zajął swoje miejsce na Ołtarzu. Sukces rewizji był w sumie mierny, bo utracone koperty nadrobimy z nawiązką, narzędzia skompletowano i „Manufaktura” pracuje pełną parą.

Redakcja *Grypsu* przeszła bez większego szwanku, oprócz tego, że wiele rzeczy musieliśmy zniszczyć. Wyrażamy obawę, że pozostawiony pusty już oddział IV-ty jest zarezerwowany dla nowych, którzy mogą przybyć. Oby te obawy okazały się bezpodstawne.

Uwaga redakcji SKRÓT-u:

Obawy okazały się jednak nie bezpodstawne: 25 czerwca przywieziono do więzienia w Kielcach-Piaskach grupę internowanych z likwidowanego obozu w Iławie.

BOŻE CIAŁO NA PIASKACH

Od rana rozpoczęła się krzątania. Oddział, na którym jesteśmy składa się z trzech kondygnacji, w środku są schody w szerokiej studni. Msze św. niedzielne i codzienne wieczorne modlitwy odbywają się na parterze, gdzie korytarz jest największy; tam też znajduje się, już chyba na stałe, Ołtarz. Po paru godzinach pracy nie można było poznać tych korytarzy i tych osiatkowanych schodów. Wszystko było odmienione i więzienie przeistoczyło się w jeden Ołtarz, w jeden zielony dom Boży. Ale po kolei. Rozpoczyna się Msza św. Tuż przed jej rozpoczęciem zostaje wniesiony i zawieszony sztandar NSZZ „Solidarność”: czerwone litery na białym tle, orzeł na drzewcu, żałobna szarfa. Sztandar, który ocalał cudem po tej „wielkiej rewizji” podczas przenosin z oddziału IV-go. Zostaje również wniesiona rzecz dzisiaj najważniejsza — Nasza Monstrancja, zrobiona już w tym oddziale mimo zarekwirowania przez SB prawie wszystkich narzędzi i materiałów „Manufaktury”. Są to trzy gdańskie krzyże

umieszczone na więziennym cynowym talerzu, na którym wybity jest napis „Solidarność”. Miejsce na Hostię św. jest na samym szczycie, nad krzyżami. Monstrancja jest wysokości ok. 60 cm.

Rozpoczyna się Msza św. i potem procesja. Pierwszy ołtarz znajduje się na spacerniku, mały plac spacerowy ogrodzony murem i siatką i potrójnym rzędem kolczastych drutów. Na tej siatce pierwszy ołtarz to: rozpięta na znak krzyża więzienna koszula, na niej różaniec i wizerunek Matki Boskiej na białoczerwonym tle i znaczek NSZZ „Solidarność”. Niech te przedmioty i symbole pomogą nam stać się nowymi ludźmi — mówi jeden z nas. Idziemy dalej śpiewając. Wracamy na oddział.

Drugi ołtarz znajduje się na pierwszym piętrze. Na tzw. Luksferze, czyli ścianie ze szklanych płytek. Rozpięty szary więzienny koc, na nim napisane białą kredą słowa Chrystusa z Ewangelii św. Łukasza „Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą co czynią” oraz kilka różnej wielkości blaszanych krzyży wyrabianych z puszek po konserwach. W nawiązaniu do powyższego cytatu padają słowa: „I ODPUSĆ NAM WINY JAKO I MY ODPUSZCZAMY NASZYM WINOWAJCOM”. Te słowa powtarzamy chórem.

Trzeci ołtarz piętro wyżej — poświęcony Matce Boskiej Częstochowskiej: wołanie o cud dla Polski na sześćsetlecie Jej obecności na Jasnej Górze. Modlimy się i oczekujemy na ten cud z wiarą i nadzieją. Teraz schodzimy na sam dół, w tunelu z gałzek brzoź i tataraku.

Ołtarz czwarty, chyba najbardziej przejmujący — *termos, pasownia*. Cella, w której więźniowi wymierza się karę pasów, czy unieruchomienie rzemiennymi pasami na drewnianej, wmurowanej w podłogę pryczy, przy czym jest on również najczęściej bity. I nikt go nie usłyszy, bowiem w tej celi jest jeszcze jedna cella — mniejsza i podwójne drzwi, i podwójne okna, to wewnętrzne jest zrobione z plexiglasu, którego rozbić nie sposób. Skazanego w tej celi można oglądać ze wszystkich stron, nie tylko przez „judasza” w drzwiach, ale i przez szybę z plexi. Ale teraz zewnętrzne drzwi tej celi są otwarte, a na drzwiach wewnętrznych wisi obraz Chrystusa w celi (cella na tym obrazie jest taka, w jakich my przebywamy, zresztą obraz był malowany tutaj). Mieści się tam jeszcze stolik i pałą się świece.

Po zakończeniu procesji zostaje wygłoszona homilia o jedności w krzyżu i pod krzyżem. Jedność — to jest chyba to, czego nam w tej chwili najbardziej potrzeba, a krzyż jest naszą nadzieją na jedność i jej symbolem.

W ogłoszeniach parafialnych wiadomość z Konferencji Episkopatu o tym, że biskupi polscy ponowili zaproszenie Ojca Świętego do Polski, została przyjęta oklaskami. Rozpoczęliśmy już przecież przygotowania na Jego przyjęcie.

Na koniec pieśń „Boże coś Polskę”, „Rota” — żegnamy jeszcze kapłanów — również śpiewem. Trwało wszystko trzy godziny, przez trzy godziny to więzienie było Kościołem.

Kielce - Piaski, 10. 06. 82 r.

PRZEŻYLIŚMY TO JESZCZE RAZ

I znów to wściekle pukanie do drzwi. Tym razem o świcie. W progu pokazali legitymacje SB, a później rozeszli się po zakamarkach naszych domów. I mimo że nie znaleźli nic, po kilku minutach kazali nam się ubierać, zabrać niezbędne przedmioty codziennego użytku i powieźli w nieznaną. Znów żegnał nas płacz rodziców, żon, dzieci.

Gościliśmy w domach po pierwszym zwolnieniu z Piasków. Kilka miesięcy, parę tygodni lub dni. Jedyłą zaletą „wolności”, którą w tym czasie tak łaskawie otwierała nam władza, była możliwość dłuższego widzenia z rodziną. Reszta była strachem przed głośną rozmową ze znajomym, który nas odwiedził, niepokojem w czasie rozmowy telefonicznej, strachem w czasie kontaktu w pracy z przyjaciółmi. Taką wolność trudno akceptować, zwłaszcza po tym, co w ciągu tych kilku miesięcy przeżyliśmy na Piaskach. Bo tutaj w więzieniu przywykliśmy — o paradoksie — przynajmniej do wolności słowa. Tu nikt nie ma prawa czepiać się nas za patriotyczny śpiew, żarliwą dyskusję, obronę własnej godności czy symboliczny gest.

Internowano nas powtórnie za obecność na mszy św. w czasie konsekracji Ks. Mieczysława Jaworskiego. Spotkaliśmy się tam w pochodzie obok dzwonnicy pod flagą z napisem „Solidarność - Internowani”. Gdy nowy biskup uniósł nad nami dłoń i pobłogosławił, same ręce poszły w górę i palce ułożyły się w znak V. Wtedy właśnie musiały pracować kamery SB, gdyż mieli doskonałe zdjęcia każdego z nas. Dwa dni trwały rozmowy ubeków na temat, co robić z tą jawną demonstracją Solidarności internowanych? We wtorek po południu widać zdecydowano. W środę rano w czternastu domach byłych internowanych rozległo się to wściekle pukanie do drzwi... a potem było już tylko to wasze serdeczne powitanie. Śpiewaliście „witamy was — alleluja” i

zapewnienie z determinacją, że „mury runą”. Bo runą wcześniej czy później.

GRUPA PIĘCIU INTERNOWANYCH pozostała na oddziale czwartym. Mimo restrykcji administracyjnych (zamknięcie cel, ograniczenie spaceru, wyłączenie światła, uniemożliwienie korzystania ze świetlicy) piątka ta trzymała się dzielnie przez sześć dni. Dopiero na prośbę Rady Internowanych opuściła oddział IV-ty, mając ciągle wątpliwości, czy postąpiła słusznie (?).

GRYPS — *Tygodnik Internowanych* Nr 18 z 20. 06. 1982 r.
Kielce - Piaski

OCZEKIWANIE

Tuż po wojnie nowa władza starała się zadbać o dobre stosunki z Kościołem. Było i tak, że płk Piotr Jaroszewicz prowadził Prymasa Hłonda podczas procesji Bożego Ciała, później kamuflaż nie był już potrzebny. Rozpoczął się czas ostrej walki z religią — „opium dla ludu”. Zapowiadano, że wystarczy 30 lat, a nie będą już potrzebne świątynie, aby zaś „przyśpieszyć” proces postępowych przemian, aresztowano i więziono bez wyroku Prymasa Wyszyńskiego. Skazano na pokazowych procesach wielu duchownych, wśród nich biskupa Kaczmarka z Kielc.

Kolejny etap po październiku '56 — to tylko zmiana metod walki. Nie skutkowały więzienia — ruszyła propaganda. W czasie wielkiej kampanii prowadzonej po liście biskupów polskich do biskupów niemieckich, w połowie lat 60-tych, zarzucono hierarchii kościelnej i osobiście Prymasowi zdradę interesów narodowych. Efekty na dłuższą metę znów były kiepskie. Władze znów próbowały pozorów ugody. Ci sami, którzy opluwali prymasa Wyszyńskiego, nagle zaczęli słać jego patriotyzm, skwapliwie podchwytywano, co mówił o obowiązkach wobec kraju, o potrzebie dobrej pracy — przemilczając jego opinię, gdy dopominał się o niezbywalne prawo człowieka do wolności, o prawo zrzeszania się.

Ostatni komunikat PAP dotyczący wizyty Ojca Świętego pokazuje obecną taktykę władz. Jest to taktyka politycznego handlu — pozwolimy na wizytę, nawet się z niej ucieszymy — ale najpierw będzie w kraju „normalizacja”. Idzie o to, aby partia odzyskała pełną kontrolę nad całym życiem społeczeństwa.

Ostatnie miesiące, i te przed grudniem 81, i te po Grudniu umocniły pozycję Kościoła w Polsce... Tym samym wzmocnił się autorytet dający wsparcie inicjatorom społecznym. Władza musi dziś liczyć się z Kościołem — musi więc wysłuchiwać krytycznych opinii biskupów o stanie wojennym. Musi godzić się z tym, że internowanych, których propaganda przedstawia w czarnych barwach, Kościół otacza opieką i szacunkiem. Niektórym ludziom z aparatu władzy znów marzą się czasy, gdy zamykano w więzieniach księży. Nerwowo zareagował płk Polak (KW MO Kielce) internując kilkanaście osób, których jedyną „winą” było, iż w czasie uroczystości kościelnej podkreślili swoje przywiązanie do „Solidarności” i związek z internowanymi. Na szerszą skalę tak też działać dziś nie można. Próbuje się więc handlu: zobaczycie swojego Papieża, jeśli umocni się nasza władza — nikt inny nie może Go zaprosić. Jest to kolejna próba rozbicia społeczeństwa. Już dziś „TL” stwierdza, „że ludzie wierzący oburzają się na ekstremę „S”, iż wykorzystuje nabożeństwa w kościołach”. Zapewne niedługo „ludzie wierzący z „TL” i DTV będą się domagać szybszego rozprawienia się z „S”, aby w niezakłóconych warunkach powitać Ojca Świętego.

Naród uważnie słucha Ojca Świętego. Modli się z Nim razem tak jak modlił się w czasie wizyty w 1979 roku. Ta modlitwa daje siłę, a wizyta Ojca Świętego na Jasnej Górze to wielka szansa nowego zebrania sił tak potrzebnych dziś naszemu narodowi i naszemu państwu. Ale stabilność państwa WRON-a rozumie inaczej — jako trwałość obecnej antydemokratycznej formy rządów. Ojciec Święty nie obala rządów. Rozmawiał z Gierkiem, rozmawiał z generałami w Argentynie, choć zna ich zbrodnie. Ale Ojciec Święty daje każdemu człowiekowi siłę, aby poczuł się człowiekiem wobec drugiego człowieka. I dlatego nam, Polakom, właśnie teraz ta wizyta jest tak bardzo potrzebna. I dlatego musimy się do niej przygotować. Przygotować na przyjęcie tego Ducha, którego niesie z sobą Jan Paweł II. Tu nie ma miejsca na handel, ani na szantaż. Władze powinny to zrozumieć.

KRÓTKO: 14 czerwca w godzinach rannych w obozie kieleckim dokonano „transportu” pięciu internowanych. „Transport” odbył się w asyście 30 funkcjonariuszy (atanda) i kilku SB-ków. Ta demonstracja siły potrzebna była do wyciągnięcia z cel pojedynczo tych pięciu i dokonania rewizji w celi 1-osobowej, którą zamieszkiwał „kierownik Manufaktury”. Zabrano wszystkie wałki i narzędzia potrzebne do prac w tym naszym więziennym ręko-

dzielnictwie sakralnym. Był to niewątpliwie akt zemsty za zrobioną tutaj, będącą już na zewnątrz „Monstrancję Solidarności”.

Uwaga redakcji SKRÓT-u:

Tych pięciu internowanych przewieziono do obozu w Uhercach, następnie — do Załęża, a w końcu sierpnia — do Łupkowa.

GRYPS — *Tygodnik Internowanych* Nr 19 z 27. 06. 1982 r.
Kielce - Piaski

RADOMSKI CZERWIEC 76

25 czerwca 1976 roku w Zakładach Metalowych w Radomiu strajk rozpoczął się rano, poprzedzany niepokojami już podczas nocnej zmiany. Ludzie, oburzeni na ogłoszone poprzedniego dnia wieczorem podwyżki, chcieli rozmawiać z władzami. Ci, którzy mieli te władze w zakładach reprezentować nie byli kompetentni. Potrafili tylko apelować o spokój lub straszyć — co tylko denerwowało.

W stronę gmachu KW PZPR ruszył pochód zagarniający coraz więcej ludzi z kolejnych zakładów, do których wchodziło po drodze.

Sekretarz Prokopiak, przerażony postawą demonstrantów, stanął w oknie. Ale i on nic nie umiał powiedzieć. Czekał na decyzje z Warszawy. Ludzie, jeszcze spokojni, sadowili się na ulicy. Gdy jednak minął wskazany przez I sekretarza KW termin i odpowiedzi nie było — zaczęto szukać Prokopiaka. Już go nie było. Uciekł przed robotnikami w karetce pogotowia.

Sekretarza nie znaleziono, za to w pokojach komitetu znaleziono zmagazynowane wielkie ilości artykułów spożywczych. Zobaczono też, w jakim przepychu urzędują notable partyjni. To ludzi rozwścieczyło do reszty. Zaczęto wyrzucać te artykuły i rzeczy przez okno. Reakcja demonstrantów była natychmiastowa: dom partii stanął w płomieniach. Zaczęto się rozchodzić. Wtedy właśnie wkroczyły do akcji oddziały ZOMO. Użyto armatek wodnych, gazów łzawiących i pałek, wyłapano — aresztując — pojedyncze osoby. W tym czasie grupa osób cywilnych idąc ulicą Żeromskiego powybijała szyby wystawowe w sklepach, wyrzucając zawartość wystaw na ulicę. To posłużyło jako pretekst do brutalniejszej interwencji ZOMO wobec mieszkańców miasta. Przez trzy dni miała miejsce „łapanka”. Zatrzymywano przypad-

kowe osoby i bijąc pałkami wrzucano do suk. W Radomiu zademonstrowano wyćwiczone „ścieżki zdrowia” — pokazowo. Szpaler zomowców ustawiony przed wejściem do KW MO bił pałkami ludzi, często do utraty przytomności. Tych, którzy upadli — kopano.

W mieście zapanował terror. Ruszyła machina sądów i Kolegiów d/s Wykroczeń, gdzie dzień i noc skazywano ludzi na więzienia i karano grzywnami, zamienianymi później w wielu wypadkach na karę pozbawienia wolności. Od poniedziałku 28 czerwca w radomskich zakładach pracy zaczęto masowo zwalniać ludzi z pracy. Zwolnieni w trybie natychmiastowym otrzymywali „wilczy bilet”, długo nie mogąc znaleźć pracy. Gdy ich później przyjmowano do pracy, obniżano im karnie zarobki do stawek najniższych.

Dziś w VI-tą rocznicę Czerwca 76 pamiętajmy o tych ludziach, których bunt był kolejnym etapem walki o prawa ludzi pracy w Polsce „o chleb i wolność”. Pamiętajmy o robotnikach z zakładów Radomia, Ursusa, Płocka-Żylichowa, Łodzi, Gdańska, Wrocławia, Grudziądza, Starachowic, Kraśnika, Dębicy i innych... Tam, w Czerwcu 1976 roku, upomniano się o nasze prawa, tworząc zręby Solidarności.

„CZERWIEC 76 POCZĄTKIEM NASZEJ DROGI”

To hasło przyświecało uroczystościom V-tej rocznicy wydawienia czerwcowych w Ursusie. Uroczystość połączono z Mszą św., odprawioną w miejscu wydarzeń, wmurowaniem kamienia węgielnego pod budowę obeliska upamiętniającego to wydarzenie. Odślonięcie obeliska nastąpiło 4 września — w rocznicę powstania regionu Mazowsze. Dziwnym trafem moment podpisania protokołu założycielskiego Mazowsza miał miejsce również tu, gdzie wydarzenia w 1976 — przed budynkiem dyrekcji.

Jak doszło do tego, że załoga tej fabryki 25 czerwca 1976 r. upomniała się o swoje prawa, o prawa nas wszystkich do współdecydowania? Strajk i jego przebieg miał cechy spontaniczności, nie był zorganizowany — a jednak skuteczny. Przypomniął rządzącym, że muszą liczyć się z głosem robotników, których interesy rzekomo reprezentują. Strajk ten wykazał również władzom partyjnym, że utworzone w jej strukturze szczeble zakładowych ogniw partyjnych są atrapą, która nie spełnia roli reprezentacji robotniczej.

Odwet tej władzy był okrutny i brutalny. Władza uchyliła

wtedy po raz trzeci rąbek swojego prawdziwego oblicza — przez tortury „ścieżek zdrowia”, wysokie wyroki sądowe, pozbawianie wolności, przez Kolegia d/s Wykroczeń i kary grzywny, zwolnienia z pracy.

Po tych dniach terroru i strachu organizowano słynne już wiece potępiające „warcholów” z Radomia i Ursusa. Ta farsa do dziś budzi wstręt. Na odpowiedź robotników z Ursusa władza nie musiała długo czekać. Żadne represje i szykany, które spadły na Ursus — nie złamały woli walki.

Już 1 i 2 lipca 1980 roku miał tu miejsce strajk. Był wtedy dobrze zorganizowany. W sierpniu 1980 w Ursusie powstał „Robotniczy Komitet Solidarności”, który koordynował akcję protestu solidarnościowego z Wybrzeżem. RKS wysłał swoją delegację do Stoczni Gdańskiej. A później — już po podpisaniu porozumienia — ta fabryka, jej ludzie byli awangardą Solidarności w regionie Mazowsza.

Dziś — w VI-tą Rocznicę Wydarzeń Czerwcowych — wiemy jak wiele ciężaru wzięli na siebie ludzie z Ursusa. Ciężaru wynikającego ze stanu wojennego. Czterech działaczy Solidarności skazano na długoletnie więzienie, kilkunastu internowano, wielu zwolniono z pracy. Bujak, Janas, Broniarek — czołowi działacze Ursusa — ukrywają się tworząc podziemie „Solidarności”.

Czerwiec 1976 jest początkiem ich drogi, wierzymy, że ciąg dalszy nastąpi. CDN... już wkrótce.

TYGODNIK GRYPS — redaguje Zespół. Adres redakcji:
Areszt śledczy, Kielce - Piaski.

Nasza Krata, 28. 06. 1982, Nr 14/B, InterNowa, Kielce - Piaski.

ROMAN STRZAŁKOWSKI I OKOŁO 380 MIESZKAŃCÓW
POZNANIA ZABITYCH NA ULICACH MIASTA W WALCE
POD HASŁEM — CHLEBA I WOLNOŚCI DLA NARODU.



„DUCHA NIE GAŚCIE”

26 lat temu robotnicy Poznania wyszli w pochodzie na ulice miasta. Nie mieli karabinów. Skandowali „Wolności i chleba, wypuście Wyszyńskiego, precz z UB”. Na skrzyżowaniach ulic stanęły czołgi, z bruku zbierano ciała pomordowanych. Choć na ulice wyszli tylko oni, ginęli za cały kraj, ich dramat był odpowiedzią władz komunistycznych dla wszystkich Polaków.

Nie po raz pierwszy w PRL strzelano do Polaków. Poznański Czerwiec nie był początkiem tej walki i jej nie zakończył. Już od lat trwała wojna, którą wypowiedziano nam 13 grudnia 1981 roku. Polegli w niej żołnierze AK, Wilna i Lwowa, robotnicy Poznania i Gdańska, Szczecina i Katowic... Tak rodziła się SOLIDARNOŚĆ, wspólnota wszystkich walczących o Niepodległość, Demokrację i Sprawiedliwość, o to by Polska była Polską.

Ten program do dnia dzisiejszego nie został zrealizowany. Dziś nasza kolej. Mamy więcej doświadczeń i mniej złudzeń niż nasi ojcowie w 1956. Zwycięzimy jeśli starczy nam wytrwałości, odwagi i wiary.

Uwaga redakcji SKRÓT-u:

Po rozwiązaniu obozu w Łławie założone tam wydawnictwo InterNowa działa dalej. Redakcja Naszej Kraty (gazety drukowanej) kontynuuje swą pracę w Kwidzynie (mutacja A) i w Kielcach-Piaskach (mutacja B).

Nasza Krata, InterNowa, Łupków, Nr 17/B, 13.07.1982 r.

NARÓD ZORGANIZOWANY MUSI ODZYSKAĆ NIEPODLEGŁOŚĆ

Od ponad pół roku trzynasty każdego miesiąca jest dniem pamięci i solidarności. Już w styczniu tego dnia spontanicznie stanęły fabryki a w oknach zapłonęły świece. Chodzi o to, by ci, którzy wypowiedzieli wojnę narodowi wiedzieli, że z przemocą nie pogodzimy się nigdy.

Solidarność i protest to jeszcze nie jest program polityczny, ale bez tego żaden program nie będzie skuteczny. Manifestacje w obozach także świadczą, że związek nasz nie przestał istnieć, że nadal jesteśmy jego członkami.

Codziennie wielu opuszcza obozy, ale nie zwalnia nas to ze złożonej przysięgi — wojna przecież trwa. Siedem miesięcy temu zostaliśmy zaskoczeni. Czas wyciągnąć wnioski. Solidarność powstała jako związek zawodowy, lecz wojnę wypowiedziano całemu narodowi. Jeśli chcemy tę wojnę wygrać, musimy pamiętać, że jesteśmy członkami Związku Zawodowego i ruchu oporu, że walczymy o prawa pracownicze i o niepodległą Polskę!

Zwycięzimy, jeśli starczy nam wytrwałości, odwagi i wiary.

Uwaga redakcji SKRÓT-u:

Nasza Krata (B) podejmuje działalność w Nowym Łupkowie (Bieszczady) po przewiezieniu do tutejszego obozu wszystkich internowanych z Ośrodka w Kielcach-Piaskach w dn. 7. VII. 82 r. Obóz kielecki nie został jednak rozwiązany; natychmiast osiedlono tam dotychczasowych mieszkańców ośrodka w Załężu k/Rzeszowa, który uległ likwidacji na niecały miesiąc. W początkach sierpnia do Załęża ponownie przywieziono ludzi — z obozów w Łupkowie, Kielcach-Piaskach i Uhercach. Te trzy obozy zostały wówczas rozwiązane, ale z końcem sierpnia Uherce i Nowy Łupków znów powitały internowanych; do Łupkowa 29 sierpnia przewieziono większość lokatorów Załęża.

Nasza Krata, InterN — Rzeszów - Załęże, Nr 17/B, 13. 08. 1982 r.

Uwaga redakcji SKRÓT-u:

Nic dziwnego, że po tylu przeprowadzkach pomyliła się „Naszej Kracie” numeracja!

„Nakładacie na ludzi ciężary
nie do zniesienia, a sami nawet
palcem nie dotykacie tych ciężarów”.

W drugą rocznicę STRAJKU GDAŃSKIEGO, a po ośmiu miesiącach trwania stanu wojennego oddajemy do waszych rąk specjalny numer *Naszej Kraty*. Materiały w nim zawarte wyrażają stanowisko redakcji w sprawie „porozumienia narodowego”. Względy techniczne zmuszają nas do wyrażania naszej opinii w sposób zwięzły i uproszczony.

REDAKCJA

MYŚLĘ WIĘC SIEDZĘ

Od ośmiu miesięcy grasuje po polskich drogach nowa kasta partyjno-wojskowa, która z pruską konsekwencją i bolszewicką bezdusnością zaciska pętlę terroru na szyi społeczeństwa.

Juncie udało się spacyfikować większość narodu, okaleczyć go psychicznie, wpędzić w marazm i beznadziejność. Społeczeństwo boi się i nienawidzi nienawistną zaszczutego zwierzęcia, które doprowadzone do ostateczności postawi wszystko na jedną kartę i uderzy. Nim to jednak nastąpi, upłynie trochę czasu.

Znajomość nastrojów w zakładach pracy, racjonalne gospoda-

rowanie energią ludzką, a przede wszystkim ukierunkowanie zawiedzionych nadziei społeczeństwa na jasno sprecyzowany cel będzie miało decydujący wpływ na wynik rozpoczętej 13 grudnia konfrontacji.

A celu tego, jak do tej pory, jasno i otwarcie nie postawiliśmy. Powiedzmy szczerze — nawet realizacja stawianych władzy warunków typu: zniesienie stanu wojennego, odwieszenie zawieszonych bądź zdelegalizowanych związków i organizacji, zwolnienie skazanych i internowanych — nie rozwiązuje na trwałe polskich problemów i nie zaspokaja aspiracji narodowych.

Władza 13 grudnia kolejny raz udowodniła, że paktowanie z nią nie ma żadnego sensu, że próba jakiegokolwiek porozumienia jest z góry skazana na niepowodzenie.

NIE MA INNEGO WYJŚCIA, NALEŻY ZMIENIĆ WŁADZĘ, PRZYWRACAJĄC PEŁNĄ SUWERENNOŚĆ PAŃSTWOWĄ.

Jak długo Naród tej prostej prawdy nie zrozumie, dopóki wszystkie działania nie zostaną podporządkowane temu jednemu celowi, tak długo będzie trwać w Polsce bolszewicka noc.

„DUCH POROZUMIENIA”

Brutalnie wyrzucony z wronich gabinetów duch porozumienia straszy w obozach internowanych. Co rusz pojawiają się enuncjacje zawierające warunki kolejnej „prawdziwej” ugody społecznej. Podziemni eksperci wariują wariantowo. Zakonspirowani intelektualści i działacze skamlą, by władza wskazała, kogo się wyprzeć i gotowi są do nowych wyborów związkowych (patrz: *Rada Programowa RKW Reg. Śl.-Dąbrowskiego*).

Porozumiewawczo proponują ciche marsze trotuarami wybranej ulicy w kółeczko, tak, aby jezdnia była zawsze po lewej stronie maszerującego. Dlaczego nie po prawej — nie wyjaśniają. Snują się wśród nas rozważania, jak wpędzić „czerwonych braci” w nasze ramiona, prośbą lepiej czy kropidłem?

Co żywi „ducha porozumienia”?

Naiwność, cwaniactwo czy zdrada?

On żre to wszystko.

Karmi go naiwność bo naiwnością jest oczekiwać, że komuniści zawrą autentyczną ugodę z jakimkolwiek niezależnym od nich partnerem.

Żywi go cwaniactwo — bo kokietowanie władzy gotowością do porozumienia może pozwolić na miękkie lądowanie tym, któ-

rzy żałują, że dali się nabrać na „Solidarność” i szczerkali niepotrzebnie na władzę.

Upiór żeruje na zdradzie — bo nas jest wiele tuzinów, a w tuzinie zawsze znajdzie się Judasz.

Władza nie tylko nie chce porozumienia. Jest jej ono niepotrzebne. Trwałość jej gwarantują skutecznie układ sił międzynarodowych i siły wewnętrzne: ZOMO, SB, LWP i... „realiści” od porozumienia. Porozumienia polegającego na rezygnacji z wartości, o które Solidarność walczyła.

Dziś w „internatach” mamy do wyboru dwie drogi. Albo szukać dróg „porozumienia” — czytaj — pogodzić się z klęską, lub postawić stanowcze *veto* sowieckiemu władztwu w Polsce, *veto*, które nie będzie pustym gestem, o ile poprzemy go konsekwentnie realizowanym programem walki z PRL-owskim reżymem.

Przypominamy:

wspólna tajemnica z funkcjonariuszem SB lub SW
Największym grzechem internowanego jest

W^RO N

Nasza Krata, InterNowa, Załęże - Rzeszów, 31. 08. 1982 r. Nr 20

Uwaga redakcji SKRÓT-u:

Po powrocie części internowanych z Załęża do Łupkowa w końcu sierpnia 1982 roku — parzyste numery Naszej Kraty (B) drukuje Załęże, nieparzyste zaś — Łupków.

ŚWIĘTO SOLIDARNOŚCI

	n		a		s		z		a		k		r		a		t		a	

31. 08. 1982 — 282 dzień wojny.

INTER-N
Rzeszów-Załęże
nr 20

„nie bój się tych
co zabijają ciała”.
Mt 10-28

DRUGIE PODEJŚCIE

W drugą rocznicę Polskiego Sierpnia w całym kraju mają się odbyć pokojowe manifestacje. Manifestacjom towarzyszyć będą

żądania: zniesienia stanu wojennego, uwolnienia skazanych, aresztowanych i internowanych za działalność związkową, reaktywowania niezależnych organizacji społecznych i zawarcia ugody społecznej. Skala manifestacji, ich liczebność jasno ukaże światu wolę narodu polskiego, a nam samym — nasze zdecydowanie i solidarność.

Spełnienie wymienionych żądań będzie dla władz trudne. Pod wpływem Moskwy wojskowi uczynili wiele, by spalić za sobą mosty wiodące do społecznej ugody. Wbrew ich zapowiedziom stan wojenny nie przyniósł społecznego pokoju ani naprawy gospodarki — rozpętał za to wszystkie złe siły, jakie drzemią w strukturach aparatu przemocy. W stanie wojennym aparat nieraz bez żadnego celu pastwi się nad ludźmi, oszukuje, morduje. Skłaniając wojskowych do puczu, moskiewscy władcy wiedzieli, że konsekwentnie rządzić przeciw narodowi może tylko ten, kto wszedł na drogę zbrodni, kto boi się odpowiedzialności.

Mimo to spełnienie przez władzę wymienionych żądań nie jest niemożliwe: moskiewscy mocodawcy z obecnego systemu rządów w Polsce nie odnoszą żadnej korzyści, zaś naród polski bynajmniej nie pragnie zemsty — chce tylko żyć po swojemu.

Spełnienie przez władze wymienionych żądań byłoby to nic innego jak uszanowanie zawartych przez nie dwa lata temu porozumień. Zarazem byłoby to zejście z drogi zbrodni, a więc minimum niezbędne dla uniknięcia dalszych tragedii.

Nie oznaczałoby to jednak rozwiązania polskiego kryzysu — tak jak nie oznaczały tego porozumienia gdańskie. Coraz wyraźniej widać, że kryzys ten — uciążliwy nie tylko dla Polaków — może być zażegnany jedynie przez własny, narodowy rząd, z którym naród nie będzie musiał szukać kompromisów i przeciw któremu Rosji nie opłaci się toczyć wojny. Stworzenie takiego rządu to dla narodu w obecnych warunkach zadanie niezwykle trudne, a czeka nas ono tym wcześniej, w razie sukcesu manifestacji. Lada dzień sprawę polską może rozstrzygnąć to, czy ktoś ten trud i odpowiedzialność na siebie weźmie.

Działacze polityczni muszą być tego świadomi. Oby po raz któryś już w naszej historii nie stało się tak, że krew przelana przez naród zostanie zmarnowana przez nieudolnych polityków.

WOLNI
SILNI ———— SOLIDARNI
ZWYCIĘŻYMY



Z ŻYCIA OBOZÓW
Zdarzenia — codzienność — nastroje
Fragmety grypsów i pamiętników

Z Darłówka — do Przyjaciół
(Za *Fotogazetą 5* — dwutygodnikiem Politechniki Wrocławskiej)

Kochani! Oto zbliża się półrocze mojej odsiadki. Minęło tak jakoś dziwnie i szybko, że czasy grudnia są mi bardzo dalekie. Czuję się dobrze, a najważniejsze, że nie daję się złamać psychicznie i wszystko przyjmuję ze stoickim spokojem. Zresztą moi przyjaciele są również nastawieni pogodnie i razem podtrzymujemy się na duchu. A w ogóle ostatnio przywieziono cały obóz z Jaworza, a w nim same sławy. Sami nazywają siebie „pieszczoszka mi reżymu”. Jest profesor Geremek, Bogusławski, Amsterdamski, Umiński i literaci — Woroszyński, Wierzbicki, Drawicz i mój ulubiony Janusz Szpotański (tow. „Szmaciak”). Jest T. Mazowiecki itd. itd. Mamy więc interesujące wykłady i naukę języków obcych, a ponadto interesujące konwersacje z balkonu. Jest tu zegarmistrz Miklaszewski, kaleka. Niedawno przed wojną pomyślnie zakończyła się jego sprawa sądowa, gdyż kalectwa nabawił się przez transport suką milicyjną z rękami skutymi z tyłu (co jest ponoć niedozwolone), a wóz miał katastrofę. Teraz w nagrodę siedzi tutaj. Pani docent Suwale, która po transporcie z Gołdapi już nie wstała, nasz dobry pan komendant dał trzonek od łopaty i przy pomocy tego narzędzia pełzała. Przed wizytą PCK dostała kule, jedną odstąpiła kalece, którą wzięto się do natychmiastowej operacji) wywieziono rzekomo do kliniki, a opamiętała się w szpitalu więziennym w Łodzi; Anka Kowalska i Gaja Kuroniowa napisały pismo, że nie wejdą do suk, chyba że je wywloką siłą — obie poszły do klinik cywilnych w Warszawie. I tak pisać można by bez końca. Lecz jest jeszcze jeden wypadek skandaliczny. R.B. z Krakowa, truta lekami psychotropowymi, jest nadal w Darłówku. Stan jej jest bardzo zły, ma ciśnienie powyżej 200, a ponadto lekarz jej podsuwa jakieś leki, po których jest nieprzytomna. Psychiatra z Koszalina była przerażona zestawem leków, jakie chora brała. W rezultacie nic się nie zmieniło, a ona ma taki głód leków, że oszukując koleżanki leci do naszego lekarza (głównego ub) i faszeruje się prochami. P. Lipert ma od dwóch miesięcy ostre zapalenie siatkówki i okulistka powiedziała, że straci wzrok w lewym oku, jeśli natychmiast nie znajdzie się w klinice. Przed tygodniem była komisja

PCK, która kiwa głowami i nie może zrozumieć jak to się dzieje, że wciąż zastaje ludzi, których od początku kwalifikowali do natychmiastowego zwolnienia lub leczenia.

Na codzień zaś nie jest tak tragicznie i przywykliśmy do tego.

Nasz dobry pan komendant zgodnie z nieograniczonymi kompetencjami, jakie mu przysługują, łaskawą rączką daje nam tak zwane przywileje. A więc ostatnio drzwi były cały dzień otwarte, tylko poruszać się po spacerniku mogą raz mężczyźni, raz kobiety. Upały były niesamowite, więc było fajnie. Ale pan komendant jest surowy i oto dziś jesteśmy pozamykani, bo przecież przywilej ma to do siebie, że można go w każdej chwili cofnąć. Tak więc i słońce jest reglamentowane. W praktyce takie rzeczy zdarzają się ciągle, a my jak skazane przedszkolaki siedzimy pod kluczem i czekamy na dobry humor władzy. To jest okropne, ale głód powietrza jest tak wielki, że potulnie pójdziemy na dwór kiedy tylko na to zezwolą.

Jedzenie w stołówce jest podłe, ale ciągle są paczki z darów, którymi się dzielimy. Ponadto była znaczna pomoc Kościoła. Tak więc konserwy mamy do dziś.

Naczelnym ubolem jest Zbigniew Janur. Bardzo nieciekawa i tępa postać. Stara się usilnie wyszykować kilka wyroków z dekreciku i dwie sprawy są w toku. W celu zdobycia materiałów odbywają się od czasu do czasu tzw. kipisze, tj. rewizje. Ale najważniejsze ciągle im nie wpada w ręce, choć wiedzą, że mamy. On też wyłapuje słabszych psychicznie i stara się zrobić z nich kapusiów, ale chyba z niewielkim skutkiem. Jego ulubiona metoda to trzymanie w jednym ręku decyzji o uwolnieniu, a w drugim lojalki do podpisania. Traktujemy to ścierwo jak powietrze. Tak samo traktujemy wysłanników z komend wojewódzkich. Takie rozmówki nie mają bynajmniej na celu zwolnienia lecz wyciągnięcie, podprowadzenie, podpuszczenie w celu odkrycia słabych punktów (chora matka, dzieci). Do późniejszych szantaży. Tymczasem wszystkie dzieci znalazły opiekę u rodzin lub dobrych ludzi.

Rozpisałem się niesamowicie, ale chcę przybliżyć życie tutaj. Nie wynika z tego, że zazdrozczę życia na tak zwanej „wolności”. Absolutnie nie!!!

Więści stamtąd przerażają mnie bardziej i naprawdę wolę siedzieć tu do końca. Zwolnieni przysyłają listy, że tęsknią za nami i że tutaj byli wolniejsi.

O mnie się nie martwcie, trzymajcie się, cauję.

UHERCE — DO REDAKCJI „SKRÓT-u”

(f r a g m e n t)

Uherce, 3 lipca 1982.

Postanowiliśmy w możliwie jak najkrótszym tekście zamieścić to, co zdarzyło się w Uhercach od dnia 19 marca 1982, to jest od dnia koncentracji internowanych z innych ośrodków odosobnienia.

Do dnia 19 marca przebywali tu internowani z województw przemyskiego i krośnieńskiego. Po tej dacie w Uhercach znaleźli się internowani z takich obozów jak Strzelce Opolskie, Zabrze-Zaborze, Jastrzębie-Szeroka. Pod koniec marca w ośrodku znajdowało się około 400 internowanych razem z poprzednimi lokatorami.

Obóz w Uhercach jest ośrodkiem przysposobienia społecznego, lecz niczym nie różni się od typowego więzienia. Trzy pawilony, z czego jeden zajmują więźniowie, a dwa przeznaczone są dla internowanych. W oknach kraty, między piętrami kraty, na pawilonie III rozdzielone kratami na pół są nawet piętra. Cały ośrodek otoczony jest dwoma płotami wysokości 4 metrów z drutem kolczastym, płot strzeżony jest przez dwie wieżyczki. Idąc tylko na widzenie przechodzi się od trzech do pięciu krat lub furtek. Całość jest dobrze strzeżona.

Niemniej jednak obóz ten posiada warunki o wiele lepsze niż były w Strzelcach Opolskich czy w Załężu, do którego wywieziono po naszym proteście część kolegów z Uherc.

Codziennie, zarówno w jednym jak i w drugim pawilonie odbywają się apele wieczorne, gdzie internowani odśpiewują wybrane pieśni, takie jak: „Nie chcemy komuny”, „Rota”, „Solidarni”, „Legiony” itp.

Praktycznie oprócz zwyczajnej codziennej walki o przedłużenie widzeń, o spacery itp. w obozie trwał spokój do dnia 13. IV. 1982 r., w którym to dniu protestowano przeciw stanowi wojennemu, zresztą jak w każdą miesięcznicę: zapalając świece w oknach i śpiewając pieśni.

Następnym dniem protestu był 16 kwietnia. Było to upamiętnienie dnia, w którym zamordowano górników z kopalni Wujek. W pawilonie I zmuszono służbę więzienną do otwarcia krat i do wypuszczenia na drogę wewnątrz obozu wszystkich internowanych, grożąc, że jeżeli nie otworzą, to wyważymy kraty. W pawilonie III natomiast internowani sami otworzyli dorabianymi kluczami kraty wewnątrz pawilonu. Siatkę, która broniła

dośćpę do drogi pocięto w kilku miejscach, robiąc dziury. Tym sposobem przeważająca większość internowanych wydosła się na drogę wewnątrz więzienia, gdzie przy prowizorycznym ołtarzu odprawiono za pomordowanych nabożeństwo. Następnie wszyscy internowani wrócili spokojnie do pawilonów. W czasie tej akcji SB szalało z aparatami fotograficznymi.

W dniu 19 kwietnia doszło do następnego protestu na dużą skalę. W pawilonie III znajdowało się dwóch ciężko chorych, którzy wymagali szpitalnego leczenia. Jeden z nich chorował na chorobę, która nie pozwalała przebywać w zamkniętym pomieszczeniu (proszę wybaczyć, ale nie znam jej nazwy). SB i komendant nic nie robili w tym kierunku, aby zaopiekować się chorymi. Trzej internowani lekarze stwierdzili, że stan chorych jest ciężki. Dnia 19 kwietnia o godzinie 22-ej pawilon wysłał oświadczenie do komendanta, że jeżeli do godziny 1-szej 20 kwietnia nie podejmie żadnych kroków w celu uwolnienia chorych lub przewiezienia ich do szpitala — rozpocznie się protest. Oba pawilony były przygotowane. Odpowiedź do pierwszej nie nadeszła. Cały pawilon III wyszedł na spacernik (otwarto i wyważono kraty), natomiast pawilon I pozostał w budynku. Wyniesiono materace, kartony, papiery, drewno i na spacerniku rozpalono ogromne ognisko. Oba pawilony tłukły w talerze, a pierwszy także w pusty zbiornik na wodę. W przerwach wszyscy krzyczeli „uwolnić chorych!”. Kanonada ta trwała około 30-40 minut, do momentu aż pod bramę więzienia zajechało kilkanaście bud ZOMO. Wtedy to internowani z pawilonu III cofnęli się do pomieszczeń, robiąc na schodach barykadę.

Rano, gdy się rozwidniło, zobaczyliśmy przerażający dla nas widok. Cały ośrodek otoczony był kordonem żołnierzy i ZOMO-wców (co trzeci ZOMO-wiec). Z okien pawilonu I jak okiem sięgnąć widać było stojące samochody wojskowe, budy ZOMO. Wszyscy uzbrojeni byli w karabiny maszynowe, ZOMO w pałki 80-centymetrowe i gaz. Samochodów było 80 do 90. Ludzi szacowaliśmy na około 1.000-1.200. Oprócz służby więziennej wewnątrz więzienia spacerowali klawisze z psami, na zewnątrz zaś WOP-iści posiadali także psy. W takiej sytuacji zrezygnowano z jakiegokolwiek oporu. Pawilon III wyszedł tylko na spacerniak i krzyczał „wojsko z narodem”, natomiast w pawilonie I wisiał transparent „Naród zwycięży”. Następnie w stronę pawilonu III udała się grupa ok. 30 klawiszy uzbrojonych w kaski z osłonami, tarcze i pałki. Stamtąd zaczęto pojedynczo lub po dwóch wyprowadzać internowanych, w asyście dwóch lub czterech uzbrojonych klawiszy.

Z tego, co dowiedzieliśmy się od żołnierzy, to powiedziano im, że jadą na „bunt więźniów”. Widać było, że podczas naszych śpiewów zwieszali znacząco głowy.

Wywieziono po tej akcji kilkudziesięciu internowanych do Załęża i Łupkowa. Każdy z internowanych, który szedł w transport, żegnany był śpiewem. Po południu siły ZOMO i wojska przeredziły się. Przez następną dobę widzieliśmy jeszcze silne posterunki ZOMO na zewnątrz. Natomiast zaraz po wywiezieniu części internowanych zrobiono w obu pawilonach dokładną rewizję, zabierając wszystko co nawinęło się pod rękę, m.in. krzyże, które wisały w salach. Wywiezieni z naszego obozu zostali wówczas wszyscy internowani z Przemyskiego i Krośnieńskiego oraz część z Katowickiego, m.in. Szymoński, Machura, Zyman, Kopański.

Obecnie (nie jest to dokładnie sprawdzone) Szymoński oraz kilku innych kolegów mają proces za wyżej opisany protest.

Po proteście przemieszano także internowanych między pawilonami, ale wszystko to nie załamało nas i w dalszym ciągu trwają apele i protesty 13 i 16 każdego miesiąca. Mało tego, od tamtej sprawy minęło kilka dni, a w pawilonie III znowu rozległo się kołatanie w talerze i kraty. Powodem było wstrzymanie widzeń, zresztą po proteście 19 kwietnia strasznie się wzmożyły represje i dyscyplina.

W czasie trwania protestu przerwaliśmy linię radiowęzła i zapowiedź represji komendant musiał ogłosić z „dyskoteki”. (Przyp. redakcji: „dyskoteka” — wóz milicyjny jeżdżący na sygnale).

Zdarzały się w naszym obozie także sytuacje, w których oficerowie SB ubliżali internowanym. Np. kpt. Jacek Januszewski powiedział do internowanego „spadaj na p.... jeża”, lub por. Lipczyński krzyknął w stronę internowanych „Solidarność do piachu”.

Od dnia 15 maja 1982 rozpoczął protest głodowy Andrzej Grzybowski z Huty Katowice, trzy dni później dołączył do niego jeszcze jeden internowany, Bednarek. Obaj zabrani zostali do szpitala. 24 maja 1982 jeden wyszedł na wolność, natomiast Grzybowski z racji tego, że był kompletnie wyczerpany głodówką, której nie przerywał, został przewieziony do Krakowa. Wiadomości na temat jego dalszych losów brak. Obaj internowani protestowali indywidualnie przeciw trwającemu internowaniu.

W dniu 7 czerwca zrobiono indywidualny kipisz w celi 11 (Rutkowski, Stępnia, Nowacki) szukając procy, z której cela

ta miała strzelać do koguta (wieżyczki). Niczego nie znaleziono. Oczywiście podejrzenie to było absurdem. 11 czerwca rewizja ogólna, która robiona jest okresowo, przeważnie przed podziemnymi protestami.

13 czerwca na znak protestu przeciwko stanowi wojennemu rozpoczęła się głódówka, w której brało udział 75 osób. Każdy z internowanych napisał indywidualne oświadczenie protestując przeciw: 1 — stanowi wojennemu, 2 — więzieniu członków „S”, NZS, RI „S”, opozycji demokratycznej, 3 — zerwaniu porozumień z Gdańska, Szczecina, Jastrzębia i Katowic. Były także punkty pisane indywidualnie, w ogólnym kontekście nie odbiegały one od głównego tematu protestu. Przez cały czas głódówki nie zjawili się lekarze. Tylko w wypadkach, które kwalifikowały się do szpitala kilka osób zostało wywiezionych. W dniu 20 czerwca głódówka została przerwana przez większość internowanych. W pawilonie III głódowały nadal dwie osoby (Mazur i Michałowski). Ten drugi trafił do szpitala.

Nie są to wszystkie wydarzenia, jakie miały miejsce, jednakże ze względu na trudności, jakie z pewnością ma Wasza Redakcja z papierem ograniczyliśmy się do najważniejszych.

Od redakcji SKRÓT-u:

Po zwolnieniach, jakie miały miejsce przed świętem 22 lipca w obozie w Uhercach pozostało 37 internowanych. W pierwszych dniach sierpnia (najprawdopodobniej 3 sierpnia) wszyscy oni przewiezieni zostali do Ząteża. Obóz w Uhercach zlikwidowano. Jednakże w połowie sierpnia w Uhercach ponownie przebywało około 60 internowanych.

Z BIAŁOŁĘKI — DO KOLEGI (Fragment grypsu)

Białołęka, 25 czerwca 1982.

Cześć...!

Wydarzenia z dnia 11 czerwca opiszę Ci tylko te, których byłem świadkiem, lub o których mam relacje od poszkodowanego.

A więc tak. W celi naprzeciw naszej był od rana jakiś szum. Nam zapowiedzieli spacer ale nie wychodziliśmy przez godzinę. Naprzeciw dalej szum, a my dzwoniemy, pukamy — bez reakcji z korytarza. Potem dowiedziałem się, że zabierano Roberta Luśnię, bez wręczenia mu decyzji dokąd idzie. Chłopcy nie dawali go tak wziąć. Przyszedł komendant, powiedział, że „świnia by

prędzej zroszciała niż wy”, dał akt zwolnienia z internowania, podpisany nie formalnie (przez niego samego). Jak i to nie poskutkowało, przyprowadził „siłę” i wyciągnęli go do suki. Siedzi teraz na Mokotowie.

W tym czasie pytałem cele obok co się tam dzieje, ale też nie wiedzieli. Gdy na nasze wezwania dalej z korytarza nikt nie odpowiadał, zaczęliśmy walić w drzwi. Za nami poszli inni. Ktoś ze świetlicy krzyknął: „Michami po kratkach!” — i tak się zaczęło.

Weszli. Przez okna uzgodniliśmy, że nie opuszczamy cel dobrowolnie. Dostyc ułatwienia im roboty.

Do naszej celi wszedł drobny kapitanek, za nim porucznik i trzech drabów. Wszyscy — hełmy, pały (długie) i piana na ustach. My siedzimy, czytamy, nie reagujemy. „Wychodzić!” — drą się, stojąc na nami i łapy już im latają. „Wychodzić!” — a my nic.

Z sąsiedniej celi słycać rumor, sapania i krzyki: „Bandyci, siłą biorą!”. Ze świetlicy słycać: „Biją, rozbierają, fotografują!”.

Nas wyciągnęli z celi za ręce, za kołnierze, popychali siedzących na podłodze. Pałek nie użyli. Mnie szarpnęło dwóch do góry, poddałem się i skoczyłem z góry na nogę kapitana, zakręciłem jeszcze twardym butem (...). Nadali mi kierunek pchnięciami w stronę drzwi.

Na korytarzu szpalerek, niektórzy z tarczami. Nas brali na rewizję do kabaryny, niektóre cele do świetlicy. Chłopców rozbierano tam siłą, zdejmując ubrania, spodenki zdejmowali butem, fotografowali i nagrywali (major!). Przy tych czynnościach dostał 5 pał Sylwester Wojtkowski — czytałem jego skargę.

Przed całym zdarzeniem wyprowadzili grupę ze świetlicy (ta grupa miała tam zajęcia). Na korytarzu stał już szpaler. Gabriel Janowski odezwał się: — Panowie, taką siłą na bezbronnych? — I dostał pałką w tył głowy (...).

Z KWIDZYNA — DO KOLEGÓW W INNYM OBOZIE (Grypsy internowanych pisane po przeprowadzce z Iławy. Fragmenty)

Kwidzyn, 17 czerwca 1982.

Cześć, dojechaliśmy w komplecie, na dojazd następnej partii czekam. Warunki socjalno-bytowe są tu lepsze niż w Iławie.

Cele duże, ośmioosobowe. Przez kratę można wystawić głowę. Łazienka na miejscu, korzystać można codziennie. Na ścianie już jest napis — jak w Iławie. Pozdrawiam wszystkich. Bóg z Tobą.

Kwidzyn, 18 czerwca 1982.

... Przy wyjeździe z Iławy (były nas dwie „łodówki”), zaśpiewaliśmy „Wyrwij murom zęby krat” i hymn internowanych w Rumunii. Wybita została szyba i widoki były śliczne — jak po 185 dniach niewoli.

Krzyczałem „Solidarność” wszędzie, gdzie stała grupa ludzi. Wyrzucone zostały listy z naszymi nazwiskami i adresami.

Gospodarzom i „starym” internowanym w Kwidzynie zaśpiewaliśmy „Wyrwij murom”, a oni dla nas „My nie poddamy się komunie”. Śpiewy są tu codziennie.

Kwidzyn, 19 czerwca 1982.

W Kwidzynie wszystko w porządku. Zastaliśmy tu 55 osób — Suwałki, Siedlce, pół Zamościa (reszta z Zamościa — w Załężu). Z Białostockiego, Łomżyńskiego i Biało-Podlaskiego nie siedzi już nikt. Z mapy wynika, że Kwidzyn jest dla północno-wschodniej Polski.

Kipisz przy wyjeździe był ostry. Niektórych kipiszowali 2 razy.

W naszej celi jest napis „Solidarność” i kotwica, jak w Iławie.

17-go wyszliśmy, otwierając boczne nieużywane drzwi, na niezależny spacer. Nic nam nie próbowali zrobić, tylko przyspawali kłódkę do drzwi, ale to w niczym nie przeszkodzi.

Cele duże, sracz w celi, ale — lepiej niż w Iławie, bo oddzielony jako osobne pomieszczenie. Skazanych jest tu 400, ale nie mamy z nimi kontaktu.

Bardzo tęsknimy za Iławą. Różnice korzystne, to tylko to, że klawisze są grzeczniejsi (mało ich jest) i telewizja do oporu. Teren spacerowy duży i zadbane, ale ze spacerami gorzej niż w Iławie — trzy grupy po godzinie.

Walczymy i dlatego poszliśmy na niezależny spacer. Pilnie potrzebujemy kontaktu i SKRÓT-u. Przykro mi, że nie pożegnałem się z Wami, ale atanda nie dała (...). Na początek dali tylko 2 koce i nie dali noży, o wszystko trzeba się wykłócać. To zresztą nieważne, nie jest źle, tylko smutno bez Was i nudno (...).

Kwidzyn, 25 czerwca 1982.

21 czerwca dojechało do nas z Iławy 28 osób. Ucieszyłem

się, że nasza grupa będzie liczniejsza i może bardziej zgrana. Rozbierali ich w Iławie przy kipsiszu prawie do naga.

23 czerwca przyjechała dalsza grupa z Iławy — głównie Olsztyn, kilku gdańszczan.

Kwidzyn, 26 czerwca 1982.

(...) 21 czerwca koledzy pojechali autobusem na rentgena do Sztumu, ale nie dojechali, bo pękł wał. Eskortowały ich 2 suki z gliną, które po defekcie zaraz uciekły, nie chcąc widocznie mieć z tym nic wspólnego. Zostali więc z kilkoma klawiszami, co byli w autobusie, zbierali przy drodze poziomy. Przyjechała ze Sztumu atanda i brzękali kajdankami, chcieli zagonić internowanych do „łodowy”, ale oni odmówili. Pojawił się komendant pierdła w Kwidzynie i mówił, że jeszcze do niego przyjdą na kolanach. Odwozili ich w końcu na raty, sanitarką.

Wczoraj, 25 czerwca, chcieli zabrać nam Łukomskiego i Bobera, już byli spakowani, ale ktoś rzucił hasło, że ich nie damy. (Podobno mieli jechać na MO do Olsztyna). Wszystkie cele zgodziły się bez wahania i zrobił się ładny bunt.

Łukomski i Bober zażądali decyzji na piśmie, a jeśli to jest aresztowanie — prokuratora i adwokata. Klawisze niczego takiego nie mieli i zrezygnowali.

Szykowaliśmy się na próbę zabrania kolegów siłą w nocy z 25 na 26 czerwca, ale nie doszło do tego.

Po obiedzie i po tej awanturze cała nasza pawilon wyszedł na 2-godzinny spacer, czyli przy okazji wywalczyliśmy to, co chcieliśmy (...).

Komendant za kolaborację („samorząd”, rezygnacje ze stempli na kopertach i z Radia InterNowa) obiecywał duże swobody.

Mimo że to więzienie jest o cztery kategorie lepsze od Iławy, (okazuje się, że Iława to ciężkie więzienie, kat. I, a tu jest IV), tęsknimy za Iławą.

Nastroje w naszej grupie dobre, możecie na nas liczyć zawsze i w każdej sytuacji.

Uwaga redakcji SKRÓT-u:

Andrzej Bober i Edmund Łukomski (z Zarządu Regionu „S” w Olsztynie) zostali pomówieni o przywłaszczenie sobie 2 milionów złotych, będących własnością związku. Ten uwłaczający proces kilkakrotnie był już zawieszany i wznowiany. Przez kilka tygodni po opisanych wyżej zdarzeniach Bober i Łukomski skutecznie ukrywali się w obozie w Kwidzynie, by nie

dać się wywieźć do Olsztyna, gdzie uprzednio spędzili 3 miesiące w strasznych warunkach w areszcie śledczym. W chwili obecnej los ich nie jest nam znany.

Z KWIDZYNA — DO GRUP OPOZYCYJNYCH W INNYCH OBOZACH I NA „WOLNOŚCI”

WIZYTA ATANDY

Dnia 30 czerwca 1982 roku o godz. 12-tej, w 200-tny dzień stanu wojennego, na teren ośrodka odosobnienia w zakładzie karnym w Kwidzynie wkroczyła bojówka, tzw. „atanda”, kierowana przez naczelnika zakładu karnego w Kwidzynie mjr. Stefana Mikołajczyka. Oprócz normalnie dyżurującego kilkuosobowego personelu liczyła ona 74 klawiszy i dwa psy. Psy i część klawiszy zostały prawdopodobnie przywiezione ze Sztumu.

Atanda dokonała rewizji w celach internowanych, zrywając instalacje elektryczne sporządzone przez internowanych (nie ma innej możliwości zagotowania wody), zabierając (gdzie udało się znaleźć) koperty z pamiątkowymi stemplami wykonanymi przez internowanych i niszcząc w niektórych celach przyklejone na drzwiach, wydrukowane przez internowanych plakaty z Lechem Wałęsą i napisem: „UWOLNIĆ!” oraz okolicznościowe plakaty na rocznicę Poznańskiego Czerwca 1956 roku.

Atanda zachowała się niegrzecznie i prowokująco, żądając opuszczenia celi na czas rewizji (rezygnując z tego wobec stanowczej postawy internowanych). Do celi nr 22 rewidujący weszli z psem. W celi nr 23 obrażali internowanego 64-letniego Stanisława Adamczyka z Ciechanowa, który do dziś musi chodzić w potłuczonych okularach, które mu potłukli (zarzucając mu worek na głowę i bijąc go po głowie) strażnicy w lutym 1982 w Iławie.

Po zakończeniu rewizji i opuszczeniu przez atandę celi internowany Stanisław Romański z Elbląga, mieszkaniec celi nr 23, zastukał w drzwi prosząc o rozmowę z komendantem. Po chwili zza drzwi rozległo się pytanie: „Kto chciał rozmawiać z komendantem”? Nie przeczuwający niczego kol. Romański podszedł do drzwi, które otworzyły się nagle i z okrzykiem „chce rozmawiać, to brać go” rzucił się na niego, chwytając go za ubranie major Mikołajczyk na czele kilkudziesięciu osób. Kol. Romański został błyskawicznie wywleczony z celi i ciosami pięści, szarpnięciami przerzucony na koniec korytarza. W momencie „wyszarp-

nięcia” kol. Romańskiego z celi pozostali jej mieszkańcy rzucili się do drzwi, pragnąc zobaczyć, co się dzieje z kol. Romańskim. Nie zdążono jeszcze zamknąć drzwi, lecz kol. Romański był już oddzielony tłumem funkcjonariuszy.

W tym momencie wściekłość mjr. Mikołajczyka i jego bojówki zwróciła się przeciwko pozostałym mieszkańcom celi nr 23. Przy użyciu gazu obezwładniającego, ciosów pałek i pięści wepchnięto ich z powrotem do celi, której próg ledwo zdołali przekroczyć. Szczególną zjadłością popisał się bijący osobiście mjr Mikołajczyk oraz dwóch poruczników i sierżant. Kol. Artur Pisarski z Gdańska otrzymał cios pałką, pozostali zostali porażeni gazem, przy czym kol. Lubomirski i Murowicki odczuwali dolegliwości jeszcze następnego dnia. Warto dodać jako ciekawostkę, że w czasie tej kilkunastosekundowej szamotaniny mjr Mikołajczyk zdołał wyciągnąć kol. Woroniowi z kieszeni bluzy paczkę papierosów, którą następnie zmiął i rzucił na korytarz. Kol. Romański został w tym czasie zamknięty w świetlicy.

Odgłosy szamotaniny i krzyki „biją” spowodowały walenie w drzwi innych cel. Wówczas bojówka, pozostawiając na korytarzu (cele były zamknięte od zewnątrz) psy, w wielkim przerażeniu rzuciła się biegiem do bramy więzienia, gdzie, jak się okazało, posiadała sprzęt bojowy. Powrócili w getrach, hełmach, ochraniaczach z tarczami i pałkami. (Poprzednio niektórzy pałki mieli w rękawach). Wówczas mjr Mikołajczyk zajrzał znów do celi 23. Mieszkańcy celi nie chcieli jednak z nim rozmawiać, żądając wydania kol. Romańskiego. Mjr Mikołajczyk początkowo nie chciał tego uczynić i groził, że ukarze (nie wiadomo za co) kol. Romańskiego tygodniem pojedynki. Gdy jednak mieszkańcy celi 23 ponownie zaczęli uderzać w drzwi, kapitan więziennictwa zabrał kol. Romańskiego ze świetlicy i po około pół godzinie od wywleczenia go z celi zaprowadził go poprzez tłum uzbrojonych funkcjonariuszy z powrotem do celi. W czasie pobytu kol. Romańskiego w świetlicy i potem nie stosowano już wobec niego przemocy fizycznej.

Po krótkim czasie 74-osobowa bojówka z psami opuściła teren więzienia w Kwidzynie. Drzwi cel otwarto i wszystko wróciło do normy.

INNE WYDARZENIA

28 czerwca przywieziono do Kwidzyna ostatnich dwadzieścia parę osób (z województwa olsztyńskiego) z Ławy. Ośrodek w

Ławie przestał istnieć: 17 osób wywieziono do Kielc, resztę w 4 partiach do Kwidzyna.

1 lipca nie wpuszczono na teren ośrodka księży, którzy przywieźli paczki od biskupa warmińskiego Jana Obląka. Tylko czterech internowanych przenosiło paczki, których było 150 zamiast 160, bo władze podały zaniżoną liczbę internowanych.

2 lipca „nieznani sprawcy” wymontowali i ukradli zamki z dwóch krat, zamykających pawilon internowanych.

BESTIALSKIE POBICIE INTERNOWANYCH

KWIDZYN, 14. VIII. 1982 r.

(relacja rodziny internowanego)

Uwaga redakcji SKRÓT-u:

Do chwili obecnej niemożliwe jest uzyskanie relacji z dramatycznych wydarzeń spisanej przez samych internowanych. Ze względu na rangę tych wydarzeń — wbrew stosowanym w niniejszych zeszytach zwyczajom — postanowiliśmy zamieścić poniższą relację, przekazaną SKRÓT-owi.

Problemem nękającym internowanych w Kwidzynie było to, że ich rodziny zmuszone były po kilkunastogodzinnej nieraz podróży do wielogodzinnego wystawiania na ulicy przed więzieniem bez możliwości załatwienia nawet potrzeb higienicznych. Same widzenia również były zbyt krótkie, krótsze niż w innych obozach. Początkowo komendant tłumaczył się brakiem miejsca. W piątek 6 sierpnia internowani zawarli z komendantem umowę, na mocy której zobowiązali się dostarczyć we własnym zakresie (z zajmowanych przez siebie pomieszczeń) stoły i krzesła na teren koło sali widzeń, co przyspieszy widzenia jak również umożliwi ich przedłużenie.

Następnego dnia, w sobotę 7 sierpnia, widzenia odbyły się zgodnie z ustaleniami. W nocy z dnia 7 na 8 sierpnia stwierdzono brak jednego z internowanych. Pod tym pretekstem komendant 8 sierpnia usiłował wycofać się z przyjętych wcześniej ustaleń.

Wówczas wszyscy internowani zebrali się przed siatką, odgradzącą baraki mieszkalne i spaceriak od terenu administracji i sali widzeń. Zaczęli na przemian uderzać aluminiowymi talerzami i śpiewać piosenki. Po około półtorej godziny komendant

ustąpił i wszystko powróciło do normy — widzenia odbywały się jak w dniu poprzednim, panował spokój i porządek. Świadkiem tych wydarzeń był biskup sufragan lubelski, ksiądz dr Piotr Hemperek.

W sobotę 14 sierpnia sytuacja powtórzyła się. Znowu rodziny stały pod więzieniem, znowu internowani zebrali się hałasując talerzami i śpiewając. Po pewnym czasie komendant zgodził się przyjąć trzyosobową delegację internowanych. Okazało się wówczas, że obóz objął nowy komendant kpt. Juliusz Pobłocki ze Sztumu. Grał on na zwłokę, a w trakcie rozmowy odebrał telefon mówiąc do słuchawki: „Acha, już są!”. Po konsultacji z tzw. wychowawcą, por. Edmundem Młotkowskim, odmówił wpuszczenia czekających rodzin. Internowani zaczęli skandować: „Wpuścić rodziny!”. Po chwili zza bramy więzienia dały się słyszeć krzyki przerażonych kobiet, że przyjechało ZOMO. Kilku internowanych przeszło przez ogrodzenie, aby podejść do bramy i uspokoić rodziny. Nie czyniono im przeszkód.

Po chwili przed budynek administracji wyszła około 40-osobowa grupa przybyłych ze Sztumu funkcjonariuszy służby więziennej (SW) ubranych w getry, stroje bojowe, w hełmach, z plastikowymi osłonami twarzy, z tarczami i pałkami różnej długości, głównie 90 cm. W stosunku do internowanych nie zachowywali się agresywnie, natomiast jeden z nich uderzył po rękę kobietę, która wsunęła rękę w około 10-centymetrową szczelinę między ziemią a bramą wejściową.

Przerażone krzyki na zewnątrz nasilały się. Wówczas — po przecięciu siatki — internowani przeszli na drugą jej stronę, stając i siadając naprzeciwko sali widzeń i budynku administracji. Co pewien czas skandowali słowa: „Wpuścić rodziny”. Funkcjonariusze, wśród nich jeden z psem oraz sierżant milicji z pistoletem stali i spacerowali naprzeciwko — koło sali widzeń, bramy wjazdowej i budynku administracji, w odległości zaledwie kilku kroków od internowanych. Z obu stron nie było żadnych objawów agresji. Trwało to około godziny.

W międzyczasie miejscowi funkcjonariusze więzienni zaczęli obok internowanych montować motopompę i podłączać węże do zbiornika przeciwpożarowego. Tymczasem rozmawiający w sali widzeń zostali zmuszeni do jej opuszczenia.

Oczekujące rodziny weszły na wzgórze za murem więzienia, aby zobaczyć co się dzieje wewnątrz na placu. Po chwili na wzgórze wjechał radiowóz milicyjny i rodziny usunął.

Gdy uruchomiono motopompę, funkcjonariusze zaczęli pole-

wać internowanych wodą z dwu sikawek. Nastąpiło to w milczeniu, bez jakiegokolwiek próby rozmów i bez żadnego ostrzeżenia. Strumień wody był dość silny, nie można było wytrzymać jego uderzenia w twarz, jeden z internowanych nawet zemdłał. Internowani osłaniali się stołami i krzesłami przygotowanymi na widzenia, ale przemoczeni zaczęli się powoli wycofywać do baraków mieszkalnych.

Pojawił się również wóz straży pożarnej, jednak strażacy odmówili użycia działka wodnego przeciwko internowanym.

W pewnym momencie zza lejących wodę wyszli funkcjonariusze uzbrojeni w tarcze i pałki, bijąc pałkami pozostających z tyłu internowanych. Wszyscy internowani weszli wówczas pośpiesznie do baraków mieszkalnych. Na zewnątrz pozostał jedynie Władysław Kałusiński z Olsztyna, który stał na dachu i obserwował, co się dzieje. Na wezwanie zszedł z dachu i wówczas został otoczony przez grupę funkcjonariuszy, którzy rzucili się na niego, bestialsko masakrując go pałkami, co widziało z okien wielu internowanych. Kałusiński pozostał nieprzytomny na trawniku, po pewnym czasie wyniesiono go na noszach w kierunku bramy i odwieziono do szpitala.

Gdy internowani weszli do baraku, ścigająca ich uzbrojona grupa nie weszła za nimi, a dowodzący komendant więzienia, kpt. Juliusz Pobłocki powiedział, że nic nikomu nie grozi i zaapelował o udanie się do swych cel, co internowani zrobili.

Tymczasem sikawki podciągnięto aż do drzwi prowadzących do baraków I i II, demolując i zalewając wodą cały korytarz, tzw. łącznik między tymi pawilonami. Wszyscy internowani zostali zamknięci na klucz w swoich celach, bądź w tych, w których znaleźli się przypadkowo.

Okolo godz. 14-tej, tj. w 30-45 minut po zamknięciu cel, służba więzienna zaczęła otwierać kolejno poszczególne cele w pawilonie II, wywlekając znajdujących się w celi na korytarz.

Wzdłuż korytarza, po obu jego stronach, stał szpaler funkcjonariuszy w strojach ochronnych, hełmach, z tarczami i pałkami. Jeden trzymał psa bez kagańca. Zmuszono internowanych do przejścia przez ten szpaler — tzw. „ścieżkę zdrowia” — z celi do świetlicy, cały czas bijąc bojowymi 90-centymetrowymi pałkami. Przy drzwiach do świetlicy funkcjonariusze stłukli kilka butelek płynnej pasty do podłóg, a zbliżających się do tej plamy bili pałkami w kark i tył głowy. Kilku zostało zamoczonych, bądź utraciło przytomność i upadło. Wówczas kopano ich butami. Dwóch uratowali koledzy, wciągając ich pod gradem pałek do świetlicy.

Następnie w świetlicy odbywała się selekcja. Wybierano kolejno internowanych, każąc im przebyć tę samą „ścieżkę zdrowia” w przeciwną stronę. Tu bicie było o wiele gorsze, a wyselekcjonowane ofiary zatrzymywano i katowano, bijąc i kopiąc po głowie, plecach, nerkach, genitaliach — nawet gdy pobici leżeli już na podłodze.

Bito również internowanych w celach, każąc niszczyć plakaty, symbole związkowe i religijne.

W pawilonie II katowanie trwało do około 15.30, po czym oprawcy udali się do pawilonu I krzycząc: „teraz idziemy do Goławskich” (wszyscy mieszkańcy celi, gdzie mieszkali bracia Goławscy znaleźli się w szpitalu w stanie ciężkim i bardzo ciężkim).

W pawilonie tym (I) nie urządzano „ścieżki zdrowia”, wybierano z cel wytypowane osoby, katując je na korytarzu w potworny sposób. Z tego pawilonu najczęściej internowanych wymagało leczenia w szpitalu. Jednemu z bitych kazano klęczeć, innemu całować buty (nie zrobił tego). Innych bito w celach, między innymi grupę odmawiającą właśnie różaniec. Janusz Tołłoczko z Gdańska leżał z nogą w gipsie na wyciągu. Plutonowy Kegel bił go pałką po tej nodze tak długo, aż połamał gips.

Następnie bito w celach i na korytarzu w pawilonie III. Jeszcze o godzinie 17-tej, kiedy już nie bito, znaleziono w bibliotece ukrytego Andrzeja Pacałowskiego w Płocka. Odprowadzając go z biblioteki do pawilonu III pobito go bardzo ciężko.

Natychmiast po zakończeniu bicia przystąpiono do dalszych działań represyjnych. Zdemolowano cele, kradnąc wiele przedmiotów (np. karty do gry, obrazki, złoty łańcuszek, artykuły żywnościowe i kosmetyczne. W jednej z cel funkcjonariusze wypijali napoje internowanym, jeden omyłkowo wypił olej i długo potem wymiotował). Wyrzucali na korytarz instalacje elektryczne, grzałki, lampy, maszynki elektryczne, garnki, patelnie, noże, telewizorki turystyczne itp.

Ciężko pobitych internowanych zmuszano pod groźbą pałek do prac porządkowych — przenoszenia mebli, zbierania i znoszenia do dyżurki skonfiskowanych przedmiotów, sprzątanania korytarzy itd. Pobici mieszkańcy celi 23 (głównie z Elbląga), musieli oczyścić do sucha cały zdemolowany i zalany wodą z sika-wek łącznik między pawilonami, w celi tymczasem zrobiono im znówu rewizję.

W tym momencie na terenie więzienia działa oprócz funkcjo-

nariuszy z Kwidzyna uzbrojona grupa ze Sztumu, w mundurach moro z pałkami, i grupa z Iławy. Wieczorem około 23-ej przybyła kolejna grupa z Iławy, w normalnych mundurach służby więziennej i dokonała kolejnej nocnej rewizji, także osobistej, zabierając co się jeszcze dało, niszcząc i rozrzucając po celach inne przedmioty.

Pomocy lekarskiej żadnej nie udzielono. Przybył lekarz „dyspozycyjny” i zgłaszającym się wypisywał na karcie zdrowia kilka słów np. „podbiegnięcia krwawe” i dawał niektórym po dwie tabletki gardanu. Niektórzy obawiali się zgłosić, gdyż zapraszali ich do lekarza uzbrojeni funkcjonariusze. I słusznie, bo kilka osób pobito przy powrocie od lekarza.

Internowany lekarz Krzysztof Zadrąg (również pobity) nie został ani tego ani przez kilka następnych dni dopuszczony do pobitych kolegów.

Kilka osób znalazło się tego dnia w szpitalu. Oprócz W. Kałusińskiego m.in. ciężko pobity Andrzej Goławski z Siedlec i dwie osoby, które wskutek szoku dostały ataku serca. Wieczorem wtargnęła do szpitala grupa kompletnie pijanych funkcjonariuszy SW, z równie pijanym oficerem na czele, żądając wydania internowanych, celem przewiezienia ich z powrotem do więzienia, bądź do szpitala więziennego w Barczewie k/Olsztyna. Lekarze odmówili, wystawiając świadectwa, że transport grozi życiu chorych. Niestety, w następnych dniach wciąż się powtarzały przypadki niekierowania chorych do szpitala, bądź zwracania ich z powodu „braku miejsc”. Ciężko pobici Radosław Sarnicki z Zamościa i Witold Cieślakowski zostali umieszczeni w więziennej celi, zwanej „izbą chorych”. W nocy z 17 na 18 sierpnia Cieślakowski zauważył, że Sarnicki stracił przytomność. Sarnicki w stanie agonalnym (zanik tętna, rozszerzone źrenice), z podejrzeniem obrzęku mózgu, zabrany został do Akademii Medycznej w Gdańsku. Cieślakowski (odbite nerki, podejrzenie pęknięcia nerki) zabrany został do szpitala 18 sierpnia. Ciężko pobity Andrzej Bereśniewicz cztery razy wożony był do szpitala, przyjęto go dopiero za czwartym razem. Takich przykładów jest więcej. Oprócz tego szpital stara się jak najszybciej wypisać pobitych, np. A. Goławskiego, nie mogącego chodzić, przyniesiono na noszach ponownie do więzienia już 20 sierpnia. Tego samego dnia musiano go zabrać z powrotem do szpitala, jednak już 23 sierpnia nadal nie mogący chodzić Goławski znowu wraca do więzienia. Także 23 sierpnia wrócił ze szpitala W. Kałusiński. Ciężko pobity Andrzej Bober z Olsztyna przebywał w szpitalu

tylko od 15 do 19 sierpnia. Warto dodać, że ordynatorem oddziału wewnętrznego jest członek KC PZPR dr Stanisław Sławik.

Jeśli chodzi o opiekę lekarza więziennego, jest ona żadna. Lekarz pojawił się na chwilę 16 sierpnia, lecz przyjął tylko 7 osób. Następnie przyjmował 19 i 20 sierpnia (robił obdukcję), a później dopiero 25 sierpnia.

Wracając do przebiegu wydarzeń — w niedzielę 15 sierpnia, w warunkach niesłychanego rygoru, odbyły się 30-60-ciominutowe widzenia z rodzinami. Po widzeniu znów pogoniono internowanych do pracy. Cela 23 znów musiała sprzątać łącznik i nosić pojemniki ze śmieciami. Po południu zjawiła się następna grupa funkcjonariuszy z Iławy i zrobiła kolejny kipsis (rewizję), choć już nie było czego zabierać. Cele zdemolowano złośliwie, zapowiedziano kolejne przeszukanie następnego dnia, do czego jednak już nie doszło.

16 sierpnia upłynął spokojnie, w zamkniętych celach, które otwarto następnego dnia, wprowadzono jednak szereg represyjnych zarządzeń obowiązujących do chwili obecnej (*około 10 września — przyp. redakcji*). Pawilony są zamknięte, nie ma kontaktu pomiędzy nimi, apel i zamknięcie cel przed godziną 22-gą, nie ma możliwości oglądania całego programu TV. Spacer — 1 godzina na komendę, ale na znak protestu nikt prawie nie korzysta. Tragikomiczne jest karne zabranie łaźni — uprzednio 2 razy dziennie, obecnie raz w tygodniu.

Już 14 sierpnia część internowanych podjęła głódówkę, żądając odwołania komendanta, ukarania winnych, wszczęcia śledztwa przez prokuraturę wojskową, przywrócenia warunków panujących w obozie przed 14 sierpnia. 16 i 19 sierpnia przyłączyli się do głodujących następni internowani. Z licznej początkowo grupy głodujących 27 sierpnia pozostało 32, którzy prawdopodobnie będą głodować do końca miesiąca.

W czasie rozmów MCK z komendantem w dniu 17 sierpnia pośpiesznie pobierano, zapakowano do ciężarówek i wywieziono z obozu grupę kompletnie pijanych uzbrojonych funkcjonariuszy.

Delegacja MCK rozmawiała z internowanymi trzy dni, od 17 do 19 sierpnia, zapisała przebieg wydarzeń, lekarz z MCK zrobił pobitym obdukcję. 17 i 19 sierpnia rozmawiali z internowanymi prokuratorzy wojskowi z prokuratury garnizonowej w Elblągu (w stopniu ppłk. i por.). Powiedzieli, że ma być wszczęte śledztwo.

Warto zwrócić uwagę na stosunek naczelnika więzienia do Kościoła. W niedzielę 15 sierpnia nie było Mszy, gdyż nie

wpuszczono księży. 20 sierpnia nie wpuszczono księdza Śliwińskiego i doc. Kukułowicza. 27 sierpnia nie wpuszczono lekarzy z Episkopatu, a 16 sierpnia nie wpuszczono biskupa ordynariusza warmińskiego ks. Jana Obłąka.

Wracając do pobicia. Bijącymi dowodził kpt. Juliusz Pobłocki, lecz faktycznymi dowódcami, wybierającymi i osobiście katującymi ofiary byli plutonowy Kegel i sierżant Popławski. Wyróżnili się brutalnością: plutonowy Makowski i sierżant Mozołowski. Typował ofiary (sam nie bił) por. Edmund Młotkowski. Rozpoznano też kpr. Karasia, sierż. Lipskiego, st. sierż. Hińca. Zasłużyli się też szef ochrony kpr. Świątkowski, a także por. Jabłoński z Kwidzyna. Ze Sztumu zidentyfikowano kpt. Romana Podolaka i por. Macieja Podolskiego. Z Iławy — por. Piotrowskiego.

O typowaniu ofiar z góry świadczy fakt, iż sierżant ze Sztumu wywoływał po nazwisku Duszaka i Romańskiego, których nie mógł znać. Poszukiwano również Wiesława Bryckiego z Olsztyna, nie wiedząc, że od 23 lipca jest on na przepustce. Jego nazwisko do bicia musiał podać ktoś z Iławy, gdzie uprzednio był internowany Brycki. Bracia Goławscy zostali zmasakrowani przez plut. Kegela, sprzedawcę z więziennej kantyny, gdyż mieli z nim spory. Bestialsko pobici zostali również trzej internowani, którzy w dniu 14 sierpnia byli delegowani na rozmowę z komendantem.

Ogółem pobito 81 osób, z czego ponad 20 przewinęło się przez szpital, choć nie wszyscy z ciężko pobitych znaleźli się w szpitalu. Kilka osób ma odbite nerki, wiele jest wstrząsów mózgu. Jeden internowany jest na leczeniu psychiatrycznym, szkody psychiczne odniosło kilku innych. Przerażenia i cierpienia rodzin nie da się opisać.

4 września — sobota — dzień widzeń

Służba więzienna wywiesiła — oczywiście w trosce o rodziny internowanych — regulamin. Nie jest on nowy, ale jeden z punktów rozśmieszył wszystkie znękane wielogodzinnym warunkiem pod więzieniem osoby. Oto jego treść: „Widzenia odbywają się nie dłużej niż 60 minut. Rozmowa w czasie widzeń powinna odbywać się w języku zrozumiałym dla nadzorującego”. Tzn. w jakim? Język rosyjski nie wszyscy znają. Czy może na tym polega elastyczność przepisów prawnych w PRL? Więcej powodów do śmiechu nie było. Dziś przeciętnie czeka się na widzenie około 6-ciu godzin. Przyjeżdżają ludzie z różnych zaka-

marków Polski. Więzienie funkcjonuje na całą parę, a obok poczekalni dla odwiedzających rodzin zapomniano o toalecie. Siusiu robi się w krzakach naprzeciwko. Latem jeszcze idzie wytrzymać, ale co będzie zimą? Naprzeciw więzienia pracuje „Celuloza”. Hałas niesamowity, a smród jak z szaletu. Można tu stracić słuch, powonienie i oślepnąć. Na tym szczerym pustkowiu, kurwa mać, dlaczego zawsze wieje? Kto pożąda dzieci internowanych, może generał? Zaostrzono regulamin: widzenia raz na miesiąc po 60 minut, paczki dwa razy na miesiąc po 3 kilogramy, tak jak na początku. Ale mimo to niektóre kobiety zacierają ręce, przypuszczając, że to ostatnie „ich podrygi”.

Głodówka w obozie nie zakończyła się zbyt efektywnie, jeszcze czwartego września głodują cztery osoby, dwie znajdują się w szpitalu. Większość przestała głodować w niedzielę 29 sierpnia. Niestety nawet w tej dramatycznej sytuacji doszło do sporów, ale chyba jest to naturalne, nerwy puszczają.

W ostatnim tygodniu było sporo miłych gości, m.in. Maja Komorowska. W ubiegłą sobotę ks. biskup Oblak znów nie został wpuszczony. Życie w obozie wraca do normy, mamy dwie godziny spaceru i częścię łaźnię.

Powracając do widzeń. Jest zupełnie niewykorzystane pomieszczenie kina. Kilkadziesiąt osób więcej zmieściłoby się na widzeniu, ale tym gnojkom chodzi chyba o zniechęcenie rodzin do zbyt częstych odwiedzin. Nasze rodziny są zahartowane, wytrzymają i to.

Sarnicki, o którym poszła plotka, że zmarł — żyje! Za sześć tygodni zacznie wstawać. Dzięki za kondolencje! Chłopak będzie długo żył.

Od redakcji SKRÓT-u:

6 września 1982 ośmiu internowanych przewieziono z Kwidzyna do aresztu śledczego w Elblągu — pod zarzutem czynnej napaści na funkcjonariuszy SW w dniu 14 sierpnia 1982 roku. Jednego z internowanych, który przybył z Kwidzyna na noszach, nie przyjęto do aresztu, kierując go do szpitala cywilnego. Nazwisk oskarżonych chwilowo nie znamy.

TYDZIEŃ WIĘZIENNY

(fragmenty dziennika — Kielce-Piaski — Nowy Łupków)

7 lipca — Kielce-Piaski. Ogłoszono przeprowadzkę 37 osób. W obawie przed próbą oporu — syrena-alarm, wpada atanda,

około 50-ciu klawiszy, zamykają cele. Wyprowadzają nas kolejno. Są dwie budy „Star” na bagaże, „Nysa” obstawy (bez psa). Nie ma rewizji osobistej ani bagażu (...). Około 17.40 wyjeżdżamy ze śpiewem przez bramę więzienną. Już wtedy wiedzieliśmy, że w Bieszczady do Łupkowa (...).

8 lipca — około 1.10 jesteśmy w Łupkowie. Koledzy (Śląsk, Bielsko-Biała, Częstochowa, Krosno) witają nas śpiewem i okrzykami, my ich również. Witamy także stróżów porządku reżymowego. O 4-tej kładziemy się.

Jest tu delegacja z MCK i z Ministerstwa Sprawiedliwości. Zgłaszamy im praktyki bandy ławskiej — kradzieże w czasie rewizji, warunki transportu, traktowanie internowanych itp. Oczywiście nie mamy złudzeń, aby coś załatwili.

Zakład karny w Łupkowie, gdzie się znaleźliśmy, jest bardzo dziwny. Według kategorii Iławy nie mieści się w głowie. Na pierwszy rzut oka panuje tu typowo wiejski bałagan (klawisze wszyscy są ze wsi).

(...) w każdym pawilonie jest wspólna ubikacja, łaźnia z pralką, suszarnia, świetlica z TV i kaplica. Wrażenie ogólnego rozprężenia.

Pierwsi internowani zjawili się tu około 20 marca z obozu w Uhercach i są tu do dziś, zwolnień było mało.

Około 15-tej transport z Załęża.

9 lipca — około 2.30 w nocy — dalszy transport. Przywożą starych znajomych z Kielc. Radość ogromna! (...)

Chorujemy już prawie wszyscy — co za klimat! Jest zimno i pochmurnie. Wszystkie transporty kieleckie były bez kipiszów — tak więc jesteśmy bez strat. (...) Co za zwyczaj, kto tu rządzi i jak oni chcą tę wojnę wygrać! Siedzimy długo w nocy, piszemy do rodzin i kolegów, unosi się znajomy zapach wody kolońskiej!

(Uwaga redakcji: woda kolońska używana jest do drukowania).

NOWY ŁUPKÓW — TYDZIEŃ WIĘZIENNY (fragment dziennika)

Pogoda brzydka, ciągle pada deszcz. 11 lipca 1982 roku — niedziela, drugi dzień widzeń w miejscowym ośrodku. Stołówka, gdzie odbywają się widzenia wkrótce zapełniła się. Ani nas, ani rodzin nie kipiszują. Koledzy-kelnerzy kursują po sali, donoszą kawę, herbatę, kanapki, ciasteczka itp. Na miejscu pilnuje

dwóch podoficerów, u których w wypadkach „szczególnych” można przedłużyć widzenie. I w ten sposób mamy ok. 3 godzin.

Wychodząc z widzenia przemycamy nasze dziewczyny do pawilonu, a następnie do celi. Prywatna atanda pod wodzą ciągle „niespokojnego” zorganizowała obstawę bramy i jej otwarcie. Zrobiła się mała awantura, przybiegł jeden z biało-czerwoną opaską i pod eskortą odprowadzili naszych gości na bramę, spisując dokumenty i robiąc lekki kipisz w torebkach. Za ten wyczyn zabrali nam dodatkowe widzenia. Ano zobaczymy. Poza bramą i na stacji dziewczyny są legitymowane przez wopistów. Oby tylko nie było większych strat!

Po południu ok. 15-tej przyjeżdżają dwaj księża z Komańczy. Odprawiają jednocześnie dwie msze święte, w każdym z pawilonów. Trzeba coś zrobić, aby była jedna dla wszystkich. Widać trochę brak zgrania w śpiewie, ale wielu jest tu nas nowych i każdy inaczej uczestniczy. Ksiądz proboszcz dla Łupkowa robi bardzo inaczyste wrażenie, jest miły i uprzejmy. Widać chce zrobić wszystko, żebyśmy dobrze się czuli w miejscowym ośrodku. Pożegnanie z księdzem, tak jak powitanie, odbywa się ze śpiewem. Ksiądz odprowadzany jest do bramy. Klawiszy w tym czasie nie widać, nie przeszkadzają.

12 lipca 1982 roku, *poniedziałek* — pogoda umiarkowana, pochmurnie, trochę słońca. Przyjeżdżają rodziny z Kielc — dwoma mercedesami. Przyjechał również nasz stary znajomy ks. prof. Chycki, lecz po drodze zajechał do Uherc. (...) Obóz wita księdza pieśniami. Spotkanie w stołówce. Ok. 16-tej wyjeżdżają gorąco żegnani przez wszystkich. Znowu pieśniami. Klawisze to obserwują, lecz nie reagują, nawet gdy po odjeździe gości śpiewamy: „Nie chcemy komuny, nie chcemy i już”.

Kiedy po widzeniu rozmawiamy z rodzinami poprzez podwójną siatkę — służbie więziennej nie podoba się to, ale nikt nas nie odpędza od płotu. Dzisiaj na wolność wyszło trzech kolegów ze Śląska. Za bramą odśpiewali kilka pieśni antysowieckich. Słyszał to miejscowy policjant, gruby sierżant. Pojechał za nimi, oby tylko nie wrócili z powrotem!

O północy mija kolejna miesięcznica. Wychodzimy na apel przed budynki na plac. Klawisz dyżurny otwiera drzwi pawilonu, nie chce widocznie mieć ich wyłamanych. Nam się to nie podoba, bo przychodzi to bez walki i oporu z ich strony. Na drodze leży krzyż z zapalonymi świecami. W oknach — znicze i świeczki. Ustawiamy się w szpalerze po obu stronach drogi. Powiewa sztandar biało-czerwony i flaga Solidarności (ta z Kielc, z czarną krepą). Śpiewamy „Marsz, marsz Polonia”, „Boże coś Polskę”, „Solidarni, wasz jest ten dzień”. Rozchodzimy się do

budynku. Klawisze robią jeszcze jeden apel po północy. Jest niesmak, a niektórych złość rozpiera. Znany z kilku ośrodków chemik chodzi ciągle zadumany i stale pracuje, lecz w tym dniu (nocy) znów coś nie wyszło. Trochę dymu i już.

Ze szpitala w Sanoku wróciło dwóch kolegów. Trudno się połapać, ilu nas jest naprawdę. Przychodzą ze szpitala i przepustek, wychodzą. Pożegnanie każdego z kolegów odbywa się bardzo głośno na placu. W czasie nocnego apelu ubecy robili zdjęcia, za co oberwali garść epitetów. Wieczorem M. z Kielc prezentuje swoje wiersze w tzw. wieczorze poezji. Przedtem modlitwa wieczorna w kaplicy.

13 lipca 1982 roku, wtorek — pogoda przeciętna, zachmurzenie, trochę słońca. Wstajemy bardzo późno, około południa. Siedzieliśmy całą noc, tak spodobała nam się atmosfera tutaj i widok „naszej kraty”. Na dzisiaj, jak plotka niesie, miały być masowe zwolnienia. Wychodzi prawdopodobnie siedmiu ludzi. Wychodzą jakoś pojedynczo i trudno się zorientować. Wrócił Wacek S. W południe był przed bramą, lecz nie wszedł jeszcze. Ubecy przedłużali mu przepustkę na słowo. Na słowo kazali mu także jechać do Łukowa, lecz tutaj nie chcą go przyjąć na gębę. Koledzy kazali mu więc wrócić po „naftę”, bez której nie ma co się pokazywać.

Wieczorem dyskutujemy o sytuacji w kraju i ostatnich pociążnięciach z naszej strony. Np. co sądzić o informacji, że wizyta Ojca Świętego może odbyć się w październiku. Różnice zdań są na temat apelu TTK w sprawie niepodejmowania akcji protestacyjnych i strajków w najbliższym czasie. Nie ma na ten temat jednomyślności. Trochę różnię się w opiniach, ale skoro koledzy z zewnątrz coś robią, to widocznie lepiej znają sytuację.

W pawilonie wybucha afera ze sprzątaniami łazni, ubikacji, przynoszeniem posiłków itp. Apel o sprzątanie zostaje zerwany z tablicy, pojawia się natychmiast atak opozycji. I tak w kółko — tablica jest miejscem walki. Plan dyżurów naklejany i zrywany na okrągło. Z naszych ludzi nikt nie bierze w tym udziału, jak również nie jest kalifaktorem.

W ciągu dnia na tablicy na bramie pojawiła się gazeta *Nasza kratka*, obok już naklejonego portretu „Lecha — uwolnić!”. W pawilonie drugi transparent z napisem: „Nie chcemy komuny, nie chcemy i już” wisiał przez cały dzień.

14 lipca 1982 roku, środa — pogoda ładna, słoneczna. 214 dzień internowania. Przed południem czterech kolegów wychodzi na wolność, a trzech na przepustkę. Czterech innych odmó-

wiło przyjęcia przepustki, odstępując je ubekom, żeby mieli czas na zajęcie się swymi rodzinami, bo my takich kłopotów nie mamy, to nie musimy korzystać z przepustek.

O 16-tej jeden ze starszych kolegów miał wykład „Pokolenie carskiego powstania 1905 roku”. Jak głosił napis — absolwent trzech ośrodków odosobnienia. Około 15-tej zawiadomienie, że Mirek D. otrzymuje przepustkę, na przepustkę z Kielc wychodzi jeszcze trzech kolegów. W chwilę później podporucznik ogłasza, że Rysiek W. wychodzi na wolność. Rysiek pakuje się, zdaje sprzęt państwowy, odbiera dokumenty i około 18-tej odprowadzamy ich ze śpiewem do bramy. Na portierni robią im kipisz. Stracili koperty ze stemplami. Stoimy przy siatce, aż znikają za horyzontem.

Próba głośników InterNowej około północy.

15 lipca 1982 roku, czwartek — słonecznie. Burza. Esbecy są na miejscu, jednak przyszedł telex, aby nikogo nie puszcząć na wolność ani na przepustkę. Po południu Nysa milicyjna zabiera jednego z kolegów na sprawę. Przyjeżdża Maja Komorowska z panem Czartoryskim, polonezem z przyczepą. Długo rozmawiają z komendantem o wpuszczeniu do obozu. W końcu przychodzi porucznik z propozycją, aby każdy region wydelegował jednego na rozmowę. Nie zgadza się na spotkanie ze wszystkimi. Więc idziemy bliżej budynku i postanawiamy wyciągnąć bramę z zawiasów, by doprowadzić do spotkania siłą. Przychodzi jednak Maja i prosi, żeby nie robić draki, że komendant i tak poszedł daleko. W tej sytuacji rezygnujemy z pomysłu. Około 20 kolegów poszło odebrać prezenty i na spotkanie.

Około północy próbny program InterNowa - Radio, dobrze słyszalny. Plenum KC — wystąpienia Jaruzelskiego i Kiszczaka powodują dyskusję, co może nas czekać w świetle ich stanowczych wypowiedzi.

Wieczorem znowu zginął z tablicy plan sprzątanania i dyżurów.

16 lipca 1982 roku, piątek — bardzo ładna pogoda, słonecznie. Stan internowanych w obozie w Łupkowie na dzień dzisiejszego w Sejmie, jedzie „ugoda” do Łupkowa. Podrywa nas ryk syren policyjnych: pod więzienie jedzie atanda klawiszów i zomowców z okolicy, tj. z Załęża, Uherc, Tarnowa itp. Razem przyjechało pod bramę 5 gazików, 9 Nys i jedna buda, naliczyliśmy około 110 funkcjonariuszy, z tego około 60 uzbrojonych, którzy weszli do wewnątrz. Wszyscy uzbrojeni w kaski, tarcze i pałki. Przywieźli z sobą 7 psów.

W ośrodku ożywienie, oczywiście kipisz. Szybko otaczają pawilony, ze spaceru zganiają ludzi do cel. Jest kilka minut czasu,

a tu tyle trzeba zabunkrować! Zaczynają z drugiego końca. W celi zostawiają po jednym z mieszkańców. W naszej celi zostaje sam. Po kilku minutach wchodzi trzech klawiszów. Oświadczam, że już tu byli, więc wychodzą. Udało się, strat nie ponieśliśmy. Z innych cel wynieśli m.in. radia, aparat fotograficzny, magnetofon, transformator, potencjometr, stemple, pieczątki, koperty, książki ostemplowane itp. Po godzi. 13-tej zebrał się i przy ogólnym „aplauzie” opuścili teren ośrodka. Wypuszczeni, zaraz udaliśmy się pod płot do bramy wyjściowej. W czasie soczystego pożegnania dowodzący porucznik decyduje się zawrócić, a esbek zarządził „wziąć sprzęt i zagonić ich do cel”. Ustawiają się (jest ich 57) naprzeciw pawilonu III w pozycjach bojowych. Na trawie siedziało nas 18-tu internowanych i nie mieliśmy zamiaru wejść do pawilonu, a na schodach reszta mniej odważnych. Porucznik dał nam 5 minut czasu, po czym... dał w lewo zwrot i atanda wymaszerowała przed bramą. W międzyczasie załatali dziurę w płocie.

Po południu leci dalej Sejm, informacje, m.in. że Papież nie przyjedzie w tym roku, że wypuszczą 913 internowanych, a iluś tam na urlop i że to jest większość — i ani słowa o amnestii, o skazanych, a więc dobrze, że się nie łudziliśmy. Wszyscy teraz kombinują kto wyjdzie, a kto zostanie. Podobno według jednej wersji z ośrodka ma być zwolnionych 35 osób, a według innej w ośrodku zostanie kilkunastu.

Wieczorem dziura znów jest w płocie.

O godzinie 23-ciej kolejna audycja radiowej agencji Solidarności, tym razem 19 minut. Na początku program audycji a w niej m.in. komentarz aktualny na temat Manifestu, relacja specjalnego wysłannika z ulicy Wiejskiej, komentarz po IX plenum, serwis informacyjny i poradnik internowanego. Cała audycja zrobiona w tempie, komentarze trafne, dowcip ostry, wszystko przeplatane piosenkami chóru. Słyszalność bardzo dobra. Jakość dobra. Brawo Agencja!

szy — 145 osób, z tego 11 — szpital, 7 — przepustka, na miejscu 127 osób. Dzisiaj nie było żadnych wyjść, choć esbecy byli na miejscu.

W południe o godz. 12-tej uroczysty apel na placu przed III pawilonem. Za kratą celi na transparencie napis „Solidarność” przepasany czarną krepą. Na kracie krzyż drewniany. Internowani zebrani w kręgu wokół obozowego sztandaru „Solidarność”. Apel uroczysty dla uczczenia pamięci poległych górników z kopalni Wujek. Odmawiamy „Anioł Pański”, śpiewamy

„O Panie nasz”, „Solidarni, wasz jest ten dzień”.

Po południu w ramach wszechnicy wykład „Polska myśl polityczna w latach 1945-1982” — wykładowca znany z poprzednich ośrodków.

Około 23-ciej była audycja. Tym razem ciekawa. Sygnał „Nie chcemy komuny, nie chcemy i już”, komentarz wstępny, informacje przeplatane śpiewem chóru. Razem około 20 minut.

Wiadomości z plenum KC są raczej zaskakujące — zmiany kadrowe. Co to ma wszystko oznaczać?

17 lipca 1982 roku, sobota — słonecznie. Dzień widzeń. Od rana bardzo duża frekwencja. Widzenie w stołówce. Kilka osób na początku przy wyjściu w portierni kipiszują. Na wprost stołówki, na płócie transparent „Nie chcemy komuny, nie chcemy i już”, a na pawilonie II od szczytu „Solidarność” oraz „Wybrani przez załogi, uwięzieni przez reżym”.

Zukiem przywieźli dary z Krakowa od Ks. Kardynała.

Przychodzących i odchodzących z widzeń witamy i żegnamy śpiewem. Dary przysły również z Radomia. (...)

19 lipca 1982 roku, poniedziałek — słonecznie, trzeci dzień widzeń. Z rana około 9-tej przyjechał stary znajomy, ksiądz prof. Chycki z Kielc, opowiadał m.in. o „zadymce” w ośrodku w Kielcach i kłopotach internowanych w związku z tym. Po nim odwiedził nas ksiądz Pokrywka, przywożąc papierosy od mieszkańców Krosna. Te dary, jak i poprzednie, zostały również podzielone wśród skazanych. Po południu wykład TS na tematy gospodarcze, a wieczorem powrót do wspólnej modlitwy. Apel Jasnogórski, czytanie ewangelii, dziesiątek różańca i „Wszystkie nasze dzienne sprawy”.

20 lipca 1982 roku, wtorek — pogoda słoneczna. Atmosfera wyczekiwania, jak gdyby miały się spełnić pogroźki z wielu stron, że coś się zdarzy. Z przepustki wróciło trzech kolegów i jeden ze szpitala.

21 lipca 1982 roku, środa — słonecznie. Na kilka minut przed dwunastą, tj. w końcowej fazie przemówienia Jaruzelskie-

22 lipca 1982 roku — pochmurnie. A jednak zaczęły się zapowiadane zwolnienia. W dniu dzisiejszym ośrodek opuściło 18 kolegów, w tym trzech ze szpitala, trzech na przepustki. Dwóch odmówiło wyjścia na przepustki. Po południu dowieźli dwóch z Częstochowy.

23 lipca 1982 roku — słonecznie — ośrodek opuściło 22 internowanych, z tego trzech ze szpitala i jeden na przepustkę bezterminową.

24 lipca 1982 roku — przed 9-tą klawisz wyczytał listę

zwolnień. Razem 26 osób. Według prowizorycznych obliczeń w obozie jest teraz ok. 70 osób. Każdy wychodzący odprowadzany jest ze śpiewem, przy akompaniamencie gitary, a samą bramę przechodzi, a raczej wylatuje na kopach. Wieczorem wyszło jeszcze dwóch z Radomia na przepustkę, a dwóch innych odmówiło. W szpitalu przebywa ośmiu kolegów, z tego trzech przyjechało wieczorem, żeby się rozliczyć. Pozostało tam więc pięciu. Stan na wieczór był około 60 osób.

25 lipca 1982 roku, niedziela. — Przyjechali esbecy z Radomia. Jeden poszedł na rozmowę z nimi i opieprzył ich. Dwaj inni w ogóle nie poszli. Z rana dwóch idzie na wolność, a jeden na przepustkę. Od rana też kipsisują na bramie wchodzących na widzenia, tego nie było tutaj do tej pory...



Od redakcji SKRÓT-u:

Przed kilkoma dniami, zaczynając pracę nad niniejszym zeszytem, zastrzegaliśmy się, iż podany na stronie 1-szej spis ośrodków odosobnienia dla internowanych może stać się za moment nieaktualny. I rzeczywiście: od tej pory uruchomiono ponownie (zlikwidowane niedawno) obozy w Mielęcinie k/Włocławka oraz w Zabrze-Zaborzu. Internowanych przybywa. Według prowizorycznych obliczeń jest ich dziś, po dziewięciu miesiącach wojny, znów dużo ponad tysiąc. Do Dąbówki przybywają kobiety. Zaostrzają się represje.

Ten zeszyt SKRÓT dedykuje pobitym Kolegom z Kwidzyna.

Warszawa, 13 września 1982 r.

RECENZJE

Piotr WANDYCZ

NOWE WYDAWNICTWA Z HISTORII POLSKI

Na przestrzeni ostatniego półtora roku ukazało się kilka książek i artykułów, które należałoby zasygnalizować czytelnikom *Zeszytów Historycznych*. Z wydawnictw krajowych niewątpliwie interesująca jest zbiorowa praca pod redakcją Jana Tomickiego, *Polska Odrodzona 1918-1939: państwo - społeczeństwo - kultura* (Wiedza Powszechna, 1982). Książka ta ukazała się w znanej serii „Konfrontacje historyczne”, wydawanej przez Instytut Historii PAN. Rozdział poświęcony odbudowie niepodległego państwa opracował Tadeusz Jędruszcak; Andrzej Ajnenkiel pisze o zagadnieniach ustrojowych; Piotr Łossowski o polityce zagranicznej. Piotr Stawecki jest autorem rozdziału o wojsku; Janusz Żarnowski pisze o społeczeństwie; Waldemar Michowicz o problemach mniejszości narodowych, a Jan Tomicki, Marian M. Drozdowski, Artur Hutnik, Bogdan Jaczewski, Stanisław Mauersberg i Aleksander Wojciechowski zajmują się partiami politycznymi, gospodarką, literaturą i teatrem, nauką, oświatą i sprawami kultury plastycznej. Większość autorów jest znana z prac monograficznych na wyżej wymienione tematy.

Polityce zagranicznej w latach 1930-tych poświęcony jest ciekawy i dobrze udokumentowany tom pióra Michała J. Zachariasza pt. *Polska wobec zmian w układzie sił politycznych w Europie w latach 1932-1936* (Ossolineum, 1981). Skoro mowa o historii sto-

sunków międzynarodowych, podkreślić należy ukazanie się w zeszłym roku tomów 2-go i 3-go monumentalnej *Historii dyplomacji polskiej* (PWN, 1982). Tom II pod redakcją Zbigniewa Wójcika obejmuje okres 1572-1795; tom III pod redakcją Ludwika Bazylowa lata 1795-1918. Są to dzieła ogromne objętościowo i bardzo starannie wydane — wiele rycin, fotografii, map. Całość wydawnictwa zakrojona jest na pięć tomów.

Godnym szczególnej uwagi jest wielki, liczący ponad 700 stron tom: *Powstanie II Rzeczypospolitej: Wybór dokumentów 1866-1925* pod redakcją Haliny i Tadeusza Jędruszczaków. Pierwszym zamieszczonym dokumentem jest odezwa z 1866 roku; ostatnim rozporządzenie Prezydenta RP dotyczące systemu monetarnego z 1924 roku. W aneksie tom zamyka ustęp z książki Dmowskiego, *Polityka polska*.

Wreszcie jeśli chodzi o politykę zagraniczną warto zwrócić uwagę na pracę Juliusza Frysia *Koncepcje polskiej polityki zagranicznej 1918-1939* (Książka i Wiedza, 1982). Daje ona dobry wgląd w programy i koncepcje stronnictw politycznych Drugiej Rzeczypospolitej odnośnie zagadnień polityki zagranicznej. Temat ważny i od dawna zaniedbywany.

Czytelnikom *Zeszytów Historycznych* jest zapewne znana biografia J. Piłsudskiego pióra Wacława Jędrzejewicza, która ukazała się w języku polskim i angielskim w 1982 roku. Była ona zresztą pokrótce omawiana w *Zeszytach*. Mieszkańcy Paryża z kolei zaznajomili się już z pewnością z obszerną biografią Prymasa Wyszyńskiego, która ukazała się niedawno nakładem oo. Pallotynów. Autorem jest Andrzej Micewski. Praca monumentalna i zasługująca ze wszech miar na obszerną recenzję specjalisty tej tematyki.

Książką, która zainteresuje węższe grono czytelników, ale która ma duże walory naukowe jest monografia Teresy Małeckiej, *Kredyty i pożyczki Stanów Zjednoczonych dla rządu polskiego w latach 1918-1939* (PWN, 1982). Tak się złożyło, że temat książki, zapoczątkowanej wiele lat temu jako praca doktorska, jest dziś nader aktualny. Autorka umiejętnie operuje dużym materiałem, wykazując talent do beznamiętnych i wyważonych osądów.

Wśród książek jakie ukazały się na Zachodzie ograniczę się do wzmiankowania jedynie paru: doskonale napisanej i pobudzającej do refleksji pracy Sarah Meiklejohn Terry, *Poland's Place in Europe: General Sikorski and the Origin of the Oder-Neisse Line, 1939-1945* (Princeton University Press, 1983) oraz niewielkiego tomu Jakuba Karpińskiego, *Count-Down: The Polish Upheavals of 1956, 1968, 1976, 1980...* (New York Publishers, 1982). Większość materiału książki Karpińskiego znana jest zapewne czytelnikom *Kultury*, gdyż są to tłumaczenia z wydawnictw *Kultury* na język angielski. Należałoby tu jeszcze dorzucić dwie pozycje, z których pierwsza ma charakter bardzo uży-

tecznego kompendium — Jacek Jędruch, *Constitutions, Elections and Legislatures of Poland 1493-1977* (University Press of America, 1982) — a druga jest opracowaniem podręcznikowym — Jörg K. Hoensch, *Geschichte Polens* (Verlag Ulmer, 1983). Zwiąży i atrakcyjnie podany wykład pióra znanego historyka zachodnioniemieckiego średniej generacji winien zainteresować czytelników.

Sprawa „wojny przewencyjnej” nie przestaje fascynować historyków i pisarzy. W ostatnich miesiącach ukazały się aż trzy artykuły na ten temat. W ostatnim numerze londyńskiej *Trybuny* pisze o niej Rowmund Piłsudski, przytaczając wspomnienia amerykańskiego dziennikarza R. Della, korespondenta w Genewie w 1930-tych latach. W krakowskim *Życiu Literackim* Olgierd Terlecki ogłosił sążnisty artykuł pt. „Wojna przewencyjna przeciw Hitlerowi?”. Wreszcie w *Revue d'Histoire Diplomatique* (lipiec-grudzień 1982) Henry Rollet opracował „Dwa mity w stosunkach francusko-polskich między dwiema wojnami” (*Deux mythes des relations franco-polonaises entre les deux guerres*). Jednym z mitów jest właśnie sprawa wojny przewencyjnej; drugim rzekome odwołanie Becka jako *attaché* wojskowego w Paryżu w 1923 roku. Artykuł ciekawy, dobrze udokumentowany, łącznie z cytatami z *Zeszytów Historycznych* i innych polskich źródeł.

Ten króciutki przegląd nie pretenduje ani do wyczerpania najważniejszych pozycji bibliograficznych z najnowszej historii Polski, jakie się ostatnio ukazały, ani do recenzji naukowej. Jak już zaznaczyłem powyżej, chodziło mi po prostu o wymienienie kilku tytułów prac, które mnie osobiście zainteresowały i które nie powinny umknąć uwadze czytelnika śledzącego wydawnictwa z tej dziedziny. Każda z tych prac zasługuje na oddzielną recenzję.

Piotr WANDYCZ

Z. S. SIEMASZKO

KSIĄŻKA NIEWYKORZYSTANYCH MOŻLIWOŚCI

Katastrofalne dla Polaków zakończenie ostatniej wojny stworzyło sytuację bez precedensu, o ile chodzi o polskie organizacje i instytucje państwowe na Zachodzie, a w szczególności naj-

większą spośród nich, bo liczącą bez mała 200 tysięcy ludzi — Polskie Siły Zbrojne. Wiele było różnych możliwości i pomysłów zarówno ze strony polskiej, jak i brytyjskiej, a trzeba pamiętać, że Wojsko Polskie na Zachodzie, o ile chodziło o stosunki międzynarodylianckie, znajdowało się w obrębie organizacji brytyjskiej.

Różnorodność problemów obejmowała również i sprawy finansowe, a w szczególności zasoby pieniężne będące w dyspozycji Oddziału Specjalnego Sztabu Naczelnego Wodza, które znajdowały się częściowo w Londynie, a częściowo we Włoszech, bo tam, pod Brindisi, działała główna baza przerzutowa do kraju. Istniały dwie podstawowe koncepcje dotyczące dysponowania tymi pieniędzmi. W myśl jednej z nich, którą reprezentował generał Anders, pieniądze te miały być wykorzystane w pierwszym rzędzie do działania niepodległościowego zarówno na Zachodzie, jak i w kraju, poprzez tajne sieci organizacyjne. Natomiast celem drugiej koncepcji było na pierwszym miejscu finansowe wspieranie poszukiwania w kraju kompromisowego rozwiązania sytuacji politycznej.

Tę drugą koncepcję reprezentował generał Tatar. Początkowo popierał on Mikołajczyka, ale już od jesieni 1946 (czyli jeszcze zanim Mikołajczyk przegrał wybory) porzucił go i zaczął popierać Gomułkę i Spychalskiego.

Należy zwrócić uwagę na to, że ogromna większość pieniędzy posiadanych przez wojsko, tzn. pieniędzy, które były w dyspozycji Oddziału Specjalnego, znajdowała się w momencie zakończenia wojny pod opieką gen. Tatara. Z późniejszymi losami tych pieniędzy wiązały się tragedie ludzkie. Najpierw zginął w Rzymie 9 października 1945 ppłk Hańcza (Dorotycz-Malewicz), któremu podlegały sprawy Oddziału Specjalnego Sztabu Naczelnego Wodza we Włoszech, a potem działalność Tatara i jego otoczenia doprowadziła do tego, że w latach 1949-1953 poddano w kraju ciężkim badaniom śledczym ponad 90 oficerów. 32 spośród nich skazano na śmierć, po czym 13 ułaskawiono, a 19, którzy do końca nie okazali skruchy, zastrzelono.

Ale książka, o której tu będzie mowa, obejmuje głównie sprawę ppłk. Hańczy i dzieje pieniędzy Oddziału Specjalnego pozostałych po nim we Włoszech¹. Pisano już o tym kilkakrotnie, jednak to co zostało dotychczas opublikowane nie dawało odpowiedzi na wszystkie pytania związane z tymi sprawami. Dopiero kiedy wziętem do rąk i przejrzałem pracę Romana Buczka, odniosłem wrażenie, że nareszcie zagadnienia te zostały dokumentarnie wyjaśnione. Wskazywała na to, przynajmniej na pierwszy rzut oka, duża ilość nieznanych dotychczas dokumentów, które autor przytoczył.

1. Roman Buczek, *Był taki czas...* Century Publishing Company, Toronto 1981, 155 stron druku i 33 stron fotokopii dokumentów i zdjęć.

Jednak czym bardziej zagłębiałem się w tę książkę, tym większego doznawałem rozczarowania. Już we wstępie pan Buczek pisze:

„Wszystkie nazwiska, fakty i wydarzenia są autentyczne, chociaż fabuła książki posiada miejscami formę zbeletryzowaną. Autor posłużył się w tym wypadku kombinacją narracyjno-dialogową dla lepszego oddania klimatu opisywanych wydarzeń. Przy tym założeniu autor z góry zrezygnował z dokumentowania podawanych faktów, co oczywiście nie znaczy, że opierał się na fantazji” (str. 5).

Powieściowe wstawki w tej książce robią bardzo złe wrażenie i obniżają jej wartość historyczną, jak na przykład taka scena:

„Naprzeciw niego wyszła z wody kilkunastoletnia dziewczynka o jasnych, oblepiających twarz włosach. Podeszła bliżej i odgarniając z policzków długie zwoje lnianych włosów, wpatrywała się w smutną postać tego obcego, w nieznanym jej mundurze, oficera. Hańcza tymczasem biegł myślą wstecz, do ostatniego urlopu, spędzonego w 1939 roku z córką w Sandomierzu nad Wisłą” (str. 39).

I niby dlaczego „obcego, w nieznanym mundurze oficera”? Przecie latem 1945 roku w Porto San Giorgio, gdzie ta scena miała mieć miejsce, mundur polski był już częścią włoskiego krajobrazu, a słowo „Polacco” nie schodziło z ust Włozek zarówno dorosłych, jak i nieraz kilkunastoletnich.

Chociaż autor zapowiada we wstępie, że „rezygnował z dokumentowania faktów”, to jednak w niektórych rozdziałach powołuje się na szereg dokumentów, a na końcu książki umieszcza fotokopie około 15 spośród nich. Natomiast ścisłą tajemnicą otacza pochodzenie tych dokumentów. Nie wiadomo skąd je ma i to chyba jest największą sensacją tej książki, tym bardziej, że tajemniczość ta sugeruje, że autor uzyskał te akta bez zgody tych, którzy się nimi opiekowali.

Przyglądając się przytoczonym w tej książce dokumentom dochodzi się do wniosku, że mogą one należeć do teczek dotyczących następujących dwóch spraw — okoliczności śmierci Hańczy oraz badań Specjalnej Komisji Rady Narodowej w Londynie, która na przełomie 1949/1950 usiłowała ustalić, co stało się z pieniędzmi, które posiadał w swej dyspozycji gen. Tatar. Na czele tej Komisji stał gen. Odzierzyński. Biorąc pod uwagę tematykę tych dokumentów i okres ich powstawania, wątpliwe jest, żeby znajdowały się w Studium Polski Podziemnej, gdzie autor przez pewien czas pracował (między innymi nad IV tomem dokumentów AK), z wyjątkiem kilku depezb przekazywanych między Londynem i Włochami przed jesienią 1945 roku, które przechodziły przez działającą jeszcze wówczas sieć radiową Oddziału Specjalnego. Depesze te dotyczyły ppłk. Hańczy i funkcji przez niego pełnionych. Nie jest wykluczone, że dokumenty

z których korzystał autor znajdowały się w Instytucie Sikorskiego lub „na Zamku”, czyli w oficjalnej siedzibie Prezydenta i Rady Narodowej.

Pan Roman Buczek określił zasady, którymi kierował się pisząc tę książkę w sposób następujący:

„Każdego człowieka honoru, więc przede wszystkim pisarza, obowiązuje otwartość i śmiałe wypowiadanie swego zdania, gdy chodzi o dobro publiczne, nawet gdyby ta prawda była bardzo nieprzyjemna” (str. 6).

Nie rozumiem, na jakiej podstawie autor twierdzi, że pisarz jest bardziej „człowiekiem honoru” niż ludzie innych zawodów. W ustach człowieka piszącego brzmi to nieco jak chorobliwa ambicja. Ale jednocześnie w zdaniu tym porusza Buczek jeden z zasadniczych problemów, które stają przed ludźmi piszącymi, a szczególnie piszącymi na tematy historyczne, a mianowicie jak należy ustawić się pomiędzy wypowiadaniem własnego zdania, dobrem publicznym i prawdą. Wydaje mi się, że człowiek piszący o historii powinien w pierwszym rzędzie dążyć do zbliżania się do prawdy, nawet gdyby nie było to zgodne z chwilowym „dobrem publicznym”. Ale jednocześnie żaden człowiek piszący nie powinien pisać inaczej niż zgodnie z własnymi przekonaniami. Czyli historyk powinien pracować nad tym, żeby w swoich własnych poglądach zbliżać się coraz bardziej do prawdy. Wynika stąd, że prawda, a nie interes publiczny lub własne zapatrywania autora powinna być czynnikiem decydującym. Natomiast odnosi się wrażenie, że pan Roman Buczek stosuje się w pierwszym rzędzie do zasady „śmiałego wypowiadania swego zdania” i opiera swą książkę na negatywnej ocenie Andersa i jego środowiska, stając jednocześnie zdecydowanie po stronie Tatar. Na przykład:

„Gen. Tatar część posiadanych pieniędzy wydał jeszcze w Londynie na zakup narzędzi chirurgicznych dla zniszczonych klinik w Polsce, na zakup książek dla zdewastowanych bibliotek uniwersyteckich w kraju, a także na pomoc dzieciom na Ziemiach Odzyskanych. Tylko nieznaczne sumy przeznaczył na pomoc Mikołajczykowi w jego walce wyborczej z komunistami. Kwota ta wyraża się sumą około 40.000 dolarów. Resztę zawiózł do Polski. Pieniądze te poszły na potrzeby zniszczonego kraju i dzięki temu nie zostały przejedzone w Londynie” (str. 150).

Po pierwsze, Tatar nie zawiózł z własnej woli reszty, a ściślej mówiąc większości pieniędzy do kraju, a zostały one mu odebrane przez władze bezpieczeństwa, po aresztowaniu jego i towarzyszy w Warszawie jesienią 1949 roku. A poza tym skąd autor wie, że pieniądze te zostały zużyte na potrzeby zniszczonego kraju? Można przypuszczać, że jeżeli by ktoś w kraju zaczął szukać, co w Warszawie zrobiono z tymi pieniędzmi, to miałyby takie same trudności jak ci, którzy w 1981 roku, po śmierci Tata-

ra, zaczęli poszukiwać w kraju śladów złotych zbiorów Funduszu Obrony Narodowej (FON), które Tatar przekazał władzom Polski Ludowej w 1947 roku. Nie zdołali oni odnaleźć ogromnej większości tych złotych zbiorów wynoszących 350 kg i nic dziwnego, bo według wszelkiego prawdopodobieństwa około 65 % złota FON-u zabrały z miejsca Sowiety.

Tatara autor broni, natomiast nie waha się w potępieniu jego przeciwników Andersa i Bora-Komorowskiego, o których pisze:

„Obaj oni starali się wmówić sobie i innym, że są bohaterami, którzy walczą o sprawę niepodległości Polski... zarówno Bór jak i Anders tracili tysiące żołnierzy, bo im się tylko wydawało, że kraj coś za to dostanie. Wydawało się im, ale nie mieli żadnej gwarancji. Gen. Anders poszedł na Monte Cassino, chociaż już było po Teheranie, chyba tylko po to, aby stracić setki istnień ludzkich...” (str. 116).

Można i tak, jeżeli to komuś odpowiada, ale jakoś nie pasuje to do stwierdzenia autora we wstępie:

„Prawdzie tylko i dobru społeczności polskiej ma służyć niniejsze opracowanie” (str. 6).

Bardziej przekonująco wypadła sylwetka bohatera tej książki:

„Płk Hańcza był lojalnym wykonawcą poleceń swoich przełożonych. Siedząc z dala od 'wielkiej polityki' na włoskim odludziu, zupełnie nie rozumiał, a zapewne nawet nie interesował się koncepcjami politycznymi gen. Tatar. Rozgrywki londyńskie i walkę o władzę w środowisku emigracyjnym uważał za stratę czasu. Jako zdyscyplinowany żołnierz wykonywał nadsyłane mu ze sztabu w Londynie rozkazy, wierząc, że w ten sposób służy najlepiej sprawie narodowej. Mając do gen. Tatar absolutne zaufanie troszczył się tylko, aby otrzymane polecenia mógł wykonać jak najsolidniej” (str. 27).

Już od dłuższego czasu byłem pod wrażeniem, że Hańcza padł ofiarą konfliktu pomiędzy Andersem i Tatarem, w którym chodziło nie tylko o pieniądze, ale również o łączność radiową z krajem. Praca pana Buczka potwierdza ten pogląd. Sądziłem również, że pomimo szeregu wątpliwości Hańcza jednak popełnił samobójstwo. Toteż z pewną satysfakcją (jeżeli tak można powiedzieć w tej tragicznej sprawie) oglądałem w pracy Buczka fotokopię pożegnalnego listu Hańczy, którego zasadnicze zdania brzmią następująco:

„Koledzy! Niezmiernie mi przykro, że muszę Was opuścić w chwili tak ciężkiej dla nas wszystkich. Nie przypuszczając, by wśród nas mógł się znaleźć zdrajca, dałem d-ey Korpusu oświadczenie², które na skutek (jak

2. Oświadczenie to, cytowane przez autora na str. 60, dotyczy wyłącznie utrzymywania łączności radiowej i nie nawiązuje do dolarów przechowywanych przez Hańczę.

przypuszczam) naświetlenia sprawy przez owego pana — okazało się niezgodne z rzeczywistością — stąd dla mnie obowiązek” (str. 69).

Niestety, wkrótce zdałem sobie sprawę z tego, że przecie taki list może być z łatwością sfałszowany i dopóki fachowcy nie ustalą na podstawie badania charakteru pisma, że jest to faktycznie list Hańczy, czego pan Buczek nie przeprowadził, sprawa w dalszym ciągu nie jest ostatecznie udowodniona.

Sam przebieg wypadków w Rzymie w dniu 9 października 1945 opisuje pan Buczek inaczej niż to czynili przed nim inni³, ale nie wiadomo na jakich opiera się informacjach:

„Po otoczeniu domu do mieszkania Hańczy zostali skierowani ppor. Aleksander Aksan i ppor. Lech Lipowicz. Pierwszy szedł Aksan z odbezpieczonym pistoletem w dłoni. Liczono się bowiem z możliwością, że Hańcza przy próbie aresztowania będzie stawiał opór. Nagłym wejściem do pokoju Aksan jednak nie zaskoczył Hańczy. Gdy wszedł, Hańcza stał pod oknem z pistoletem skierowanym w stronę wchodzącego. Aksan odruchowo cofnął się za drzwi, gdzie stał Lipowicz. W tym momencie padł strzał. Obaj wbiegli do pokoju. Hańcza leżał pod ścianą na podłodze” (str. 72).

Co stało się wówczas naprawdę, wie tylko jeden człowiek — Aleksander Aksan. O ile wiem, mieszka on obecnie w Kanadzie. Czy Buczek oparł przytoczony opis na jego relacji? Nie wiadomo, bo jak już zostało zacytowane, „autor z góry zrezygnował z dokumentowania faktów”. A szkoda, bo metodę niepodawania dowodów można by zaakceptować jedynie pod dwoma warunkami: że autor jest wyjątkowo obiektywny w swych opiniach i wyjątkowo skrupulatny w swych badaniach, dzięki czemu wzbudza zaufanie czytelnika. Niestety nie ma czytelnik wielkiego zaufania do autora tej książki, bo jak widzieliśmy, nie jest on zbyt obiektywny w swych ocenach, ani też zbyt skrupulatny, co wyraziło się w niedostatecznym zbadaniu pożegnalnego listu Hańczy oraz w zbyt wielu usterkach w tekście. Na przykład autor pisze (str. 7), że Tatar skończył nie tylko francuską, ale i polską Wyższą Szkołę Wojenną (WSW). Nie odpowiada to jednak prawdzie, bo Tatar był tylko na pierwszym roku WSW, a potem został wysłany do École Supérieure de Guerre w Paryżu, którą ukończył.

Autor również podaje, że na początku wojny kierownictwo Stronnictwa Narodowego proponowało mu objęcie dowództwa nad Narodową Organizacją Wojskową (NOW), ale Tatar odmówił (str. 8). Bardzo wątpię, żeby twierdzenie to odpowiadało prawdzie, bo nie spotkałem się z tego rodzaju wiadomościami w cza-

3. *Vide* Władysław Marcinkowski, *Kultura* nr 10/192, str. 100, lub oświadczenie firmy adwokackiej Jaxa and Partners, *Kultura* nr 1/195-2/196, str. 157.

sie zbierania materiału do mojej książki o Narodowych Siłach Zbrojnych⁴, a po zapoznaniu się z pracą Buczka zwróciłem się specjalnie w tej sprawie do ówczesnych działaczy Stronnictwa Narodowego i ONR i otrzymałem od nich zaprzeczenie wiadomości o jakichkolwiek powiązaniach pomiędzy NOW i Tatarom.

A ileż błędnych informacji zawiera następujący krótki urywek:

„O kwalifikacjach zawodowych Bąkiewicza trudno coś powiedzieć, gdyż oprócz matury innego wykształcenia nie posiadał. Naturalnie w 2-gim Korpusie było wielu oficerów posiadających i wykształcenie i wybitne zdolności zawodowe, ale takich Anders nie chciał, gdyż potrzebował narzędzi do bezkrytycznego wykonywania jego rozkazów” (str. 42).

Już od kilkunastu lat istnieje wydanie „W 50-lecie Wyższej Szkoły Wojennej”, które zawiera kompletne listy oficerów dyplomowanych. Z list tych wynika, że ówczesny kpt. piech. Wincenty Bąkiewicz ukończył XI promocję WSW z lat 1930-32. Nie jest więc prawdą, że nie posiadał żadnego wykształcenia poza maturą. Warto może dodać, że następujący oficerowie wymienieni w książce Romana Buczka ukończyli tenże sam kurs WSW: — Jan Giełgud-Axentowicz (zwierzchnik Bąkiewicza w początkowym okresie w Buzułuku), Janusz Bokszczanin (oficer Komendy Głównej AK, a potem wysłannik na Zachód), Jan Gorzko (przewodniczący komisji badającej działalność Hańczy) i Kazimierz Wiśniowski (szef sztabu 2-go Korpusu).

Bąkiewicz był nie tylko zwykłym oficerem dyplomowanym piechoty. Przed 1939 rokiem kierował on badaniami wojskowo-ekonomicznymi możliwości Związku Sowieckiego. Studia oparte były na informacjach dostarczanych przez wywiad, więc musiały mieć większe zdolności badawcze niż inni kandydaci na to stanowisko. Wreszcie pisząc o nim w 1974 roku określiłem go tak:

„Rozmowy z Pułkownikiem należały do przyjemności. Miał on rzadko spotykaną u Polaków, a szczególnie u wojskowych, szerokość spojrzenia i zdolność zrozumienia przesłanek innych ludzi, należących nieraz do innego obozu. Jednocześnie swoje poglądy formułował zwięźle i jasno, bez uników i niedomówień” (*Zeszyty Historyczne* nr 29, str. 144).

Buczek stwierdza, że „w 2-gim Korpusie było wielu oficerów zawodowych posiadających i wykształcenie i wybitne zdolności zawodowe” (str. 42). Chciałbym zapytać kto? Przecie wiadomo, że kwiat polskiej kadry oficerskiej albo siedział w Murnau i innych obozach jenieckich w Niemczech, albo też leżał trupem w sowieckich obozach kaźni — Katyń, Diergaczi, Bołogoje. A wśród nich trzeba zwrócić szczególną uwagę na Adama Sołtana (skończył ten sam kurs WSW co i Bąkiewicz), który jako

4. Do nabycia u Z. S. S., 64 Twyford Ave., London W3 9QB, cena wraz z przesyłką £ 5.50 lub \$ 10.00.

wybitnie zdolny oficer, a jednocześnie bardzo bliski Andersowi odegrałby niewątpliwie wyjątkową rolę w Armii Polskiej w ZSSR a potem na Środkowym Wschodzie i we Włoszech, ale on już od dawna gnił w łasku katyńskim.

Ma się rozumieć Bąkiewicz miał konkurentów, a było ich dwóch — jego uprzedni zwierzchnik Jan Giełgud-Axentowicz i Władysław Michniewicz (z Brygady Karpackiej). O pierwszym z nich Zdzisław Bau, który wcale nie był entuzjastą Bąkiewicza, pisze:

„O Axentowiczu nie miano wysokiego pojęcia. Nazywano go 'majonezem', bo w sztabie w Warszawie pełnił rolę dyplomowanego *Maitre* urządzającego galowe przyjęcia dla zagranicznych *attachés* wojskowych” (*Kultura* nr 3/366 1978, str. 39).

A o Michniewiczu sam pan Buczek nie ma najlepszego zdania, bo pisze w przedmowie (str. 5):

„Należy przy tym ostro podkreślić, że im rządziej poszczególni autorzy korzystali z dokumentów lub wspomnień wiarygodnych świadków, tym częściej opisy ich podparte są plotką, której echa znajdujemy w karykaturalnej postaci w artykułach Władysława Michniewicza drukowanych na łamach paryskiej *Kultury*” (nr 10/192, 1963 i 5/199, 1964 — Z.S.S.).

I wreszcie pan Buczek stwierdza, że Anders nie chciał oficerów o wybitnych zdolnościach zawodowych, „gdyż potrzebował narzędzi do bezkrytycznego wykonywania jego rozkazów”. Przy pomocy tego rodzaju określeń autor odmalowuje Andersa jako bezwzględnego dowódcę, a tymczasem wcale tak nie było. Anders był o wiele bardziej miękki, nieraz może zbyt miękki, w porównaniu na przykład z Maczkiem, który był na pewno bardziej wymagającym i bezwzględnym dowódcą i rzadko dawał swym podkomendnym „drugą szansę” (wystarczy przeczytać wspomnienia samego Maczka, lub jego podkomendnego Koszutkiego). Natomiast Anders w czasie akcji tolerował nieco niedolnych dowódców, pozostawiając ich nominalnie na swoich stanowiskach, a faktycznie obchodząc ich przez tworzenie grup operacyjnych pod dowództwem innych, energiczniejszych oficerów.

Zresztą trzeba pamiętać, że pod kierownictwem Andersa 2-gi Korpus stał się takim wojskiem, w którym było miejsce dla różnego rodzaju oficerów, którzy nie mieścili się gdzie indziej. Na przykład mjr Żychoń, któremu w Londynie zarzucano współpracę z Niemcami (ale niczego nie zdołano mu udowodnić) był w 2-gim Korpusie zastępcą d-cy batalionu i poległ pod Monte Cassino. Ppłk dypl. Protasewicz, kiedy już nie mógł być dłużej w Londynie, został dowódcą batalionu saperów w 2-gim Korpusie, a potem otrzymał „delikatne” stanowisko szefa Kultury i Prasy. Najbliżej stojący przy Sosnkowskim płk dypl. Demel, kiedy nie miał już co robić w Londynie po odejściu Sosnkow-

skiego, został wykorzystany w 2-gim Korpusie jako dowódca brygady i brał udział w akcji na Bolonię. A mjr dypl. Zochowski, dawny szef sztabu NOW, a potem NSZ w kraju, też „nie pasował” w Londynie, a w 2-gim Korpusie został dowódcą batalionu. Wynika stąd, że było tam miejsce dla ludzi różnego pokroju, różnej przeszłości i różnych zapatrywań.

Zresztą na podstawie osobistych doświadczeń muszę stwierdzić, że z rozmów z wieloma świadkami historii najlepsze wrażenia odniosłem ze spotkań z Bogusławem Miedzińskim, Anderssem i Bąkiewiczem. Dlatego obrazy postaci Andersa i Bąkiewicza przedstawione przez pana Buczka zupełnie nie pasują do moich obrazów.

Roman Buczek pisze nie tylko o okolicznościach, które doprowadziły do śmierci Hańczy, ale również o losach kilku milionów dolarów, które miał Hańcza na przechowaniu, a potem 2-gi Korpus starał się je wykorzystać. Rzeczywiście były to poczynania raczej nieudolne, bo wojskowi nie znali się na operacjach finansowych o charakterze międzynarodowym (a z takimi mieli do czynienia) i nie byli w kontakcie z ludźmi, którzy mogliby im doradzić. Zasadnicza trudność polegała na tym, że fundusze te należało ukrywać przed władzami brytyjskimi, które dążyły do tego, żeby wszystkie polskie pieniądze na Zachodzie nie tyle przekazać uznawanym od 5 lipca 1945 władzom warszawskim, co oddać do dyspozycji Interim Treasury Committee w Londynie na pokrycie wydatków związanych z likwidacją całości spraw polskich w zasięgu władz brytyjskich. 2-gi Korpus nie dopuścił do oddania pieniędzy po-hańczowskich Anglikom, ale też nie zdołał ich w pełni uratować, bo nie potrafił zabezpieczyć ich przed lekkomyślnym lub nieuczciwym traktowaniem. Pan Buczek zajmuje się w pierwszym rzędzie wypadkami, w których pieniądze te zostały roztrwonione, jak na przykład fundusze przekazane ppłk Janowi Kamińskiemu lub nieudane przedsięwzięcia finansowe we Włoszech czy we Francji, pomija natomiast wypadki, kiedy kwoty pochodzące z tych sum zostały użyte na cele pozytywne, jak np. cele kulturalne lub edukacyjne.

Kończąc to omówienie należy stwierdzić, że pan Buczek zgromadził pierwszorzędne materiały, na podstawie których mógłby przygotować poważną i źródłowo udokumentowaną pracę. Jednak niestety zasady które przyjął przy opracowaniu tego materiału, a w szczególności rezygnacja „z dokumentowania podawanych faktów” (str. 5) i trzymanie się zasady, że piszącego w pierwszym rzędzie „obowiązuje otwartość i śmiałość wypowiedzanie swego zdania” (str. 6), doprowadziły do tego, że książka „Był taki czas...” nie ma korzeni i reprezentuje jedynie osobiste spojrzenie autora. Wielka szkoda, że tak cenne materiały nie zostały wykorzystane w sposób przekonujący. Autor zdołał pewne

rzeczy wyjaśnić, szczególnie w tych wypadkach, kiedy odszedł od swej zasady i udokumentował fakty, ale jednocześnie stworzył wiele nowych wersji, poszlak i interpretacji zawieszonych w próżni. A mógł tego wszystkiego uniknąć.

Z. S. SIEMASZKO

30 stycznia 1983

Jan CIECHANOWSKI

POLSKA W DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ (Refleksje i uwagi na marginesie ostatniej pracy Józefa Garlińskiego)

Józef Garliński w swej nowej, niezmiernie żywo, przystępnie napisanej i wspaniale, jak na warunki emigracyjne, wydanej książce*, jeszcze raz przypomina nam, że z ubiegłej wojny wyszliśmy tak okaleczeni i wycieńczeni, że ledwo zdolni do życia. Wyszliśmy nie jako zwycięzcy, chociaż na wiosnę 1945 roku braлиśmy udział w zdobywaniu Berlina, lecz jako krańcowo wyczerpany naród, któremu w straszliwie zniszczonym przez działania wojenne i okupowanym przez Armię Czerwoną kraju przyszło tworzyć nowe państwo, w nowych granicach i z nowym ustrojem polityczno-społecznym. Co przebiegało nader opornie i w bardzo trudnych i skomplikowanych warunkach.

Autor słusznie podkreśla, że dla nas, Polaków, ostatnia wojna to przeszło pięć i pół lat walki z Niemcami o byt narodowy i biologiczne istnienie, w której brał udział cały naród — wszystkie jego klasy, polityczne ugrupowania i instytucje z Kościołem włącznie. Polska była jedynym okupowanym przez Niemców krajem w którym nie było ani Quislinga ani Pétaina. Nie było zorganizowanej kolaboracji z Niemcami, którzy uważali wszystkich Polaków za członków ruchu oporu. Kosztowało to nas, jednak, bardzo wiele. — W czasie wojny zginęło ponad 6 milionów Polaków, a 38 % stanu majątku narodowego uległo zniszczeniu.

Garliński pisze o kampanii wrzesniowej, o upadku Drugiej Rzeczypospolitej, o okupacji, Polsce Podziemnej i o rządzie i

* *Polska w Drugiej Wojnie Światowej*, Odnowa, Londyn 1982, str. 508.

wojsku na wygnaniu. Pisze o wojennych dziejach Kościoła pod niemiecką i sowiecką okupacją, o zagładzie polskich Żydów i prześladowaniu inteligencji. Omawia stosunek Churchilla, Roosevelta i Stalina do sprawy polskiej. Podkreśla, że dla nas druga wojna światowa była w dużej mierze „polską wojną” prowadzoną w kraju i za granicą z ogromnym nakładem sił, środków i energii.

Autor z dużym znanstwem tematu w zwięzły i jasny, chociaż może zbyt powierzchowny sposób, omawia w swej książce wojskowe i polityczne aspekty „polskiej wojny”. Garliński sam zresztą zaznacza, że pisząc tę pracę ograniczył się „tylko do spraw najważniejszych”, aby nie zaciemniać obrazu „naszego narodu i kraju na tle olbrzymiej panoramy dramatycznych wydarzeń” (str. xiii).

Ostatnia książka Garlińskiego to niezmiernie ambitna próba syntetycznego przedstawienia dziejów Polski w czasie ubiegłej wojny. Nie ulega kwestii, że Garliński ma wiele bezspornych kwalifikacji do zajmowania się wojenną tematyką. Jest autorem szeregu książek na temat kilku aspektów drugiej wojny światowej, z których niewątpliwie najlepszą i najbardziej znaną jest jego monografia o ruchu oporu w Oświęcimiu, oparta na niezmiernie bogatym i różnorodnym materiale źródłowym¹. Za pracę tę autor, w wieku lat sześćdziesięciu, uzyskał stopień doktora z zakresu nowoczesnej historii w 1973 roku na *London School of Economics and Political Science* — jednej z najlepszych zachodnich uczelni o światowej renomie. Dzisiaj praca ta jest już klasykiem i trwałym przyczynkiem do historii europejskiego i polskiego ruchu oporu. Co więcej, to jedna z niewielu prac doktorskich, która doczekała się szeregu wydań w bardzo dużych nakładach. W pracy tej Garliński dał się poznać jako dużej miary historyk o wybitnym talencie pisarskim.

Inne prace Garlińskiego dotyczyły współpracy pomiędzy AK i SOE, ostatnich broni Hitlera, Enigmy oraz działalności wywiadów alianckich w Szwajcarii. Są to ciekawe i pożyteczne przyczynki do historii roli Polaków w czasie ostatniej wojny, ale swym poziomem, stylem i bazą źródłową nie dorównują książce o Oświęcimiu. To samo zresztą odnosi się do jego *Polski w Drugiej Wojnie Światowej*. W pracy tej Garliński o wielu sprawach pisze w tak wielkim skrócie i z pominięciem tak wielu zasadniczych źródeł, iż trudno ją uważać za jego najlepszą i najbardziej udaną książkę. Chociaż z pewnością jest wartościowym wprowadzeniem do dziejów Polski w latach 1939-1945.

Co więcej, najlepsze części książki dotyczą kwestii i zagadnień, o których Garliński pisał już wcześniej w innych pra-

1. *Oświęcim walczący*, Odnova, Londyn 1974.

cach, lub które zna z autopsji. — Garliński jako młody oficer rezerwy kawalerii brał udział w kampanii wrześniowej, a następnie służył w Komendzie Głównej AK i był więźniem niemieckich obozów koncentracyjnych. Stąd, pisząc o walkach wrześniowych, okupacji, konspiracji i świetcie niemieckich obozów zagłady i przymusowej, niewolniczej pracy, pisał nie tylko jako historyk znający te tematy z suchych dokumentów, czy nie zawsze pełnych i wiernych relacji i przekazów, ale jako naoczny świadek czy nawet uczestnik opisywanych wydarzeń.

Autor z własnych doświadczeń wie czym była „polska wojna” widziana z wysokości siodła, służba w konspiracji, niemiecka okupacja, Gestapo, Pawiak i Oświęcim. Ożywia to jego książkę i wprowadza do niej dużą dozę autentyczności.

Garliński mniej pewnie czuje się gdy pisze o wydarzeniach dyplomatycznych, co wymaga głębszej ich analizy i znajomości różnorodnych źródeł. — Na przykład autor podaje, że Anglicy udzielili nam gwarancji w 1939 roku, gdyż obawiali się że inaczej pójdziemy „na kompromis z Niemcami” (str. 21).

W istocie Chamberlainowi chodziło o ostrzeżenie Hitlera przed zaatakowaniem Polski i skłonienie go do pokojowego — kompromisowego — rozwiązania sporu z Polską. Rozwiązania, które Niemcom miało dać Gdańsk i Korytarz, a Polsce „międzynarodową gwarancję”. Kłopot polegał tylko na tym, że Hitler chciał uczynić z nas wasala, albo zniszczyć. Po Monachium Gdańsk i Korytarz już mu nie wystarczały. Hitler w oczach Chamberlaina, a nawet Becka, po prostu okazał się szaleńcem, gdy zdecydował się na wojnę.

Beck do końca prawie łudził się, że wojny nie będzie i że Hitler blefował. Ponadto ani Chamberlain ani Beck nie wierzyli w możliwość niemiecko-sowieckiego porozumienia. Stąd, Garliński upraszcza sprawę bardzo poważnie twierdząc, że „los Czechosłowacji obudził wreszcie zachodnie demokracje” (str. 18). Francji nie obudził, jak wiemy, nawet upadek Polski, nie mówiąc już o Czechosłowacji. Ameryka zaś zaczęła się budzić dopiero po upadku Francji i to też dosyć opieszale.

Z wywodów Garlińskiego jasno wynika, że nasi wojenni przywódcy nie stali na wysokości zadania. Mościcki, Rydz-Śmigły i Beck przegrali kampanię wrześniową, po której znaleźli się w rumuńskiej pułapce. Sikorski stale szukał poparcia wielkich i możnych tego świata: Churchilla, Roosevelta i Stalina. Nie zdając sobie sprawy, że właściwie tylko dla Stalina sprawa polska była kwestią pierwszoplanową. Podobnie sprawa się przedstawiała w przypadku Mikołajczyka. Sosnkowski był przeciwny w zasadzie ujawnianiu się AK wobec Sowietów i powstaniu, ale „kapitulował” przed wolą prącego do walki kraju. Bór-Komorowski i Jankowski kierowali się po prostu patriotyczną poczuciowością, co doprowadziło do katastrofy AK i zniszczenia Warsza-

wy. Garliński twierdzi jednak, że „już dziś widzi się wielkie, moralne zdobycze osiągnięte krwią młodych powstańców ówczesnej, walczącej Warszawy” (str. 412). To bardzo ładnie brzmi, ale co to znaczy?

Niestety, w latach 1939-1945 brakowało nam polskiego Churchilla, de Gaulle'a czy Tity. Brakowało nam polityków umiejących działać z siłą lwa i przebiegłością lisa.

Ostatnia praca Garlińskiego to nie tylko zarys dziejów Polski w czasie ostatniej wojny, ale również jeszcze jeden głos w dyskusji o jej sens i znaczenie dla nas wszystkich. Do wojny tej bowiem stale powracamy myślą i przeżywamy ją na nowo.

Jan CIECHANOWSKI

Józef GARLIŃSKI

WOJENNY DWUGŁOS

Książki o wojnie, jeżeli nie są pracami dokumentarnymi, prawie zawsze należą do kategorii wspomnień. Publikuje się ich tak wiele, tak pełne są przeważnie bohaterskich czynów i niebywałych osiągnięć, że po kilkunastu próbach przeczytania ich do końca ma się tego dosyć na całe życie. Zupełną rzadkością są wspomnienia, których autorzy chronią się w cieniu i nie piszą o sobie, ale o innych ludziach, których spotkali, i o wydarzeniach, których byli świadkami, a nie czołowymi aktorami.

Oczywiście są i inne formy dzielenia się z czytelnikami ła-dunkiem odczuć, przeżyć i refleksji, które nagromadziły się w czasie intensywnych wojennych lat. Powstają zbiory wierszy lub esejów, których walor zawarty jest bardziej w formie niż w treści, powstają czasem powieści, dla których wojna jest tylko tłem i które nie mają wówczas pretensji do ścisłości. Ale może być jeszcze inaczej.

Właśnie skończyłem książkę, która ukazała się przed kilku miesiącami, a więc prawie w 40 lat po wielkiej wojnie, i która nie stanowi wspomnień, choć dotyczy tamtego okresu i o nim mówi. Nie jest to także powieść; jest to zbiór wierszy i esejów, ale nie refleksyjnych, bo pisanych wówczas, w tamtych właśnie latach. Oryginalność tej książki, która nosi tytuł *Wojenne odcin-*

ki*, polega na tym, że autorzy, Alicja Iwańska i Jan Gralewski, stworzyli ją dzięki korespondencji jaką w formie listów, wierszy, esejów i notatek wymieniali pomiędzy sobą w okupowanej Warszawie mimo, że spotykali się prawie co dzień. Byli w konspiracji, mieli swoje obowiązki, które ich czasem rozdzielały i wtedy krążące pomiędzy nimi „odcinki” dochodziły później, ale zawsze miały ten sam cel: przekazywanie bieżących wrażeń, utrzymanie łączności z najbliższym sobie człowiekiem (w czasie wojny stali się małżeństwem), stwarzanie obrazu tamtych dni w formie wierszy i krótkich, literackich szkiców. Świadomość, że są to przekazy, które mają dotrzeć nie tylko do adresata, ale także do późniejszych czytelników była kompletna, bo autorzy już wtedy, gdy je między sobą wymieniali, przewidywali, że ukażą się w druku.

Takie założenie, sformowane w umysłach dwojga młodych żołnierzy podziemia i studentów tajnego uniwersytetu, zawierało w sobie duży ładunek niebezpieczeństwa, bo prawie automatycznie ograniczało pełną szczerość, skoro pisało się dla „przyszłych pokoleń”. Dla badacza jakiegoś okresu najciekawsze są zapiski ludzi, którzy robili je tylko dla siebie i które tylko przypadkowo się zachowały, i z tego punktu widzenia *Wojenne odcinki* nie mogą otrzymać najwyższej oceny. Ponadto, o czym wiem od Alicji, przy redagowaniu książki zdecydowała się jednak na pewne skróty tych odcinków, które były zanadto osobiste, a niektóre w ogóle odrzuciła.

Można mieć wątpliwości, czy należało tak postąpić, czy pozostawienie wszystkiego w pełnej, oryginalnej formie nie stworzyłoby lepszego przekazu, trzeba jednak przyznać, że na ogół książka jest szczerą. Nie czuje się w niej zahamowań, nie widać pozy, o którą tak łatwo, gdy piszący wie, że w przyszłości będą o nim mówić i dyskutować. Pytałem o to Alicję i otrzymałem zapewnienie, że teksty, które się uratowały i poszły do druku nie były poprawiane i uzupełniane późniejszymi refleksjami. Mają one jeszcze jedną, bardzo dodatnią cechę: bardzo rzadko pojawiają się w nich ważne wydarzenia toczące się wojny i szczególnie wykonywanych konspiracyjnych zadań. Dyskrecja na ten temat była uzasadniona względami bezpieczeństwa, ale przede wszystkim tworzyła ją osobowość obojga piszących, którzy nie uważali siebie za powołanych do oceny wielkich wydarzeń i nie dążyli do wyolbrzymienia swych sylwetek.

Nie zmienia to prawdy, że książka jest bardzo egocentryczna, bardzo osobista, bardzo własna. Skoro tak, to trzeba kilka słów napisać o jej autorach. Tuż przed wojną oboje byli młodymi ludźmi i oboje studiowali w Warszawie filozofię. Gralewski już kończył studia, Iwańska dopiero je zaczynała. Tak się złożyło,

* Alicja Iwańska i Jan Gralewski, *Wojenne odcinki* (Warszawa 1940-1943), Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1982.

że należeli do dwóch konkurujących ze sobą seminariów: Gralewski był jednym z najwybitniejszych słuchaczy profesora Tarkiewicza, Iwańska studiowała u Kotarbińskiego. Niewielka ilość studentów uczęszczała na obydwie seminaria i w ten sposób Alicja poznała Jana. Nawiązała się między nimi przyjaźń, oparta między innymi na wspólnych zainteresowaniach literackich i artystycznych. Gralewski pisywał do *Arkady*, do *Życia sztuki* i do *Nike*, Iwańska drukowała swoje wiersze w *Sygnalach*, w *Okolicy poetów* i w *Kamieniu*. Później przyszła miłość.

Oboje na rok przed wojną wyjechali za granicę na dodatkowe studia, ona do Brukseli, on do Paryża, ale wrócili do kraju, gdy nadciągnęła groźba ataku Hitlera. Spotkali się i tak jak prawie wszyscy ich rówieśnicy pogrążyli bez reszty w konspiracji.

Chcę teraz zwrócić uwagę na dodatkową cechę *Wojennych odcinków*, która mnie bardzo zainteresowała. Należę do tego samego pokolenia, wszedłem do konspiracji w Warszawie, ale ograniczyłem się wyłącznie do pełnienia zadań w kontrwywiadzie Komendy Głównej ZWZ/AK, podczas gdy Alicja i Jan działali na trzech podziemnych płaszczyznach: wojskowej, tajnych studiów i życia literackiego. Trudno mi to nazwać przestępstwem, bo sam, mimo etatu w Komendzie Głównej i bardzo ekspozowanej pracy (wywiad więzienny, tuż pod bokiem Gestapo), zrobiłem ostatni rok prawa na tajnym uniwersytecie, ale niewątpliwie było to sprzeczne z elementarnymi zasadami konspiracji. Zbiegiem okoliczności Alicja, po różnych podziemnych pracach, trafiła również do KW i do wywiadu więziennego a Jan był zagranicznym kurierem, znaleźli się więc w najbardziej ekspozowanych działach wojskowej konspiracji. Względny bezpieczeństwa zabraniały im innych podziemnych kontaktów. Dziś wiemy, że bardzo wielu ich rówieśników nie przestrzegało tych zakazów. W wyniku przekroczenia tych barier *Wojenne odcinki* pełne są bardzo ciekawych informacji ze wszystkich trzech konspiracyjnych płaszczyzn.

Najmniej dowiadujemy się o konspiracji wojskowej, z natury rzeczy najbardziej poufnej, wiele natomiast esejów dotyczy podziemnych studiów i podziemnego literackiego życia. Ponadto, i to jest już zupełnie poza nawiasem wszelkich podziemnych działań, *Odcinki* stanowią wielką, szeroką panoramę okupowanej Warszawy. Na jej tle i przy codziennym ryzyku wielu konspiracyjnych zobowiązań, uczipiona skrawka własnego życia, rozwijała się miłość dwojga ludzi.

Niestety wojna nie pozwoliła im dotrzeć do zwyczajnych, normalnych czasów. Jan Gralewski, kurier Komendy Głównej Armii Krajowej, w drodze do Wielkiej Brytanii znalazł się w Hiszpanii i tam trafił do obozu w Mirandzie. Wydobyli go zeń Brytyjczycy, ułatwili przedostanie się do Gibraltaru i miał właśnie stamtąd odlecieć do Londynu, gdy w drodze z Bliskiego

Wschodu znalazł się tam, wraz ze swą żoną, gen. Sikorski. Mógł odebrać raport na miejscu, ale miał inne sprawy na głowie, zdecydował więc, że Gralewski poleci z nim do Londynu i tam zakończy swoją misję. Katastrofa gibraltarska wypełniła ostatnie zdania *Wojennych odcinków*.

Gdy w roku 1945 profesor Tatarkiewicz chciał w swych wspomnieniach wyraźnie napisać, w jakich okolicznościach zginął jego najwybitniejszy słuchacz, Alicja Iwańska sprzeciwiła się temu uważając, że tragizm śmierci Naczelnego Wodza „ograbiłby Gralewskiego z jego własnej śmierci”. Profesor ustąpił, ale nie od razu dał się przekonać i powiedział w rozdrażnieniu: „A może by pani wołała, abym napisał, że zmarł na ślepą kieszkę...?”.

Sądzę, że oboje mieli rację. Spojrzenie Iwańskiej było słuszne, bo broniła osobowości kochanego przez siebie człowieka, ale po wielu latach przyznać trzeba rację profesorowi Tatarkiewiczowi. Jakież wężel dramatyczny kończyłby te wojenne zapiski, gdyby Jan Gralewski został w Warszawie przejechany przez samochód? Patos żołnierskiej śmierci był tu bardzo potrzebny, a fakt, że nastąpiła obok Premiera i Naczelnego Wodza podnosi tylko jej dramatyczny walor i czyni z *Wojennych odcinków* książkę o trwałej wartości.

Autorzy jej tego nie chcieli, ale los zdecydował, że jej ostatnią kartę napisała Wielka Wojna.

Józef GARLIŃSKI

SPIS TREŚCI

Bohdan Strumiński: <i>Rozmowa z prof. O. Pricakiem</i>	3
Marek Edelman: <i>Getto walczy (udział Bundu w obronie getta warszawskiego)</i>	20
Jan Krajowiec: <i>Związek Literatów Polskich w stanie wojennym</i>	61
Dr Leonidas A. B. Kliszewicz: „Grzegorz” — <i>placówka wojskowej łączności w Grecji</i>	83

WSPOMNIENIA

Ludwik Łubieński: <i>Ostatnie rozmowy śp. gen. Sikorskiego w Gibraltarze</i>	95
Jean Laloy: <i>W Moskwie: między Stalinem a de Gaulle'm</i>	105
Georg Brandes: <i>Wrażenia z Polski (1885). Wyjątki</i>	127

DOKUMENTY

<i>Przyczyny, przebieg i skutki kryzysów społecznych w dziejach PRL (projekt opracowania syntetycznego Komisji KC dla wyjaśnienia przyczyn konfliktów społecznych w dziejach PRL)</i>	137
<i>Głosy zza muru, część III</i>	177
<i>Internowany działacz Solidarności do kolegów ze swego regionu</i>	177
<i>Z obozowej prasy</i>	181
<i>Z życia obozów (Dartówek, Uherce, Białołęka, Kwidzyn, Kielce-Piaski, Nowy Łupków)</i>	195
	239

RECENZJE

Piotr Wandycz: <i>Nowe wydawnictwa z historii Polski</i>	221
Z. S. Siemaszko: <i>Książka niewykorzystanych możliwości</i> . .	223
Jan Ciechanowski: <i>Polska w II wojnie światowej (refleksje i uwagi na marginesie ostatniej pracy Józefa Garlińskiego)</i>	232
Józef Garliński: <i>Wojenny dwugłós</i>	235

Achévé d'imprimer le 20 juillet 1983
sur les presses de l'Imprimerie Richard, 24 rue Stephenson, Paris 18^e.
Dépôt légal : 3^e trimestre 1983.

